

DRUGA CZĘŚĆ BESTSELLEROWEGO CYKLU *WALLFLOWERS*



LISA
KLEYPAS
JESIENNE ZAUROCZENIE

Prószyński i S-ka

LISA
KLEYPAS
JESIENNE ZAUROCZENIE

Przełożyła
Agnieszka Myśliwy

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
IT HAPPENED ONE AUTUMN

Copyright © 2005 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Sandra Cunningham/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-665-8

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Christiny Dodd,
mojej siostry, przyjaciółki – mojej inspiracji*

Z miłością, L.K.

PROLOG

LONDYN, ROK 1843

Dwie młode kobiety stały na progu perfumerii; jedna z nich niecierpliwie szarpała drugą za rękę.

– Naprawdę musimy wchodzić do środka? – zapytała ta drobniejsza z wyraźnym amerykańskim akcentem, opierając się wysiłkom towarzyszki, która próbowała zaciągnąć ją do dyskretnie oświetlonego sklepu. – Zawsze w takich miejscach umieram z nudów, Lillian... podczas gdy ty godzinami wączasz różne rzeczy...

– W takim razie zaczekaj ze służącą w powozie.

– To jeszcze nudniejsze! Poza tym nie wolno ci nigdzie chodzić samej. Popadłabyś beze mnie w kłopoty.

Wyższa dziewczyna roześmiała się na całe gardło w sposób, który nie przystoi damie, i obie weszły do sklepu.

– Ty wcale nie zamierzasz uchronić mnie przed kłopotami, Daisy. Po prostu nie chcesz, by ominęły ciebie.

– Niestety, w perfumerii nie spotka nas żadna przygoda – padła ponura odpowiedź.

Stwierdzenie to powitał cichy śmiech. Obie panny odwróciły się twarzami do staruszka w binoklach, który stał za odrapaną dębową ladą, ciągnącą się przez całą długość lokalu.

– Jesteś tego pewna, panienko? – zapytał, uśmiechając się, gdy podeszły bliżej. – Niektórzy wierzą, że perfumy to magia. Zapach jest najczystsza esencją rzeczy. A istnieją zapachy, które mogą przywołać duchy dawnych miłości i najśłodsze wspomnienia.

– Duchy? – powtórzyła zaintrygowana Daisy.

– On nie mówi dosłownie, moja droga – rzuciła zniecierpliwiona Lillian. – Perfumy nie potrafią wezwać ducha. I to żadna magia. To tylko mieszanina cząstek zapachowych, które pobudzają receptory węchowe w twoim nosie.

Staruszek, pan Phineas Nettle, patrzył na dziewczęta z rosnącym zainteresowaniem. Żadna z nich nie była konwencjonalnie piękna, choć obie cechowała uderzająca uroda – miały jasną cerę i gęste ciemne włosy, a także pewien bezpretensjonalny urok charakterystyczny dla Amerykanek.

– Proszę – objął gestem rząd pobliskich półek – proszę obejrzeć moje towary, panno...

– Bowman – odparła uprzejmie starsza z dziewcząt. – Nazywamy się Lillian i Daisy Bowman. – Zerknęła na kosztownie odzianą blondynkę, którą pan Nettle właśnie obsługiwał, jakby rozumiała, że nie może jeszcze poświęcić im całej swej uwagi.

Podczas gdy niezdecydowana klientka pochylała się nad wyborem perfum, które zaproponował jej Nettle, Amerykanki spacerowały pomiędzy półkami zastawionymi perfumami, wodami kolońskimi, pomadami, woskami, kremami, mydłami i wszelkimi innymi artykułami przeznaczonymi do dbania o urodę. Były tam olejki do kąpieli w zakorkowanych kryształowych buteleczkach, puszkami z ziołowymi maściami i małe pudełeczka z fioletowymi pastylkami odświeżającymi oddech. Na niższych półkach

gościły zapachowe świece i atramenty, saszetki wypełnione solami pachnącymi koniczyną, misy potpourri i słoje z pastami i balsamami. Nettle zauważył, że gdy młodsza z dziewcząt, Daisy, przeglądała asortyment z pewnym zainteresowaniem, starsza przystanęła przed olejkami i ekstraktami czystych zapachów. Róża, uroczyn czerwony, jaśmin, bergamotka i tak dalej. Podnosiła buteleczki z ciemnego szkła, otwierała je ostrożnie i wdychała zapachy z widocznym uznaniem.

W końcu blondynka dokonała wyboru, zakupiła mały flakonik perfum i opuściła sklep. Dzwonek przy drzwiach zadzwonił radośnie, obwieszczając jej wyjście.

Lillian odprowadziła ją wzrokiem i wymamrotała z namysłem:

– Ciekawa jestem, dlaczego tyle jasnowłosych kobiet pachnie bursztynem...

– Masz na myśli perfumy? – zapytała Daisy.

– Nie... ich skórę. Bursztyn, a czasami miód...

– Co ty mówisz, na Boga? – zaśmiała się Daisy. – Ludzie nie mają zapachu. A jeśli mają, to znaczy, że muszą się umyć.

Siostry przez chwilę przyglądały się sobie z wzajemnym zaskoczeniem.

– Ależ mają – odparła Lillian. – Każdy z nas ma jakiś zapach. Nie mów, że nigdy tego nie zauważyłaś!

Niektórzy pachną gorzkimi migdałami, fiołkami, a inni...

– Inni pachną śliwkami, miodem palmowym lub świeżym sianem – wtrącił Nettle.

Lillian zerknęła na niego, uśmiechając się z satysfakcją.

– Właśnie!

Starszy pan zdjął binokle i przetaił je starannie. Na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań. Czy to możliwe? Czy to możliwe, by ta dziewczyna potrafiła wyczuć wrodzony zapach człowieka? On sam to potrafił, lecz był to rzadki dar i nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, która by go posiadała.

Lillian Bowman podeszła do niego, wydając złożony arkusik papieru z wyszywanej koralikami torebki, która wisiała na jej nadgarstku.

– Mam tu formułę na perfumy – oświadczyła, wręczając mu arkusik. – Choć nie jestem pewna, czy proporcje składników są odpowiednie. Czy mógłby je pan dla mnie wykonać?

Nettle rozłożył arkusik i odczytał listę, lekko unosząc siwiejące brwi.

– Niekonwencjonalna kombinacja. Niemniej bardzo ciekawa – przyznał. – Moim zdaniem będzie się ładnie komponować. – Zerknął na dziewczynę z żywym zainteresowaniem. – Mogę zapytać, gdzie otrzymała pani tę formułę, panno Bowman?

– Sama ją wymyśliłam. – Niewymuszony uśmiech złagodził rysy dziewczyny. – Próbowałam określić, jakie zapachy najlepiej zadziałałyby z moją własną alchemią. Choć jak zaznaczyłam, trudno mi było obliczyć proporcje.

Opuszczając wzrok, by ukryć sceptycyzm, Nettle jeszcze raz odczytał formułę. Klienci często przychodzili z prośbą, by opracował dla nich perfumy zawierające dominujący zapach, na przykład róży lub lawendy, lecz nikt dotąd nie przekazał mu takiej listy. Jeszcze bardziej intrygujący był jednak fakt, że dobór zapachów okazał się nie tylko nietypowy, lecz także harmonijny. Może to zwykły przypadek, że zdołała opracować tę konkretną kombinację...

– Panno Bowman – powiedział, ciekaw, jak dalece sięgają jej umiejętności – czy pozwoli pani, bym pokazał jej swoje perfumy?

– Ależ oczywiście. – Uradowana Lillian podeszła bliżej lady, gdy Nettle podał jej mały kryształowy flakonik zawierający jasny, błyszczący płyn. – Co pan robi? – zapytała, kiedy strząsnęła kilka kropli na czystą lnianą chusteczkę.

– Nie należy wachać perfum prosto z butelki – wyjaśnił, podając jej chusteczkę. – Zapach musi najpierw się utlenić, by alkohol wywietrzał. Dopiero wtedy mamy do czynienia z prawdziwym zapachem.

Panno Bowman, jakie aromaty wyczuwa pani w tych perfumach?

Nawet najbardziej doświadczonych perfumiarzy wiele wysiłku kosztowało rozdzielenie składników mieszanych perfum. Nieraz musiały upłynąć minuty, a nawet godziny wachania, gdy rozpoznawali jeden składnik po drugim.

Lillian pochyliła głowę, by odetchnąć zapachem z chusteczki. Potem podała listę składników z lotną finezją pianisty wodzącego palcami po wyuczonych klawiszach:

– Kwiecie pomarańczy... neroli... ambra i... mech? – Urwała i uniosła powieki, odsłaniając aksamitnie brązowe oczy mieniące się zdumieniem. – Mech w perfumach?

Nettle przyglądał się jej z bezgranicznym zdumieniem. Przeciętny człowiek nie był w stanie rozpoznać składników skomplikowanego zapachu. Mógł zidentyfikować podstawowy zapach, aromaty oczywiste, takie jak róża, cytryna lub mięta, lecz większość nie mogłaby rozpoznać warstw i zawiłości konkretnego zapachu.

Doszedłszy do siebie, uśmiechnął się blado w odpowiedzi na jej pytanie. Często dodawał do swoich perfum osobliwe nuty, które nadawały zapachom głębię i strukturę, dotąd nie spotkał jednak nikogo, kto by je rozpoznał.

– Nasze zmysły rozkoszują się złożonością, ukrytymi niespodziankami... Proszę spróbować z tymi. – Sięgnął po czystą chusteczkę i zwilżył ją kolejnymi perfumami.

Lillian poradziła sobie z zadaniem z taką samą zadziwiającą swobodą.

– Bergamotka... tuberoza... olibanum... – Zawahała się i odetchnęła raz jeszcze, pozwalając, by bogaty aromat wypełnił jej nozdrza. Uśmiechnęła się ze zdumieniem. – I nuta kawy.

– Kawy? – zawołała Daisy, pochylając się nad flakonikiem. – W tym nie czuć kawy.

Lillian posłała Nettle'owi pytające spojrzenie.

– Tak, to kawa. – Uśmiechnął się, a potem pokręcił głową z podziwem i zaskoczeniem. – Ma pani dar, panno Bowman.

Lillian wzruszyła ramionami i odparła drwiąco:

– Ten dar nie na wiele się przyda w poszukiwaniach męża, obawiam się. Takie mam właśnie szczęście, że posiadam ów bezużyteczny talent. Bardziej skorzystałabym na pięknym głosie lub wielkiej urodzie. Jak mawia moja matka, dama nie powinna rozkoszować się wachaniem różnych rzeczy.

– W moim sklepie powinna – odparł Nettle.

Rozmawiali o aromatach, tak jak inni ludzie rozmawiają o dziełach sztuki wystawianych w muzeum: o słodkich, mrocznych, ożywczych zapachach lasu po kilku dniach deszczu, o słodowej bryzie morskiej, o ziemistym bogactwie trufli, o świeżej, gryzącej nucie zaśnieżonego nieba. Daisy szybko straciła zainteresowanie dyskusją i wróciła do przeglądania półek z kosmetykami – otworzyła słoje z proszkiem, od którego kichnęła, po czym sięgnęła po puszkę pastylek i zaczęła je głośno pogryzać.

Nettle wywnioskował z rozmowy, że ojciec sióstr prowadzi w Nowym Jorku manufakturę wytwarzającą zapachy i mydła. Podczas okazjonalnych wizyt w laboratoriach i fabrykach Lillian posiadała podstawową wiedzę na temat zapachów i ich mieszania. Pomogła nawet opracować recepturę dla jednego z mydeł Bowmana. Nie przeszła żadnego szkolenia, lecz Nettle na pierwszy rzut oka rozpoznał w niej talent. Talent, którego nigdy nie będzie mogła szlifować z powodu swojej płci.

– Panno Bowman, mam esencję, którą chciałbym pani pokazać – powiedział. – Czy będzie pani tak miła i zaczeka tutaj, gdy będę jej szukał na zapleczu?

Czując wzmożoną ciekawość, Lillian pokiwała głową. Oparła łokcie na ladzie, podczas gdy Nettle zniknął za zasłoną oddzielającą sklep od składziku na tyłach.

Pomieszczenie wypełniały teczki z formułami, szafki z destylatami, ekstraktami i tynkturami, półki pełne narzędzi, lejków, buteleczek i miarek – wszystko to było niezbędne w jego fachu. Na najwyższej półce

przechowywał kilka owiniętych płótnem starogalijskich i starogreckich tekstów na temat sztuki perfumeryjnej. Dobry perfumiarz był po części alchemikiem, po części artystą i po części czarodziejem.

Wspiął się na drewnianą drabinę, sięgnął po małe sosnowe pudełko leżące na najwyższej półce i zniósł je na dół. Wrócił do sklepu i postawił pudełko na ladzie. Obie siostry Bowman śledziły wzrokiem każdy jego ruch, gdy podniósł wieko umocowane na małym mosiężnym zawiasie i odsłonił niewielką buteleczkę zapieczętowaną nicią i woskiem. Pół uncji niemal przezroczystego płynu stanowiło najkosztowniejszą esencję, jaką kiedykolwiek wyprodukował.

Odkorkował buteleczkę, wytrząsnął cenną kroplę na chusteczkę i podał ją Lillian. Pierwsze wrażenie było lekkie i łagodne, niemal niewyczuwalne. Gdy jednak zapach osadzał się w nosie, stawał się zdumiewająco zmysłowy, pozostawiając po sobie słodycz na długo po pierwszym doznaniu.

Lillian spojrzała na perfumiarza nad brzegiem chusteczki z oczywistym zdumieniem.

– Co to jest?

– Rzadka orchidea, która pachnie tylko nocą – odparł Nettle. – Ma śnieżnobiałe płatki, o wiele delikatniejsze od samego jaśminu. Nie sposób wyekstrahować z nich esencji poprzez ogrzewanie... są na to zbyt kruche.

– W takim razie metoda *enfleurage* na zimno? – wymamrotała Lillian, mając na myśli proces moczenia cennych płatków w rozproszonym na szklanych płytach tłuszczu, który absorbuje zapach. Czystą esencję pozyskiwano z tłuszczu dzięki rozpuszczalnikom bazującym na alkoholu.

– Tak.

Raz jeszcze odetchnęła zdumiewającą esencją.

– Jak się nazywa ta orchidea?

– Dama Nocy.

Słyszając to, Daisy wybuchnęła śmiechem.

– To brzmi jak tytuł jednej z tych powieści, które matka zabrania mi czytać – powiedziała.

– Sugeruję zastąpienie lawendy zapachem orchidei w pani formule – oświadczył Nettle. – Okaze się to kosztowniejsze, lecz moim zdaniem byłaby to idealna nuta bazowa, zwłaszcza jeśli chce pani wykorzystać bursztyn w roli utrwalacza.

– O ile kosztowniejsze? – zapytała Lillian, a gdy perfumiarz podał cenę, jej oczy zrobiły się okrągłe. – Dobry Boże, to więcej niż waga ekstraktu w złocie!

Nettle podniósł małą buteleczkę do światła; płyn zamigotał i zaśnił niczym diament.

– Magia nie jest tania, obawiam się.

Lillian wybuchnęła śmiechem, ale wciąż jak zahipnotyzowana wodziła wzrokiem za buteleczką.

– Magia – prychnęła.

– Te perfumy sprawią, że stanie się magia – powtórzył staruszek, uśmiechając się do niej. – Dodam nawet pewien sekretny składnik, aby wzmocnić jej działanie.

Oczarowana, lecz widocznie niedowierzająca Lillian ustaliła z Nettle'em, że wróci jeszcze tego samego dnia, by odebrać perfumy. Zapłaciła za puszkę pastylek Daisy, jak również za obiecany zapach, a następnie obie wyszły na zewnątrz. Jedno spojrzenie na twarz Daisy wystarczyło, by zauważyć, że jej wyobraźnia, która nie potrzebowała wielu bodźców, już szalała od wizji magicznych formuł i sekretnych składników.

– Lillian... pozwolisz mi wypróbować te magiczne perfumy, prawda?

– Przecież zawsze się z tobą dzielę.

– Wcale nie.

Lillian uśmiechnęła się szeroko. Pomimo pozorów rywalizacji i okazjonalnych sprzeczek siostry były najzagorzalszymi sojuszniczkami i najbliższymi przyjaciółkami. Niewiele osób kochało Lillian tak, jak

kochała ją Daisy, która uwielbiała najbrzydsze bezpańskie psy, najbardziej irytujące dzieci i wszystkie rzeczy, które wymagały naprawy lub które należało wyrzucić.

Mimo swej bliskości jednak znacznie się różniły. Daisy była idealistką, marzycielką, zmienną istotą, którą cechowała zarówno dziecinna kapryśność, jak i przenikliwa inteligencja. Lillian miała ostry język i otaczała się obronnym murem, który odgradzał ją od świata – cechowały ją cynizm i zgryźliwe poczucie humoru. Była też bezgranicznie lojalna wobec małego kręgu ludzi w swojej sferze, zwłaszcza paprotek – grupy dziewcząt, które same ochrzciły się tym mianem, gdy poznały się, podpierając ściany na wszystkich balach i wieczorkach w poprzednim sezonie. Lillian, Daisy oraz ich przyjaciółki Annabelle Peyton i Evangeline Jenner poprzysięgły sobie wzajemną pomoc w polowaniach na męża. Ich wysiłki uwieńczył sukces w postaci ślubu Annabelle z panem Simonem Huntem zaledwie dwa miesiące temu. Następna w kolejce była Lillian. Na razie jednak nie miały żadnego konkretnego pomysłu na to, kogo powinny dla niej złapać, ani też solidnego planu, dzięki któremu miałyby osiągnąć swój cel.

– Oczywiście pozwolę ci wypróbować perfumy – zapewniła Lillian. – Choć naprawdę nie potrafię pojąć, czego się po nich spodziewasz.

– Spodziewam się, że sprawią, iż zakocha się we mnie do szaleństwa przystojny książę – odparła Daisy.

– Zauważyłaś może, jak niewielu jest młodych i przystojnych arystokratów? – zadrwiła Lillian. – Na ogół są tępi, starzy lub mają oblicze, do którego pasuje tylko haczyk w ustach.

Daisy prychnęła śmiechem i otoczyła siostrę ramieniem.

– Odpowiedni dżentelmeni już gdzieś tam czekają – oświadczyła. – A my ich znajdziemy.

– Skąd ta pewność? – mruknęła Lillian z przekąsem.

Daisy uśmiechnęła się do niej psotnie.

– Mamy magię po swojej stronie.

ROZDZIAŁ 1

STONY CROSS PARK, HRABSTWO HAMPSHIRE

Bowmanowie przyjechali – oświadczyła od progu gabinetu lady Olivia Shaw.

Jej starszy brat siedział za biurkiem w otoczeniu stosów ksiąg rachunkowych. Późnopołudniowe słońce wlewało się do pokoju przez wysokie, prostokątne, witrażowe okna, które stanowiły jedyną ozdobę surowego wnętrza, wyłożonego panelami z różanego drewna.

Lord Marcus Westcliff podniósł wzrok znad ksiąg i gniewnie zmarszczył ciemne brwi, stanowiące oprawę oczu koloru czarnej kawy.

– Niechaj zapanuje chaos – wymamrotał.

Livia wybuchnęła śmiechem.

– Zakładam, że masz na myśli córki? Przecież nie są takie złe.

– Są gorsze – mruknął lakonicznie Marcus. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się, gdy zauważył, że zapomniane na chwilę pióro zostawiło atramentowe plamy na nieskazitelnych jeszcze przed momentem kolumnach cyfr. – Jak żyję, nie spotkałem dwóch gorzej wychowanych młodych kobiet. Mówię zwłaszcza o starszej.

– Cóż, to Amerykanki – zauważyła Livia. – Należy je traktować nieco pobłaźliwiej, nie sądzisz? Nie możemy wymagać, by znały każdy zawity szczegół naszej niekończącej się listy zasad obowiązujących w towarzystwie...

– Jestem gotów pobłaźliwiej spoglądać na szczegóły – przerwał jej Marcus zimno. – Jak wiesz, nie należę do osób, które zbeształyby pannę Bowman za kąś, pod jakim ugina mały palec, podnosząc filiżankę do ust. Nie mogę natomiast przymykać oczu na zachowania, które w każdym zakątku cywilizowanego świata zostałyby uznane za skandaliczne.

Zachowania? To ciekawe, pomyślała Livia, wchodząc w głąb gabinetu. Nie lubiła tego pomieszczenia, ponieważ przypominało jej o zmarłym ojcu.

Żadne wspomnienia o ósmym hrabim Westcliffie nie należały do szczęśliwych. Ich ojciec był pozbawionym uczuć okrutnikiem, który wysysał tlen z każdego pomieszczenia, do którego wchodził. Wszystko i wszyscy go rozczarowywali. Z trojga potomstwa tylko Marcus spełniał jego surowe standardy. Niezależnie od tego, jaką karę wymierzał mu hrabia, jak niemożliwe stawiał przed nim wymagania i jak niesprawiedliwie go osądzał, Marcus nigdy nie narzekał.

Livia i Aline podziwiała jego uparte dążenie do doskonałości, dzięki któremu zdobywał w szkole najwyższe oceny, bił wszelkie rekordy w wybranych przez siebie sportach i które kazało mu siebie oceniać surowiej niż innych. Marcus należał do mężczyzn, którzy umieją ujeżdżać konie, tańczyć kadryla, wygłosić wykład z teorii matematyki, opatrzyć ranę i naprawić złamane koło powozu. Jego osiągnięcia nigdy jednak nie zasłużyły na pochwałę ojca.

Z perspektywy czasu Livia rozumiała, że intencją starego hrabiego było wykorzeniec każdy przejaw łagodności i współczucia z jedyne go syna. Przez jakiś czas wszystkim się wydawało, że osiągnął sukces.

Pięć lat temu, po śmierci starego hrabiego, Marcus dowiedział jednak, że wyrósł na zupełnie innego człowieka, niż świadczyłoby jego wychowanie. Livia i Aline odkryły, że ich starszy brat zawsze znajdzie czas, aby ich wysłuchać, i niezależnie od tego, jak błahe wydawały się ich problemy, zawsze pospieszy im z pomocą. Był pełen empatii, uczuć i zrozumienia – prawdziwy cud, jeśli pomyśleć o tym, że przez większość jego życia nikt nie przejawiał wobec niego tych emocji.

Marcus okazał się też jednak nieco apodyktyczny. Właściwie bardzo apodyktyczny. Jeśli w grę wchodziły jego ukochane osoby, nie przejawiał żadnych skrupułów w manipulowaniu nimi tak, by robiły to, co jego zdaniem najlepsze. Nie była to szczególnie urocza cecha jego charakteru. Gdyby Livia chciała zastanowić się głębiej nad wadami brata, musiałaby też przyznać, że przejawia irytującą wręcz wiarę we własną nieomyślność.

Uśmiechając się czule do charyzmatycznego brata, zastanawiała się, jak to możliwe, że tak go kocha pomimo jego ogromnego podobieństwa do ich zmarłego ojca. Marcus miał te same surowe rysy, wysokie czoło i szerokie usta o wąskich wargach. Miał takie same gęste kruczoczarne włosy, wydatny szeroki nos i tak samo uparcie wystający podbródek. Kombinacja ta była raczej uderzająca niż ujmująca...lecz jego twarz z łatwością przyciągała kobiece spojrzenia. W przeciwieństwie do oczu ojca bystre ciemne oczy Marcusa błyszczały radością, a jego uśmiech lśnił kontrastującą bielą na tle ogorzalej twarzy.

Na widok Livii odchylił się na oparcie fotela, splótł palce i oparł je na swoim twardym brzuchu. Popołudnie było wyjątkowo ciepłe jak na wrzesień, dlatego też wcześniej zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając muskularne opalone przedramiona porośnięte czarnymi włosami. Miał średni wzrost i utrzymywał się w zdumiewającej formie, będąc zapalonym sportsmenem.

Pragnąc usłyszeć coś więcej o zachowaniu panny Bowman, Livia oparła się o krawędź biurka, zwracając się do brata twarzą.

– Zastanawiam się, cóż uczyniła, co tak cię obraziło? – rozmyślała na głos. – Powiedz mi, Marcusie. Jeśli nie, moja bujna wyobraźnia z pewnością podpowie mi coś o wiele bardziej skandalicznego niż czyny, do których jest zdolna biedna panna Bowman.

– Biedna panna Bowman? – prychnął Marcus. – Nie pytaj, Livio. Nie wolno mi o tym mówić.

Jak większość mężczyzn Marcus nie rozumiał chyba, że nic tak nie rozpala kobiecej ciekawości, jak temat, którego nie wolno poruszać.

– No dalej, Marcusie – zarządziła Livia. – Jeśli mi nie powiesz, narażę cię na niewypowiedziane cierpienia.

Jedna z jego brwi wygięła się sardonicznie.

– Jako że Bowmanówny już tu są, twoja groźba jest zbędna.

– W takim razie będę zgadywać. Przyłapałeś pannę Bowman z mężczyzną? Pozwoliła mu się pocałować... lub gorzej?

Marcus odpowiedział szyderczym uśmiechem.

– Ależ skąd. Jedno spojrzenie na nią i każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach uciekłby z krzykiem jak najdalej.

Żywiąc przekonanie, że brat nieco zbyt surowo traktuje Lillian Bowman, Livia zmarszczyła brwi.

– To bardzo ładna dziewczyna, Marcusie.

– Śliczna fasada to za mało, by przesłonić wady jej charakteru.

– Jakie wady?

Marcus znów cicho prychnął, jakby wady panny Bowman były zbyt oczywiste, by trzeba było je wymieniać.

– Manipuluje ludźmi.

– Ty również, mój drogi – wymamrotała Livia.

Zignorował te słowa.

– Jest apodyktyczna.

– Tak jak ty.

– Arogancka.

– Znowu ty.

Marcus zmierzył siostrę gniewnym spojrzeniem.

– Myślałem, że dyskutujemy o wadach panny Bowman, a nie moich.

– Wygląda na to, że macie wiele wspólnego – wyjaśniła Livia niewinnie. Brat położył pióro obok innych przyborów na biurku. – Wracając do jej niestosownego zachowania... Mówisz więc, że nie przyłapałeś jej w kompromitującej sytuacji?

– Nie, tego nie powiedziałem. Przyznałem tylko, że nie była z mężczyzną.

– Marcusie, nie mam na to czasu – oświadczyła Livia niecierpliwie. – Muszę zejść na dół powitać Bowmanów, ty zresztą również, lecz zanim opuścimy ten gabinet, żądam, byś mi powiedział, co takiego skandalicznego zrobiła!

– To zbyt niedorzeczne, aby o tym mówić.

– Jeździła konno okrakiem? Paliła cygaro? Pływała nago w sadzawce?

– Niezupełnie. – Marcus sięgnął po stereoskop stojący w kącie biurka; był to prezent urodzinowy przesłany przez Aline, która mieszkała obecnie w Nowym Jorku ze swoim mężem. Stereoskop stanowił zupełnie nowy wynalazek. Wykonany był z drewna klonowego i szkła. Gdy za soczewkę wsuwało się odpowiednią kartę, to znaczy dwa zdjęcia wykonane z dwóch różnych punktów widzenia, obraz nabierał pozorów trójwymiarowości. Głębia i szczegółowość fotografii były zdumiewające. Oglądający miał wrażenie, że gałązki drzewa drapią go po nosie, a górską przepaść otwiera się przed nim z realizmem budzącym obawę przed śmiercią w jej otchłani.

Marcus podniósł stereoskop do oczu i z przesadną koncentracją zaczął się przyglądać rzymskiemu Koloseum.

Livia już miała wybuchnąć, gdy brat wymamrotał:

– Widziałem, jak grała w palanta w bieliźnie.

Siostra utkwiała w nim pytające spojrzenie.

– W palanta? Chodzi ci o tę grę ze skórzaną piłką i spleśzczonym kijem?

Marcus niecierpliwie wykrzywił wargi.

– To się stało podczas jej poprzedniej wizyty tutaj. Panna Bowman i jej siostra hasały z przyjaciółkami w dolinie w północno-zachodniej części posiadłości, przez którą przez przypadek przejeżdżałem z Simonem Huntem. Wszystkie cztery były w bieliźnie... Wyjaśniły, że trudno im grać w ciężkich spódnicach. Moim zdaniem skorzystałyby z każdej wymówki, aby biegać półnago. Siostry Bowman to hedonistki.

Livia przycisnęła dłoń do ust, próbując stłumić śmiech. Niestety, bez powodzenia.

– Nie mogę uwierzyć, że mi o tym wcześniej nie powiedziałaś!

– Marzyłem, by o tym zapomnieć – odparł Marcus ponuro, odsuwając stereoskop od twarzy. – Bóg jeden wie, jak mam teraz spojrzeć w oczy Thomasowi Bowmanowi. Wciąż mam w głowie obraz jego rozebranej córki.

Livia z rozbawieniem przyglądała się śmiałym liniom profilu brata. Nie umknął jej uwagi fakt, iż Marcus powiedział: „córki”, a nie „córek” – co jej zdaniem świadczyło o tym, że tę młodszą ledwie zauważył. Wyraźnie koncentrował się na Lillian.

Znała go dobrze i na tej podstawie byłaby gotowa założyć, że taki incydent go rozbawi. Marcusa cechowało silne poczucie moralności, lecz nie był skromnisiem i miał poczucie humoru. Choć nie

utrzymywał stałej kochanki, Livia słyszała plotki o kilku jego dyskretnych romansach, a nawet głosy świadczące o tym, że na pozór purytański lord wykazywał w sypialni ducha przygody. Z jakiegoś powodu jednak jej brata głęboko niepokoiła ta czerwonokrwista bezczelna Amerykanka o obcesowych manierach. Przez chwilę zastanawiała się, czy ewidentna słabość rodziny Marsdenów do Amerykanów – bądź co bądź Aline jednego z nich poślubiła, a ona sama niedawno wyszła za Gideona Shawa z nowojorskich Shawów – udzieliła się również Marcusowi.

– Czy wyglądała nieprzyzwoicie zachwycająco w samej bieliźnie? – zapytała przebiegle.

– Tak – odparł Marcus bez namysłu, po czym wykrzywił wargi. – To znaczy nie. To znaczy... nie przyglądałem się jej na tyle długo, aby ocenić jej uroki. Jeśli w ogóle w jej przypadku można mówić o urokach.

Livia przygryzła dolną wargę, aby powstrzymać wybuch śmiechu.

– Ależ Marcusie, jesteś zdrowym trzydziestopięcioletnim mężczyzną i chcesz mi powiedzieć, że nawet nie zerknąłeś na pannę Bowman, która stała przed tobą w reformach?

– Ja nie zerkam, Livio. Albo się czemuś dobrze przyglądam, albo nie patrzę. Zerkanie pozostawiam dzieciom i dewiantom.

Siostra posłała mu głęboko współczujące spojrzenie.

– Cóż, potwornie mi przykro, że poddano cię tak bolesnej próbie. Pozostaje nam tylko żywić nadzieję, że panna Bowman w twojej obecności będzie się nosić przyzwoicie, aby więcej nie szokować twej wytwornej delikatności.

W odpowiedzi na drwinę Marcus zmarszczył brwi.

– Wątpię.

– Wątpisz w to, że będzie się nosić przyzwoicie czy że zdoła cię zaszokować?

– Wystarczy już, Livio – warknął.

– Chodź – zachichotała – musimy powitać Bowmanów.

– Nie mam na to czasu. Powitaj ich sama i jakoś wytłumacz moją nieobecność.

Livia utkwiała w bracie pełne zdumienia spojrzenie.

– Nie zamierzasz... Och, Marcusie, ależ musisz! Nigdy nie ignorowałeś zasad dobrego wychowania.

– Później im to wynagrodzę. Na miłość boską, zostaną tu niemal miesiąc. Będę miał mnóstwo okazji, by ich udobruchać. Rozmowa o dziewczynach Bowmanów popsukała mi nastrój i teraz na samą myśl o przebywaniu z nią w tym samym pomieszczeniu mam ochotę zgrzytać zębami.

Livia lekko pokręciła głową i spojrzała na brata w sposób, który mu się nie spodobał.

– Hm. Widziałam, jak traktujesz ludzi, których nie darzysz sympatią, i zawsze byłeś wobec nich uprzejmy... zwłaszcza gdy czegoś od nich chciałeś. Panna Bowman jednak z jakiegoś powodu zdaje się działać ci na nerwy. Mam co do tego pewną teorię.

– Czyżby? – Oczywiście Marcusa zapłonęły subtelnym wyzwaniem.

– Jeszcze nad nią pracuję. Powiadomię cię, gdy dojdę do ostatecznych wniosków.

– Boże, dopomóż. Idź już, Livio. Powitaj naszych gości.

– A ty zamierzasz ukryć się w gabinecie jak lis w swojej norze?

Marcus wstał i gestem nakazał siostrze iść przodem.

– Wyjdę przez kuchnię i udam się na długą konną przejażdżkę.

– Jak długo cię nie będzie?

– Wrócę na czas, by przebrać się do kolacji.

Livia westchnęła ciężko. Tego wieczoru podejmowali licznych gości. Było to preludium do oficjalnego pierwszego dnia ich przyjęcia, które w pełni miało się rozpocząć nazajutrz. Wiele zaproszonych osób już się zjawiało, czekano tylko na maruderów.

– Obyś się nie spóźnił – ostrzegła. – Zgodziłam się podjąć roli twojej gospodyni, lecz nie zamierzam przejąć wszystkich twoich obowiązków.

– Ja nigdy się nie spóźniam – odparł Marcus spokojnie, po czym oddalił się krokiem mężczyzny niespodziewanie ocalonego przed szubienicą.

ROZDZIAŁ 2

Marcus wyjechał z posiadłości, prowadząc konia wydeptanymi ścieżkami przez las rozciągający się za ogrodami. Gdy tylko przekroczył podmokłą dolinę i wspiął się po wzniesieniu na drugą stronę, przekazał dowodzenie zwierzęciu. Galopowali przez łąki porośnięte wiązówką błotną i spaloną przez słońce trawą. W skład Stony Cross Park wchodziły najżyźniejsze ziemie w Hampshire, gęste lasy, obsypane kwiatami podmokłe doliny i mokradła oraz rozległe złote pola. Posiadłość dawniej pełniła funkcję terenów łowieckich dla rodziny królewskiej, a teraz stanowiła jedno z najchętniej odwiedzanych miejsc w Anglii.

Strumień gości służył celom Marcusa – zapewniał mu towarzystwo podczas polowań i sportów, które uwielbiał, lecz dawał też pole do manewrów finansowych i politycznych. Podczas przyjęć w jego domu dokonywano przeróżnych transakcji, podczas których sam często przekonywał polityków i inwestorów, aby stanęli po jego stronie w ważnej dla niego kwestii.

To przyjęcie miało się niczym nie różnić od innych, lecz przez ostatnie dni Marcusa dręczyło poczucie niepokoju. Jako całkowicie racjonalny mężczyzna nie wierzył w przepowiednie ani w inne temu podobne duchowe brednie, które stawały się modne, lecz nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś się zmieniło w atmosferze Stony Cross Park. W powietrzu unosiło się pełne wyczekiwania napięcie, niczym rozedrgana cisza tuż przed burzą. Marcus odczuwał poruszenie i zniecierpliwienie, których nie osłabiał nawet najcięższy wysiłek fizyczny.

Rozmyślając o czekającym go wieczorze i perspektywie kręcenia się wokół Bowmanów, poczuł, jak jego niepokój pęcznieje w coś, co przypomina obawę. Teraz żałował, że ich zaprosił. W zasadzie z radością rzekłby się wszelkich potencjalnych korzyści płynących z interesów z Thomasem Bowmanem, byle tylko się ich pozbyć. Fakty były jednak takie, że już się zjawili i mieli zostać niemal miesiąc, równie dobrze mógł więc wykorzystać sytuację.

Zamierzał rozpocząć negocjacje z Thomasem Bowmanem na temat ekspansji jego firmy mydlarskiej i wybudowania fabryki w Liverpoolu lub w Bristolu. Brytyjski podatek na mydło w najbliższych latach miał zostać zniesiony, jeśli wierzyć liberalnym sojusznikom Marcusa w parlamencie. Gdyby to się wydarzyło, mydło stałoby się bardziej dostępne dla zwykłych ludzi i przysłużyłoby się zdrowiu publicznemu, a także stanowiłoby konta Marcusa – jeśli Bowman zgodziłby się uczynić z niego partnera.

Nie można było jednak zignorować faktu, że wizyta Thomasa Bowmana oznacza znośnię obecności jego córek. Lillian i Daisy stanowiły ucieleśnienie wątpliwej mody, która zapanowała wśród amerykańskich dziedziczek przyjeżdżających do Anglii, polegającej na podejmowaniu wszelkich wysiłków, by złapać męża. Arystokracja została narażona na towarzystwo ambitnych panien, które chełpiły się sobą z tymi swoim okropnym akcentem i bezustannie starały się zwracać na siebie uwagę prasy. Pozbawione wdzięku, głośnie i zadufane w siebie młode kobiety szukały sposobności, by kupić sobie tytuł za pieniądze rodziców. I często odnosiły sukces.

Marcus zawarł znajomość z siostrami Bowman podczas ich poprzedniej wizyty w Stony Cross Park i nie miał o nich najlepszego zdania. Starsza, Lillian, padła ofiarą jego szczególnej antypatii, gdy okazało się, że wraz ze swymi przyjaciółkami – paprotkami, tak na siebie mówiły (jakby to był powód do dumy!)

– uknuły spisek mający na celu zmusić arystokratę do oświadczeń. Marcus nigdy nie zapomni tej chwili, kiedy spisek został zdemaskowany. „Dobry Boże... Czy istnieją granice, do których się pani nie posunie?”, zapytał wtedy Lillian, a ona odpowiedziała butnie: „Jeśli tak, jeszcze ich nie odkryłam”.

Jej zdumiewająca bezczelność zdecydowanie wyróżniała ją na tle innych znanych Marcusowi kobiet. To oraz partia palanta, którą panie rozegrały w reformach, przekonały go, że Lillian Bowman to diabeł wcielony. A gdy już Marcus wyrobił sobie opinię na czyjs temat, rzadko zmieniał zdanie.

Marszcząc brwi, zastanawiał się, jak najlepiej poradzić sobie z Lillian. Uznał, że pozostanie chłodny i pełen rezerwy w obliczu jej prowokacji. Bez wątpienia dziewczyna się wścieknie, gdy zobaczy, jak nikły ma na niego wpływ. Gdy wyobraził sobie jej irytację z powodu bycia ignorowaną, ucisk w jego piersi zelżał. Tak, robi, co w jego mocy, aby jej unikać, a gdy okoliczności zmuszą ich do przebywania w tym samym pomieszczeniu, będzie ją traktował z chłodną uprzejmością. Rozluźnił się nieco i skierował konia ku serii przeszkód; jeździec i zwierzę przeskoczyli żywopłot, płot i wąski kamienny mur z idealną precyzją.

– Dziewczęta – pani Mercedes Bowman mierzyła córki surowym wzrokiem – nalegam, abyście ucięły sobie co najmniej dwugodzinną drzemkę dla zachowania świeżości na wieczór. Kolacje u lorda Westcliffa zazwyczaj rozpoczynają się późno i trwają do północy, a nie chcę, byście ziewały przy stole.

– Dobrze, matko – odparły dziewczęta posłusznie, wpatrując się w nią z niewinnymi minami, które ani na chwilę jej nie zwiódły.

Pani Bowman była szalenie ambitną kobietą, dysponującą nieprzebranymi pokładami nerwowej energii. Nawet charty wyglądały jak grubasy w porównaniu z jej chudym niczym wrzeciono ciałem. Jej roztrajkotany, surowy wigor koncentrował się na głównym celu jej życia: wydać obie córki jak najlepiej za mąż.

– Pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać tego pokoju – kontynuowała stanowczo. – Żadnego włóczenia się po posiadłości lorda Westcliffa, żadnych przygód, żadnych zadrapań ani innych wydarzeń. W zasadzie zamierzam zamknąć drzwi na klucz, by mieć pewność, że zostanieie tu i odpoczniecie.

– Mamo, jeśli w całym cywilizowanym świecie jest nudniejsze miejsce niż Stony Cross, zjem własne buty – zaprotestowała Lillian. – W jakie kłopoty mogłybyśmy się tu wpakować?

– Wy tworzycie kłopoty z powietrza – odparła Mercedes, mrużąc oczy. – I właśnie dlatego zamierzam was bardzo dokładnie obserwować. Po naszej poprzedniej wizycie tutaj i tak jestem zdumiona, że otrzymaliśmy kolejne zaproszenie.

– Ja nie – mruknęła Lillian sucho. – Wszyscy wiedzą, że jesteśmy tu, ponieważ Westcliff ma na oku kompanię papy.

– Lord Westcliff – poprawiła ją Mercedes z sykiem. – Lillian, musisz zwracać się do niego z szacunkiem! To najzamożniejszy arystokrata w Anglii z rodowodem...

– Szacowniejszym niż królowa – wtrąciła Daisy melodyjnym głosem. Nieraz już słyszała tę przemowę. – I najstarszym tytułem w Anglii, co czyni go...

– Najlepszą partią w całej Europie – dokończyła Lillian sucho, unosząc brwi w wyrazie drwiącej powagi. – A może nawet na całym świecie. Mamo, jeśli naprawdę żywisz nadzieję, że Westcliff poślubi którąś z nas, chyba postradałaś rozum.

– Nie postradała rozumu – podpowiedziała Daisy. – Po prostu jest z Nowego Jorku.

W Nowym Jorku coraz więcej było ludzi pokroju Bowmanów – nowobogackich, którzy nie potrafili wmieszać się ani w tłum konserwatywnych potomków pierwszych osadników, ani w najmodniejsze kręgi. Te parweniuszowskie rodziny dorobiły się fortun w przemyśle, lecz nie potrafiły zasłużyć na akceptację kręgów, do których tak rozpaczliwie aspirowały. Samotność i wstyd płynący z bycia pogardzaną przez

nowojorskie towarzystwo napędały ambicje Mercedes jak nic innego.

– Sprawimy, że lord Westcliff zapomni o waszym odrażającym zachowaniu podczas naszej poprzedniej wizyty – powiedziała Mercedes ponuro. – Będziecie skromne, ciche i pokorne przez cały ten czas. I koniec z tymi paprotkowymi bzdurami. Chcę, abyście trzymały się z daleka od tej skandalistki Annabelle Peyton, a także tej drugiej, tej...

– Evie Jenner – podpowiedziała Daisy. – A Annabelle jest teraz panią Hunt, mamó.

– Annabelle poślubiła najlepszego przyjaciela Westcliffa – zauważyła obojętnie Lillian. – Moim zdaniem, mamó, to doskonały powód, aby nie zrywać z nią przyjaźni.

– Wezmę to pod rozwagę. – Mercedes zmierzyła córki podejrzliwym spojrzeniem. – A tymczasem żądam, byście ucięły sobie długą spokojną drzemkę. Nie chcę słyszeć ani słowa od żadnej z was, rozumiemy się?

– Tak, mamó – odparły chórem.

Drzwi zamknęły się, a w zamku stanowczym ruchem przekręcono klucz.

Siostry spojrzały na siebie z uśmiechem.

– Dobrze, że nigdy nie dowiedziała się o tej rundzie palanta – powiedziała Lillian.

– Już byłybyśmy martwe – zgodziła się Daisy z powagą.

Lillian wyjęła szpilkę do włosów z małego emaliowanego pudełka stojącego na toalecie i podeszła do drzwi.

– Szkoda, że tak się denerwuje takimi drobiazgami, nieprawdaż?

– Jak wtedy, gdy przemyciliśmy ubłoconego prosiaka do salonu pani Astor.

Uśmiechając się na to wspomnienie, Lillian uklękła przed drzwiami i wsunęła szpilkę do zamka.

– Wiesz, zawsze mnie zdumiewało to, że matka nie doceniła faktu, iż zrobiliśmy to dla niej. Coś należało uczynić po tym, jak pani Astor nie zaprosiła jej na swoje przyjęcie.

– Myślę, że matce chodziło raczej o to, iż zaganianie żywego inwentarza do czyjegoś domu nie wróży dobrze naszej przyszłości w roli gości w tymże domu.

– Cóż, nie sądzę, by było to choćby w połowie tak złe, jak ten dzień, kiedy odpaliłyśmy rzymską świecę w sklepie na Piątej Alei.

– Musiałyśmy to zrobić po tym, jak niegrzecznie potraktował nas tamten subiekt.

Lillian wysunęła szpilkę, fachowo zagięła czubek palcami i włożyła ją ponownie do zamka. Mrużąc oczy, z wysiłkiem manewrowała szpilką, aż w końcu zapadka ustąpiła. Spojrzała na siostrę z triumfalnym uśmiechem.

– To chyba mój rekord.

Siostra nie odwzajemniła uśmiechu.

– Lillian, jeśli faktycznie w tym sezonie znajdziesz męża... wszystko się zmieni. Ty się zmienisz. Nie będzie już przygód ani dobrej zabawy, a ja zostanę sama.

– Nie wygłupiaj się. – Lillian zmarszczyła brwi. – Wcale się nie zmienię, a ty nie zostaniesz sama.

– Będziesz musiała podporządkować się mężowi – wytknęła jej Daisy. – A on nie pozwoli ci angażować się w szelmstwa ze mną.

– Nie, nie, nie... – Lillian wstała i niedbale machnęła dłonią. – Nie będę miała takiego męża. Poślubię człowieka, który nie będzie zwracał uwagi lub też nie będzie dbał o to, co robię, gdy nie jestem z nim. Poślubię mężczyznę pokroju naszego ojca.

– Mężczyzna pokroju ojca chyba nie uszczęśliwił kobiety pokroju matki – zauważyła Daisy. – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się kochali.

Lillian oparła się o drzwi, dumając nad odpowiedzią. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by zastanawiać się, czy jej rodzice pobrali się z miłości. Z jakiegoś powodu tak nie uważała. Oboje

wydawali się jej całkowicie samowystarczalni. Ich partnerstwo stanowiło w najlepszym razie mniej istotną więź. Według wiedzy Lillian rzadko się kłócili, nigdy się nie dotykali i sporadycznie ze sobą rozmawiali. A jednak nie było pomiędzy nimi rzucającego się w oczy zgorzknienia. Byli wobec siebie raczej obojętni, nie przejawiali żadnego pragnienia ani nawet predyspozycji do szczęścia.

– Miłość występuje tylko w powieściach, moja droga – oświadczyła Lillian z wystudiowanym cynizmem. Uchyliła drzwi, wyjrzała na korytarz, a potem zerknęła na siostrę. – Czysto. Wymknijmy się przez wyjście dla służby?

– Tak. A potem pójdziemy na zachód posiadłości i do lasu.

– Dlaczego do lasu?

– Zapomniałaś już, o co poprosiła mnie Annabelle?

Lillian przez chwilę wpatrywała się w siostrę bez zrozumienia, po czym przewróciła oczami.

– Dobry Boże, Daisy, nie masz nic lepszego do roboty niż wypełnianie takich niedorzecznych próśb?

Młodsza siostra posłała jej przenikliwe spojrzenie.

– Nie chcesz tego robić, ponieważ to dla dobra lorda Westcliffa.

– To się nikomu nie przysłuży – wyjaśniła Lillian z irytacją. – Cała ta sprawa to bzdura.

Daisy skierowała na siostrę stanowczy wzrok.

– Zamierzam odnaleźć studnię życzeń – oświadczyła z godnością – i zrobić to, o co poprosiła mnie Annabelle. Możesz mi towarzyszyć, jeśli sobie życzysz, lecz możesz też zrobić coś sama. Jednakże – jej migdałowe oczy zwięzły się groźnie – po tych długich godzinach, gdy kazałaś mi czekać, a sama włóczyłaś się po zakurzonych starych perfumeriach i aptekach, należy mi się chyba z twojej strony odrobina wyrozumiałości...

– Dobrze już – wymamrotała Lillian – pójdę z tobą. Sama nigdy nie znajdziesz studni, a jeszcze zgubisz się w tym lesie. – Znów wyjrzała na korytarz i upewniwszy się, że jest pusty, poprowadziła je ku wejściu dla służby na jego końcu. Skradały się na palcach z wprawą, a ich stopy bezszelestnie przesuwwały się po grubym dywanie.

Lillian darzyła antypatią właściciela Stony Cross Park, lecz musiała przyznać, że sama posiadłość jest wspaniała. Dom zaprojektowano w stylu europejskim, na kształt eleganckiej fortecy o ścianach z miodowego kamienia z umieszczonymi w czterech rogach malowniczymi basztami, które pięły się ku niebu. Na skarpie nad rzeką Itchen rozpościerały się tarasowe ogrody i sady, zajmując ponad osiemdziesiąt hektarów parków i dzikich lasów. Posiadłością zarządzało obecnie piętnaste pokolenie rodziny Westcliffów – Marsdenów – czym chlubiła się służba. Nie był to zresztą cały majątek Westcliffa. Dysponował on również podobnym areałem w Anglii oraz Szkocji, miał też dwa zamki, trzy pałace, szeregowiec, pięć domów i willę nad Tamizą. Stony Cross Park był jednak bez wątpienia klejnotem w rodzinnej koronie Marsdenów.

Idąc brzegiem posiadłości, siostry nie oddalały się od wysokiego cisowego żywopłotu, który zasłaniał je od strony domu. Słońce sączyło się przez korony splecionych gałęzi nad ich głowami, gdy weszły do lasu porośniętego starymi cedrami i dębami.

Daisy żywiłowo wyrzuciła ręce w górę i zawołała:

– Och, uwielbiam to miejsce!

– Jest znośne – mruknęła Lillian niechętnie, choć w głębi ducha musiała przyznać, że w barwach wczesnej jesieni nie ma piękniejszego miejsca w Anglii niż to.

Daisy wskoczyła na powalony pień drzewa na skraju ścieżki i zaczęła ostrożnie po nim stąpać.

– Warto byłoby nawet wyjść za lorda Westcliffa, by zostać panią Stony Cross Park, nie uważasz?

Lillian uniosła brwi.

– I przez całe życie wysłuchiwać jego pompatycznych przemówień i wszystkich rozkazów? – Z odrazą

zmarszczyła nos.

– Annabelle mówi, że lord Westcliff okazał się o wiele miłszy, niż na początku myślała.

– Musi tak mówić po tym, co wydarzyło się parę tygodni temu.

Obie umilkły, wspominając dramatyczne wydarzenia z niedalekiej przeszłości. Gdy Annabelle i jej mąż Simon Hunt zwiedzali fabrykę lokomotyw należącą do Hunta i lorda Westcliffa, doszło do potwornej eksplozji, w wyniku której niemal stracili życie. Lord Westcliff wkroczył do budynku, również ryzykując śmierć, i ocalił ich oboje. To zrozumiałe, że Annabelle postrzegала go teraz jako bohatera – niedawno wyznała nawet, że jej zdaniem jego arogancja jest czarująca. Lillian odparła wtedy ponuro, że Annabelle musiała nawdychać się czadu podczas wypadku i wciąż odczuwa tego skutki.

– Myślę, że powinniśmy być wdzięczne lordowi Westcliffowi – kontynuowała Daisy, zeskakując z pnia. – Bądź co bądź uratował Annabelle życie, a nie mamy zbyt wielu takich przyjaciółek.

– Ocalenie Annabelle to był przypadek – oświadczyła Lillian pochmurnie. – Westcliff zaryzykował życie, tylko dlatego że nie chciał stracić dochodowego partnera w interesach.

– Lillian! – Daisy spojrzała na siostrę z zaskoczeniem. – Taka uszczypliwość nie leży w twojej naturze. Na miłość boską, hrabia wszedł do płonącego budynku, by uratować naszą przyjaciółkę i jej męża... Co jeszcze musi zrobić mężczyzna, by ci zaimponować?

– Jestem przekonana, że Westcliffowi nie zależy na tym, by mi imponować – odparła Lillian. Skrzywiła się, słysząc ponurą nutę w swoim głosie, lecz kontynuowała: – Powód, dla którego tak go nie lubię, Daisy, jest taki, że on tak wyraźnie nie lubi mnie. Uważa się za lepszego ode mnie pod każdym możliwym względem: moralnym, społecznym i intelektualnym... Och, jakżebym chciała w końcu utrzyć mu nosa!

Przez chwilę szły w milczeniu, aż Daisy zatrzymała się, by zerwać fiołki rosnące w gęstych kępach na skraju ścieżki.

– Rozważałaś może bycie miłą dla lorda Westcliffa? – wymamrotała. Podniosła ręce, aby upiąć wianek z fiołków we włosach, po czym dodała: – Mógłby cię zaskoczyć i odpowiedzieć tym samym.

Lillian ponuro pokręciła głową.

– Nie, on zapewne powiedziałby coś złośliwego, a potem zrobiłby tę pyszałkowatą minę, świadczącą o tym, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

– Myślę, że jesteś zbyt... – zaczęła Daisy, lecz nagle urwała z zaaferowaną miną. – Słyszę chłupot! Studnia życzeń musi być blisko!

– Och, cudownie – mruknęła Lillian. Uśmiechnęła się niechętnie, idąc za młodszą siostrą, która pobiegła wzdłuż podmokłej łąki graniczącej z doliną.

Błotnistą ziemię porastały gęsto błękitne i fioletowe astry, turzyca o szcztokowatych kwiatach i szeleszczące kolce nawłoci. Blisko drogi pyszniły się dziurawce w kępach żółtych pączków, przypominających krople słonecznego blasku. Rozkoszując się balsamicznym powietrzem, Lillian zwolniła kroku i odetchnęła głęboko. Gdy dotarła do wzburzonej studni życzeń, czyli zasilanej przez strumień dziury w ziemi, powietrze stało się łagodniejsze i wilgotne.

Na początku lata, gdy paprotki odwiedziły studnię życzeń, każda z nich wrzuciła w jej spienione głębiny szpilkę do włosów w zgodzie z miejscową tradycją. A Daisy wypowiedziała w intencji Annabelle tajemnicze życzenie, które później się spełniło.

– Proszę bardzo – powiedziała Daisy, wyciągając z kieszeni cienki jak igła odłamek metalu. Była to drzazga, którą Annabelle wydobyła z ramienia Westcliffa tuż po wybuchu, gdy kawałki żelaza fruwały w powietrzu niczym granaty. Nawet Lillian, która nie darzyła Westcliffa szczególną sympatią, skrzywiła się na widok paskudnie wyglądającego odprysku. – Annabelle powiedziała, że mam wrzucić to do studni i wypowiedzieć w intencji lorda Westcliffa takie samo życzenie, jakie wypowiedziałam dla niej.

– Czego jej życzyłaś? – zapytała Lillian. – Nigdy mi nie powiedziałaś.

Daisy spojrzała na siostrę z zagadkowym uśmiechem.

– Czyż to nie oczywiste, moja droga? Życzyłam jej, by poślubiła kogoś, kto ją prawdziwie pokocha.

– Och... – Na myśl o strzępkach informacji, jakie posiadała na temat małżeństwa Annabelle i ewidentnego wzajemnego oddania tej pary, Lillian musiała przyznać, że życzenie się spełniło. Posłała Daisy czule rozdrażnione spojrzenie, po czym cofnęła się o krok, by obserwować poczynania siostry.

– Lillian, musisz stanąć obok mnie – zaprotestowała Daisy. – Duch studni chętniej spełni życzenie, jeśli obie się na nim skoncentrujemy.

Z gardła Lillian wyrwał się niski śmiech.

– Przecież nie wierzysz w ducha studni, prawda? Dobry Boże, jak to możliwe, że jesteś taka przesądna?

– I to mówi osoba, która całkiem niedawno zakupiła flakonik magicznych perfum...

– Nigdy nie mówiłam, że to magia. Po prostu spodobał mi się zapach!

– Lillian, co złego w tym, że dopuszczam taką możliwość? – zakpiła Daisy. – Nie chcę wierzyć, że przejdziemy przez życie bez choćby odrobiny magii. A teraz podejdź tutaj i wypowiedz ze mną życzenie dla lorda Westcliffa. Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić za to, że ocalił naszą drogą Annabelle.

– Och, dobrze już. Stanę obok ciebie... Ale tylko po to, żebyś nie wpadła do środka. – Lillian podeszła do siostry, objęła jej szczupłe ramiona i utkwiała wzrok w błotnistej, szemrzącej wodzie.

Daisy zacisnęła powieki i otoczyła palcami metalowy odłamek.

– Życzę mu tego z całego serca – wyszeptowała. – A ty?

– Ja też – wymamrotała Lillian, chociaż wcale nie życzyła lordowi Westcliffowi, by znalazł prawdziwą miłość. Koncentrowała się raczej na nadziei, że spotka kobietę, która w końcu powali go na kolana. Na samą myśl uśmiechnęła się z satysfakcją. Wciąż się uśmiechała, gdy Daisy cisnęła ostry skrawek metalu do studni, gdzie zatonął w niezmiernych głębinach.

Daisy otrzepała dłonie i odwróciła się z miną wyrażającą szczerą satysfakcję.

– Gotowe. Nie mogę się doczekać, by sprawdzić, z kim zwiąże się Westcliff.

– Współczuję tej biedaczce – odparła Lillian – kimkolwiek jest.

Daisy skinęła głową na zarys posiadłości.

– Wracamy?

Ich rozmowa szybko zamieniła się w sesję planowania strategicznego, omawiały bowiem pomysł Annabelle, który padł podczas ich ostatniego spotkania. Siostry Bowman rozpaczliwie potrzebowały patronki, która zaprezentowałaby je wyższym warstwom brytyjskiego społeczeństwa – i to nie byle jakiej patronki. Musiał to być ktoś potężny i wpływowy, a także powszechnie znany. Ktoś, kogo poparcie zaakceptowałaby reszta arystokracji. Według Annabelle, nie istniał nikt lepiej nadający się do tej roli niż hrabina Westcliff, matka hrabiego.

Hrabinę, która była wielką amatorką podróży na kontynent, rzadko widywano na salonach. Nawet w Stony Cross Manor sporadycznie udzielała się towarzysko, potępiając syna, który miał w zwyczaju zapraszać do swego domu ludzi pracujących i innych niearystokratów. Siostry Bowman nigdy nie poznały hrabiny, lecz wiele o niej słyszały. Jeśli plotki były prawdziwe, hrabina zachowywała się jak zrzędliva stara smoczyca i nienawidziła cudzoziemców. Zwłaszcza Amerykanów.

– Nie mieści mi się w głowie, dlaczego Annabelle uważa, że istnieje jakakolwiek szansa, by hrabina zgodziła się nam patronować – wyznała Daisy, kopiąc po ścieżce mały kamyk. – Nigdy nie robi tego z własnej woli, to pewne.

– Zrobi, jeśli Westcliff jej każe – odparła Lillian. Podniosła duży patyk i zaczęła nim wymachiwać. – Podobno Westcliff potrafi nakłonić ją do wszystkiego. Annabelle powiedziała mi, że hrabina nie aprobowала małżeństwa lady Olivii z panem Shawem i nie zamierzała nawet przyjść na ślub. Westcliff wiedział jednak, jak straszliwie zrani to uczucia jego siostry, zmusił więc matkę, by została – co więcej,

nakazał jej robić dobrą minę do złej gry.

– Doprawdy? – Daisy zerknęła na Lillian z uśmiechem. – Ciekawe, jak to zrobił?

– Jest panem tego domu. W Ameryce to kobieta rządzi gospodarstwem domowym, a w Anglii wszystko kręci się wokół mężczyzny.

– Hm... Nie bardzo mi się to podoba.

– Tak, wiem. – Lillian umilkła na chwilę, po czym dodała ponuro: – Według Annabelle angielski mąż akceptuje jadłospisy, ustawienie mebli, kolor zasłon w oknach... wszystko.

Mina Daisy wyrażała zaskoczenie graniczące z oburzeniem.

– Czy pan Hunt kłopotczy się takimi rzeczami?

– Cóż, nie... ale on nie jest arystokratą. To przedsiębiorca. A przedsiębiorcy nie mają zazwyczaj czasu na takie bzdury. Przeciętny szlachcic ma jednak mnóstwo czasu, który może poświęcać na dogłębne oglądanie każdego szczegółu w swoim domu.

Daisy porzuciła swój kamyk i znów spojrzała na siostrę, marszcząc brwi.

– Zastanawiałam się... Dlaczego tak bardzo chcemy poślubić arystokratów i zamieszkać w ogromnym rozpadającym się domiszczu, jeść okropne angielskie jedzenie i wydawać rozkazy służbie, która nawet nie będzie nas szanowała?

– Ponieważ tego właśnie chce nasza matka – odparła Lillian kpiąco. – I ponieważ w Nowym Jorku nikt nas nie zechce. – Tak niefortunnie się złożyło, że w najwyższych warstwach nowojorskiego społeczeństwa mężczyźni, którzy dorobili się fortuny, z łatwością mogli korzystnie się ożenić. Dziedziczki wywodzące się z pospólstwa nie stanowiły natomiast łakomego kąska dla błękitnokrwistych ani też dla nuworyszki, którzy pragnęli społecznego awansu. Stąd polowanie na męża w Europie, w której arystokraci potrzebowali bogatych żon, stało się jedynym rozwiązaniem.

Zmarszczka na twarzy Daisy zamieniła się w ironiczny uśmiech.

– A jeśli tu również nikt nas nie zechce?

– Wtedy zostaniemy parą zwariowanych starych panien i zaczniemy włóczyć się po kontynencie.

Daisy wybuchnęła śmiechem, odrzucając długi warkocz na plecy. Młode damy nie powinny chodzić bez kapelusza ani z nieupiętymi włosami – uważano to za niestosowne. Obie siostry Bowman natura obdarzyła jednak bogactwem ciężkich ciemnych loków, których nie sposób było upiąć w misterne koafiury, będące obecnie w modzie. Każda z nich zużywała na to co najmniej trzy komplety szpilek, a wrażliwa skóra głowy Lillian dosłownie bolała po sesji szarpania i wykręcania, niezbędnej do tego, by jej włosy jakoś się prezentowały podczas formalnego wieczoru. Niejeden raz patrzyła z zazdrością na Annabelle Hunt, której lekkie, jedwabiste pukle zawsze zachowywały się, jak należy. Rankiem Lillian związała włosy u nasady karku i pozwoliła im spływać na plecy w stylu, który okazałby się niedopuszczalny w szerszym gronie.

– Jak przekonamy Westcliffa, by nakłonił matkę do zostania naszą patronką? – zapytała Daisy. – Wydaje się mało prawdopodobne, by zgodził się na coś takiego.

Lillian odchyliła się i cisnęła patyk głęboko w las, po czym otrzepała dłonie z resztek kory.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Annabelle próbowała nakłonić pana Hunta, by zapytał go w naszym imieniu, lecz on odmawia, utrzymując, że byłoby to nadużycie ich przyjaźni.

– Gdybyśmy tylko znalazły jakieś narzędzie nacisku na Westcliffa – rozmyślała na głos Daisy. – Jakiś podstęp lub powód do szantażu.

– Szantażować możesz tylko kogoś, kto zrobił coś wstydliwego i pragnie to ukryć. Wątpię, by ponury, nudny, stary Westcliff zrobił w swoim życiu coś, co jest warte szantażu.

Daisy zachichotała.

– On nie jest ani ponury, ani nudny, ani nawet taki stary!

– Matka mówi, że ma co najmniej trzydzieści pięć lat. Moim zdaniem to starość, a twoim?

– Założę się, że większość dwudziestoletnich mężczyzn nie jest taka sprawna jak on.

Jak zawsze, gdy konwersacja schodziła na temat Westcliffa, Lillian poczuła się sprowokowana, prawie jak w okresie dzieciństwa, gdy bracia przerzucali ulubioną lalkę nad jej głowę, podczas gdy ona krzykiem upominała się o jej zwrot. Nie miała pojęcia, dlaczego każda wzmianka na temat hrabiego ma na nią taki wpływ. Uwagę Daisy zbyła poirytowanym wzruszeniem ramion.

Gdy podeszły bliżej domu, usłyszały w oddali wesołe okrzyki i młodzieńcze wiwaty, które brzmiały jak odgłosy bawiących się dzieci.

– Co się dzieje? – zapytała Lillian, zerkając w kierunku stajni.

– Nie wiem, ale wygląda na to, że ktoś świetnie się bawi. Chodźmy zobaczyć.

– Nie mamy dużo czasu. Jeśli matka zauważy, że nas nie ma...

– Pospieszmy się. Och, proszę cię, Lillian!

Podczas gdy się wahały, od strony stajni znów dobiegły je pohukiwania i salwy śmiechu. Stanowiły taki kontrast ze spokojną scenerią wokół nich, że w końcu w Lillian zwyciężyła ciekawość. Uśmiechnęła się zuchwale do Daisy.

– Ścigamy się – powiedziała, po czym skoczyła przed siebie.

Daisy uniosła spódnicę i pobiegła za nią. Choć miała o wiele krótsze nogi niż siostra, była lekka i zwinna jak elf, dlatego też niemal się z nią zrównała, gdy wpadły na podwórze stajni. Sapiąc nieco z wysiłku, którym okazał się bieg po wzniesieniu, Lillian skręciła ku ogrodzonemu padokowi. Zauważyła grupę pięciu chłopców w różnym wieku – od dwunastu do szesnastu lat, którzy grali na małym boisku tuż za płotem. Ich odzienie wskazywało na to, że są to stajenni. Buty zostawili obok padoku i biegali boso.

– Widzisz? – zapytała Daisy z przejęciem.

Lillian objęła wzrokiem grupę. W rękach jednego z chłopców zauważyła długi wierzbowy kij. Zachwycona, wybuchnęła śmiechem.

– Grają w palanta!

Choć gra opierająca się na kiju, piłce i czterech bazach ustawionych na kształt diamentu cieszyła się popularnością zarówno w Ameryce, jak i w Anglii, w Nowym Jorku zyskała status niemal kultowej. Grali w nią chłopcy i dziewczęta ze wszystkich warstw społecznych, a Lillian do dziś z tęsknotą wspominała pikniki kończące się popołudniową rundą palanta. Wypełniła ją ciepła nostalgia, gdy obserwowała stajennych na bazach. Było widać, że pole często wykorzystywano w tym celu – słupki wbite głęboko, a ścieżki pomiędzy nimi wydeptano tak, że spod trawy wystawała ubita ziemia. W jednym z graczy Lillian rozpoznała młodzieńca, który pożyczył jej kij do feralnej gry, którą paprotki zorganizowały dwa miesiące temu.

– Myślisz, że pozwolą nam zagrać? – zapytała Daisy z nadzieją. – Tylko przez parę minut.

– Nie widzę powodów, by mieli odmówić. Ten rudy chłopak... To on pożyczył nam kij. Chyba ma na imię Arthur...

W tej samej chwili na pałkarza narzucono niską szybką piłkę, która fachowo wyleciała w powietrze krótkim łukiem. Płaska strona kija zderzyła się solidnie ze skórzanym pociskiem, który poszybował ku nim, odbijając się po ziemi. Lillian podbiegła, złapała piłkę i profesjonalnie podała ją chłopcu stojącemu na pierwszej bazie. Złapał ją odruchowo, wpatrując się ze zdumieniem w Lillian. Inni chłopcy też zauważyli dwie młode kobiety obok padoku i znieruchomieli.

Lillian podeszła bliżej ze wzrokiem utkwionym w rudym zawodniku.

– Arthur? Pamiętasz mnie? Byłam tu w czerwcu... Pożyczyłeś nam kij.

Chłopiec nagle się rozchmurzył.

– Ach, tak, panna... Panna...

– Bowman. – Lillian wskazała swobodnym gestem Daisy. – To moja siostra. Zastanawialiśmy się właśnie... czy pozwolicie nam zagrać. Tylko przez chwilę. – Zapadła głucha cisza. Lillian domyśliła się, że pożyczanie jej kija było akceptowalne, lecz pozwolenie, by grała z innymi stajennymi, to całkiem inna rzecz. – Nie jesteśmy takie złe – zapewniła. – Obie często grywałyśmy w Nowym Jorku. Jeśli martwicie się, że spowolnimy grę...

– Och, to nie to, panno Bowman – zaprotestował Arthur. Jego twarz była już prawie tak czerwona, jak jego włosy. Zerknął niepewnie na swoich towarzyszy, po czym wrócił wzrokiem do niej. – Po prostu... Damy pani pokroju... Nie możecie... Jesteśmy tu na służbie, panienko.

– Ale teraz macie czas wolny, tak?

Chłopiec z wahaniem pokiwał głową.

– Cóż, my też – oświadczyła Lillian. – A to tylko niewinna gra w palanta. Och, pozwólcie nam zagrać... Nikomu nie powiemy!

– Zaproponuj, że pokażesz im szerszenia – odpowiedziała Daisy cicho. – Albo plujkę.

Wpatrując się w nieruchome twarze chłopców, Lillian poszła za radą siostry.

– Umieć rzucać – pochwaliła się, znacząco unosząc brwi. – Szybkie piłki, podkreścone, szerszenie... Nie chcecie zobaczyć, jak rzucają Amerykanie?

To ich zaintrygowało. Arthur jednak zaprotestował nieśmiało:

– Panno Bowman, jeśli ktoś zobaczy, jak gracie w palanta na podwórzu stajni, wina spadnie na nas, a wtedy...

– Nie spadnie – przerwała mu Lillian. – Obiecuję, że jeśli ktoś nas przyłapie, weźmiemy na siebie pełną odpowiedzialność. Powiem, że nie pozostawiłyśmy wam wyboru.

Choć cała grupa była nastawiona sceptycznie, Lillian i Daisy namawiały i prosiły tak długo, aż w końcu chłopcy zgodzili się dopuścić je do gry. Lillian wzięła do ręki wytartą skórzaną piłkę, rozluźniła ramiona, strzeliła knykciami i przyjęła pozycję miotacza – twarzą w twarz z pałkarzem, który stał na bazie oznaczonej jako domowa. Przeniosła ciężar ciała na lewą stopę, zamachnęła się i wyrzuciła piłkę szybko i kompetentnie. Piłka z głośnym plaśnięciem wylądowała w dłoni łapacza, zanim pałkarz się zamachnął – całkowicie ją przegapił. Wysiłki Lillian zostały nagrodzone kilkoma gwizdami podziwu.

– Nieźle jak na dziewczynę! – skomentował Arthur, wywołując u niej uśmiech. – A teraz, panienko, jeśli panienka pozwoli, co to jest ten szerszeń, o którym mówiliście?

Lillian złapała piłkę, którą jej podano, znów odwróciła się do pałkarza, lecz tym razem chwyciła piłkę tylko kciukiem i pierwszymi dwoma palcami. Odchyliła się, podniosła rękę, po czym rzuciła, wykręcając nadgarstek i podkręcając piłkę, która ostro zmieniła kierunek lotu tuż przed bazą domową. Pałkarz znów chybił, lecz nawet on krzyknął z podziwu na widok szerszenia. Przy następnym narzucie w końcu odbił piłkę, posyłając ją na zachodnią część boiska. Daisy pobiegła za nią z radością. Cisnęła piłkę w kierunku gracza na trzeciej bazie, który wybił się w powietrze i złapał ją.

Po upływie paru minut radość z szybkiego tempa gry sprawiła, że gracze zapomnieli o skrępowaniu, całkowicie poddając się duchowi rozgrywki. Gdy Lillian śmiała się i krzyczała równie głośno, jak chłopcy stajenni, wróciły do niej wspomnienia beztroskiej wolności lat dzieciństwa. Odczuwała nieopisaną ulgę, mogąc choćby na chwilę zapomnieć o nieskończonej liście zasad i przytłaczającej stosowności, która przygniatała je, odkąd postawiły stopę na angielskiej ziemi. Dzień był wspaniały, słońce świeciło jasno, lecz o wiele łagodniej niż w Nowym Jorku, a lekkie, świeże powietrze wypełniało jej płuca.

– Panienki kolej przy kiju – powiedział Arthur, unosząc dłoń, by rzuciła mu piłkę. – Zobaczymy, czy wybija panienka tak, jak rzuca!

– Nie – poinformowała go niezwłocznie Daisy.

Lillian wykonała wobec siostry gest, na widok którego chłopcy ryknęli śmiechem w skandalizującym zachwycie.

Niestety, była to prawda. Lillian była doskonałym miotaczem, lecz nigdy nie opanowała sztuki odbijania piłki, co Daisy, doskonała pałkarka, często z radością jej wypominała. Lillian podniosła kij, chwyciła go jak młotek lewą ręką i odsunęła nieco wskazujący palec prawej. Uniosła kij ponad ramię i przygotowała się do narzutu, mrużąc oczy. Zamachnęła się z całej siły, lecz ku jej frustracji piłka odbiła się od czubka kija i poszybowała wysoko nad głową łapacza.

Zanim chłopiec rzucił się za nią do biegu, piłka wróciła do miotacza, podana przez niewidocznego pomocnika. Lillian z niepokojem zauważyła, że twarz Arthura gwałtownie zbladła, jaskrawo kontrastując z ognistymi puklami jego włosów. Zastanawiając się, co mogło wywołać taki wyraz na jego twarzy, odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Łapacz przestał oddychać, gdy dostrzegł gościa.

Na płocie otaczającym padok opierał się lord Marcus Westcliff.

ROZDZIAŁ 3

Przeklinając cicho, Lillian posłała Westcliffowi ponure spojrzenie. Odpowiedział jej sardonycznym uniesieniem brwi. Miał na sobie tweedowy surdut jeździecki oraz koszulę, rozpiętą przy kołnierzyku, która odsłaniała silną, brązową od słońca linię jego szyi. Podczas ich poprzednich spotkań zawsze był nienagannie ubrany i uczesany. W tej chwili natomiast jego gęste czarne włosy były zmierzwione przez wiatr, a twarz stanowczo domagała się golenia. O dziwo, jego widok wzbudził w Lillian przyjemny dreszcz i wywołał osobliwą słabość w kolanach.

Nie lubiła go, lecz musiała przyznać, że jest wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Jego twarz była zbyt szeroka w jednych miejscach, zbyt ostra w innych, lecz jej struktura miała w sobie szorstką poetyckość, która umniejszała znaczenie klasycznej męskiej urody. Niewielu mężczyzn cechowała podobna głęboko zakorzeniona żywiołowość i siła charakteru, której nie sposób przegapić. Nie tylko swobodnie czuł się w swojej pozycji władzy, on zdawał się naturalnie niezdolny do funkcjonowania w jakiejkolwiek innej roli niż lider. Jako dziewczyna, która zawsze odczuwała przymus obalenia każdego autorytetu, Lillian znajdowała w Westcliffie pokusę nie do odparcia. Czerpała satysfakcję z każdego momentu, kiedy zdołała go zirytować do tego stopnia, że tracił nad sobą kontrolę.

Westcliff przesunął oceniającym wzrokiem od jej zmierzwionych włosów do nieskrępowanych gorsetem linii jej ciała, nie pomijając niespętanego zarysu piersi. Zastanawiając się, czy zaraz publicznie upokorzy ją za to, iż ośmieliła się grać w palanta z grupą stajennych, odpowiedziała mu takim samym przeciągłym spojrzeniem. Starła się wyglądać pogardliwie, lecz nie było to łatwe, gdy szczupłe, atletyczne ciało Westcliffa prowokowało niepokojący dreszcz w dole jej brzucha. Daisy miała rację – byłoby bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe, znaleźć młodszego mężczyznę, który mógłby rywalizować z męską siłą hrabiego.

Nie odrywając wzroku od Lillian, Westcliff odepchnął się powoli od płotu i podszedł bliżej.

Lillian stężała, ale nie cofnęła się. Była wysoka, lecz Westcliff przewyższał ją o dobrych siedem centymetrów i co najmniej trzydzieści kilogramów. Poczowała mrowienie w zakończeniach nerwowych, gdy spojrzała mu w oczy w odcieniu brązu tak intensywnego, że wydawały się czarne.

Miał głęboki głos, jak żwir owinięty w aksamit.

– Nie powinna pani wystawiać łokci.

Spodziewała się krytyki, więc jego uwaga zbiła ją z tropu.

– Słucham?

Gęste rzęsy hrabiego opadły nieco, gdy spojrzał na kij, który trzymała w prawej dłoni.

– Proszę przycisnąć łokcie do ciała. Będzie pani miała lepszą kontrolę nad kijem, jeśli zniweluje pani łuk zamachu.

Wykrzywiła wargi w grymasie.

– Czy istnieje jakiś temat, w którym nie jest pan ekspertem?

W jego ciemnych oczach rozbłysło rozbawienie. Przez chwilę z namysłem rozważał pytanie.

– Nie potrafię gwizdać – odparł w końcu. – I mam kłopoty z celnością przy obsłudze busza. Poza tym... – Uniósł dłonie w bezradnym geście, jakby nie przychodziła mu do głowy żadna inna

czynność, w której nie osiągnąłby biegi.

– Co to jest trebusz? – zapytała Lillian. – I co ma pan na myśli, mówiąc, że nie umie pan gwizdać? Wszyscy potrafią gwizdać.

Westcliff złożył usta w idealnie okrągły dzióbek, z którego wydobył się bezdźwięczny obłok oddechu. Stali tak blisko siebie, że Lillian poczuła na czole delikatny powiew, który poruszył kilka kosmyków jedwabistych włosów przyklejonych do jej wilgotnej skóry. Zamrugała, zaskoczona. Jej wzrok padł na jego usta, a potem na rozpięty kołnierzyk koszuli, spod którego wystawała opalona i gładka skóra.

– Widzi pani? Nic. Próbuję od lat.

Speszona, postanowiła doradzić mu, by dmuchał mocniej, przyciskając koniuszek języka do dolnych zębów, lecz z jakiegoś powodu sama myśl o wydukaniu zdania ze słowem „język” w jego obecności wydała się jej niemożliwa do zrealizowania. Zamiast tego wpatrywała się w niego w osłupieniu, aż w końcu nieco podskoczyła, gdy położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją łagodnie w stronę Arthura. Chłopiec stał kilka metrów dalej z zapomnianą piłką w dłoni i obserwował hrabiego z miną wyrażającą zachwyt pomieszany z przerażeniem.

Przekonana, że Westcliff zbeszta chłopców za to, iż pozwolili jej i Daisy dołączyć do gry, Lillian oświadczyła nerwowo:

– Arthur i pozostali... To nie ich wina... Zmusiłam ich, żeby pozwolili nam zagrać...

– W to nie wątpię – mruknął hrabia ponad jej ramieniem. – Zapewne nie dała im pani szansy odmówić.

– Nie ukarze ich pan?

– Za granie w palanta w wolnym czasie? Nie sądzę. – Zdjął surdut i rzucił go na ziemię. Odwrócił się do łapacza i dodał: – Jim, bądź tak dobry i pomóż nam, łapiąc piłki.

– Tak, milordzie! – Chłopiec w mgnieniu oka przebiegł na puste miejsce po zachodniej stronie zielonego boiska za polami baz.

– Co pan robi? – zapytała Lillian, gdy Westcliff stanął za nią.

– Poprawiam pani zamach – padła stanowcza odpowiedź. – Proszę unieść kij, panno Bowman.

Zerknęła na niego sceptycznie, a on uśmiechnął się z wyzwaniem w oczach.

– To może być ciekawe – wymamrotała. Przyjęła pozycję pałkarza i spojrzała przez boisko na Daisy. Siostra miała zaczerwienioną twarz i błyszczące oczy. Z całych sił starała się nie wybuchnąć śmiechem. – Mój zamach jest idealny – mruknęła Lillian, boleśnie świadoma, że hrabia stoi tuż za nią. Jej oczy zogniły, gdy poczuła jego dłonie na swoich łokciach. Popchnął je, aby przybrała nieco bardziej zwartą pozycję. Gdy jego chrapliwy szept musnął jej ucho, jej pobudzone nerwy stanęły w ogniu, oblewając rumieńcem jej twarz i szyję, a także inne części ciała, których nawet nie ośmieliłaby się nazwać.

– Proszę szerzej rozsunąć stopy – nakazał jej Westcliff – i równo rozłożyć ciężar ciała. Dobrze. A teraz proszę zewrzeć dłonie. Kij jest dla pani kilka centymetrów za długi, więc będzie pani musiała chwycić go wyżej...

– Lubię trzymać go u podstawy.

– Jest dla pani za długi – powtórzył – i właśnie dlatego wykonuje pani zamach tuż przed uderzeniem piłki...

– Lubię długie kije – przerwała mu Lillian, gdy poprawił jej dłonie na wierzbowej rączce. – W zasadzie im dłuższe, tym lepsze. – Jej uwagę przykuło rozbawione prychnięcie jednego ze stajennych. Zerknęła na niego podejrzliwie, po czym odwróciła się do Westcliffa. Jego twarz przypominała nieruchomą maskę, lecz w oczach błyszczał śmiech. – Dlaczego to takie zabawne? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparł Westcliff beznamiętnie, po czym znów odwrócił ją do miotacza. – Proszę pamiętać o łokciach. O, tak. I proszę nie kręcić nadgarstkami... mają być proste i poruszać się

miarowo... Nie, nie tak. – Wyciągnął ręce i zdumiał ją, kładąc swoje dłonie na jej, by poprowadzić je w łagodnym zamachu. Zbliżył wargi do jej ucha. – Czuje pani różnicę? Proszę spróbować jeszcze raz... Czy nie jest bardziej naturalnie? – Serce Lillian zaczęło gwałtownie łomotać, krew zabuzowała w jej żyłach. Nigdy nie czuła się tak niezręcznie, jak teraz, gdy solidne ciepło męskiego ciała sączyło się na jej plecy, a silne uda napierały na lekkie fałdy jej spacerowej sukni. Jego szerokie dłonie niemal całkowicie przykryły jej dłonie – zaskoczył ją fakt, że na palcach ma odciski. – Jeszcze raz – zachęcił Westcliff.

Zacisnął dłonie na jej dłoniach. Gdy ich ramiona się połączyły, poczuła stalową twardość mięśni jego bicepsów. Miała wrażenie, że jest przez niego przyłoczona, obezwładniona w sposób, który wykraczał daleko poza fizyczność. Powietrze w jej płucach zaczęło się boleśnie rozprężyć. Wypuściła je w szybkim, płytkim oddechu, a potem w następnym i wtedy nagle została uwolniona z niepokojącą szybkością.

Westcliff odsunął się i spojrzał na nią z napięciem. Zmarszczka naznaczyła gładką powierzchnię jego czoła. Nie było łatwo dostrzec czarne źrenice w otoczeniu brązowych tęczywek, lecz Lillian odniosła wrażenie, że zwęziły się jak pod wpływem silnego światła. Chyba chciał ją o coś zapytać, lecz zamiast tego uklonił się krótko, po czym gestem nakazał jej wrócić na pozycję pałkarza. Sam zajął pozycję łapacza, kucnął i ruchem głowy przywołał Arthura.

– Na początek narzuć kilka łatwych – zawołał.

Arthur pokiwał głową, zapominając o trwodze.

– Tak jest, milordzie!

Zamachnął się i posłał Lillian lekką, prostą piłkę. Zmrużyła powieki z determinacją, mocno chwyciła kij, cofnęła się i odwróciła biodra, aby nadać uderzeniu większy impet. Ku swej irytacji całkowicie minęła się z piłką. Odwróciła się i posłała Westcliffowi znaczące spojrzenie.

– Cóż, pana rady zdecydowanie pomogły – mruknęła sarkastycznie.

– Łokcie – przypomniał jej lakonicznie, po czym rzucił piłkę Arthurowi. – Jeszcze raz.

Westchnęła ciężko, uniosła kij i znów odwróciła się do miotacza.

Arthur odchylił ramię, po czym wyrzucił je do przodu, posyłając jej szybką piłkę.

Zamachnęła się, stękając z wysiłku. Z zaskakującą swobodą odnalazła właściwy kąt zamachu, po czym wydała okrzyk zachwyty, gdy poczuła solidny kontakt kija i skórzanej piłki. Z głośnym trzaskiem piłka wystrzeliła w powietrze nad głową Arthura i poza zasięg chłopców stojących na tyłach boiska. Wrzeszcząc triumfalnie, Lillian upuściła kij i pobięła do pierwszej bazy. Okrążyła ją i skierowała się ku drugiej. Kątem oka dostrzegła, że Daisy rzuciła się za piłką i niemal jednocześnie cisnęła ją do najbliższego stajennego. Lillian przyspieszyła, uniosła spódnicę i okrążyła trzecią bazę, gdy piłka wróciła do Arthura.

Z niedowierzaniem zobaczyła, że na bazie domowej stoi Westcliff, unosząc wysoko ręce, aby złapać piłkę. Jak mógł jej to zrobić? Pokazał jej, jak uderzać, a teraz chciał ją wyautować?

– Zejdz mi z drogi! – krzyknęła, szarżując słupek. Była zdeterminowana, by dotrzeć do niego, zanim on złapie piłkę. – Nie zatrzymam się!

– Och, ja cię zatrzymam – zapewnił ją z szerokim uśmiechem, stając przed słupkiem. – Domowa, Arthur! – zawołał do miotacza.

Postanowiła go staranować, jeśli okaże się to konieczne. Wydała z siebie wojenny okrzyk i rzuciła się na niego z całą siłą. Zatoczył się do tyłu, w tej samej chwili łapiąc piłkę. Mógł utrzymać równowagę, lecz postanowił tego nie robić. Upadł na plecy, na miękką ziemię, a Lillian wylądowała na nim, zakrywając go masą spódnic i halek oraz płataniną kończyn. Wzbili w powietrze gęstą chmurę beżowego pyłu. Lillian uniosła się na jego piersi i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem. Z początku myślała, że pozbawiła go tchu, lecz natychmiast stało się dla niej jasne, że Westcliff po prostu dławi się ze śmiechu.

– Oszukiwałaś! – oskarżyła go, przez co zaczął się śmiać jeszcze głośniejsze. Sama walczyła o oddech, nabierając do płuc głębokie hausty powietrza. – Nie wolno... stawać... przed bazą... ty podły oszuście!

Dławiąc się i prychając, Westcliff podał jej piłkę z ostrożnym szacunkiem kogoś, kto wręcza bezcenny eksponat kuratorowi muzealnemu. Lillian wzięła piłkę i cisnęła ją na bok.

– Nie wyautowałeś mnie – oświadczyła, wbijając palec w jego pierś dla podkreślenia swoich słów. Miała wrażenie, że szturcha kamień. – Byłam bezpieczna... Słyszysz?

Nagle tuż za nimi rozległ się rozbawiony głos Arthura:

– W zasadzie, panienko...

– Nigdy nie kłóć się z damą, Arthurze – przerwał mu hrabia, gdy w końcu odzyskał zdolność mówienia. Chłopiec uśmiechnął się do niego szeroko.

– Tak jest, milordzie.

– Czy są tu jakieś damy? – zawołała Daisy radośnie, schodząc z boiska. – Ja żadnych nie widzę.

Hrabia z uśmiechem spojrzał na Lillian. Miał zmierzwiłone włosy, a jego zęby lśniły bielą na tle opalanej, pokrytej pyłem twarzy. Odarty ze swej arystokratycznej fasady, z oczami, w których błyszczało rozbawienie, i zaskakująco zaraźliwym uśmiechem sprawił, że w środku stopniała. Pochyliła się nad nim i poczuła, że jej usta wyginają się w niechętnym uśmiechu. Swobodny lok wysunął się z upięcia i musnął jedwabście jego szczękę.

– Więc co to jest trebusz? – zapytała.

– To katapulta. Mój przyjaciel interesuje się średniowiecznymi machinami wojennymi. Niedawno... – Westcliff zawahał się, a jego ciało, na którym leżała, zaczęło powoli tężeć. – Niedawno zbudował trebusz na podstawie starych rysunków... i zaangażował mnie do pomocy w uruchomieniu go...

Rozbawiła ją myśl, że pełen rezerwy Westcliff jest zdolny do takich chłopięcych wybryków. Uświadomiwszy sobie, że na nim siedzi, zaczerwieniła się i zaczęła zsuwać.

– Chybił pan? – zapytała, siląc się na swobodny ton.

– Właściciel kamiennego muru, który zburzyliśmy, zdaje się tak uważać. – Hrabia gwałtownie wciągnął powietrze, gdy z niego zeszła, wciąż jednak pozostawał na ziemi.

Głowiąc się nad jego osobliwym zachowaniem, Lillian zaczęła otrzepywać zakurzone spódnice, lecz na próżno – jej ubranie wyglądało okropnie.

– O, Boże... – mruknęła do Daisy, która również była rozczochrana i nieco brudna. – Jak wyjaśnimy matce stan naszych sukien?

– Poproszę jedną z pokojówek, aby przemyła je do prania, zanim matka zauważy. A właśnie... już prawie czas, żebyśmy się obudziły z naszej drzemki!

– Musimy się spieszyć – oświadczyła Lillian, zerkając na lorda Westcliffa, który włożył już surdut i teraz stał za nią. – Milordzie, jeśli ktoś zapyta, czy pan nas widział... powie pan, że nie?

– Ja nigdy nie kłamię.

Jęknęła z rozdrażnieniem.

– Czy w takim razie mógłby się pan chociaż powstrzymać od udzielania tej informacji bez pytania?

– Chyba tak.

– Bardzo pan pomocny. – Ton jej głosu dowodził, że jest przeciwnego zdania. – Dziękuję, milordzie. A teraz, jeśli nam pan wybaczy, musimy uciekać. Dosłownie.

– Proszę iść za mną, pokażę paniom skrót – zaproponował Westcliff. – Znam drogę przez ogród i wejście dla służby za kuchnią.

Siostry spojrzały na siebie, po czym zgodnie pokiwały głowami i pobiegły za nim, z roztargnieniem machając na pożegnanie Arthurowi i jego kolegom.

Prowadząc siostry Bowman przez znajdujący się w letnim rozkwicie ogród, Marcus z irytacją zauważył, że Lillian wciąż wysuwa się przed niego. Wydawała się fizycznie niezdolna do pójścia jego śladem. Zerkał na nią, zwłaszcza na sposób, w jaki jej nogi poruszały się pod lekką muślinową suknią spacerową. Jej krok był długi i swobodny, całkiem inny niż kobiece kołysanie biodrami, praktykowane przez większość przedstawicielek jej płci.

W milczeniu rozważał swoją niewytłumaczalną reakcję na nią podczas gry w palanta. Wigor i radość malujące się na jej twarzy okazały się absolutnie nieodparte. Miała w sobie trzpiotową energię i przejawiała entuzjazm dla aktywności fizycznej równy jego własnemu. Młode damy o jej pozycji nie powinny cechować się takim wyśmienitym zdrowiem i duchem przygody. Powinny być nieśmiałe, skromne i powściągliwe. Lillian okazała się jednak zbyt pociągająca, by mógł ją zignorować, i zanim się zorientował, co się dzieje, dołączył do gry.

Jej widok, takiej zarumienionej i podekscytowanej, obudził w nim doznania, których wolałby nie czuć. Okazała się ładniejsza, niż zapamiętał, i taka zabawna w swoim zadziornym uporze, że nie zdołał się oprzeć wyzwaniu. Gdy tylko stanął za nią, by poprawić jej zamach, i poczuł, jak jej ciało przyciska się do jego torsu, zawładnęła nim pierwotna potrzeba zaciągnięcia jej w jakieś odosobnione miejsce, zadarcia jej spódnic i...

Wyrzucając te myśli z głowy z cichym westchnieniem dyskomfortu, zauważył, że Lillian znów wysunęła się przed niego. Była brudna, potargana... a on z jakiegoś powodu nie potrafił przestać myśleć o tym, jak się czuł, gdy leżał pod nią na ziemi. Była taka lekka. Mimo wysokiego wzrostu miała szczupłe ciało bez kobiecych krągłości. Nie odpowiadała jego upodobaniom, mimo to pragnął otoczyć dłońmi jej talię i wtulić jej biodra w swoje, by...

– Tędy – mruknął szorstko, przepychając się obok Lillian Bowman za żywopłotem, który zasłaniał ich od strony domu.

Poprowadził siostry ścieżką porośniętą błękitnymi pędami szaławii, za starymi murami, po których pięły się czerwone róże, obok kolorowych pęków hortensji i masywnych kamiennych urn, z których wylewały się białe bratki.

– Jest pan pewien, że to skrót? – zapytała w pewnym momencie Lillian. – Wydaje mi się, że w drugą stronę byłoby o wiele szybciej.

Nieprzyzwyczajony do tego, że ktoś kwestionuje jego decyzje, posłał jej chłodne spojrzenie, gdy stanęła obok niego.

– Znam drogę przez własny ogród, panno Bowman.

– Proszę nie zwracać uwagi na moją siostrę, milordzie – powiedziała idąca za nimi Daisy. – Martwi się tylko, że zostaniemy przyłapani. Widzi pan, miałyśmy drzemać. Matka zamknęła nas w pokoju i...

– Daisy – przerwała jej Lillian ostro – hrabia nie chce tego słuchać.

– Wręcz przeciwnie – oświadczył Marcus. – Jestem bardzo ciekaw, jak udało się wam uciec. Przez okno?

– Nie, otworzyłam zamek szpilką do włosów – burknęła.

Westcliff zepchnął tę informację do podświadomości, po czym zapytał kpiąco:

– Teraz uczą tego w szkołach dla panien?

– Nie uczęszczałyśmy do szkoły dla panien. Sama nauczyłam się otwierać zamki. Od wczesnego dzieciństwa często znajdowałam się po złej stronie zamkniętych drzwi.

– Ciekawe.

– Podejrzewam, że pan nigdy nie zrobił nic, co podlegałoby karze.

– Wręcz przeciwnie, często byłem karany. Rzadko jednak zamykano mnie w pokoju. Mój ojciec uważał, że dotkliwszą karą... i bardziej satysfakcjonującą dla niego... jest bicie mnie za przewinienia.

– Brutal – zauważyła Lillian.

Daisy cicho pisnęła ze zdumienia.

– Lillian, nie należy źle mówić o zmarłych. Wątpię, by hrabia życzył sobie słuchać, jak przeżywasz jego ojca.

– Nie szkodzi, on był brutalem – oświadczył Marcus ze szczerością, która dorównywała szczerości Lillian.

Doszli do przerwy w żywopłocie, od której zaczynała się kamienna ścieżka otaczająca posiadłość. Marcus gestem nakazał dziewczętom milczenie i spojrzał na pustą ścieżkę. Przesunął je, skrywając częściowo za wysokim, wąskim jałowcem, a później machnął dłonią w lewo.

– Tam jest wejście do kuchni – szepnął. – Wejdziemy, po czym skręcimy w prawo na klatkę, która prowadzi na piętro. Tam pokażę paniom korytarz wiodący do ich pokoju.

Dziewczęta spojrzały na niego z szerokimi uśmiechami. Były do siebie podobne, a zarazem bardzo się różniły. Daisy miała okrągłejsze policzki i urodę staroświeckiej porcelanowej lalki, a przy tym egzotyczne brązowe oczy. Twarz Lillian była dłuższa i nieco trójkątna, miała lekko skośne oczy i pełne, słodko zmysłowe usta, na widok których serce Marcusa załomotało nieco szybciej.

Wciąż patrzył na jej usta, gdy przemówiła:

– Dziękujemy, milordzie. Ufam, że możemy polegać na pana milczeniu w kwestii naszej gry.

Gdyby był mężczyzną innego pokroju lub odczuwał choć cień romantycznego zainteresowania którąś z nich, mógłby wykorzystać sytuację i przedłożyć propozycję zalotnego szantażu. Zamiast tego pokiwał tylko głową i potwierdził stanowczo:

– Możecie.

Rzucili jeszcze jedno ostrożne spojrzenie na kamienną ścieżkę, a nie widząc nikogo, wszyscy troje wyszli zza jałowca. Niestety, gdy dotarli do połowy drogi pomiędzy wyrwą w żywopłocie a kuchennymi drzwiami, po drugiej stronie nagle rozległy się głosy, odbijając się echem od ściany posiadłości. Ktoś nadchodził.

Daisy rzuciła się do ucieczki niczym przerażona łania. Wpadła do kuchni w ułamku sekundy. Lillian wybrała inną opcję i popędziła w kierunku jałowca. Nie tracąc czasu na rozważania, Marcus podążył jej śladem, zanim na ścieżce pojawiły się trzy lub cztery postaci. Wepchnął się za nią w wąski otwór pomiędzy jałowcem a żywopłotem, czując, że się ośmiesza. Nie zamierzał jednak pokazywać się nikomu w brudnym, zakurzonym ubraniu. Nagle w jego głowie zapanował zamęt, gdy Lillian zacisnęła dłonie na ramionach jego surduta i wciągnęła go głębiej w cień. Przyciągnęła go do siebie. Drżała... ze strachu, pomyślał najpierw. Zszokowany własną reakcją, otoczył ją ramionami, by ją chronić. Szybko zrozumiał jednak, że dziewczyna śmieje się cicho. Tak rozbawiła ją ta sytuacja, że tłumiała serię piskliwych wybuchów śmiechu na jego ramieniu.

Uśmiechając się do niej ze zdumieniem, Marcus odsunął czekoladowy pukiel włosów, który opadł na jej prawe oko. Zmrużył powieki, by spojrzeć przez szczelinę pomiędzy pachnącymi, gęsto porośniętymi igłami gałęziami jałowca. Rozpoznał mężczyzn, którzy powoli szli ścieżką, pogrążeni w rozmowie o interesach. Pochylił głowę i szepnął do ucha Lillian:

– Cicho. To twój ojciec.

Otworzyła szeroko oczy, a jej śmiech ucichł, gdy wbiła palce w materiał jego surduta.

– O, nie... Nie pozwól, by mnie znalazł! Powie matce.

Marcus pokiwał głową, dodając jej otuchy, po czym mocniej otoczył ją ramieniem, przysuwając usta i nos do jej skroni.

– Nie zobaczą nas. Gdy tylko przejdą, odprowadzę cię do drzwi.

Stała nieruchomo, wpatrując się w szczeliny pomiędzy igłami jałowca, jakby nie zdawała sobie

sprawy, że wtula się w hrabiego Westcliffa w czymś, co większość ludzi nazwałaby uściskiem. Trzymając ją w ramionach i delikatnie chuchając w jej skroń, nagle stał się świadom ulotnego zapachu, słabej kwiatowej nuty, którą ledwie zauważył na boisku do palanta. Idąc jego śladem, odkrył, że zapach koncentruje się na jej szyi – rozpala krew i uderza do głowy. Ślinka napłynęła mu do ust. Nagle zapragnął dotknąć językiem jej delikatnej białej skóry, rozerwać gorset sukni i powędrować ustami od jej gardła aż po palce stóp.

Wciąż zaciskając ramię wokół jej szczupłej postaci, drugą dłoń, pod wpływem impulsu, położył na jej biodrach, wywierając delikatny, lecz zauważalny nacisk, sugerujący, by się do niego przysunęła. O, tak... Miała idealny wzrost, była tak wysoka, że wystarczyła minimalna poprawka, aby ich ciała zetknęły się w odpowiedni sposób. Ogarnęło go wzburzenie, rozpalając zmysłowy ogień w pulsujących strumieniach jego żył. Łatwo byłoby osiągnąć ją w taki sposób, tylko podnieść spódnicę i rozsunąć nogi. Zapragnął jej na tysiąc sposobów, nad sobą, pod sobą, pragnął każdej swojej części w niej. Czuł naturalny zarys jej ciała pod cienką suknią, żaden gorset nie fałszował szczupłej linii jej pleców.

Lillian zeszywniała nieco, gdy poczuła jego usta na swojej szyi. Oddech uwiązł jej w gardle ze zdumienia.

– Co... co ty robisz? – wyszeptała.

Czterej mężczyźni po drugiej stronie żywopłotu przystanęli, gdy ich dyskusja o manipulacjach giełdowych nabrała rumieńców. Umysł Marcusa wypełniły myśli o zgoła odmiennej formie manipulacji. Zwilżył suche wargi językiem i odchylił głowę. Na twarzy Lillian zauważył konsternację.

– Przepraszam – szepnął, walcząc o odzyskanie samokontroli. – To ten zapach... Co to takiego?

– Zapach? – Miała całkiem skonfundowaną minę. – Pytasz o moje perfumy?

Rozproszył go widok jej ust... pełnych, jedwabistych, różowych warg, które obiecywały niewypowiedzianą słodycz. Jej zapach wypełniał mu nozdrza rozkosznymi smugami, które budziły w jego ciele coraz to nowe fale fantastycznie gwałtownej żądzy. Stwardniał, jego krocze rozgrzało się raptownie, a serce zaczęło łomotać z niezrównaną siłą. Nie był w stanie zebrać myśli. Wysięk, jaki wkładał w to, by się na nią nie rzucić, wprawiał jego dłonie w drżenie. Zamknął oczy i odwrócił głowę tylko po to, by wygłodniałe wtulić twarz w jej szyję. Odepchnęła go lekko, a w jego uchu rozległ się ostry szepot:

– Co się z tobą dzieje?

Bezradnie pokręcił głową.

– Przepraszam – wychrypiął, wiedząc już, co uczyni. – Mój Boże... Przepraszam...

Wtedy jego usta opadły na jej usta i zaczął ją całować tak zachłannie, jakby od tego zależało jego życie.

ROZDZIAŁ 4

Po raz pierwszy w życiu Lillian całował mężczyzna, któremu nie udzieliła na to pozwolenia. Zaczęła się wykręcać i wrywać, lecz Westcliff tylko mocniej ją do siebie przytulił. Pachniał kurzem, końmi, słońcem... a także czymś jeszcze... czymś słodkim i suchym, co przypominało świeżo skoszone siano. Natarł na jej usta bardziej zdecydowanie, ponaglając ją żarliwie, aż rozchyliła wargi. Nawet nie wyobrażała sobie, że istnieją takie pocałunki – głębokie, czule niecierpliwe pieszczoty, które pozbawiły ją sił, aż zamknęła oczy i oparła się na jego twardej piersi. Westcliff natychmiast wykorzystał jej słabość i przywarł do niej, tak że nie rozdzielał ich nawet milimetr, a ona musiała rozchylić nogi pod naporem jego potężnego uda.

Koniuszek jego języka tańczył we wnętrzu jej ust, sunąc ciepłymi pociągnięciami wokół jej zębów, badając jedwabistą wilgoć poza nimi. Zszokowana tą intymnością, cofnęła się, lecz podążył za nią i podniósł dłonie, by objąć jej głowę. Nie wiedziała, co począć z językiem. Niezręcznie go cofnęła, ale on napierał, dręczył, prowokował i zadowalał ją, aż w jej gardle wezbrał drżący jęk. Odepchnęła go gorączkowo.

Oderwał usta od jej ust. Świadoma obecności ojca i jego towarzyszy po drugiej stronie jałowca Lillian próbowała odzyskać kontrolę nad oddechem i jednocześnie obserwowała mroczne kształty poruszające się za grubą zasłoną zielonych igieł. Mężczyźni poszli dalej, nie zauważywszy tulącej się do siebie pary, ukrytej przy wejściu do ogrodu. Lillian odetchnęła z ulgą. Serce łomotało jej w piersi, gdy czuła, jak usta Westcliffa suną po delikatnym wygięciu jej szyi, pobudzając do życia zakończenia nerwów. Znów zaczęła się wrywać, bezradnie nacierając przy tym na jego udo. Nagle w jej wnętrzu wezbrała fala gorąca.

– Milordzie... – szepnęła – czy pan oszalał?

– Tak... Tak... – Jego jedwabiste wargi wróciły do jej ust na kolejny głęboko grasujący pocałunek. – Daj mi swoje usta... język... tak. Tak. Taka słodka... słodka... – Jego usta były gorące i nieustępliwe, muskały jej wargi w zmysłowym przymusie, jego oddech owiewał jej policzek. Poczowała mrowienie jego szorstkiego zarostu na wargach i podbródku.

– Milordzie – szepnęła znów, gwałtownie cofając głowę. – Na miłość boską... proszę mnie puścić!

– Tak... Przepraszam... Jeszcze tylko raz... – Znów odnalazł jej wargi, ale tym razem odepchnęła go z całej siły. Jego pierś była twarda jak granit.

– Puszczaj, ty prostaku! – Wykręcając się dziko, Lillian zdołała się od niego uwolnić. W całym ciele czuła mrowienie po kontakcie z jego skórą, mimo że w końcu się odsunął.

Gdy wpatrywali się w siebie, zauważyła, że mgła pożądania unosi się z jego twarzy, a jego ciemne oczy ogromnieją, gdy zaczął sobie uświadamiać, co się właśnie wydarzyło.

– Niech to szlag... – szepnął.

Nie spodobał się jej wyraz jego oczu – jakby trzymał w dłoniach straszliwą głowę Meduzy. Wykrzywiła twarz w grymasie.

– Sama znajdę drogę do pokoju – oświadczyła krótko. – I proszę nawet nie próbować mnie śledzić. Dość mam na dzisiaj pana pomocy. – Odwróciła się na pięcie i przebiegła przez trawnik, a on wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

Cudownym zrządzeniem losu Lillian zdołała dotrzeć do pokoju, zanim jej matka zjawiła się, by obudzić córki z drzemki. Wśliznęła się przez uchylone drzwi, zamknęła je za sobą i w pośpiechu rozpięła guziki sukni. Daisy, która zdążyła już rozebrać się do bielizny, podeszła do drzwi i wsunęła zakrzywioną szpilkę pod gałkę, aby zwolnić zamek i na powrót go zablokować.

– Dlaczego to tak długo trwało? – zapytała, nie odrywając wzroku od klamki. – Chyba się nie gniewasz, że na ciebie nie zaczekałam? Uznałam, że najlepiej będzie wrócić tu i odświeżyć się najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Nie gniewam się – odparła Lillian z roztargnieniem, zdejmując brudną suknię. Ułożyła ją na dnie skrzyni i zamknęła wieko. Głośne kliknięcie oznaczało, że Daisy z powodzeniem ukończyła zadanie. Lillian szybko podeszła do umywalni, wylała brudną wodę i naląła świeżej. Ochlapała w pośpiechu twarz i ręce, po czym wytarła skórę czystym ręcznikiem.

Gdy nagle w zamku przekręcono klucz, obie spojrzały na siebie z przerażeniem. Wylądowały na materacach swoich łóżek w tej samej chwili, w której do pokoju weszła matka. Na szczęście zasłony były zaciągnięte, a w pomieszczeniu panował półmrok uniemożliwiający Mercedes wykrycie jakichkolwiek śladów ich działalności.

– Dziewczęta? – zapytała podejrzliwie. – Czas wstawać.

Daisy przeciągnęła się i ziewnęła głośno.

– Mmmm... To była rozkoszna drzemka. Czuję się taka wypoczęta.

– Ja również – dodała Lillian grubym głosem. Twarz wcisnęła w poduszkę, a jej serce waliło głośno.

– Teraz musicie się wykapać i przebrać w wieczorowe suknie. Zadzwońię po pokojówki, aby przyniosły wodę. Daisy, ty włożysz żółty jedwab. Lillian, musisz włożyć tę zieloną ze złotymi klipsami na ramionach.

– Dobrze, mam – odparły chórem.

Gdy Mercedes wróciła do pokoju obok, Daisy usiadła prosto i posłała Lillian zaciekawione spojrzenie.

– Dlaczego tak długo nie wracałaś?

Lillian przewróciła się na plecy i uniosła wzrok do sufitu, rozmyślając o tym, co wydarzyło się w ogrodzie. Nie mogła uwierzyć, że Westcliff, który zawsze okazywał jej taką dezaprobatę, zachował się w taki sposób. To nie miało sensu. Hrabia nigdy nie przejawiał nawet cienia zainteresowania jej osobą. W zasadzie tego popołudnia po raz pierwszy, odkąd się poznali, traktowali się nawzajem z uprzejmością.

– Musieliśmy z Westcliffem ukrywać się przez parę minut – usłyszała swój głos, podczas gdy w jej głowie wciąż trwała gonitwa myśli. – Na ścieżce pojawił się ojciec w otoczeniu znajomych.

– Boże! – Daisy przewiesiła nogi przez krawędź łóżka i spojrzała na siostrę z przerażeniem. – Ale nie widział cię?

– Nie.

– Och, co za ulga. – Nieznacznie zmarszczyła brwi, wyczuwając, że jeszcze nie wszystko zostało powiedziane. – To bardzo miłe ze strony lorda Westcliffa, że nas nie wydał, prawda?

– Miłe, tak.

Usta Daisy wykrzywiły się w uśmiechu.

– To było takie zabawne, gdy postanowił, że nauczy cię używać kija. Byłam pewna, że zdzielisz go nim w głowę!

– Odczuwałam taką pokusę – odparła Lillian ponuro, wstając z łóżka i podchodząc do okna. Gdy odsunęła na bok ciężkie fałdy pasiastego adamaszku, do pokoju wlało się popołudniowe słońce, w promieniach którego tańczyły małe drobinki kurzu. – Westcliff nie przeoczy żadnej okazji, by udowodnić swoją wyższość, nieprawdaż?

– To właśnie robił? Wyglądało raczej na to, że uchwyci się każdej wymówki, aby wziąć cię w ramiona.

Zdumiona tym komentarzem, Lillian spojrzała na siostrę spod powiek.

– Dlaczego tak mówisz?

Daisy wzruszyła ramionami.

– W tym, jak na ciebie patrzył, było coś takiego...

– Co takiego? – Lillian poczuła, jak panika wzbiera w jej ciele tysiącem maleńkich skrzydeł.

– Coś... cóż, coś interesującego.

Lillian przykryła swoje wzburzenie grymasem.

– Hrabia i ja gardzimy sobą nawzajem – oświadczyła szorstko. – Jedyne, co go interesuje, to potencjalny układ biznesowy z naszym ojcem. – Urwała i podeszła do toaletki, na której w powodzi jesiennego słońca mieniła się buteleczka perfum. Otoczyła palcami kryształowe naczynie w kształcie gruszki, podniosła je i potarła kciukiem korek. – Niemniej – dodała z wahaniem – muszę ci coś opowiedzieć, Daisy. Coś się wydarzyło, gdy ukrywaliśmy się z Westcliffem za żywopłotem...

– Tak? – Twarz Daisy ożyła ciekawością.

Niestety, ich matka wybrała ten właśnie moment, by wrócić do pokoju z dwiema pokojówkami, które z mozołem ciągnęły za sobą składaną wannę. W obecności matki Lillian nie znalazła ani chwili, by na osobności porozmawiać z Daisy. Może to nawet dobrze, bo dzięki temu zyskała czas, by przemyśleć sytuację. Wsunęła buteleczkę perfum do torebki, którą zamierzała nosić tego wieczoru, zastanawiając się, czy to one miały taki wpływ na Westcliffa. Coś musiało się wydarzyć, że zachował się tak osobliwie. A sądząc z wyrazu jego twarzy, gdy już sobie uświadomił, co uczynił, sam był zszokowany swoim zachowaniem.

Logika wskazywała, by przetestować perfumy. Poddać je próbie, jeśli można się tak wyrazić. Jej usta rozciągnęły się w kpiącym uśmiechu, gdy pomyślała o przyjaciółkach, które na pewno z radością pomogą jej przeprowadzić eksperyment lub dwa.

Paprotki znały się już około roku, zawsze na wieczorkach tanecznych siadywały obok siebie pod ścianą. Z perspektywy czasu Lillian nie potrafiła ocenić, dlaczego tak długo to trwało, zanim nawiązały przyjaźń. Może dlatego że Annabelle była taka piękna ze swymi włosami w kolorze ciemnego miodu, błyszczącymi niebieskimi oczami i ponętną, kształtną figurą. Nie mieściło im się w głowie, że ta bogini zniży się do nawiązania przyjaźni ze zwykłymi śmiertelniczkami. A może dlatego że Evangeline Jenner była potwornie nieśmiała i jąkała się, co utrudniało każdą konwersację.

Gdy jednak stało się jasne, że żadna z nich nie przestanie podpierać ścian, jeśli nic się nie wydarzy, zjednoczyły siły, by pomóc sobie nawzajem upolować męża. Zaczęły od Annabelle. Ich wspólne wysiłki uwieńczył sukces, choć Simon Hunt nie był arystokratą, a to na nich postanowiły się skoncentrować. Lillian musiała jednak przyznać pomimo swych początkowych oporów, że Annabelle dokonała właściwego wyboru, poślubiając Hunta. Teraz nadeszła kolej Lillian – jako najstarszej niezamężnej paprotki.

Siostry wykapały się i umyły włosy, a potem zajęły dwa przeciwległe kąty pokoju, w których pokojówki pomogły im włożyć suknie. Idąc za radą matki, Lillian wybrała kreację z jasnego turkusowego jedwabiu z krótkimi pełnymi rękawkami i stanikiem zebrany na ramionach złotymi kłami. Znienawidzony gorset zwęził jej talię o dwa centymetry, a watowanie uniosło jej piersi, które utworzyły płytki dekolt. Następnie usiadła przy toalecie, krzywiąc się i wzdrygając, gdy pokojówka rozczesywała kołtuny w jej włosach i upinała kosmyki w wyrafinowaną koafiurę. Daisy została poddana podobnym torturom sznurowania, watowania i wciskania w suknię w odcieniu maślanym z koronkami na staniku.

Matka krzątała się wokół nich, nerwowo recytując instrukcje dotyczące dobrego wychowania.

– Pamiętajcie, angielscy dżentelmeni nie lubią, gdy młoda dama za dużo mówi. Nie interesują ich wasze opinie. Dlatego właśnie chcę, abyście obie milczały potulnie, kiedy to tylko możliwe. I ani słowa

o sportach! Może się wydawać, że dżentelmen z rozbawieniem słucha o waszych rozgrywkach w palanta i zabawach na świeżym powietrzu, lecz w głębi ducha pogardza dziewczyną, która dyskutuje na takie męskie tematy. A jeśli dżentelmen zada wam pytanie, zawsze skierujcie je z powrotem na niego, aby miał możliwość opowiedzieć wam o własnych doświadczeniach...

– Kolejny ekscytujący wieczór w Stony Cross Manor – mruknęła Lillian. Daisy musiała ją usłyszeć, ponieważ po drugiej stronie pokoju rozległo się stłumione prychnięcie.

– Co to za hałasy? – zapytała Mercedes chłodno. – Czy słuchasz moich rad, Daisy?

– Tak, mam. Przez chwilę nie mogłam oddychać. Mój gorset jest chyba za ciasny.

– No to nie oddychaj głęboko.

– Czy nie możemy jednak nieco go poluzować?

– Nie. Brytyjscy dżentelmeni preferują dziewczęta o bardzo wąskich taliach. Na czym to ja... Ach tak, podczas kolacji, jeśli zdarzy się przerwa w rozmowie...

Ponuro słuchając wykładu, który bez wątplenia nie jest ostatnim podczas ich pobytu w posiadłości Westcliffa, Lillian wpatrywała się w lustro. Czuła poruszenie na myśl, że znów zobaczy hrabiego. W jej wyobraźni pojawił się obraz jego opalonej twarzy, która pochyła się nad nią. Zamknęła oczy.

– Przepraszam, panienko – wymamrotała pokojówka, założywszy, że za mocno upięła jej włosy.

– Nic się nie stało – odparła Lillian ze smutnym uśmiechem. – Możesz szarpać. Mam twardą głowę.

– To monumentalne niedopowiedzenie – mruknęła Daisy z drugiego końca pokoju.

Gdy pokojówka znów zaczęła szarpać i upinać jej włosy, Lillian wróciła myślami do Westcliffa. Czy będzie udawał, że pocałunek za żywoplotem nie miał miejsca? A może uzna, że powinni o tym porozmawiać? Przerażona tą perspektywą, uświadomiła sobie, że musi porozmawiać z Annabelle. Ona o wiele lepiej zdołała poznać Westcliffa, odkąd poślubiła jego najlepszego przyjaciela Simona Hunta.

Gdy w jej fryzurę wpięto ostatnią szpilkę, rozległo się pukanie do drzwi. Daisy, która wciągała właśnie długie do łokci białe rękawiczki, pobiegła otworzyć, ignorując narzekania Mercedes, że to zadanie dla pokojówki. Gdy otworzyła drzwi, wydała z siebie okrzyk radości. W progu stała Annabelle Hunt. Lillian zerwała się i również podbiegła do przyjaciółki. Wszystkie trzy padły sobie w objęcia. Minęło kilka dni, odkąd ostatni raz widziały się w londyńskim hotelu Rutledge, w którym mieszkały obie rodziny. Huntowie na dniach przeprowadzali się do swego nowego domu w Mayfair, lecz w międzyczasie dziewczęta odwiedzały swoje apartamenty przy każdej okazji. Mercedes protestowała od czasu do czasu, uważała bowiem, że Annabelle wywiera zły wpływ na jej córki – zabawna myśl, biorąc pod uwagę, że było dokładnie odwrotnie.

Annabelle jak zwykle wyglądała zniewalająco – w bladobłękitnej satynowej sukni dopasowanej do jej kształtnej figury i ozdobionej jedwabnym sznurkiem krzyżującym się na staniku. Kolor sukni podkreślał głęboką barwę jej oczu oraz brzoskwiniowokremową karnację.

Odsunęła się, by spojrzeć na siostry Bowman błyszczącymi oczami.

– Jak wam upłynęła podróż z Londynu? Przeżyłyście już jakieś przygody? Nie, to niemożliwe, jesteście tu mniej niż dzień...

– A jednak możliwe – wymamrotała Lillian z wahaniem, pamiętając o czujnych uszach matki. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać...

– Córki! – przerwała im Mercedes tonem ociekającym dezaprobatą. – Nie zakończyłyście jeszcze przygotowań do kolacji.

– Ja jestem gotowa, mam! – odparła szybko Daisy. – Sama zobacz, wszystko skończone. Mam nawet rękawiczki.

– Ja potrzebuję tylko torebki – dodała Lillian, podchodząc do toaletki i sięgając po mały kremowy woreczek. – Proszę, też jestem gotowa.

Annabelle, świadoma antypatii Mercedes, uśmiechnęła się uprzejmie.

– Dobry wieczór, pani Bowman. Miałam nadzieję, że Lillian i Daisy będą mogły zejść ze mną na dół.

– Obawiam się, że będą musiały na mnie poczekać – odparła Mercedes lodowatym tonem. – Moje niewinne córki potrzebują opieki odpowiedniej przyzwoitki.

– Annabelle będzie naszą przyzwoitką – oświadczyła Lillian wesoło. – Jest teraz szacowną zamężną matroną, pamiętasz?

– Powiedziałam: odpowiedniej przyzwoitki... – zaprotestowała Mercedes, lecz na nic się to nie zdało, ponieważ jej córki w tej samej chwili wyszły z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Mój Boże – westchnęła Annabelle, śmiejąc się bezradnie – po raz pierwszy ktoś nazwał mnie szacowną zamężną matroną. Bardzo nudno to brzmi, nieprawdaż?

– Gdybyś była nudna – Lillian objęła przyjaciółkę ramieniem, gdy szły korytarzem – matka darzyłaby cię aprobatą...

– ...a my nie chciałybyśmy mieć z tobą nic wspólnego – dokończyła Daisy.

Annabelle się uśmiechnęła.

– Niemniej jeśli mam zostać oficjalną przyzwoitką paprotek, powinnam wyznaczyć parę podstawowych zasad zachowania. Po pierwsze, jeśli jakiś przystojny młody dżentelmen zasugeruje, byście wymknęły się z nim sam na sam do ogrodu...

– Powinnyśmy odmówić? – wtrąciła Daisy.

– Nie, pamiętajcie tylko, by mi o tym powiedzieć. Będę was kryła. A jeśli usłyszycie przez przypadek jakąś skandaliczną plotkę, absolutnie nieodpowiednią dla waszych niewinnych uszu...

– Mamy ją zignorować? – zapytała Daisy.

– Nie, macie wszystkiego dokładnie wysłuchać, a potem natychmiast mi powtórzyć.

Lillian uśmiechnęła się szeroko, zatrzymując się na skrzyżowaniu korytarzy.

– Poszukamy Evie? – zapytała. – Bez niej nie będzie to oficjalne spotkanie paprotek.

– Evie jest już na dole ze swoją ciotką Florence – odparła Annabelle.

Obie siostry wydały okrzyk radości.

– Jak się miewa? Jak wygląda?

– Och, od wieków jej nie widziałyśmy!

– Chyba czuje się dobrze. – Annabelle spoważniała. – Ale jeszcze zeszczupiała. I wydaje się przygnębiona.

– A kto by nie był przygnębiony, gdyby go tak traktowano – mruknęła Lillian ponuro.

Upłynęło wiele tygodni, odkąd po raz ostatni widziały Evie, którą rodzina jej matki trzymała w odosobnieniu. Często zamykano ją w pokoju za karę za drobne przewinienia i wypuszczano tylko pod ścisłą kontrolą ciotki. Przyjaciółki były zdania, że życie w otoczeniu surowych i pozbawionych uczuć krewnych tylko pogłębia kłopoty Evie z mówieniem. Jak na ironię ze wszystkich paprotek to Evie najmniej zasługiwała na takie surowe traktowanie. Była nieśmiała i żywiła ogromny szacunek dla autorytetów. Wedle ich wiedzy to matka Evie była rodzinną buntowniczką – poślubiła mężczyznę znacznie niżej sytuowanego społecznie, a gdy umarła przy porodzie, jej córka zapłaciła za to karę. Ojciec, którego Evie rzadko miała okazję widywać, podupadł ostatnio na zdrowiu. Podobno nie zostało mu wiele życia.

– Biedna Evie – kontynuowała Lillian ponuro. – Odczuwam ogromną pokusę, by rzec się mojej pozycji następnej paprotki w drodze do ołtarza na jej rzecz... Potrzebuje ucieczki o wiele bardziej niż ja.

– Evie nie jest jeszcze gotowa – oświadczyła Annabelle z pewnością zdradzającą wcześniejsze przemyślenia w tej kwestii. – Pracuje nad nieśmiałością, lecz nie jest jeszcze w stanie choćby zmusić się do rozmowy z dżentelmenem. Poza tym... – Jej śliczne oczy rozblęły figlarnie, gdy otoczyła ramieniem wąską talię Lillian. – Jesteś za stara, by móc to dalej odkładać, moja droga. – Lillian w odpowiedzi

posłała jej kwaśne spojrzenie, prowokując przyjaciółkę do śmiechu. – Co chciałaś mi powiedzieć? – zapytała Annabelle.

Lillian pokręciła głową.

– Zaczekajmy na Evie, abym nie musiała wszystkiego powtarzać.

Zeszły do salonu, w którym goście mieszały się już w eleganckich grupach. Tego roku w modzie był kolor – przynajmniej w ubiorach pań, które przypominały zbiorowisko barwnych motyli. Mężczyźni mieli na sobie tradycyjne czarne surduty i białe koszule, a różnili się tylko subtelnymi wariacjami w ponurych wzorach kamizelek i fularów.

– Gdzie jest pan Hunt? – zapytała Lillian.

Annabelle uśmiechnęła się lekko na wzmiankę o mężu.

– Podejrzewam, że rozmawia z hrabią w gronie najbliższych przyjaciół. – Jej wzrok wyostrzył się nagle. – Jest Evie... I na szczęście ciotka Florence nie dręczy jej, jak to ma w zwyczaju.

Evie stała samotnie, wodząc nieobecny wzrokiem po pejzażu oprawionym w złoconą ramę. Wydawała się całkowicie zatopiona w myślach. Jej skurczona przepaszająco postać dowodziła, że nie czuje się częścią tego towarzystwa ani też nie pragnie się nią stać. Choć nikt nie poświęcał jej dostatecznie długich spojrzeń, aby naprawdę ją dostrzec, Evie była bez wątpienia piękna, może nawet piękniejsza niż Annabelle, choć w całkowicie niekonwencjonalny sposób. Miała piegi i rude włosy, ogromne, okrągłe, niebieskie oczy i ruchliwe usta o pełnych wargach, które dawno wyszły z mody. Jej bujna sylwetka zapierała dech w piersi, choć przesadnie skromne suknie, które była zmuszona nosić, w żadnym razie nie podkreślały jej walorów. Co więcej – przygarbione ramiona tylko odbierały jej uroku.

Lillian podeszła bliżej, chwyciła odzianą w rękawiczkę dłoń Evie i pociągnęła dziewczynę za sobą.

– Chodź – wyszeptwała.

Oczy Evie rozbliły radością na jej widok. Zawahała się i rozejrzała niepewnie w poszukiwaniu ciotki, która rozmawiała w kącie z grupą wdów. Upewniwszy się, że Florence jest zbyt zajęta rozmową, by cokolwiek zauważyć, dziewczęta wymknęły się z salonu i pobiegly korytarzem niczym uciekające więźniarki.

– Dokąd idziemy? – zapytała Evie.

– Na tylny taras – odparła Annabelle.

Poszły na tyły domu i wyszły na szeroki kamienny taras rozpościerający się za rzędem balkonowych drzwi. Taras otaczał cały budynek, oddzielając go od rozległych ogrodów poniżej. Całość wyglądała jak obraz z powodu malowniczych sadów, nieskazitelnie utrzymanych ścieżek i rabat rzadkich kwiatów, ciągnących się aż na skraj lasu. Płynąca pod pobliską skarpą rzeka Itchen sąsiadowała z sydereytowym murem.

Lillian odwróciła się do Evie i objęła ją.

– Evie, tak bardzo za tobą tęskniłam! – zawołała. – Gdybyś tylko wiedziała, ile powstało w naszych głowach nieprzemyślanych planów, które miały nam pomóc wykraść cię twojej rodzinie! Dlaczego nie pozwalają nam cię odwiedzać?

– Oni mną g-gardzą – wyznała Evie stłumionym głosem. – D-do niedawna nie wiedziałam, jak b-bardzo. To zaczęło się, gdy próbowałam odwiedzić ojca. Gdy mnie złapali, zamknęli mnie w pokoju na w-wiele dni o chlebie i w-wodzie. Powiedzieli, że jestem niewdzięczna i nieposłuszna i że w końcu odezwała się we mnie zła krew. Dla nich jestem n-niczym więcej, jak tylko potwornym błędem mojej matki. Ciotka Florence mówi, że to z mojej winy umarła.

Zszokowana Lillian cofnęła się, by spojrzeć na przyjaciółkę.

– Powiedziała ci tak? Dokładnie tymi słowami?

Evie pokiwała głową.

Bez zastanowienia Lillian wyrzuciła z siebie potok przekleństw, od których Evie aż zbladła. Jednym z bardziej wątpliwych osiągnięć Lillian była umiejętność przeklinania. Robiła to z wprawą marynarza. Umiejętności tej nabyła, przebywając często ze swoją babką, która pracowała jako pracznica w portowych dokach.

– W-wiem, że to n-nieprawda – szepnęła Evie. – To znaczy m-moja matka zmarła przy porodzie, lecz wiem, że to nie była moja wina.

Otoczywszy ramieniem barki Evie, Lillian zaprowadziła ją do najbliższego stolika. Annabelle i Daisy poszły w ich ślady.

– Evie, co możemy zrobić, aby uwolnić cię od tych ludzi?

Dziewczyna bezradnie wzruszyła ramionami.

– Mój ojciec jest t-taki chory. Pytałam, czy mogę z nim zamieszkać, lecz odmawia. Jest za słaby, aby powstrzymać rodzinę matki, g-gdyby chcieli mnie stamtąd zabrać.

Wszystkie cztery milczały przez chwilę. Niewygodna rzeczywistość była taka, że choć Evie osiągnęła wiek odpowiedni, by wydostać się spod rodzinnej kurateli, niezamężna kobieta znajdowała się w osobliwej pozycji. Evie nie mogła odziedziczyć fortuny przed śmiercią ojca, a do tego czasu nie miała żadnych środków, by się utrzymać.

– Możesz zamieszkać ze mną i z panem Huntem w hotelu Rutledge – oświadczyła w końcu Annabelle z cichą determinacją. – Mój mąż nie pozwoli, by ktokolwiek cię od nas zabrał, jeśli nie będziesz sobie tego życzyła. To potężny człowiek, a...

– Nie. – Evie pokręciła głową, zanim Annabelle zdołała dokończyć zdanie. – N-nigdy bym ci tego nie zrobiła... Narzucać się w taki sposób... Och, nigdy. Poza tym musisz wiedzieć, jak osobliwie by na to p-patrzone... Co by mówiono... – Znowu bezradnie pokręciła głową. – Ale rozważałam pewne wyjście. Ciotka Florence wpadła na pomysł, b-bym poślubiła jej syna. To kuzyn Eustace. Nie jest złym człowiekiem... To pozwoliłoby mi wyprowadzić się od krewnych...

Annabelle zmarszczyła nos.

– Hm. Wiem, że do dzisiaj praktykuje się zwyczaj, by pobierali się kuzynowie w pierwszej linii, niemniej brzmi to nieco... kazirodczo, nie sądzisz? Każde pokrewieństwo w tym kontekście wydaje się... uch.

– Chwileczkę – wtrąciła Daisy podejrzliwie, stając obok Lillian. – Poznałyśmy już kuzyna Eustace'a. Lillian, pamiętasz bal w Winterbourne House? – Oskarżycielsko zmrużyła oczy. – To on połamał krzesło, nieprawdaż, Evie?

Evie potwierdziła podejrzenia przyjaciółki niezrozumiałym pomrukiem.

– Dobry Boże! – zawołała Lillian. – Nie możesz rozważać małżeństwa z nim, Evie!

Annabelle zrobiła zdumioną minę.

– Jak to – połamał krzesło? Łatwo wpada w złość? Rzucił nim?

– Połamał je, siadając na nim – wyjaśniła Lillian z grymasem.

– Kuzyn Eustace jest dość postawny – przyznała Evie.

– Kuzyn Eustace ma więcej podbródków niż ja palców – przerwała jej niecierpliwie Lillian. – Był tak zajęty napychaniem sobie ust podczas balu, że nikt nie zdołał nawiązać z nim rozmowy.

– Gdy podałam mu dłoń, chcąc się z nim przywitać, wepchnął mi w nią niedojedzone skrzydełko pieczonego kurczaka – dodała Daisy.

– Zapomniał, że je trzymał – wyjaśniła Evie pojednawczo. – O ile pamiętam, przeprosił cię za to, że zniszczył ci rękawiczkę.

Daisy zmarszczyła brwi.

– To nie poruszyło mnie tak bardzo, jak próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, gdzie schował resztę kurczaka.

Ponaglana błagalnym spojrzeniem Evie, Annabelle postanowiła uspokoić wzburzone siostry Bowman.

– Nie mamy wiele czasu – oświadczyła. – Porozmawiamy o kuzynie Eustace’em w odpowiedniejszej chwili. A teraz, Lillian, moja droga, miałaś nam chyba coś powiedzieć?

Taktyka dywersyjna odniosła skutek. Ulegając przygnębionej minie Evie, Lillian chwilowo porzuciła temat Eustace’a i gestem poprosiła przyjaciółki, by usiadły przy stole.

– Wszystko zaczęło się od wizyty w perfumerii w Londynie... – Przy akompaniamencie okazjonalnych uwag Daisy opisała im wizytę w perfumerii pana Nettle’a oraz perfumy, które zamówiła, a które miały cechować magiczne zdolności.

– Interesujące – skomentowała Annabelle, uśmiechając się sceptycznie. – Masz je na sobie teraz? Pozwól mi powąchać.

– Za chwilę. Jeszcze nie skończyłam. – Lillian wyjęła fiolkę z torebki i postawiła ją na środku stołu. Perfumy mieniły się delikatnie w świetle padającym z pochodni otaczających taras. – Muszę wam jeszcze powiedzieć, co wydarzyło się dzisiaj. – Przeszła do opowieści o improwizowanej grze w palanta na boisku za stajniami i nieoczekiwanym pojawieniu się Westcliffa.

Annabelle i Evie przysłuchiwały się z niedowierzaniem. Obie szeroko otworzyły oczy ze zdziwienia na wieść, że hrabia postanowił wziąć udział w grze.

– Nic dziwnego, że lord Westcliff lubi palanta – mruknęła Annabelle. – To prawdziwy amator wszelkich aktywności na świeżym powietrzu. Lecz fakt, że zgodził się zagrać z tobą...

Lillian nagle się uśmiechnęła.

– Najwyraźniej jego antypatia do mnie uległa pod naporem obezwładniającej potrzeby wyjaśnienia mi, co robię źle. Zaczął od tego, że powiedział mi, jak mam poprawić swój zamach, a potem... – Jej uśmiech zbladł, gdy poczuła z zawstydzaniem, że jej twarz oblewa się rumieńcem.

– Potem cię objął – wtrąciła pospiesznie Daisy, gdy przy stoliku zapadła cisza.

– Słucham? – Annabelle aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Tylko po to, by mi pokazać, jak się trzyma kij. – Ciemne brwi Lillian niemal spotkały się nad grzbietem jej nosa. – W sumie nie jest istotne, co wydarzyło się podczas gry. Na prawdziwą niespodziankę przyszedł czas po jej zakończeniu. Westcliff prowadził Daisy i mnie najkrótszą drogą do domu, lecz rozdzieliliśmy się, gdy ojciec ze znajomymi wszedł na ścieżkę. Daisy umknęła do domu, podczas gdy hrabia i ja zostaliśmy zmuszeni schować się za żywopłotem. Gdy tam razem staliśmy...

Trzy paprotki pochyliły się, utkwivszy wzrok w przyjaciółce. Żadna nawet nie mrugnęła.

– Co się stało? – ponagliła Annabelle.

Lillian poczuła żar w koniuszkach uszu. Zaskakująco dużo wysiłku kosztowało ją wyrzucenie tego z siebie. Wbiła spojrzenie w buteleczkę perfum i mruknęła:

– Pocałował mnie.

– Wiedziałam! – zawołała Daisy. – Wiedziałam!

– Skąd... – zaprotestowała Lillian, lecz Annabelle od razu jej przerwała.

– Raz? Więcej niż raz?

Na myśl o zmysłowo powiązonym łańcuchu pocałunków Lillian zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Więcej niż raz – przyznała.

– Jak b-było? – zapytała Evie.

Z jakiegoś powodu Lillian nie przyszło do głowy, że przyjaciółki zażądają dokładnego opisu erotycznej sprawności lorda Westcliffa. Poirytowana falą żaru, która rozlała się na jej policzki, szyję i czoło, wywołując mrowienie, postanowiła jakoś je ułagodzić. Napłynęło do niej jednak zdumiewająco żywe

wspomnienie Westcliffa... twardości jego ciała, jego ciepłych ust... Jej wnętrze zamieniło się w płynny metal i nagle poczuła, że nie zdoła wyznać im prawdy.

– Strasznie – powiedziała, nerwowo poruszając stopami pod stołem. – Nikt jeszcze nie całował mnie tak źle, jak Westcliff.

– Ooch... – Z gardeł Daisy i Evie wyrwały się westchnienia zawodu.

Annabelle tymczasem posłała Lillian otwarcie powątpiewające spojrzenie.

– To dziwne. Plotki, które słyszałam, głoszą, że Westcliff jest bardzo biegły w sztuce zadowalania kobiet. – Lillian odpowiedziała niezobowiązującym stęknieniem. – Co więcej – kontynuowała Annabelle – niecały tydzień temu grałam w karty z kobietą, która oświadczyła przy stoliku, że Westcliff jest tak wspaniały w łóżku, iż już żaden inny kochanek mu nie dorówna.

– Kto tak twierdzi? – zapytała Lillian.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparła Annabelle. – Wyznanie to powierzono mi w zaufaniu.

– Nie wierzę. Nawet w kręgach, w których się obracasz, nikt nie ośmieliłby się mówić tak otwarcie w towarzystwie.

– Ośmielę się nie zgodzić. – Annabelle spojrzała na nią z wyższością. – Mężatki słyszą o wiele lepsze plotki niż niezamężne dziewczęta.

– Do diaska – wtrąciła Daisy zazdrośnie.

Przy stoliku znów zapadła cisza. Rozbawione oczy Annabelle napotkały rozgniewany wzrok Lillian. Ku rozgoryczeniu panny Bowman to ona pierwsza musiała spuścić oczy.

– No dalej – zażądała Annabelle głosem, w którym pobrzmiwał śmiech. – Powiedz prawdę... Czy Westcliff naprawdę tak okropnie całuje?

– Och, chyba jest znośny... – wyznała Lillian niechętnie. – Ale nie o to chodzi.

Oczy Evie zogromniały z ciekawości.

– A o c-co?

– O to, że Westcliff poczuł się zmuszony, by pocałować dziewczynę, którą gardzi, czyli mnie... z powodu tych perfum. – Lillian wskazała palcem małą błyszczącą buteleczkę.

Wszystkie cztery z zachwytem spojrzały na fiolkę.

– Niemożliwe – mruknęła Annabelle.

– Możliwe – potwierdziła Lillian.

Daisy i Evie milczały, wodząc wzrokiem pomiędzy dwiema starszymi koleżankami, jakby oglądały mecz tenisa.

– Lillian, fakt, że ty, najpraktyczniejsza dziewczyna, jaką znam, utrzymuje, iż posiada perfumy działające jak afrodyzjak, to najbardziej zdumiewająca...

– Afro... co?

– Eliksir miłosny – wyjaśniła Annabelle. – Lillian, jeśli lord Westcliff okazał ci zainteresowanie, to nie z powodu twoich perfum.

– A skąd ta pewność?

Annabelle uniosła brwi.

– Czy perfumy wywarły podobny wpływ na innych mężczyzn, których znasz?

– Nie zauważyłam – wyznała z oporami Lillian.

– Od jak dawna ich używasz?

– Około tygodnia, ale...

– Czy hrabia jest jedynym mężczyzną, na którego dotychczas zadziałały?

– Inni mężczyźni również na nie zareagują – zaprotestowała Lillian. – Po prostu jeszcze nie mieli okazji, by je poczuć. – Westchnęła, widząc niedowierzanie przyjaciółki. – Wiem, jak to brzmi. Ja też nie

wierzyłam w to, co mówił o perfumach pan Nettle. Aż do dzisiaj. Ale zapewniam cię, gdy tylko hrabia je poczuł...

Annabelle wbiła w nią pełne namysłu spojrzenie, wyraźnie zastanawiając się, czy to może być prawda.

Evie przerwała milczenie.

– Czy m-mogę je zobaczyć, Lillian?

– Oczywiście.

Evie sięgnęła po buteleczkę tak ostrożnie, jakby miała przed sobą wysoce wybuchowy środek. Wyjęła korek, podniosła buteleczkę do obsypanego piegami nosa i powąchała.

– N-nic nie czuję.

– Ciekawe, czy to działa tylko na mężczyzn? – rozmyślała na głos Daisy.

– Ja się zastanawiam – powiedziała Lillian powoli – czy gdyby któraś z was skropiła się tymi perfumami, wzbudziłaby w Westcliffie taki pociąg, jaki wzbudziłam ja? – Mówiąc to, patrzyła prosto na Annabelle.

Zrozumiawszy intencje przyjaciółki, Annabelle zrobiła komicznie oburzoną minę.

– O nie. – Zaczęła energicznie kręcić głową. – Jestem mężatką, Lillian, bardzo kocham swojego męża i nie zamierzam uwodzić jego najlepszego przyjaciela!

– Nie musiałybyś go uwodzić, rzecz jasna – wyjaśniła Lillian. – Skrop się tylko perfumami, po czym stań obok niego. Sprawdź, czy cię zauważy.

– Ja to zrobię – zadeklarowała entuzjastycznie Daisy. – W zasadzie uważam, że wszystkie powinnyśmy się skropić i sprawdzić, czy dzięki temu staniemy się bardziej atrakcyjne dla mężczyzn.

Evie zachichotała, a Annabelle przewróciła oczami.

– Nie mówisz poważnie.

Lillian posłała jej zuchwały uśmiech.

– Przecież nikomu to nie zaszkodzi, nieprawdaż? Uznaj to za eksperyment naukowy. Po prostu zbierasz dowody na poparcie pewnej teorii.

Z gardła Annabelle dobył się jęk, gdy dwie młodsze koleżanki wytrząsnęły kilka kropel perfum na swoje nadgarstki.

– To najgłupsza rzecz, na jaką się kiedykolwiek zgodziłam – oświadczyła. – To jeszcze absurdalniejsze niż gra w palanta w reformach.

– Pumpach – poprawiła ją Lillian automatycznie, kontynuując ich długotrwałą debatę na temat odpowiednich nazw dla określonych części bielizny.

– Daj mi to. – Z cierpiętniczą miną Annabelle sięgnęła po fiolkę, po czym zwilżyła aromatycznym eliksirem opuszkę palca.

– Użyj nieco więcej – doradziła jej Lillian, obserwując z satysfakcją, jak Annabelle wciera perfumy za uszami. – I nałóż trochę na szyję.

– Zazwyczaj nie noszę perfum – przyznała Annabelle. – Pan Hunt lubi zapach czystej skóry.

– Może Dama Nocy bardziej mu się spodoba.

Annabelle zrobiła przerażoną minę.

– Tak się nazywają te perfumy?

– To nazwa kwitnącej w nocy orchidei, która jest ich składnikiem – wyjaśniła Lillian.

– Och, świetnie – mruknęła sardonicznie Annabelle. – Już się bałam, że zostały nazwane na cześć jakiejś ladaczniczki.

Ignorując tę uwagę, Lillian sięgnęła po flakonik. Nałożyła kilka kropel perfum na swoją szyję i nadgarstki, włożyła zakorkowaną buteleczkę do torebki, po czym wstała od stołu.

– A teraz – powiedziała z satysfakcją, patrząc na paprotki – poszukamy Westcliffa.

ROZDZIAŁ 5

Nieświadom planowanej na niego napaści, Marcus zażywał relaksu w swoim gabinecie w towarzystwie szwagra, Gideona Shawa, oraz swoich przyjaciół – Simona Hunta i lorda St. Vincenta. Zebrali się w prywatnym pokoju, aby porozmawiać przed rozpoczęciem oficjalnej kolacji. Odchylając się na oparcie stojącego za masywnym mahoniowym biurkiem fotela, zerknął na tarczę kieszonkowego zegarka. Ósma – czas dołączyć do towarzystwa, zwłaszcza że to on był gospodarzem wieczoru. Nie wstał jednak z fotela, tylko zmarszczył brwi z ponurą miną człowieka, który ma do wypełnienia nieprzyjemny obowiązek.

Będzie musiał porozmawiać z Lillian Bowman. Zachował się dzisiaj wobec niej jak szaleniec. Porwał ją w ramiona i zaczął całować w niewytłumaczalnym przypiływie chybionej namiętności... Na samą myśl o tym niespokojnie poruszył się w fotelu.

Jego bezpośrednia natura nakazywała mu poradzić sobie z tą sytuacją w bezpośredni sposób. Istniało tylko jedno możliwe rozwiązanie – będzie musiał przeprosić za swoje zachowanie i zapewnić damę, że więcej to się nie powtórzy. Wolałby zawisnąć na szubienicy, niż spędzić następny miesiąc, skradając się po własnym domu i unikając tej kobiety. Nie sposób zignorować takiej sytuacji.

Żałował tylko, że nie potrafi stwierdzić, dlaczego w ogóle do tego doszło.

Nie mógł przestać myśleć o tej chwili za żywoplotem – o własnym zdumiewającym braku kontroli i – co jeszcze bardziej niewiarygodne – o pierwotnej satysfakcji płynącej z całowania tej irytującej sekretnicy.

– Zupełnie bez sensu – rozległ się głos St. Vincenta. Siedział na brzegu biurka, wpatrując się w stereoskop. – Kogo obchodzą cholerne krajobrazy i zabytki? Powinieneś zakupić karty przedstawiające kobiety, Westcliff. One byłyby warte obejrzenia w tym ustroju.

– Jestem gotów się założyć, że często je widzisz w trzech wymiarach – odparł Marcus drwiąco. – Czy nie za bardzo poświęcasz się studiowaniu kobiecej anatomii, St. Vincent?

– Ty masz swoje zainteresowania, ja mam swoje.

Marcus zerknął na szwagra, którego mina wyrażała uprzejmą obojętność, oraz na Simona Hunta, którego wyraźnie bawiła ta wymiana zdań. Wszyscy mężczyźni znacząco różnili się charakterami i pochodzeniem. Łączyła ich tylko przyjaźń z Marcusem. Gideon Shaw był „amerykańskim arystokratą”, jakkolwiek sprzecznie by to brzmiało, prawnikiem ambitnego jankeskiego kapitana żeglugi morskiej. Simon Hunt – przedsiębiorca, syn rzeźnika – był przenikliwy, rzutki i godny zaufania pod każdym względem. St. Vincent natomiast znany był jako pozbawiony zasad łajdak i niepoprawny kobieciarz. Spędzał czas na modnych przyjęciach i wieczorkach, na których zostawał tylko, dopóki rozmowa nie schodziła na tematy „nużące”, czyli takie, które miały jakieś znaczenie lub były warte dyskusji – w takich chwilach St. Vincent rejtował w poszukiwaniu nowych rozrywek.

Marcus nie widział cynizmu równie głęboko zakorzenionego, jak u St. Vincenta. Wicehrabia nigdy nie mówił, co naprawdę myśli, a jeśli nawet chwilami ogarniało go współczucie dla kogokolwiek, z wprawą je ukrywał. Ludzie nazywali go czasami zgubioną duszą, a St. Vincent faktycznie wydawał się już nie do uratowania. Bardzo prawdopodobne, że Hunt i Shaw nie tolerowałiby jego towarzystwa, gdyby nie jego przyjaźń z Marcusem.

Sam Marcus nie chciałby mieć z nim do czynienia, gdyby nie wspomnienia dni, które spędzili w szkolnej ławie. St. Vincent nieraz udowodnił swą wartość jako przyjaciel, robił, co w jego mocy, by pomóc Marcusowi wybrnąć z tarapatów, i dzielił się z nim słodyczami, które otrzymywał z domu, z nonszalancką hojnością. Zawsze też stawał u jego boku podczas bójki.

St. Vincent rozumiał, jak się czuje dziecko pogardzane przez rodziców, ponieważ jego ojciec nie był w niczym lepszy niż ojciec Marcusa. Chłopcy współczuli sobie i robili, co mogli, by sobie nawzajem pomagać. Gdy ukończyli szkołę, charakter St. Vincenta znacząco się pogorszył, lecz Marcus nie należał do tych, którzy zapominają o długach z przeszłości. Nie zamierzał odwrócić się plecami do przyjaciela.

St. Vincent usiadł w fotelu obok Gideona Shawa – obaj tworzyli osobliwe zestawienie. Jasnowłosi i szalenie hojnie obdarzeni przez naturę, znacząco jednak różnili się od siebie. Shaw był wytworny i przystojny, a swoim lekceważącym uśmiechem potrafił oczarować każdego. Jego twarz nosiła już pierwsze oznaki trudów życia, które pomimo ogromu dóbr doczesnych nie zawsze było dla niego łatwe. Wszystkie trudności na swojej drodze pokonywał jednak z wdziękiem i humorem. St. Vincenta cechowało natomiast egzotyczne męskie piękno – miał bladobłękitne kocie oczy, a jego wargi wykrzywiały się z pewnym okrucieństwem, nawet gdy się uśmiechał. Jego postawa wyrażała permanentną indolencję, którą próbowało naśladować wielu modnych londyńczyków. Gdyby ubieranie się jak dandys pochlebiało jego urodzie, St. Vincent bez wątpienia tak właśnie by się ubierał. Wiedział jednak, że ozdoby tylko odwracają uwagę od złotego splendoru jego wyglądu, dlatego też nosił proste, doskonale skrojone ubrania w ciemnych kolorach.

Jego obecność w gabinecie sprawiła, że rozmowa w naturalny sposób zeszła na temat kobiet. Trzy dni temu zameżna dama ciesząca się poważaniem w londyńskim świątku rzekomo starała się popełnić samobójstwo, ponieważ jej romans z St. Vincentem dobiegł końca. Wicehrabia uznał więc, że najwygodniej będzie uciec do Stony Cross Park, by uniknąć skandalu.

– Nedorzeczny pokaz melodramatyzmu – prychnął teraz St. Vincent, wodząc koniuszkami długich palców po krawędzi szklaneczki z brandy. – Wszyscy mówią, że podcięła sobie nadgarstki, podczas gdy w rzeczywistości podrapała je tylko szpilką do kapelusza, po czym wrzaskiem wezwała służącą, by jej pomogła. – Pokręcił głową z odrazą. – Idiotka. Po wszystkich tych staraniach, które podjęliśmy, aby utrzymać romans w tajemnicy, ona robi coś takiego. Teraz wie cały Londyn, włączając jej męża. I co zamierzała osiągnąć? Jeśli uważała, że ukarze mnie w ten sposób za to, że ją zostawiłem, ucierpi po stokroć bardziej. Ludzie zawsze obwiniają kobiety, zwłaszcza mężatki.

– Nie obawiasz się reakcji jej męża? – zapytał Marcus, koncentrując się jak zwykle na praktycznej stronie zagadnienia. – Nie będzie się mścił?

Wyraz pogardy na twarzy St. Vincenta jeszcze się pogłębił.

– Wątpliwe, jako że jest dwa razy starszy od swojej małżonki i od lat jej nie dotknął. Nie zaryzykuje wyzwania mnie na pojedynek, by ocalić jej tak zwany honor. Dopóki utrzymywała sprawę w tajemnicy, by oszczędzić mu miana rogowca, pozwalał jej na wszystko. Ona jednak musiała uczynić, co tylko w jej mocy, by ogłosić swoją niedyskrecję światu, mała idiotka.

Simon Hunt spojrzał na wicehrabiego pytająco.

– Ciekawe – zauważył cicho – że nazywasz romans jej niedyskrecją, a nie swoją.

– A jak mam go nazywać? – zapytał St. Vincent z emfazą. Światło lampy miękko oblewało zdecydowane rysy jego twarzy. – Ja byłem dyskretny, a ona nie. – Pokręcił głową z przeciągłym westchnieniem. – Niepotrzebnie pozwoliłem jej się uwieść.

– To ona uwiodła ciebie? – mruknął Marcus sceptycznie.

– Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte... – St. Vincent urwał. – Zaraz. Jako że nic nie jest dla mnie święte, pozwólcie, że ujmę to inaczej. Po prostu musicie mi uwierzyć, gdy mówię, że to ona

zainicjowała tę przygodę. Podrzuciła wskazówki na prawo i lewo, zaczęła się pojawiać wszędzie, dokąd się udałem, i przesyłała mi wiadomości, w których błagała mnie, bym ją odwiedził o dowolnej porze, zapewniając, że nie żyje z mężem. Nawet jej nie pragnąłem... Zanim jej dotknąłem, wiedziałem, że okaże się potworną nudziarą. Dotarliśmy jednak do punktu, w którym dalsze odmowy oznaczały brak wychowania, pojechałem więc do jej rezydencji, a ona powitała mnie w holu całkiem naga. Co miałem zrobić?

– Wyjść? – zasugerował Gideon Shaw z lekkim uśmiechem, wpatrując się w wicehrabiego jak w zajmującego rezydenta Królewskiej Menażerii.

– Tak trzeba było postąpić – zgodził się St. Vincent ponuro. – Nigdy jednak nie potrafiłem odmówić kobiecie, która pragnie igraszek. Poza tym upłynęło piekielnie dużo czasu, odkąd miałem kogoś w łóżku, co najmniej tydzień, byłem więc...

– Tydzień to dużo czasu? – przerwał mu Marcus, unosząc brew.

– Chcesz powiedzieć, że nie?

– St. Vincent, jeśli mężczyzna ma czas na kobiety częściej niż raz w tygodniu, ewidentnie nie ma co robić. Istnieje cała masa obowiązków, które powinny cię zajmować na tyle, byś przez tydzień obywał się bez... – Marcus urwał, szukając odpowiedniej frazy, by wyrazić myśli. – ...zmysłowych eskapad. – Jego słowa powitała głęboka cisza. Marcus zerknął na Shawa i zauważył, że uwagę jego szwagra nagle całkowicie pochłonęło strzepnięcie odpowiedniej ilości popiołu z cygara do kryształowej popielniczki. Zmarszczył brwi. – Jesteś zajęтым człowiekiem, Shaw, prowadzisz interesy na dwóch kontynentach. Oczywiście zgodzisz się z moją opinią.

Shaw uśmiechnął się lekko.

– Milordzie, jako że moje „zmysłowe eskapady” ograniczają się do mojej żony, która, tak się składa, jest również twoją siostrą, na dowód mego zdrowego rozsądku zmilczę w tym temacie.

St. Vincent uśmiechnął się leniwie.

– Wielka szkoda, że takie rzeczy jak zdrowy rozsądek stają na przeszkodzie interesującej konwersacji. – Przeniósł wzrok na Simona Hunta, który lekko marszczył brwi. – Hunt, ty możesz wyrazić swoją opinię. Jak często mężczyzna powinien kochać się z kobietą? Czy jeden raz w tygodniu to dowód niewybaczalnego rozpasania?

Hunt posłał Marcusowi przepaszające spojrzenie.

– Jakkolwiek nie lubię zgadzać się z St. Vincentem...

Marcus wykrzywił wargi w grymasie niezadowolenia.

– To powszechnie znany fakt, że seksualne pobłażanie sobie szkodzi zdrowiu, tak samo jak nadmierne picie i obżarstwo...

– Właśnie opisałeś mój idealny wieczór, Westcliff – mruknął St. Vincent z uśmiechem, po czym znów przeniósł uwagę na Hunta. – Jak często ty i twoja żona...

– To, co dzieje się w mojej sypialni, nie jest tematem do dyskusji – oświadczył stanowczo Hunt.

– Ale sypiasz z nią częściej niż raz w tygodniu?

– Pewnie, że tak.

– Co wcale mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę urodę pani Hunt – odparł gładko St. Vincent. Roześmiał się, gdy Hunt posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. – Och, nie patrz na mnie wilkiem... Twoja żona jest ostatnią kobietą na ziemi, której czyniłbym awanse. Nie zamierzam zginąć roztarty na miazgę przez twoje pięści rozmiarów szynki. Poza tym szczęśliwe mężatki nigdy mnie nie pociągały. Nieszczęśliwe są o wiele łatwiejsze. – Zerknął na Marcusa. – Wygląda na to, że jesteś w swej opinii odosobniony, Westcliff. Cnoty w postaci ciężkiej pracy i dyscypliny wewnętrznej nie stanowią konkurencji dla ciepłego kobiecego ciała w łóżku.

Marcus zmarszczył brwi.

– Są ważniejsze sprawy.

– Na przykład? – zapytał St. Vincent z przesadną cierpliwością zbuntowanego młodzieńca, który musi wysłuchać nieśmiałego wykładu z ust niedołęznego dziadka. – Podejrzewam, że zaraz powiesz coś o „postępie społecznym”. Przyznaj, Westcliff... – Zmrużył przebiegle powieki. – Gdyby diabeł zaproponował ci, że nakarmi wszystkie głodne sieroty w całej Anglii, pod warunkiem że nigdy już nie prześpisz się z kobietą, co byś wybrał? Sieroty czy własną gratyfikację?

– Nie odpowiadam na hipotetyczne pytania.

St. Vincent wybuchnął śmiechem.

– Tak właśnie myślałem. Jak widzę, sieroty znów miały pecha.

– Nie powiedziałem... – Marcus westchnął, zniecierpliwiony. – Nieważne. Moi goście czekają. Możecie dalej prowadzić tutaj tę bezsensowną dyskusję lub dołączyć do mnie w salonie.

– Pójdę z tobą – zadeklarował od razu Hunt, wstając z fotela. – Żona będzie mnie szukać.

– Tak jak moja mnie – dodał Shaw zgodnie, również wstając.

St. Vincent posłał Marcusowi szelmowskie spojrzenie.

– Boże, nie dopuść do tego, by jakakolwiek kobieta zaczęła wodzić mnie za nos. I co gorsza, bym był z tego taki cholernie zadowolony.

Z tą akurat opinią Marcus całkowicie się zgadzał.

Gdy jednak wychodzili powoli z gabinetu, zaintrygowała go refleksja, że Simon Hunt, który poza St. Vincentem był najbardziej zdeklarowanym kawalerem ze wszystkich jego znajomych, wydawał się zaskakująco zadowolony w małżeńskich okowach. Wiedząc lepiej niż ktokolwiek, jak kurczowo Hunt trzymał się swojej wolności i jak nieliczne były jego pozytywne relacje z kobietami, Marcus odczuwał zdumienie jego gotowością do rezygnacji z własnej autonomii. I to na rzecz kobiety pokroju Annabelle, która na pierwszy rzut oka wydawała się płytką, pochłoniętą sobą łowczynią mężów. Dopiero niedawno stało się jasne, do jakiego stopnia para była sobie oddana, a Marcus musiał w końcu przyznać, że Hunt dokonał słusznego wyboru.

– Nie żałujesz? – mruknął teraz do niego, gdy szli korytarzem. Shaw i St. Vincent podążali za nimi wolniejszym krokiem.

Hunt zerknął na przyjaciela z pytającym uśmiechem. Był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, którego otaczała taka sama aura bezkompromisowej męskości i który żywił takie samo głębokie zainteresowanie polowaniem i sportami jak Marcus.

– Czego?

– Że żona wodzi cię za nos.

Hunt uśmiechnął się kpiąco i pokręcił głową.

– Jeśli moja małżonka za coś mnie wodzi, to zapewniam cię, że za inną część ciała, Westcliff. I nie, wcale tego nie żałuję.

– Podejrzewam, że małżeństwo może się okazać pod pewnymi względami wygodne – rozmyślał Marcus na głos. – Masz pod ręką kobietę, która zaspokaja twoje potrzeby, że nie wspomnę o tym, iż jest bez wątpienia bardziej ekonomiczna w utrzymaniu niż kochanka. Istnieje też kwestia spłodzenia dziedziców...

Hunt parsknął śmiechem, słysząc, jak przyjaciel próbuje postawić sprawę w bardziej praktycznym świetle.

– Nie poślubiłem Annabelle z wygody. I choć nie prowadzę w tym zakresie rachunków, zapewniam cię, że nie jest tańsza niż kochanka. Co do płodzenia dziedziców – w ogóle o tym nie myślałem, gdy się jej oświadczałem.

– W takim razie dlaczego to zrobiłeś?

– Powiedziałbym ci, lecz nie tak dawno temu wyraziłeś nadzieję, że nie zacznę... Jak to ująłeś? Psuć atmosfery łzawymi sentymentami.

– Wierzysz, że jesteś w niej zakochany.

– Nie – odparł Hunt spokojnie. – Ja ją kocham.

Marcus wzruszył lekko ramionami.

– Jeśli tylko ta wiara czyni twoje małżeństwo bardziej znośnym, niech ci będzie.

– Dobry Boże, Westcliff... – mruknął Hunt. – Nigdy nie byłeś zakochany?

– Oczywiście, że byłem. Spotykałem kobiety, które przedkładałem nad inne pod kątem usposobienia i wyglądu fizycznego...

– Nie, nie, nie... Nie chodzi mi o przedkładanie kogoś nad kogoś innego. Chodzi mi o całkowite zaabsorbowanie kobietą, które napełnia cię desperacją, tęsknotą, ekstazą...

Marcus posłał mu lekceważące spojrzenie.

– Nie mam czasu na takie bzdury.

Hunt wzbudził w nim jeszcze większą irytację, znów parszkając śmiechem.

– Rozumiem więc, że miłość nie będzie czynnikiem decydującym, gdy przyjdzie ci kogoś poślubić?

– W żadnym razie. Małżeństwo to kwestia zbyt istotna, by decyzję o nim podejmować na podstawie zmiennych uczuć.

– Może masz rację – zgodził się Hunt chętnie. Zbyt chętnie, jakby tak naprawdę nie wierzył w to, co mówi. – Mężczyzna twojego pokroju powinien kierować się logiką w doborze małżonki. Z zainteresowaniem będę obserwował, jak to osiągasz.

Dotarli do jednego z saloników, w którym Livia taktownie zachęcała gości do ustawienia się w formalną procesję, aby przejść do jadalni. Gdy tylko zobaczyła Marcusa, przelotnie zmarszczyła brwi – jak na razie sama musiała sobie radzić. Odpowiedział na jej krytyczne spojrzenie bez cienia skruchy. Gdy wszedł głębiej do pokoju, zauważył, że Thomas Bowman i jego żona Mercedes stoją tuż po jego prawej stronie.

Marcus uściśnął dłoń Bowmana, spokojnego, korpulentnego mężczyzny z wąsami przypominającymi swoją gęstością szczotkę – jakby miały mu wynagrodzić brak włosów na głowie. Przebywając w towarzystwie, Bowman przejawiał roztargnienie kogoś, kto wolałby robić cokolwiek innego. Tylko gdy rozmowa schodziła na interesy – jakiegokolwiek interesy – zaczynał się ożywiać.

– Dobry wieczór – mruknął Marcus, pochylając się nad dłonią Mercedes Bowman. Była tak chuda, że knykcie i zagłębienia pod jej rękawiczką tworzyły powierzchnię, na której można by trzeć marchew. Była też bardzo uszczypliwą kobietą, kłębkim nerwów i skrywanej agresji. – Proszę przyjąć moje przeprosiny za to, że nie zdołałem państwa powitać tego popołudnia – kontynuował. – Bardzo się cieszę, mogąc znów państwa gościć w Stony Cross Park.

– Och, milordzie – pisnęła Mercedes – jesteśmy zachwyceni ponownym pobytem w pańskiej wspaniałej posiadłości! A co do tego popołudnia – nie przyłożyliśmy żadnej wagi do pańskiej nieobecności, jako że zdajemy sobie sprawę, jakim ważnym jest pan człowiekiem, ile trosk i obowiązków musi spoczywać na pana barkach. – Wykonała ręką gest, który przypominał Marcusowi ruchy polującej modliszki. – Ach, widzę tam moje dwie urocze córki... – Podniosła głos jeszcze bardziej: – Dziewczęta! Dziewczęta, patrzcie, kogo znalazłam. Chodźcie porozmawiać z lordem Westcliffem!

Marcus zachował kamienną twarz, mimo iż dostrzegł uniesione brwi otaczających go osób. Zerknął w kierunku, który wskazywały gwałtowne gesty Mercedes, i dostrzegł siostry Bowman – obie przeszły przemianę z zakurzonych urwisów grających w palanta za stajnią. Jego wzrok padł na Lillian, która miała

na sobie bladezieloną suknię ze stanikiem podtrzymywanym tylko parą małych złotych klipsów na ramionach. Zanim zdołał zapanować nad myślami, wyobraził sobie, że odpina klipsy i pozwala zielonemu jedwabowi osunąć się z kremowej skóry jej piersi i ramion...

Podniósł wzrok na jej twarz. Jej lśniąco sobolowe włosy były schludnie upięte na czubku głowy w misterne zwoje, które wydawały się zbyt ciężkie dla szczupłej szyi. Całkowicie odsłonięte czoło sprawiało, że jej oczy wydawały się jeszcze bardziej skośne. Gdy na niego spojrzała, na jej kości policzkowe wypłynął blady rumieniec. Lekko skinęła głową. Było widać, że ostatnie, czego pragnie, to przejść przez pokój do nich... do niego... Marcus nie mógł jej za to winić.

– Nie ma potrzeby wzywać córek, pani Bowman – mruknął. – Cieszę się towarzystwem przyjaciółek.

– Przyjaciółek! – zawołała Mercedes z pogardą. – Jeśli ma pan na myśli tę skandalistkę Annabelle Hunt, zapewniam pana, że nie pochwalam...

– Darzę panią Hunt najwyższym szacunkiem – wtrącił Marcus, posyłając kobiecie spokojne spojrzenie.

Zdumiona tą deklaracją, Mercedes zbladła nieco, po czym zaczęła pospiesznie wycofywać się ze swych wcześniejszych słów.

– Jeśli pan, tak doskonały znawca ludzkich charakterów, ceni panią Hunt, muszę się z panem zgodzić, milordzie. W zasadzie zawsze uważałam...

– Westcliff – przerwał żonie Thomas Bowman, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania tematem swoich córek i ich przyjaciółek – kiedy będziemy mieli możliwość porozmawiać o kwestiach zawodowych, które poruszyliśmy w najnowszej korespondencji?

– Jutro, jeśli pan chce – odparł Marcus. – Organizujemy poranną przejażdżkę konną, a potem śniadanie.

– Z przejażdżki zrezygnuję, lecz na śniadaniu będę.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Marcus pożegnał się krótkim ukłonem, aby zająć się innymi gośćmi dopraszającymi się jego uwagi. Chwilę potem do grupy dołączyła nowa osoba, a goście się rozstąpili, by zrobić miejsce dla drobnej lady Georgiany Westcliff, matki Marcusa. Miała mocno upudrowaną twarz i misternie upięte srebrzyste włosy. Jej nadgarstki, szyja i uszy ozdobione były ciężką biżuterią. Nawet jej laska lśniła dzięki złożonej rączce wysadzonej diamentami.

Niektóre staruszki pod zręczliwą fasadą ukrywały serce ze złota. Hrabina Westcliff do nich nie należała. Jej serce – jeśli w ogóle takowe posiadała – zdecydowanie nie było zrobione ze złota ani żadnej podobnie kowalnej substancji. Hrabina nie była piękną osobą. Gdyby zastąpić jej kosztowne stroje zwykłą suknią z surówki i fartuchem, można by ją wziąć za starzejącą się dojarzkę. Miała okrągłą twarz, małe usta, płaskie, ptasie oczy i nos niemający żadnego konkretnego kształtu ani rozmiaru. Jej najbardziej charakterystyczną cechą była jednak otaczająca ją aura cierpkiego rozczarowania, jak u dziecka, które właśnie otworzyło urodzinowy prezent i odkryło, że otrzymało dokładnie to samo, co rok wcześniej.

– Dobry wieczór, milady – przywitał matkę Marcus, przyglądając się jej z chłodnym uśmiechem. – Jesteśmy zaszczytzeni, że postanowiłaś dołączyć do nas tego wieczoru. – Hrabina często wymawiała się od takich oficjalnych kolacji, preferując jądanie posiłków w zaciszu swoich pokojów. Tego wieczoru postanowiła jednak zrobić wyjątek.

– Chciałam zobaczyć, czy są w tym tłumie jacyś interesujący goście – odparła ponuro, wodząc królewskim spojrzeniem po twarzach gości. – Wygląda jednak na to, że to typowa banda nudziarzy.

Wokół nich rozległy się nerwowe pokasywania i chichoty tych, którzy postanowili założyć, że komentarz miał być żartobliwy.

– Może powinnaś poczekać z wygłaszaniem takich opinii, dopóki nie przedstawię ci kilku osób – odparł Marcus, myśląc o siostrach Bowman. Jego krytyczna matka znalazłaby morze rozrywek w tej niepoprawnej parze.

W zgodzie z zasadami starszeństwa Marcus poprowadził do jadalni hrabinę, a goście niżsi rangą

podążyli w krok za nimi. Kolacje w Stony Cross Park były znane ze swej wystawności i ta nie należała do wyjątków. Podano osiem dań – w tym rybę, dziczyznę, drób i wołowinę – a każdemu z nich towarzyszyły nowe nakrycia i świeże aranżacje z kwiatów. Rozpoczęli od zupy żółwiowej, łososia pieczonego z kaparami, okonia i barweny w kremowym sosie oraz soczystego pioszka w delikatnym sosie krewetkowym. Następne danie składało się z sarniny z pieprzem, marynowanej w ziołach szynki, delikatnie smażonej grasicy w parującym sosie oraz pieczonego ptactwa w chrupiącej skórce. I tak dalej, i tak dalej, aż goście niemal pogrążyli się w letargu z przejedzenia i zaczęli wachlować twarze zaczerwienione od bezustannego napełniania kieliszków winem. Kolacja zakończyła się procesją deserów – migdałowymi sernikami, puddingami cytrynowymi i ryżowymi sufletami.

Zrezygnowawszy z deseru, Marcus raczył się kieliszkiem porto, od czasu do czasu zerkając na Lillian Bowman. W rzadkich chwilach, gdy nie gestykulowała i milczała, wyglądała jak skromna młoda księżniczka. Gdy jednak zabierała głos – wymachując przy tym widelcem i swobodnie przerywając rozmowy mężczyźni – wszystkie pozory królewskości zniknęły. Lillian była zdecydowanie zbyt bezpośrednia i zbyt pewna, że jej słowa są interesujące i godne wysłuchania. Nie starała się udawać, że imponują jej opinie innych, i wydawała się niezdolna do okazania komukolwiek szacunku.

Gdy rozmowy zaczęły cichnąć, goście powoli się rozeszli. Marcus siedł korytarzem z grupą znajomych, do których zaliczali się również Huntowie, gdy nagle zauważył, że Annabelle zachowuje się nieco osobliwie. Szła tak blisko niego, że ich łokcie wciąż się zderzały, i wachlowała się entuzjastycznie, choć wokół panował chłód. Zmrużył oczy ze zdziwieniem, gdy znów owionęła go chmura aromatyzowanego powietrza, po czym zapytał:

– Czy jest pani za ciepło, pani Hunt?

– Cóż, owszem... Panu również?

– Nie. – Uśmiechnął się do niej, zastanawiając się, dlaczego nagle przestała się wachlować i posłała mu pytające spojrzenie.

– Czuje pan coś? – szepnęła.

Z rozbawieniem pokręcił głową.

– Czy mogę zapytać, co panią gnębi, pani Hunt?

– Och, nic takiego. Zastanawiałam się tylko, czy może zauważył pan we mnie jakąś zmianę.

Poddał ją pobieżnej, obojętnej inspekcji.

– Pani fryzura – odgadł. Dorastając z dwiema siostrami, nauczył się, że ilekroć prosiły go o opinię na temat swego wyglądu i odmawiały podania przyczyny tego pytania, miało to coś wspólnego z ich włosami. Choć dyskusje na temat wyglądu małżonki najlepszego przyjaciela uchodziły w towarzystwie za nieco niestosowne, Annabelle traktowała go chyba po bratersku.

Uśmiechnęła się z żalem, słysząc jego odpowiedź.

– Tak, moja fryzura. Proszę mi wybaczyć, jeśli zachowuję się nieco dziwnie, milordzie. Obawiam się, że wypiałam za dużo wina.

Marcus roześmiał się cicho.

– Może nocne powietrze rozjaśni pani w głowie.

Simon Hunt, który akurat podszedł bliżej, usłyszał jego ostatnią uwagę. Położył dłoń na talii żony i z uśmiechem musnął ustami jej skroń.

– Zaprowadzić cię na taras?

– Tak, dziękuję.

Nagle Hunt znieruchomiał, wciąż pochylając głowę ku żonie. Choć Annabelle nie zauważyła poruszenia na twarzy męża, Marcus dostrzegł je i zaczął się zastanawiać, skąd u Hunta ta zmieszana, pełna rozkojarzenia mina.

– Wybacz nam, Westcliff – mruknął Hunt, po czym pociągnął małżonkę za sobą z nieuzasadnionym pośpiechem, zmuszając ją, by nadażała za jego długim krokiem.

Kręcąc głową z konsternacją, Marcus odprowadził wzrokiem parę zmierzającą do holu.

– Nic. Absolutnie nic – powiedziała Daisy ponuro, wychodząc z jadalni z Lillian i Evie. – Siedziałam pomiędzy dwoma dżentelmenami, którzy nie przejawiali żadnego zainteresowania mną. Albo te perfumy to oszustwo, albo obaj cierpią na anosmię.

Evie spojrzała na nią czujnie.

– Chyba n-nie wiem, co to znaczy...

– Wiedziałybyś, gdyby twój ojciec miał fabrykę mydła – mruknęła Lillian sucho. – Anosmia to całkowity brak powonienia.

– Och! W takim razie moi sąsiedzi p-przy stole cierpieli na tę samą przypadłość. Żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi. A co z tobą, Lillian?

– To samo – odparła dziewczyna, czując konfuzję i frustrację zarazem. – Te perfumy chyba jednak nie działają. A taka byłam pewna, że miały wpływ na Westcliffa...

– A czy kiedykolwiek wcześniej stawałaś tak blisko niego? – zapytała Daisy.

– Oczywiście, że nie!

– W takim razie moim zdaniem stracił po prostu głowę przez twoją bliskość.

– Och, cóż, oczywiście – mruknęła Lillian sarkastycznie. – Przecież jestem znaną na całym świecie kusicielką.

Daisy wybuchnęła śmiechem.

– Nie lekceważyłabym twych uroków, moja droga. Sądzę, że lord Westcliff zawsze...

Nie zdołała podzielić się swą opinią, ponieważ gdy weszły do holu, zauważyły lorda Westcliffa we własnej osobie. Nawet opierając się swobodnie ramieniem o kolumnę, emanował władczością. Wszystko w nim – od aroganckiego przechylenia głowy po pewną siebie postawę – znamionowało liczne pokolenia arystokratycznego wychowania. Lillian poczuła obezwładniającą pokusę, by podkraść się do niego i połaskotać go w jakieś czułe miejsce. Wpadłaby w zachwyt, gdyby ryknął na nią z irytacją.

Odwrócił głowę i z uprzejmym zainteresowaniem objął wzrokiem trzy młode damy, po czym skoncentrował się na Lillian. Wyraz jego oczu stał się o wiele mniej uprzejmy, a zainteresowanie nabrało nieco drapieżności, przez co Lillian głos uwiązł w gardle. Nie potrafiła zapomnieć o tym, że pod nieskazitelnie skrojonym czarnym surdudem z sukna kryje się umięśnione ciało.

– Jest p-przerażający – szepnęła Evie.

Lillian spojrzała na nią z rozbawieniem.

– To tylko mężczyzna, moja droga. Jestem przekonana, że służba pomaga mu wkładać spodnie po jednej nogawce naraz, jak wszystkim innym ludziom.

Daisy wybuchnęła śmiechem, słysząc tę lekceważącą uwagę, a Evie zrobiła zgorszona minę.

Ku zdumieniu Lillian Westcliff odepchnął się od kolumny i podszedł do nich.

– Dobry wieczór paniom. Mam nadzieję, że smakowała wam kolacja.

Oniemiała Evie zdołała tylko pokiwać głową, podczas gdy Daisy odparła z ożywieniem:

– Była wyborna, milordzie.

– Doskonale. Panno Bowman, panno Jenner... – Choć mówił do Evie i Daisy, nie odrywał wzroku od twarzy Lillian. – Proszę mi wybaczyć, lecz miałem nadzieję, że porwę waszą towarzyszkę na chwilę prywatnej rozmowy. Za waszym pozwoleniem...

– Ależ proszę – oświadczyła Daisy, posyłając siostrze przebiegły uśmiech. – Proszę ją zabrać, milordzie. Nie mamy z niej w tej chwili żadnego pożytku.

– Dziękuję. – Z powagą podał ramię Lillian. – Panno Bowman, czy będzie pani tak miła?

Lillian ujęła go pod ramię, odczuwając osobliwą kruchość, gdy prowadził ją korytarzem. Cisza pomiędzy nimi była niezręczna i nabrzmiała pytaniami. Westcliff od zawsze ją prowokował, lecz teraz zyskał zupełnie nową umiejętność – czuła się przy nim bezbronna i w ogóle się jej to nie podobało. W cieniu masywnej kolumny zatrzymał się i odwrócił twarzą do Lillian. Zdjęła dłoń z jego ramienia.

Jego usta i oczy znalazły się zaledwie kilka centymetrów nad jej oczami, ich ciała idealnie do siebie pasowały, gdy stali naprzeciwko siebie. Jej puls zaczął miękko, ale szybko stukotać w jej żyłach, a skóra zapłonęła nagle żarem zwiastującym oparzenie, jakby stanęła zbyt blisko ognia. Gęste rzęsy Westcliffa opadły nieco, gdy zauważył jej rumieniec.

– Panno Bowman – mruknął – zapewniam panią, że pomimo tego, co wydarzyło się dziś po południu, nie musi się pani mnie obawiać. Jeśli się pani zgodzi, chciałbym z panią porozmawiać w miejscu, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

– Oczywiście – odparła Lillian spokojnie. Spotkanie z nim sam na sam nosiło niewygodne znamiona schadzki kochanków i choć na pewno nie o to mu chodziło, nie zdołała opanować nerwowego dreszczu, który przebiegł po jej kręgosłupie. – Gdzie się spotkamy?

– Poranny salon otwiera się na oranżerię.

– Tak, wiem, gdzie to jest.

– Czy możemy umówić się tam za pięć minut?

– Dobrze. – Posłała mu całkowicie obojętny uśmiech, jakby bezustannie umawiała się na potajemne schadzki. – Ja pójdę pierwsza.

Idąc, czuła jego wzrok na plecach – z jakiegoś powodu wiedziała, że obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

ROZDZIAŁ 6

Gdy Lillian weszła do oranżerii, otoczył ją zapach pomarańczy. Cytryny, wawrzyny i mirt również nasycały swoim aromatem łagodnie rozgrzane powietrze. W wykafelkowanej podłodze czworobocznego budynku znajdowały się żelazne otwory wentylacyjne, przez które do środka równomiernie wpadało ciepło z pieców umieszczonych poniżej. Przez szklany sufit i błyszczące okna wlewało się światło gwiazd, rozjaśniając wnętrza zastawione rzędami tropikalnych roślin.

Oranżeria była zacieniona, tylko płomienie pochodni rozpraszały mrok. Na odgłos kroków Lillian odwróciła się szybko. Jej gest musiał wyrażać niepewność, ponieważ Westcliff zniżył głos, by powiedzieć spokojnie:

– To tylko ja. Jeśli woli pani spotkać się w innym miejscu...

– Nie – przerwała mu Lillian, nieco rozbawiona faktem, że najpotężniejszy mężczyzna w Anglii powiedział o sobie „to tylko ja”. – Lubię oranżerię. Szczerze mówiąc, to moje ulubione miejsce w całej posiadłości.

– Moje również – odparł, podchodząc bliżej. – Z wielu powodów, nie tylko dlatego że mogę tu zakosztować prywatności.

– Niewiele jej pan ma, prawda? Z tymi wszystkimi gośćmi w Stony Cross Park...

– Udaje mi się od czasu do czasu znaleźć chwilę samotności.

– A co pan robi, gdy jest pan sam? – Cała ta sytuacja zaczynała przypominać senne marzenie: rozmowa w oranżerii z Westcliffem, gra światła, padającego z pochodni, na jego surowej, lecz elegancko ukształtowanej twarzy.

– Czytam – rozległ się jego szorstki głos. – Spaceruję. Czasami pływam w rzece. – Nagle poczuła wdzięczność za panujący wokół mrok, ponieważ myśl o jego nagim ciele zanurzonym w wodzie wywołała u niej rumieniec. Biorąc jej nagłe milczenie za dowód skrepowania, Westcliff oświadczył ponuro: – Panno Bowman, muszę przeprosić za to, co się dziś wydarzyło. Nie potrafię wyjaśnić swego zachowania, była to chwila niepoczytalności, która nigdy więcej się nie powtórzy.

Lillian zeszytywniała, słysząc słowo „niepoczytalność”.

– Dobrze – powiedziała. – Przyjmuję pańskie przeprosiny.

– Może uspokoi panią świadomość, że pod żadnym względem mnie pani nie pociąga.

– Rozumiem. Dość już pan powiedział, milordzie.

– Gdybyśmy wylądowali oboje na bezludnej wyspie, w mojej głowie nie powstałaby myśl, by czynić pani awanse...

– Jestem tego świadoma – przerwała mu zimno. – Nie musi pan kontynuować.

– Chcę po prostu, by było jasne, że mój uczynek stanowił całkowitą aberrację. Nie należy pani do typu kobiet, który uważam za atrakcyjny.

– Dobrze.

– W zasadzie...

– Bardzo jasno się pan wyraził, milordzie. – Lillian skrzywiła się, przekonana, że to bez wątpienia najbardziej irytujące przeprosiny, jakie kiedykolwiek otrzymała. – Niemniej... jak mawia mój ojciec,

szczerą skrucha ma swoją cenę.

Westcliff posłał jej zaniepokojone spojrzenie.

– Słucham?

Powietrze między nimi zaiskrzyło wyzwaniem.

– Tak, milordzie. To żaden kłopot złożyć usta w słowa i zakończyć sprawę, prawda? Gdyby jednak szczerze żałował pan swego czynku, postarałby się pan wynagrodzić mi nieprzyjemności.

– Ja tylko panią pocałowałem – zaprotestował, jakby wyolbrzymiała ten incydent.

– Wbrew mojej woli – zauważyła z naciskiem. Jej mina wyrażała urażoną godność. – Może istnieją kobiety, które z radością powitałyby pana awanse, lecz ja do nich nie należę. I nie przywykłam do tego, by porywano mnie w ramiona i przemocą zmuszano do pocałunków, o które nie prosiłam...

– Brała w nich pani czynny udział – odparł z ponurym grymasem.

– Wcale nie!

– Ależ... – Uświadomiwszy sobie, że sprzeczka jest bezcelowa, Westcliff urwał i zaklął cicho.

– Niemniej – kontynuowała Lillian słodko – jestem gotowa wybaczyć i zapomnieć. Jeśli...

– Jeśli?

– Jeśli odda mi pan jedną drobną przysługę.

– To znaczy?

– Wystarczy, że poprosi pan swoją matkę, by patronowała mnie i mojej siostrze w nadchodzącym sezonie.

Jego oczy zogniły niepochlebnie, jakby sama myśl o tym wymykała się wszelkim granicom pojmowania.

– Nie.

– Potrzebujemy patronki – naciskała Lillian. – Bez niej nie uda nam się dokonać postępu w towarzystwie. Hrabina jest kobietą wpływową, powszechnie szanowaną, a jej poparcie zagwarantuje nam sukces. Jestem pewna, że znalazłby pan sposób, aby przekonać ją do pomocy...

– Panno Bowman – przerwał jej chłodno – sama królowa Wiktoria nie zdołałaby wprowadzić takiej pary rozwydrzonych dzikusów na drogę przyzwoitości. To niemożliwe. A zadowolenie pani ojca nie jest dla mnie dostateczną zachętą, bym zdecydował się narazić moją matkę na piekło, jakie jesteście w stanie stworzyć.

– Zakładałam, że tak właśnie pan odpowie. – Lillian zastanawiała się, czy ośmieli się pójść za głosem instynktu i podjąć ogromne ryzyko. Czy istniała szansa, by pomimo ewidentnego braku sukcesu eksperymentu z perfumami tego wieczoru zapach wciąż działał na Westcliffa? Jeśli nie, zamierzała zrobić z siebie prawdziwą idiotkę. Wzięła głęboki oddech i podeszła bliżej niego. – Cóż... nie pozostawia mi pan wyboru. Jeśli nie zgodzisz się mi pomóc, Westcliff, powiem wszystkim o tym, co wydarzyło się tego popołudnia. Zakładam, że wielu ludzi zareaguje rozbawieniem, gdy się dowie, że opanowany lord Westcliff nie potrafi powściągnąć swego pożądanego do przemądrzałej Amerykanki o skandalicznych manierach. Nie zdoła pan temu zaprzeczyć. Przecież nigdy pan nie kłamie, prawda?

Westcliff uniósł brew, posyłając jej spojrzenie, które powinno ją na miejscu unicestwić.

– Chyba przecenia pani swoje zalety, panno Bowman.

– Czyżby? Proszę to udowodnić.

Feudalni lordowie, którzy byli przodkami Westcliffa, musieli robić dokładnie takie same miny, gdy dyscyplinowali zbuntowanych chłopów.

– Jak?

Nawet w przyпіływie straceńczej odwagi Lillian musiała głośno przełknąć ślinę, zanim zdobyła się na odpowiedź:

– Proszę wziąć mnie w ramiona – zażądała – jak dziś po południu. I zobaczymy, czy tym razem będzie pan miał więcej szczęścia w panowaniu nad sobą.

Pogarda w jego oczach dowodziła, jaki żaloszny jego zdaniem jest jej wyzwanie.

– Panno Bowman, wygląda na to, że muszę mówić wprost. Nie pożądam pani. Dzisiejsze wydarzenia były błędem. Błędem, którego nigdy więcej nie popełnię. A teraz, jeśli mi pani wybaczy, moi goście...

– Tchórz.

Już miał się odwrócić, lecz na dźwięk tego słowa spojrział na nią z nagłą furią i niedowierzaniem. Lillian domyśliła się, że rzadko, jeśli w ogóle, zarzucano mu coś takiego.

– Coś ty powiedziała?

Musiała zmobilizować całą swoją siłę, by znieść jego lodowate spojrzenie.

– Ewidentnie boi się pan mnie dotknąć. Boi się pan, że straci nad sobą kontrolę.

Odwrócił wzrok i lekko pokręcił głową, jakby podejrzewał, że źle ją zrozumiał. Gdy znów na nią spojrział, jego oczy przepełniała prawdziwa wrogość.

– Panno Bowman, czy tak trudno pani pojąć, że po prostu nie chcę pani dotykać?

Uświadomiła sobie, że nie wprowadzałyby takiego zamieszania, gdyby naprawdę był pewien, że zdoła jej się oprzeć. Zachęcona tą myślą, podeszła do niego jeszcze bliżej. Zauważyła, że nagle całe jego ciało stężało.

– Nie chodzi o to, czy pan chce czy nie – odparła – lecz o to, czy zdoła mnie pan wypuścić, jeśli już mnie dotknie.

– Niewiarygodne – mruknął pod nosem, mierząc ją gniewnym spojrzeniem.

Znieruchomiła w oczekiwaniu, by podjął rękawicę. Gdy tylko pokonał dzielący ich dystans, jej uśmiech zbladł, wargi osobliwie zeszywniały, a serce zaczęło gwałtownie łomotać. Jedno spojrzenie na jego zdeterminowaną minę powiedziało jej, że to zrobi. Nie pozostawiła mu wyboru – musiał jej dowieść, że się myli. A jeśli to zrobi, ona już nigdy nie zdoła spojrzeć mu w oczy. Och, panie Nettle, pomyślała, oby magia tych perfum naprawdę zadziałała.

Poruszając się z wyraźną niechęcią, Westcliff niepewnie wziął ją w ramiona. Lillian miała wrażenie, że przyspieszone tętno wypycha powietrze z jej płuc. Jedną z szerokich dłoni położył pomiędzy jej napiętymi łopatkami, a drugą na jej krzyżu. Dotykał jej z przesadną ostrożnością, jakby była wykonana z jakiejś wybuchowej substancji. Gdy delikatnie ją do siebie przycisnął, jej krew zamieniła się w płynny ogień. Jej dłonie zdrząły w poszukiwaniu spokojnego miejsca, aż w końcu osunęły się na plecy jego surduta. Rozpłaszczyła je po obu stronach jego kręgosłupa i poczuła, jak twarde mięśnie prężą się pod warstwami podbijanego jedwabiem sukna i bawełny.

– Tego właśnie chciałaś? – Jego niski głos musnął jej ucho.

Podkurczyła palce w pantoflach, gdy jego gorący oddech połąskotał linię jej włosów. Odpowiedziała mu niemym skinieniem głowy. Ogarnęły ją zawód i wstyd, gdy uświadomiła sobie, że przegrała zakład. Westcliff zamierzał jej pokazać, z jaką łatwością przyjdzie mu ją wypuścić, a potem już zawsze będzie się z niej z tego powodu bezwzględnie natrząsał.

– Możesz mnie już puścić – szepnęła, wykrzywiając wargi w wyrazie pogardy dla samej siebie.

Nie poruszył się jednak. Jego ciemna głowa opadła nieco niżej, głęboko, niespokojnie nabrał powietrza. Lillian poczuła, że wdycha zapach na jej szyi, absorbuje go z leniwą, lecz wzmagającą się chciwością niczym nałogowiec wdychający potężne hausty narkotycznego dymu. Perfumy, pomyślała ze zdumieniem. Nie była to więc tylko jej wyobraźnia. Znów zadziałała magia. Dlaczego jednak Westcliff wydawał się jedynym mężczyzną, na którego działają? Dlaczego...

Jej myśli rozpięzły się pod naporem jego dłoni. Zadygotała, wyginając się w łuk.

– Niech to szlag... – wyszeptał Westcliff dziko. Zanim pojęła, co się dzieje, pchnął ją na najbliższą

ścianę. Jego gorączkowy, oskarżycielski wzrok przesunął się od jej oszołomionych oczu na rozchylone wargi. Jego cicha walka trwała jeszcze sekundę, lecz w końcu poddał się z przekleństwem i ich usta złączyły się w niecierpliwym skubnięciu.

Dłońmi przechylił jej głowę pod odpowiednim kątem i zaczął całować Lillian, delikatnie gryząc i szarpiąc, jakby jej wargi stanowiły egzotyczny przysmak, którym należy się delektować. Poczła słabość w kolanach i niemal straciła równowagę. To Westcliff, powtarzała sobie w duchu... Westcliff, mężczyzna, którego nienawidzę... Lecz gdy mocniej natarł na jej wargi, nie zdołała powstrzymać się przed odpowiedzią. Wygięła się ku niemu, instynktownie stanęła na palcach, aż ich ciała złąły się w jedno, a pulsujące miejsce pomiędzy jej udami wtuliło się w sztywną wypukłość pod zapinanym na guziki rozporkiem jego spodni. Uświadomiwszy sobie, co uczyniła, oblała się rumieńcem i spróbowała się odsunąć, lecz nie pozwolił jej na to. Zacisnął stanowczo dłoń na jej pośladkach i zatrzymał ją, podczas gdy jego usta pożerały jej wargi z palącą zmysłowością, a jego język nacierał głęboko, eksplorując wilgotne wnętrza jej policzków. Nie mogła złapać tchu, zachłysnęła się, gdy poczuła jego dłoń na swoim staniku.

– Chcę cię poczuć – wyszeptał w jej drżące wargi, szarpiąc niewzruszoną przeszkodę w postaci watowanej baskinki. – Pragnę cię całować... wszędzie...

Jej piersi pulsowały boleśnie pod ciasno zawiązanym gorsetem. Opętało ją szalone pragnienie, by zerwać z siebie pikowaną podszewkę i błagać go, by ukoił jej umęczoną skórę wargami i dłońmi. Zamiast tego przeczesła palcami jego gęste, wijące się włosy, a on całował ją w ferworze narastającej żądzy, aż jej myśli pierzchły, a cała zaczęła dygotać z pożądania.

Nagle pieśczoły ustały – Westcliff oderwał usta od Lillian i pchnął ją na smukłą kolumnę. Jego oddech się rwał, gdy odwrócił się i zacisnął dłonie w pięści.

Upłynęła długa chwila, zanim opanowała się na tyle, by przemówić. Perfumy zadziałały zaskakująco skutecznie. Jej głos był niski i chrapliwy, jakby właśnie obudziła się z długiego snu.

– Cóż... Myślę, że mamy odpowiedź na moje pytanie. Teraz więc... wracając do prośby o patronat... Nawet na nią nie spojrział.

– Rozważę ją – mruknął, po czym wyszedł z oranżerii.

ROZDZIAŁ 7

Annabelle, co ci się stało? – Następnego ranka Lillian dołączyła do paprotek, które siedziały przy stoliku w najdalszym kącie tylnego tarasu i jadły śniadanie. – Wyglądasz strasznie. Dlaczego nie włożyłaś stroju do jazdy konnej? Myślałam, że zamierzasz dziś rano skakać. I dlaczego wczoraj tak nagle zniknęłaś? To do ciebie niepodobne uciekać bez słowa...

– Nie miałam w tej kwestii żadnego wyboru – odparła Annabelle cierpko, otaczając palcami delikatną czarkę porcelanowej filiżanki. Była blada i wyczerpana, a pod jej niebieskimi oczami malowały się ciemne sińce. Przełknęła łyk mocno słodzonej herbaty, po czym podjęła wątek: – To wszystko przez te twoje przekłete perfumy... Gdy tylko je poczuł, całkiem oszalał.

Zszokowana, Lillian próbowała przyswoić tę informację, czując ciężar w dole brzucha.

– Westcliff... zareagował na nie? – zdołała zapytać.

– Dobry Boże, nie Westcliff! – Annabelle potarła zmęczone oczy. – Jego nie mogłoby mniej obchodzić to, jak pachnę. To mój mąż całkiem stracił rozum. Gdy tylko poczuł ten zapach, zaciągnął mnie do naszego pokoju i... Cóż, wystarczy, że powiem, iż pan Hunt przez całą noc nie dał mi zasnąć. Całą noc – powtórzyła z ponurą emfazą, po czym znów podniosła filiżankę do ust.

– A co robiliście? – zapytała Daisy w osłupieniu.

Lillian, która poczuła przyływ ulgi, że to nie lord Westcliff stracił głowę dla Annabelle, posłała siostrze szydercze spojrzenie.

– A jak myślisz? Grali w karty?

– Och – mruknęła Daisy, w końcu zrozumiała. Zerknęła na Annabelle z mało subtelną ciekawością. – Odniosłam wrażenie, że lubisz robić... to... z panem Huntem.

– Cóż, tak, oczywiście, że lubię, ale... – Annabelle urwała i zaczerwieniła się. – Chodzi o to, że jeśli mężczyzna jest pobudzony do tego stopnia... – Umilkła, gdy uświadomiła sobie, że Lillian z uwagą jej się przysłuchuje. Jako jedyna mężatka w tym gronie miała wiedzę na temat mężczyzn i spraw intymnych, która szalenie intrygowała jej przyjaciółki. Annabelle była osobą bezpośrednią, lecz nie zamierzała wyjawiać intymnych szczegółów swego pożycia z panem Huntem. Zniżyła głos do szeptu: – Powiedzmy, że mój mąż nie potrzebuje magicznych eliksirów, które zwiększają jego fizyczny apetyt.

– Jesteś pewna, że to przez perfumy? – zapytała Lillian. – Może coś innego na niego wpłynęło...

– To perfumy – przerwała jej Annabelle stanowczo.

Evie wtrąciła się z pytającą miną:

– D-dlaczego jednak nie pobudziły lorda Westcliffa, gdy miałaś je na sobie? Dlaczego zadziałały tylko na twego męża i nikogo więcej?

– I dlaczego nikt nie zauważył Evie ani mnie? – dodała niezadowolona Daisy.

Annabelle dopiła herbatę, nalala sobie więcej, wrzuciła do filiżanki kostkę cukru i ostrożnie zamieszała. Opuściwszy powieki, spojrzała na Lillian nad brzegiem filiżanki.

– A co z tobą, moja droga? Czy ciebie ktoś zauważył?

– Cóż... – Lillian utkwiła wzrok w zawartości swojej filiżanki. – Westcliff – oświadczyła ponuro. – Znowu. Takie mam szczęście. Znalazłam afrodyzjak działający tylko na mężczyznę, którym gardzę.

Annabelle zakrzuszyła się herbatą, a Daisy przycisnęła dłoń do ust, by nie wybuchnąć śmiechem. Gdy Annabelle przestała się śmiać i kasłać, skierowała na Lillian zażawione oczy.

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaki zdenerwowany musi być Westcliff faktem, że czuje wobec ciebie taki pociąg, skoro oboje od początku tak się kłóciliście.

– Powiedziałałam mu, że powinien wynagrodzić mi swoje zachowanie i poprosić hrabinę, by została naszą patronką – powiedziała Lillian.

– Genialne! – zawołała Daisy. – Zgodził się?

– Przemyśli sprawę.

Annabelle odchyliła się na oparcie krzesła i utkwiała zamyślony wzrok w porannej mgle, która unosiła się nad lasem.

– Nie rozumiem... Dlaczego perfumy zadziałały tylko na pana Hunta i lorda Westcliffa? Dlaczego hrabia nie poczuł ich, gdy ja miałam je na sobie, podczas gdy ty...

– Może ta magia polega na tym, że pomagają odnaleźć prawdziwą miłość – podpowiedziała Evie.

– Bzdury – mruknęła Lillian, urażona tą myślą. – Westcliff nie jest moją prawdziwą miłością! Jest pompatycznym, wyniosłym durniem, z którym nigdy nie przeprowadziłam cywilizowanej rozmowy. Każda nieszczęsna kobieta, która go poślubi, utknie w Hampshire i będzie musiała spowiadać mu się ze wszystkiego, co zrobi. Nie, dziękuję.

– Lord Westcliff nie jest przecież zatęchłym wiejskim dżentelmenem – zaprotestowała Annabelle. – Często odwiedza swój dom w Londynie, jest wszędzie zapraszany. A co do jego wyniosłości... Cóż, z tym chyba nie mogę się kłócić. Dodam tylko, że jeśli się go lepiej pozna, zrzuca tę fasadę i potrafi być bardzo interesujący.

Lillian pokręciła głową, zaciskając usta.

– Jeśli perfumy działają tylko na niego, przestanę ich używać.

– Och, nie rób tego! – Oczy Annabelle rozbłysły wesołością i przebiegłością. – Przecież chcesz go dalej torturować.

– Tak, używaj ich dalej – zachęciła siostrę Daisy. – Wciąż nie mamy żadnego dowodu na to, że hrabia jest jedynym mężczyzną, którego uwiodą twoje perfumy.

Lillian zerknęła na Evie, która uśmiechała się lekko.

– Powinam? – zapytała.

Evie pokiwała głową.

– Dobrze więc, jeśli istnieje szansa, że mogę torturować lorda Westcliffa, nie chciałabym jej przegapić.

– Lillian wyjęła buteleczkę z kieszeni spódnicy. – Czy któraś chce znów spróbować?

Annabelle przewróciła oczami.

– Trzymaj je z dala ode mnie.

Pozostałe dziewczęta wyciągnęły dłonie. Lillian uśmiechnęła się i przekazała flakonik Daisy, która wytrząsnęła kilka dużych kropel na nadgarstki i kilka wtarła za uszami.

– Proszę – powiedziała z satysfakcją. – Użyłam dwa razy więcej niż zeszłej nocy. Jeśli moja prawdziwa miłość znajduje się w promieniu kilometra, na pewno do mnie przybiegnie.

Evie wzięła flakonik i zaaplikowała odrobinę płynu na szyję.

– Nawet jeśli nie z-zadziałają, to bardzo ładny zapach – oświadczyła.

Lillian schowała fiolkę do kieszeni, po czym wstała od stołu. Strzepnęła czekoladową spódnicę swojego stroju do konnej jazdy. Dłuższa strona miała guzik, dzięki któremu krawędź nie przeszkadzała w chodzeniu. Na końskim grzbiecie natomiast guzik należało odpiąć, aby materiał spłynął atrakcyjnie na boki i przyzwoicie okrył nogi. Włosy zaplotła w warkocze, które schludnie upięła u podstawy karku. Jej głowę ozdabiał mały kapelusik z piórkiem.

– Czas, aby jeźdźcy udali się do stajni. – Uniosła brwi. – Wy nie idziecie?

Annabelle posłała jej znaczące spojrzenie.

– Nie po poprzedniej nocy.

– Ja nie jeżdżę dobrze – wyznała Evie ze skruchą.

– To tak jak Lillian i ja – mruknęła Daisy, kierując na siostrę napominające spojrzenie.

– Ja umiem jeździć – zaprotestowała Lillian. – Dobrze wiesz, że jeżdżę nie gorzej niż mężczyzna!

– Tylko gdy jeździsz jak mężczyzna – zripostowała Daisy. Widząc brak zrozumienia na twarzach Annabelle i Evie, wyjaśniła: – W Nowym Jorku najczęściej jeździliśmy z Lillian okrakiem. Tak jest bezpieczniej i o wiele wygodniej. Nasi rodzice nie protestowali, jeśli trzymałyśmy się granic naszej posiadłości i wkładałyśmy pod spódnicę zapinane w kostkach bryczesy. Rzadko zdarzały się okazje, kiedy jeździliśmy bokiem w towarzystwie mężczyzn. Dlatego żadna z nas nie ma w tym wprawy. Lillian jest doskonałym skoczkiem, gdy jeździ po męsku. Według mojej wiedzy jednak nigdy nie skakała przez przeszkody w damskim siodle. To całkiem inna sytuacja, inna równowaga, inne mięśnie są używane, a tor z przeszkodami w Stony Cross Park...

– Cicho, Daisy – wymamrotała Lillian.

– ...na pewno okaże się prawdziwym wyzwaniem, przez które, jak zakładam...

– Zamknij się – rzuciła ostrzejszym tonem.

– ...moja siostra skręci sobie kark – zakończyła Daisy, mierząc Lillian gniewnym spojrzeniem.

Wymiana zdań zaniepokoiła Annabelle.

– Lillian, moja droga...

– Muszę już iść – ucieła Lillian. – Nie chcę się spóźnić.

– Wiem na pewno, że tor przeszkód lorda Westcliffa nie nadaje się dla nowicjusza.

– Nie jestem nowicjuszem – syknęła Lillian.

– Są na nim trudne przeszkody ze sztywnymi belkami na górze. Simon... to jest pan Hunt... zabrał mnie na tor wkrótce po tym, jak go wybudowano. Doradził mi, jak brać poszczególne przeszkody, lecz nawet z jego pomocą okazało się to bardzo trudne. Jeśli twoja postawa jeździecka nie jest idealna, możesz uniemożliwić swobodne ruchy końskiego łba i szyi, a wtedy...

– Poradzę sobie – przerwała jej Lillian chłodno. – Wielkie nieba, Annabelle, nie sądziłam, że jesteś taką tchórzliwą gąską.

Nieczuła na ostry ton Lillian Annabelle spojrzała na upartą twarz przyjaciółki.

– Czy naprawdę musisz się narażać?

– Powinnaś wiedzieć, że nigdy nie cofam się przed wyzwaniem.

– I jest to cecha godna podziwu, moja droga – padła łagodna odpowiedź Annabelle. – Chyba że wyzwanie nie jest warte wysiłku.

Jeszcze nigdy nie znalazły się tak blisko kłótni.

– Posłuchaj – mruknęła Lillian niecierpliwie – jeśli spadnę, będziesz mogła zmyć mi głowę, a ja wysłucham każdego twojego słowa. Nikt jednak nie powstrzyma mnie dzisiaj przed przejażdżką. Dlatego też twoje mielenie ozorem jest w tej kwestii niewarte wysiłku.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, żegnana poirytowanym okrzykiem Annabelle oraz niewyraźnym, lecz zrezygnowanym pomrukiem Daisy:

– W końcu to jej kark, więc może go sobie skręcić...

Gdy Lillian zniknęła, Daisy spojrzała na Annabelle z przeproszającym grymasem.

– Wybacz jej. Nie chciała zabrzmieć tak ostro. Wiesz, jaka jest.

– Ty nie musisz mnie przeproszać – odparła Annabelle sucho. – To Lillian powinno być przykro...

Choć pewnie prędzej piekło zamarznie, niż się do tego przyzna.

Daisy wzruszyła ramionami.

– Bywają takie chwile, kiedy moja siostra musi ponieść konsekwencje swoich czynów. Kocham w niej jednak to, że gdy zrozumie, jak źle zrobiła, przyzna się do tego, a nawet zażartuje z samej siebie.

Annabelle nie odpowiedziała uśmiechem.

– Ja też ją kocham, Daisy. Tak bardzo, że nie pozwolę, by naraziła się na niebezpieczeństwo. To jasne, że nie rozumie, jak ryzykowny jest ten tor przeszkód. Westcliff jest doświadczonym jeźdźcem i zbudował tor odpowiedni dla swoich umiejętności. Nawet mój mąż, wytrawny koniarz, twierdzi, że to wyzwanie. Jeśli Lillian nie potrafi skakać w damskim siodle... – Zmarszczyła czoło. – Myśl, że mogłaby zostać ranna lub zginąć w wyniku upadku, jest dla mnie nie do zniesienia.

– P-pan Hunt jest na tarasie – wtrąciła cicho Evie. – Stoi przy drzwiach balkonowych.

Wszystkie trzy spojrzały na postawnego, ciemnowłosego męża Annabelle. Ubrany w strój jeździecki, stał z grupą trzech mężczyzn, którzy podeszli do niego, gdy tylko postawił stopę na tarasie. Zaśmiewali się właśnie z jakiejś uwagi Hunta – bez wątpienia pikantnego żartu. Hunt był prawdziwym mężczyzną, bardzo lubianym przez stałych bywalców Stony Cross Park. Jego wargi wygięły się w sardonicznym uśmiechu, gdy spojrzał na gości siedzących przy stolikach na świeżym powietrzu, pomiędzy którymi przechadzali się służący z tacami pełnymi jedzenia i dzbankami świeżo wyciśniętego soku z owoców. Jego uśmiech zmienił się jednak, gdy zauważył Annabelle – cynizm zastąpiła czułość. Widząc to, Daisy poczuła lekką zazdrość. Pomiędzy parą zmieniło się powietrze, jakby połączyła ich niewyczuwalna, lecz intensywna więź, której nic nie mogłoby przerwać.

– Wybaczcie mi – szepnęła Annabelle.

Podeszła do męża, który ujął jej dłoń, gdy tylko się zbliżyła, i wycisnął na niej pocałunek. Spojrzał na jej uniesioną twarz, zacisnął palce na jej dłoni i pochylił ku niej głowę.

– Myślisz, że mówi mu o Lillian? – zapytała Daisy.

– Taką mam nadzieję – odparła Evie.

– Och, musi podejść do tej sprawy z największą dyskrecją – jęknęła Daisy. – Jeśli dojdzie do konfrontacji, Lillian uprze się jak osioł.

– Podejrzewam, że pan Hunt potrafi wykazać się ostrożnością. Jest przecież znany jako bardzo skuteczny negocjator w interesach, nieprawdaż?

– Masz rację. – Daisy poczuła się nieco lepiej. – Jest też przyzwyczajony do radzenia sobie z Annabelle, która również ma dość ognisty temperament. – Gdy rozmawiały, nie mogła nie zauważyć osobliwego fenomenu, który się wydarzył, gdy zostały z Evie same. Evie wydawała się zrelaksowana, a jej jąkanie się całkiem ustało.

Teraz pochyliła się i z nieskrępowaną gracją oparła podbródek na dłoni, kładąc łokieć na stole.

– Jak myślisz, co się pomiędzy nimi dzieje? To znaczy pomiędzy Lillian a lordem Westcliffem.

Daisy uśmiechnęła się smutno, czując ukłucie strachu o siostrę.

– Myślę, że przeraża ją świadomość, iż może uznać lorda Westcliffa za atrakcyjnego. A ona nie najlepiej reaguje na strach, zazwyczaj pakuje się przezeń w jakieś kłopoty. Stąd jej dzisiejsza determinacja, by zabić się na końskim grzbiecie.

– Dlaczego to ją przeraża? – Mina Evie wyrażała szczere zdumienie. – Moim zdaniem powinna się cieszyć z faktu, że przyciągnęła uwagę kogoś pokroju hrabięgo.

– Nie, gdy wie, że oznacza to bezustanne waśnie, gdyby coś miało z tego wyniknąć. Lillian nie chce, by jej ducha zmiądzzył ktoś tak potężny jak Westcliff. – Daisy westchnęła ciężko. – Ja również nie chciałabym tego dla niej.

Evie z wahaniem pokiwała głową.

– Podejrzewam, że hrabiemu trudno byłoby tolerować jej barwną naturę.

– Właśnie – potwierdziła Daisy z uśmiechem. – Evie, kochana... Podejrzewam, że mówienie o tym to z mojej strony całkowity brak taktu, lecz w ciągu ostatniej minuty ani razu się nie zająknęłaś.

Rudowłosa dziewczyna skryła nieśmiały uśmiech w dłoni, po czym spojrzała na Daisy spod firanek kasztanowych rzęs.

– Zawsze mi się poprawia, gdy jestem z dala od domu... z dala od mojej rodziny. Pomaga mi też, gdy pamiętam, by mówić powoli i myśleć o tym, co chcę powiedzieć. Gorzej mi, gdy jestem zmęczona lub gdy muszę rozmawiać z ob-obcymi. Nie ma dla mnie nic bardziej przerażającego niż pójście na bal i mierzenie się z całą salą ludzi, których nie znam.

– Kochanie – powiedziała Daisy miękko – następnym razem, gdy będziesz mierzyć się z całą salą nieznanymi, pamiętaj, że niektórzy z nich to przyjaciele czekający, byś ich odnalazła.

Poranek był rzeński i mglisty, gdy jeźdźcy zebrali się przed stajniami. Wśród nich znalazło się około piętnastu mężczyzn i dwie kobiety – poza Lillian. Panowie mieli na sobie ciemne surduty, bryczesy w odcieniach od płowego do musztardowego oraz wysokie buty. Panie włożyły stroje do konnej jazdy – dopasowane w talii, wykończone galonami i z obszernymi asymetrycznymi spódnicami zapinanymi z jednej strony. Służba i stajenni spacerowali pomiędzy nimi, przyprowadzając konie i pomagając jeźdźcom wspiąć się na nie po stopniach. Niektórzy goście przywieźli własne konie, inni korzystali z usług powszechnie znanego stada Marsdenów. Lillian zwiedziła już stajnie podczas poprzedniej wizyty, lecz teraz znów ogarnął ją zachwyt na widok piękna doskonale zadbanych koni czystej krwi, które prowadzono do czekających gości.

Stała przy jednym ze stopni w towarzystwie pana Winstanleya, kasztanowowłosego młodego mężczyzny o atrakcyjnych rysach, lecz słabo zarysowanym podbródku, i dwóch innych dżentelmenów – lorda Hewa i lorda Bazeleya – którzy gawędzili przyjacielsko, czekając na swoje rumaki. Ich rozmowa nie wzbudziła zainteresowania Lillian, toteż dziewczyna wodziła bezwiednie wzrokiem, aż zauważyła szczupłą postać Westcliffa, nadchodzącego od strony dziedzińca. Jego surdut, choć schludnie skrojony, nosił ślady częstego używania, a skóra jego butów była tak wytarta, że zmiękła niczym masło.

Niechciane wspomnienia sprawiły, że jej puls gwałtownie przyspieszył. Jej uszy zapłonęły, gdy przypomniała sobie jego jedwabiste szorstki szept. Pragnę cię całować... wszędzie... Świadoma niespokojnego poruszenia w swoim wnętrzu, obserwowała, jak Westcliff podchodzi do konia, którego dla niego wyprowadzono. Lillian pamiętała to zwierzę ze swoich poprzednich wizyt. Wierzchowiec o imieniu Brutus był tematem niemal każdej rozmowy o jeździectwie. Nie było w Anglii bardziej podziwianego rumaka – wspaniały ciemny gniadosz o inteligentnej, pracowitej dyspozycji. Miał wysoki popręg i muskularne, wyraźnie zaznaczone boki, które umożliwiały mu swobodną wędrówkę po trudnym terenie i zdumiewająco precyzyjne skoki. Na ziemi Brutusa cechowała żołnierska dyscyplina, w powietrzu natomiast szybował, jakby miał skrzydła.

– Ludzie mówią, że mając Brutusa, Westcliff nie potrzebuje drugiego konia – zauważył jeden z gości. Lillian, która stała już na stopniu, z ciekawością zerknęła na mężczyznę.

– Co to znaczy?

Kasztanowowłosey młodzieniec uśmiechnął się z niedowierzaniem, jakby wiedza na ten temat była powszechna.

– Podczas polowania jeździec potrzebuje zazwyczaj jednego konia na rano i drugiego na popołudnie – wyjaśnił. – Brutus jednak podobno ma wytrzymałość i odporność dwóch koni.

– Jak jego właściciel – zauważył inny z gości, a pozostali zachichotali.

Wciąż się rozglądając, Lillian dostrzegła, że Westcliff wdał się w rozmowę z Simonem Huntem, który tłumaczył mu po cichu coś, co wywołało zmarszczkę na czole hrabiego. Stojący obok swego pana Brutus

przestąpił z nogi na nogę i szturchnął hrabiego pyskiem z szorstkim uczuciem. Uspokoił się, gdy Westcliff pogłaskał go po chrapach.

Odwrociła wzrok, kiedy młody stajenny, jeden z chłopców, z którymi poprzedniego dnia grała w palanta, przyprowadził szczupłego siwka. Chłopiec mrugnął do niej konspiracyjnie, gdy stanęła na ostatnim stopniu. Odmrugnęła mu, czekając, aż sprawdzi zacisk popręgu i pas równowagi przy znieawidzonym damskim siodle. Oceniając konia spojrzeniem pełnym aprobaty, zauważyła, że siwek ma zwartą, wytworną budowę, nieskazitelny wygląd i wzrok pełen żywej inteligencji. Nie mógł mieć w kłębie więcej niż sto trzydzieści centymetrów. Idealny wierzchowiec dla damy.

– Jak się nazywa? – Na dźwięk jej głosu koń uważnie nadstawił ucho.

– Starlight, panienko. Dobrze pani spasuje, to najlepiej ułożony koń w całej stajni. Zaraz po Brutusie.

Lillian poklepała konia po jedwabistym karku.

– Wyglądasz jak dżentelmen, Starlight. Szkoda, że nie mogę cię dotknąć, jak należy, zamiast zawracać sobie głowę tym głupim damskim siodłem.

Siwek przechylił łeb, aby spojrzeć na nią ze zdumiewającym spokojem.

– Milord zastrzegł, że jeśli zechce pani jeździć, panienko, mam panię dać Starlighta – poinformował ją stajenny. Wyraźnie imponował mu fakt, że Westcliff osobiście zniżył się do tego, by wybrać dla niej wierzchowca.

– Jak miło – mruknęła Lillian, wsuwając stopę w strzemień i podciągając się lekko na siodło z trzema kulami. Próbowwała usiąść prosto i przenieść większość swego ciężaru na prawe udo i prawą kość miednicy. Prawą nogę zahaczyła o kulę, kierując palce do ziemi, a jej lewa noga swobodnie zawisała w strzemieniu. Nie było jej teraz niewygodnie, lecz wiedziała, że wkrótce poczuje w nogach ból, nieprzyzwyczajona do tej pozycji. Mimo to ujęła lejce i pochyliła się, by poklepać Starlighta raz jeszcze, czując dreszcz podniecenia. Uwielbiała jeździć konno, a ten rumak przewyższał wszystkie zwierzęta w stajni jej rodziców.

– Hm... panienko... – szepnął stajenny, po czym wstydliwie wskazał palcem jej spódnicę wciąż zapiętą na guzik. Gdy dosiadła konia, odsłoniła znaczną część prawej nogi.

– Dziękuję. – Lillian odpięła duży guzik na biodrze, aby materiał mógł spłynąć po jej łydce. Usatysfakcjonowana tym, że wszystko jest, jak być powinno, delikatnie ponagliła konia, aby odsunął się od stopnia. Starlight zareagował natychmiast, czuły na najlżejszy nacisk jej obcasa.

Dołączając do grupy jeźdźców kierujących się do lasu, poczuła dreszcz podekscytowania na myśl o torze przeszkód. Słyszała o dwunastu – wszystkie były sprytnie ustawione na torze wiodącym przez las i pole. Była przekonana, że może się zmierzyć z takim wyzwaniem. Nawet w damskim siodle siedziała pewnie – jej udo obejmowało wygięty róg, który pomagał utrzymać równowagę. Siwek był wspaniale szkolony, pełen ducha, lecz posłuszny. Z łatwością przeszedł od kłusa do gładkiego galopu.

Gdy podjechała bliżej toru, zauważyła pierwszą przeszkodę – trójkątne pudło wysokie na sześćdziesiąt centymetrów i szerokie na metr osiemdziesiąt.

– To nie będzie dla nas problem, prawda, Starlight? – szepnęła do konia.

Zwolnili do stępa, by dołączyć do grupy czekających jeźdźców. Zanim jednak tam dotarli, poczuła, że ktoś się do nich zbliża. Był to Westcliff na ciemnym gniadoszu; galopował ze swobodą i oszczędnością ruchów. Patrząc na niego, poczuła, jak włoski na przedramionach i karku stają jej dęba, jak zawsze, gdy dostrzegała zdumiewającą perfekcję takich wyczynów. Musiała przyznać, że hrabia na koniu wygląda zjawiskowo.

W przeciwieństwie do pozostałych dżentelmenów Westcliff nie włożył rękawiczek. Gdy przypomniała sobie delikatne otarcia jego pokrytych odciskami palców na swojej skórze, z trudem przełknęła ślinę i postanowiła unikać widoku jego dłoni na lejcach. Jedno ostrożne spojrzenie na jego twarz ujawniło, że

wyraźnie jest z czegoś niezadowolony. Pomiędzy jego ciemnymi brwiami widniała zmarszczka, a jego szczęka nie poruszała się, tworząc upartą linię.

Uśmiechnęła się beztrąsko.

– Dzień dobry, milordzie.

– Dzień dobry – padła cicha odpowiedź. Przez chwilę ważył słowa. – Czy jest pani zadowolona z wierzchowca?

– Tak, jest wspaniały. Podobno to panu powinnam za niego dziękować.

Wykrzywił lekko wargi, jakby ta sprawa nie miała żadnego znaczenia.

– Panno Bowman... Dowiedziałem się właśnie, że nie ma pani doświadczenia w jeździe w damskim siodle.

Jej uśmiech zbladł, a wargi nagle stężyły. Pamiętając, że Simon Hunt rozmawiał z Westcliffem nie dalej niż minutę temu, uświadomiła sobie z irytacją, że to Annabelle stoi za tym wszystkim. Do diabła z nią, pomyślała, wykrzywiając twarz w niezadowolonym grymasie.

– Poradzę sobie – odparła szorstko. – Proszę się tym nie martwić.

– Obawiam się, że nie mogę pozwolić, by mój gość narażał się na niebezpieczeństwo.

Spojrzała na swoje osłonięte rękawiczkami palce, które zacisnęły się na lejcach.

– Westcliff, jeżdżę równie dobrze, jak wszyscy pozostali. Niezależnie od tego, co panu powiedziano, mam doświadczenie z damskim siodłem. Jeśli więc zostawi mnie pan w spokoju...

– Gdyby poinformowano mnie o tym wcześniej, znalazłbym czas, aby zabrać panią na tor i ocenić poziom pani kompetencji. Niestety, jest na to za późno.

Właściwie odczytała jego słowa, stanowczość jego tonu i władczą aurę – wszystko to zaboląło.

– Mówi mi pan, że nie mogę dzisiaj jeździć?

Spojrzał na nią spokojnie.

– Nie na torze przeszkód. Może pani swobodnie galopować po całej posiadłości. Jeśli pani zechce, ocenię pani umiejętności w tym tygodniu. Zyska pani dzięki temu kolejną okazję. Dzisiaj jednak nie mogę na to pozwolić.

Nieprzyzwyczajona do tego, by ktoś mówił jej, co może, a czego nie może robić, Lillian przygryzła wargi, aby powstrzymać wybuch urażonych oskarżeń. Zamiast tego wykrztusiła z ledwie powściąganym spokojem:

– Doceniam pańską troskę o moje dobro, milordzie, pragnę jednak zasugerować kompromis. Proszę zobaczyć, jak pokonuję dwie, trzy pierwsze przeszkody, a jeśli uzna pan, że nie poradziłam sobie zadowolająco, zastosuję się do pańskiej decyzji.

– Nie zawieram kompromisów w kwestiach bezpieczeństwa – odparł stanowczo Westcliff. – Zastosuje się pani do mojej decyzji natychmiast, panno Bowman.

Traktował ją niesprawiedliwie. Zabraniał jej czegoś tylko po to, by pokazać, że ma nad nią władzę. Z trudem powstrzymując wybuch furii, poczuła, jak mięśnie wokół jej ust zaczynają drgać. Ku swemu wielkiemu rozgoryczeniu przegrała walkę z własnym gniewem.

– Poradzę sobie ze skokami – oświadczyła ponuro. – Udowodnię to panu.

ROZDZIAŁ 8

Zanim Westcliff zdołał zareagować, Lillian wbiła obcasy w boki Starlighta i pochyliła się w siodle, przenosząc ciężar tak, by ułatwić koniowi skok do przodu. Koń natychmiast uległ i zebrał się do pełnego galopu. Zacisnęła uda wokół kul siodła i poczuła, że jej postawa słabnie, a ciało przechyla się na bok – później dowiedziała się, że to dlatego, iż za bardzo spięła mięśnie. Dzielnie poprawiła biodra, gdy Starlight podjechał do przeszkody. Poczuła, jak koń unosi przednie nogi i korzystając z ogromnej siły tylnych, odrywa zad od ziemi. Poczuła chwilowe uniesienie, gdy przeleciał nad trójkątną skrzynią. Gdy lądowali, musiała jednak walczyć o to, by utrzymać się w siodle, większość impetu przyjęła bowiem na prawe udo, które naciągnęło się boleśnie. Mimo wszystko udało się jej to całkiem zacnie.

Okrzyknęła przeszkodę z triumfalnym uśmiechem, świadoma zdumionych spojrzeń zebranych jeźdźców, którzy bez wątpienia zastanawiali się, co ponagliło ją do tak impulsywnego skoku. Nagle zdziwił ją widok ciemnej plamy tuż za nią. Usłyszała tętent kopyt. Skonsternowana, nie miała nawet szansy zaprotestować ani się obronić, gdy jakaś siła porwała ją z siodła i brutalnie cisnęła na twardą powierzchnię. Zwisając bezradnie przez twarde jak skała uda Westcliffa, przejechała w tej pozycji kilka metrów, zanim zatrzymał konia, zeskoczył z niego i ściągnął ją na ziemię. Zamknął jej ramiona w bolesnym uścisku i zbliżył do niej rozwścieczoną twarz.

– Myślałaś, że do czegoś mnie przekonasz swoim niemądrym wybrykiem? – warknął, potrząsając nią lekko. – Korzystanie z moich koni to przywilej, który nadaję moim gościom. Przywilej, który ty właśnie straciłaś. Od tej chwili nie waz się postawić stopy w stajni, bo w przeciwnym razie osobiście wyrzucę cię z mojej posiadłości.

Lillian pobladła z gniewu.

– Zabieraj łapy, sukinsynu – odparła niskim głosem. Ku jej satysfakcji Westcliff zmrużył powieki, słysząc obelgę. Jego bolesny uścisk nie złagodniał jednak, a jego oddech stał się krótki i płytki, jakby pragnął zrobić jej krzywdę. Gdy jej niepokorny wzrok napotkał jego oczy, poczuła, jak przemyka pomiędzy nimi energetyczny impuls, niebezpośredni fizyczny przymus, który nakazał jej uderzyć go, zranić, powalić na ziemię i wdać się z nim w prawdziwą bitwę. Żaden mężczyzna jeszcze jej tak nie rozwścieczył. Gdy stali naprzeciwko siebie, mierząc się gniewnym wzrokiem, żar pomiędzy nimi wzmagął się, aż oboje zaczerwienili się i zaczęli szybciej oddychać. Żadne z nich nie było świadome tłumy oniemiałych gapiów wokół nich. Byli zbyt pochłonięci wzajemną niechęcią.

Ich milczącą potyczkę przerwał jedwabisty męski głos, z wprawą rozładowując napięcie:

– Westcliff, gdybyś mi powiedział, że zapewniasz takie rozrywki, przyszedłbym tu wcześniej.

– Nie wtrącaj się, St. Vincent – syknął Westcliff.

– Och, nawet o tym nie marzę. Chciałem tylko pochwalić sposób, w jaki radzisz sobie z tą sytuacją. Bardzo dyplomatycznie. Powściągliwie wręcz.

Łagodny sarkazm sprawił, że hrabia gwałtownie uwolnił Lillian z uścisku. Zatoczyła się do tyłu i od razu została złapana w tali przez dwie zwinne dłonie. Speszona, podniosła wzrok i napotkała zachwycającą twarz lorda Sebastiana St. Vincenta, niesławnego rozpustnika i uwodziciela.

Coraz mocniejsze światło słoneczne rozpędziło mgłę i przeszło ciemnozłote włosy St. Vincenta

pasmami błyszczącego bladego bursztynu. Lillian widywała go w oddali przy wielu okazjach, lecz nigdy nie zostali sobie przedstawieni. St. Vincent zawsze unikał paprotek na balach, na których przypadkiem się pojawiał. Już z oddali wydawał się uderzająco przystojny, ale z bliska egzotyczne piękno jego rysów niemal paraliżowało. Miał najbardziej niezwykle oczy, jakie kiedykolwiek widziała – jasnoniebieskie i kocie, ocienione gęstymi rzęsami i obramowane płowymi brwiami. Rysy miał zdecydowane, lecz wytworne, a jego skóra lśniła jak cierpliwie polerowany brąz. Wbrew oczekiwaniom Lillian wyglądał na niegodziwca, lecz nie rozpustnika, a jego uśmiech zręcznie przedarł się przez jej gniew, wzbudzając w niej niechętną odpowiedź. Taka obfitość uroku osobistego powinna być zakazana.

St. Vincent przeniósł wzrok na stężyłą twarz Westcliffa, uniósł brew i zapytał lekko:

– Czy mam odprowadzić winowajczynię do posiadłości, milordzie?

Hrabia pokiwał głową.

– Zabierz mi ją sprzed oczu – mruknął – zanim powiem coś, czego będę żałował.

– Ależ powiedz to, bardzo proszę – syknęła Lillian.

Westcliff podszedł do niej, piorunując ją wzrokiem, ale St. Vincent pospiesznie schował Lillian za swoimi plecami.

– Westcliff, twoi goście czekają – powiedział. – I choć jestem pewien, że bardzo się im podoba ten fascynujący spektakl, konie się niecierpliwią.

Hrabia odbył krótką, lecz dziką batalię ze swoją samodyscypliną, w końcu jednak zdołał przywołać na twarz obojętny wyraz. Skinął głową w kierunku posiadłości, w milczeniu nakazując St. Vincentowi, by usunął Lillian ze sceny.

– Czy mogę posadzić ją na moim koniu? – zapytał St. Vincent uprzejmie.

– Nie, do cholery – padła surowa odpowiedź. – Niech idzie do domu pieszo.

St. Vincent gestem nakazał stajennemu zająć się dwoma porzuconymi końmi. Podał ramię płonącej z gniewu Lillian, po czym spojrział na nią z błyskiem w jasnych oczach.

– Tak więc czekają panią lochy – poinformował ją. – Zamierzam osobiście nałożyć narzędzie do miażdżenia kciuków.

– Bez wahania przedłożyłabym tortury nad jego towarzystwo – odparła Lillian, zbierając dłuższy bok spódnicy i podpinając ją na całej długości.

Gdy odchodzili, zeszywniała, słysząc głos Westcliffa:

– W drodze możecie zatrzymać się przy lodowni. Panna Bowman powinna ochłonać.

Tocząc walkę z uczuciami, które chciał w końcu przywołać do porządku, Marcus odprowadzał Lillian wzrokiem, który powinien ją spopielić. Zazwyczaj potrafił wykonać krok do tyłu i dokonać obiektywnej oceny sytuacji. Tym razem jednak nic nie zostało z jego legendarnej samokontroli.

Gdy Lillian bezczelnie najeżdżała na przeszkodę, od razu zauważył, że na chwilę straciła równowagę, co potencjalnie było niebezpieczne w damskim siodle, a obawa, że spadnie z konia, sprawiła, że niemal się zatoczył. Przy tej prędkości mogła złamać kręgosłup lub kark. A on mógł tylko bezradnie na to patrzeć. Nagle oblał go zimny pot, poczuł mdłości, a gdy ta mała idiotka bezpiecznie wylądowała, jego strach zamienił się w palącą białą furję. Nie podjął świadomej decyzji, by do niej podjechać, lecz nagle oboje stali na ziemi, jego dłonie zaciskały się na jej wąskich ramionach, a on miał ochotę zmiażdżyć ją w objęciach w przypływie ulgi, pocałować ją, a potem rozszarpać gołymi rękami.

Fakt, że jej bezpieczeństwo tak wiele dla niego znaczyło... Nawet nie chciał o tym myśleć.

Wykrzywając twarz w gniewnym grymasie, podszedł do stajennego, który trzymał lejce Brutusa. Zagłębiony w ponurych rozważaniach, niemal nie zauważył, że Simon Hunt po cichu poradził gościom, by cieszyli się torem przeszkód, nie czekając na hrabiego.

Simon podjechał do niego po chwili z całkowicie obojętną miną.

– Będziesz skakał? – zapytał spokojnie.

W odpowiedzi Marcus podciągnął się na siodło, które zastukotało lekko, gdy Brutus poruszył się pod nim.

– Ta kobieta jest nieznośna – mruknął.

– Zamierzałeś sprowokować ją do skoku?

– Nakazałem jej coś całkowicie odwrotnego. Przecież słyszałeś.

– Tak, wszyscy cię słyszeli – mruknął Hunt sucho. – Pytam o twoją taktykę, Westcliff. To oczywiste, że kobieta pokroju panny Bowman wymaga łagodniejszego podejścia niż bezpośredni rozkaz. Co więcej, widywałem cię podczas negocjacji i wiem, że pod względem siły przekonywania nikt nie może się z tobą równać, może poza Shawem. Gdybyś tylko chciał, zdołałbyś pochlebstwami nakłonić ją do posłuszeństwa w mniej niż minutę. Zamiast tego z subtelnością maczugi postanowiłeś pokazać jej, kto tu rządzi.

– Nie zauważyłem dotąd twojej słabości do nadużywania hiperboli – sarknął Marcus.

– A do tego – kontynuował Hunt spokojnie – rzuciłeś ją we współczujące ramiona St. Vincenta. Boże drogi, przecież on pozbawi ją cnoty, zanim dotrą do posiadłości.

Marcus posłał przyjacielowi ostre spojrzenie. Pełzający w nim gniew nagle zastąpiła obawa.

– Nie zrobiłby tego.

– Dlaczego?

– Ona nie jest w jego typie.

Hunt roześmiał się cicho.

– To St. Vincent ma jakiś typ? Nie zauważyłem dotąd żadnych podobieństw pomiędzy obiektami jego podbojów, może poza tym, że wszystkie były kobietami. Brunetki, blondynki, pulchne, szczupłe... W swoich romansach jest zaskakująco pozbawiony uprzedzeń.

– Niech to wszystko szlag trafi – syknął Marcus pod nosem, po raz pierwszy w życiu doświadczając bolesnego ukłucia zazdrości.

Lillian koncentrowała się na tym, by stawiać stopę za stopą, podczas gdy chciała tylko wrócić do Westcliffa i obrzucić go obelgami za ten bezmyślny atak.

– Ten arogancki, pompatyczny ciołek...

– Spokojnie – usłyszała szept St. Vincenta. – Westcliff wpadł w prawdziwy szal, a ja wolałbym nie stawać w pani obronie. W każdej chwili mogę go pokonać na szable, lecz nie na pięści.

– Dlaczego nie? – mruknęła. – Ma pan dłuższy zasięg niż on.

– Za to on ma najwredniejszy prawy sierpowy, jaki kiedykolwiek widziałem. Poza tym mam niefortunny zwyczaj osłaniania twarzy, co często naraża mnie na ciosy w korpus.

Usłyszawszy bezwstydną zarozumiałość w tym stwierdzeniu, Lillian musiała się roześmiać.

– Często walczy pan z hrabią? – zapytała.

– Nie, odkąd ukończyliśmy szkoły. Westcliff wszystko robi nieco zbyt doskonale... Musiałem od czasu do czasu rzucić mu wyzwanie, aby mieć pewność, że jego próżność nie osiągnie gargantuicznych rozmiarów. O, może wybierzemy bardziej malowniczą trasę przez ogród?

Zawahała się na wspomnienie tych wszystkich opowieści, które słyszała o tym mężczyźnie.

– Nie jestem pewna, czy to mądre.

St. Vincent uśmiechnął się.

– A jeśli obiecuję na mój honor, że nie będę pani czynił awansów?

Po chwili namysłu Lillian pokiwała głową.

– W takim razie dobrze.

St. Vincent poprowadził ją przez mały liściasty zagajnik ku zwirowej ścieżce ocienionej przez rząd starych cisów. W pewnej chwili zauważył lekko:

– Powiniennem chyba ostrzec panią, że moje poczucie honoru jest całkowicie skrzywione i w związku z tym każda moja obietnica nie jest wiele warta.

– W takim razie ja powinnam chyba ostrzec pana, że mój prawy sierpowy jest pewnie z dziesięć razy wredniejszy niż prawy sierpowy Westcliffa.

Uśmiechnął się szeroko.

– Powiedz mi, kochanie, co się stało przyczyną rozłamu pomiędzy tobą a hrabią?

Zdumiona jego swobodną czułością, Lillian przez chwilę rozważała udzielenie wicehrabiemu reprimendy, lecz ostatecznie postanowiła to zignorować. Bądź co bądź, zachował się bardzo ładnie, rezygnując z porannej przejażdżki, by odprowadzić ją do posiadłości.

– Obawiam się, że był to rzadki przypadek nienawiści od pierwszego wejrzenia – odparła. – Ja uważam, że Westcliff jest krytycznym nudziarzem, on uważa mnie za złośliwego bachora. – Wzruszyła ramionami. – Może oboje mamy rację.

– Myślę, że żadne z was jej nie ma.

– Cóż, w zasadzie... ja trochę jestem bachorem.

Wargi St. Vincenta zadrżały od ledwie wstrzymywanego uśmiechu.

– Czyżby?

Lillian pokiwała głową.

– Lubię stawiać na swoim i jestem bardzo zła, gdy mi się nie udaje. W zasadzie często słyszę, że temperamentem przypominam moją babkę, która była dokową praczką.

St. Vincenta wyraźnie rozbawiła wzmianka o pokrewieństwie z praczką.

– Babcia była pani bliska?

– Och, była kapitalna! Ordynarna i pełna życia. Często mówiła rzeczy, od których śmiałam się tak, że bolał mnie brzuch. Och... przepraszam... chyba nie powinnam wypowiadać słowa „brzuch” w obecności dżentelmena.

– Jestem zszokowany – wyznał St. Vincent ponuro – lecz jakoś się z tego otrząsnę. – Rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje, po czym szepnął konspiracyjnie: – Wie pani, tak naprawdę nie jestem dżentelmenem.

– Jest pan przecież wicehrabią, czyż nie?

– Rzadko równa się to byciu dżentelmenem. Niewiele wie pani o arystokracji, nieprawdaż?

– Wydaje mi się, że więcej, niżbym chciała.

St. Vincent posłał jej zagadkowy uśmiech.

– A ja myślałem, że zamierza pani poślubić jednego z nas. Może się mylę, lecz czy pani i pani młodsza siostra nie jesteście dolarowymi księżniczkami, które przyjechały z kolonii, by upolować utytułowanych mężów?

– Z kolonii? – powtórzyła Lillian z krzywym uśmiechem. – Może pan nie słyszał, milordzie, lecz wygraliśmy w wojnie o niepodległość.

– Ach, pewnie zapomniałem sięgnąć tego dnia po gazetę. A więc?

– Tak – przyznała, oblewając się bladym rumieńcem. – Nasi rodzice przywieźli nas tutaj, żebyśmy znalazły mężów. Pragną wzbogacić rodzinną linię błękitną krwią.

– Pani również tego chce?

– Dzisiaj moim jedynym pragnieniem jest utoczyć trochę błękitnej krwi – mruknęła, myśląc o Westcliffie.

– Ależ z pani krwiożercza istota – zauważył St. Vincent ze śmiechem. – Współczuję Westcliffowi, jeśli ośmieli się znów stanąć na pani drodze. W zasadzie powinienem go chyba ostrzec... – Urwał, gdy zauważył nagły grymas bólu na jej twarzy i usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze.

Lillian poczuła przeszywające ostrze bólu w prawym udzie; zatoczyłaby się i upadła na ziemię, gdyby wicehrabia nie otoczył ramieniem jej pleców, by ją podtrzymać.

– Niech to szlag – szepnęła, zaciskając dłoń na udzie. Dokuczliwy skurcz mięśnia sprawił, że aż jęknęła przez zaciśnięte zęby. – Szlag, szlag...

– Co się stało? – zapytał St. Vincent, pomagając jej usiąść na ścieżce. – Skurcz?

– Tak... – Błada i drżąca, złapała się za nogę, gdy jej twarz wykrzywiła się w cierpieniu. – O Boże, ale boli!

Pochylił się nad nią, marszcząc z niepokojem brwi. W jego cichym głosie pobrzmiwało ponaglenie.

– Panno Bowman, czy zdołałaby pani na chwilę zignorować wszystko, co słyszała pani na temat mojej reputacji? Tylko na tyle, bym mógł pani pomóc? – Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek, lecz dostrzegła na jego twarzy tylko szczere pragnienie ulżenia jej w bólu, dlatego pokiwała głową. – Grzeczna dziewczynka – mruknął, po czym pomógł jej się nieco podnieść. Mówił szybko, aby odwrócić jej uwagę, gdy wsunął dłoń pod jej spódnicę z łagodną wprawą. – To zajmie tylko chwilę. Módlmy się, żeby nikt nas przy tym nie zobaczył, bo wygląda to bardziej niż skandalicznie. A wątpię, by ktokolwiek zaakceptował tradycyjną, lecz nieco nadużywaną wymówkę, że to skurcz nogi...

– Nie dbam o to – jęknęła. – Proszę mi tylko pomóc.

Poczuła, jak dłoń St. Vincenta mknie lekko po jej nodze. Ciepło jego skóry sączyło się przez cienki materiał jej reform, gdy szukał napiętego, drgającego mięśnia.

– Proszę bardzo. Teraz wstrzymaj oddech, kochanie.

Lillian poszła za jego rozkazem i poczuła, jak mocno ugniata mięsień dłonią. Niemal krzyknęła, gdy jej noga zapłonęła żywym ogniem, lecz nagle ból ustąpił. Aż osłabła z ulgi.

Osunęła się na jego ramię i odetchnęła głęboko.

– Dziękuję. Już mi lepiej.

Jego usta rozciągnęły się w nikłym uśmiechu, gdy zwinnie zakrył jej nogi spódnicą.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło. – Lillian ostrożnie naprężyła mięśnie.

– Bez wątplenia to rezultat pani wyczynów w damskim siodle. Zapewne naciągnęła pani mięsień.

– Tak musiało być. – Zaczerwieniła się lekko, gdy zmusiła się, by wyznać: – Nie przywykłam do skakania w damskim siodle... Do tej pory jeździłam głównie okrakiem.

Jego uśmiech powoli się pogłębił.

– Interesujące. Wygląda na to, że moje doświadczenia z Amerykankami były dotąd bardzo ograniczone. Nie miałem pojęcia, że jesteście takimi barwnymi istotami.

– Ja jestem barwniejsza niż większość – wyznała z zakłopotaniem.

St. Vincent uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bardzo chciałbym siedzieć tu i dalej z tobą rozmawiać, moja słodka, lecz będzie lepiej, jeśli odprowadzę cię do domu, skoro możesz już wstać. Nic dobrego nie wyniknie dla ciebie z tego, że spędzisz ze mną tyle czasu sam na sam. – Podniósł się zwinnie i podał jej rękę.

– Na razie spotykają mnie w związku z tym same dobre rzeczy – odparła, pozwalając, by pociągnął ją do siebie.

Podał jej ramię i przez chwilę patrzył, jak sprawdza sprawność swojej nogi.

– W porządku?

– Tak, dziękuję – odparła. – Jest pan dla mnie bardzo miły, milordzie.

Spojrzał na nią z osobliwym błyskiem w jasnoniebieskich oczach.

– Ja nie jestem miły, kochanie. Zachowuję się tak tylko wobec osób, które planuję wykorzystać.

Odpowiedziała mu beztroskim uśmiechem.

– Czy grozi mi z pana strony niebezpieczeństwo, milordzie?

Na jego twarzy wciąż malowały się spokój i wesołość, lecz jego oczy przybrały niepokojąco intensywny wyraz.

– Obawiam się, że tak.

– Hmm. – Przez chwilę studiowała jego wyczelowany profil, myśląc o tym, że pomimo całego jego pozerstwa kilka minut temu nie wykorzystał jej bezradności. – Jest pan zaskakująco bezpośredni w swoich złych zamiarach. Zastanawiam się przez to, czy naprawdę mam powody do obaw.

Jego jedyną odpowiedzią był enigmatyczny uśmiech.

Po pożegnaniu z lordem St. Vincentem Lillian wspięła się po stopniach na szeroki tylny taras. Usłyszała podekscytowany kobiecy gwar niosący się echem po kamieniach. Dziesięć młodych dam stało wokół jednego ze stołów, wszystkie zaangażowane w jakiś rodzaj gry lub eksperyment. Pochylały się nad rzędem szklanek, które napełniono różnymi płynami. Jedna z kobiet, w opasce na oczach, ostrożnie zanurzyła palce w najbliższej szklance, a wszystkie pozostałe zaczęły piszczeć i chichotać. W pobliżu siedziała grupa wdów, które przyglądały się temu z zainteresowaniem.

Nagle Lillian dostrzegła w tłumie swoją siostrę i podeszła do niej.

– Co to jest? – zapytała.

Daisy odwróciła się z zaskoczoną miną.

– Lillian – szepnęła, obejmując ją ramieniem – dlaczego wróciłaś tak szybko, moja droga? Miałaś jakieś kłopoty na torze przeszkód?

Lillian odciągnęła siostrę na bok, podczas gdy gra trwała w najlepsze.

– Można tak powiedzieć – przyznała zgryźliwie, po czym zrelacjonowała jej wydarzenia poranka.

Oczy Daisy zogromniały ze zdumienia.

– Dobry Boże – szepnęła. – Nie mogę sobie wyobrazić, że lord Westcliff stracił głowę w taki sposób. A co do ciebie... Coś ty sobie myślała, pozwalając lordowi St. Vincentowi na coś takiego?

– Cierpiałam – odszepnęła Lillian obronnym tonem. – W ogóle nie myślałam. Nie mogłam się nawet ruszyć. Gdyby tobie się to kiedyś przytrafiło, wiedziałabyś, co to za ból.

– Wolałabym stracić nogę, niż pozwolić zbliżyć się do niej mężczyźnie pokroju lorda St. Vincenta – mruknęła Daisy pod nosem. Przez chwilę rozważała sytuację, po czym zapytała: – Jakie to uczucie?

Lillian stłumiła śmiech.

– A skąd mam wiedzieć? Zanim ból ustąpił, jego ręka zniknęła.

– Do diaska. – Daisy zmarszczyła lekko brwi. – Myślisz, że komuś powie?

– Nie sądzę. Wydaje się dżentelmenem, mimo iż twierdzi coś przeciwnego. – Lillian zmarszczyła czoło, po czym dodała: – Na pewno dzisiaj był bardziej dżentelmenem niż lord Westcliff.

– Hmm. Skąd wiedział, że nie umiesz jeździć w damskim siodle?

Lillian spojrzała na siostrę, nie żywiąc urazy.

– Nie udawaj idiotki, Daisy... to oczywiste, że Annabelle powiedziała swojemu mężowi, a on poinformował Westcliffa.

– Mam nadzieję, że nie obrazisz się na Annabelle. Nigdy nie chciała, by ta sprawa urosła do takich rozmiarów.

– Mogła trzymać buzię na kłódkę.

– Bała się, że coś ci się stanie, jeśli skoczysz. Wszystkie się bałyśmy.

– Cóż, ja nie!

– Ale coś mogło ci się stać.

Lillian zawahała się, lecz jej grymas znikł, gdy wyznała szczerze:

– Bez wątpienia w końcu coś by mi się stało.

– W takim razie nie będziesz się gniewać na Annabelle?

– Oczywiście, że nie. Nie mogę jej winić za paskudne zachowanie Westcliffa.

Daisy odetchnęła z ulgą i pociągnęła siostrę do załoczonego stołu.

– Chodź, kochana, musisz zagrać w tę grę. Jest głupia, ale całkiem zabawna. – Dziewczęta, wszystkie

niezameżne, w wieku od kilkunastu do dwudziestu paru lat, rozstały się, by zrobić im miejsce. Podczas gdy Daisy wyjaśniała reguły, opaskę na oczy założono Evie, a dziewczęta zamieniły kolejność czterech szklanek. – Jak widzisz – tłumaczyła Daisy – w jednej szklance jest woda z mydłem, w drugiej sama woda, a w trzeciej woda zabarwiona na niebiesko. Czwarta szklanka jest pusta. Wybierając szklankę, przewidujesz, jakiego mężczyznę poślubisz.

Wszystkie patrzyły, jak Evie ostrożnie dotyka jednej ze szklanek. Zanurzyła palec w wodzie z mydłem, zaczekała, aż zdjęto jej opaskę, i spojrzała na swój wynik z rozczarowaniem, podczas gdy pozostałe dziewczęta wybuchnęły śmiechem.

– Woda z mydłem oznacza ubożego mężczyznę – wyjaśniła Daisy.

Evie wytarła palce i zawołała pogodnie:

– D-dobrze, że w ogóle wyjdę za mąż.

Kolejna dziewczyna czekała z uśmiechem pełnym wyczekiwania, aż koleżanki zasłonią jej oczy i zamienią szklanki miejscami. Wyciągnęła rękę, niemal przewracając jedno z naczyń i zanurzyła palec w niebieskiej wodzie. Na widok swojego wyboru zrobiła zadowoloną minę.

– Niebieska woda oznacza, że poślubi uznanego pisarza – powiedziała Daisy i dodała: – Teraz ty!

Lillian posłała jej pytające spojrzenie.

– Chyba w to nie wierzysz?

– Och, nie bądź taka sceptyczna! Zabaw się trochę! – Daisy sięgnęła po opaskę i stanęła na palcach, aby związać ją mocno wokół głowy siostry.

Lillian pozwoliła, by poprowadzono ją do stołu. Uśmiechnęła się, słysząc zachęcające okrzyki otaczających ją kobiet. Szklanki zaszurały na blacie, gdy je przesuwano, a ona czekała z uniesionymi dłońmi.

– A jeśli wybiorę pustą szklankę? – zapytała.

Koło jej ucha rozległ się głos Evie:

– Umrzesz jako s-stara panna! – zawołała, a koleżanki wybuchnęły śmiechem.

– Nie wolno podnosić szklanek, aby ocenić ich ciężar – ostrzegła ją któraś z dziewcząt, chichocząc. – Nie zdołasz uniknąć pustej szklanki, jeśli takie jest twoje przeznaczenie.

– W tej chwili marzę o pustej szklance – odparła Lillian, prowokując kolejny wybuch śmiechu.

Gdy jej dłoń natrafiła na gładkie szkło, przesunęła palec w górę i zanurzyła je w chłodnym płynie. Słyszając wokół oklaski i wiwaty, zapytała:

– Czy ja też poślubię pisarza?

– Nie, wybrałaś czystą wodę – powiedziała Daisy. – Czeka na ciebie bogaty, przystojny mąż, moja droga!

– Och, co za ulga – mruknęła Lillian nonszalancko, zdejmując opaskę z oczu. – Czy teraz twoja kolej?

Jej młodsza siostra pokręciła głową.

– Ja byłam pierwsza. Przewróciłam szklankę dwa razy z rzędu i narobiłam strasznego bałaganu.

– Co to znaczy? W ogóle nie wyjdiesz za mąż?

– To znaczy, że jestem niezdara – odparła Daisy wesoło. – A poza tym kto wie? Może mój los nie został jeszcze przypieczętowany. Dobra wiadomość jest taka, że twój mąż już do ciebie zmierza.

– Jeśli to prawda, łajdak się spóźnia – mruknęła Lillian.

ROZDZIAŁ 9

Wieści o sprzeczce pomiędzy Lillian a lordem Westcliffem szybko rozeszły się po całej posiadłości. Wczesnym wieczorem dotarły do uszu Mercedes Bowman, a rezultat nie był przyjemny.

– Może można by o tym incydencie zapomnieć, gdybyś tylko poczyniła niestosowną uwagę w obecności samego lorda Westcliffa – grzmiała Mercedes, krążąc po pokoju córek i dziko gestykulując chudymi rękami. – Ale ty musiałaś się z nim wyklócać, a potem sprzeciwić mu się przy wszystkich... Nie pojmujesz, jakie to rzuca na nas światło? Rujnujesz nie tylko swoje szanse na małżeństwo, lecz także szanse swojej siostry! Kto chciałby wżenić się w rodzinę takiego... filistra? – Czując ukłucie wstydu, Lillian posłała przeproszające spojrzenie siedzącej w kącie Daisy. Daisy pokręciła lekko głową, dodając jej otuchy. – Jeśli zamierzasz dalej zachowywać się jak dzikuska – kontynuowała Mercedes – będę zmuszona przedsięwziąć ostrzejsze środki, Lillian Odelle! – Lillian skurczyła się na sofie na dźwięk znienawidzonego drugiego imienia, którego użycie zawsze zwiastowało srogą karę. – Przez kolejny tydzień nie wychylisz nosa ze swego pokoju, chyba że pod moją kuratelą. Będę nadzorować każdy twój czyn, każdy gest i każde słowo, które padnie z twoich ust, dopóki nie uwierzę, że potrafisz zachowywać się jak rozsądna istota. Będzie to kara także dla mnie, ponieważ znajduję równie mało przyjemności w twoim towarzystwie, jak ty w moim. Nie widzę jednak alternatywy. Jeśli choć słowem zaprotestujesz, podwyższę twoją karę do dwóch tygodni! W czasie, kiedy nie będzie mnie w pobliżu, będziesz siedziała w swoim pokoju. Możesz czytać lub rozmyślać nad swoim nierozsądnym zachowaniem. Rozumiesz mnie, Lillian?

– Tak, matko. – Perspektywa bycia obserwowaną tak uważnie przez cały tydzień sprawiła, że Lillian poczuła się jak zwierzę zamknięte w klatce. Słumiła jednak okrzyk protestu i utkwiała zbuntowany wzrok w kwiatowym wzorze dywanu.

– Pierwsze, co zrobisz dzisiejszego wieczoru – kontynuowała Mercedes, podczas gdy jej oczy rzucały gniewne błyski – to przeprosisz lorda Westcliffa za kłopoty, jakie spowodowałaś. Odbędzie się to w mojej obecności, bym mogła...

– O nie. – Lillian wyprostowała plecy i zmierzyła matkę otwarcie zbuntowanym spojrzeniem. – Nie. Ani ty, ani nikt inny nie zdoła zmusić mnie do tego, bym go przeprosiła. Prędzej umrę.

– Zrobisz, co ci każę. – Mercedes zniżyła głos niemal do warkotu. – Przeprosisz hrabiego, wykazując całkowitą skruchę, albo nie opuścisz tego pokoju do końca naszego pobytu tutaj!

Lillian otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo Daisy wtrąciła pospiesznie:

– Mamo, czy mogę porozmawiać z Lillian na osobności? Tylko przez chwilę. Proszę.

Mercedes przeniosła wzrok z jednej córki na drugą, pokręciła głową, jakby zastanawiała się, dlaczego los pokarał ją takimi nieposłusznymi dziećmi, po czym wyszła z pokoju.

– Tym razem jest naprawdę zła – wymamrotała Daisy w groźnej ciszy, która zapadła po wyjściu matki. – Nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie. Niewykluczone, że będziesz musiała jej ulec.

Lillian spojrzała na nią z bezsilną furią.

– Nie przeproszę tego wyniosłego palanta!

– Lillian, nic cię to nie kosztuje. To tylko słowa. Nie musisz mówić szczerze. Wystarczy, że powiesz:

„Lordzie Westcliffie, prze...”.

– Nie zrobię tego – powtórzyła Lillian uparcie. – Kosztowałoby mnie to... moją dumę.

– Warto z tego powodu siedzieć w pokoju i przegapić te wszystkie wieczorki i kolacje, na których inni będą się bawili? Proszę, nie bądź uparta! Lillian, obiecuję, że pomogę ci zaplanować jakąś potworną zemstę na lordzie Westcliffie... coś naprawdę straszego. Tylko zrób teraz to, o co prosi cię matka. Przegrasz bitwę, ale wygrasz wojnę. Poza tym... – Daisy rozpaczliwie szukała kolejnego argumentu, by przekonać siostrę. – Poza tym nic nie zadowoli lorda Westcliffa bardziej niż fakt, że będziesz siedzieć tu w zamknięciu do końca naszej wizyty. Nie mogłabyś go wtedy irytować ani torturować. Co z oczu, to z serca. Nie dawaj mu tej satysfakcji!

Był to chyba jedyny argument, jaki mógł wpłynąć na starszą pannę Bowman. Zmarszczyła brwi i spojrzała na drobną twarz siostry o barwie kości słoniowej, z inteligentnymi ciemnymi oczami i nieco zbyt mocno zarysowanymi brwiami. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak to możliwe, że osoba wykazująca największą gotowość, by wziąć udział w kolejnej zuchwałej przygodzie, potrafiła zarazem najszybciej przemówić jej do rozumu. Wiele osób zwodziły częste momenty, kiedy Daisy dawała się ponieść fantazji, przez co nie zauważały one pokładów bezwzględnie zdrowego rozsądku kryjącego się za fasadą wróżki.

– Dobrze. Zrobię to – oświadczyła sztywno Lillian. – Choć pewnie udławię się przy tych słowach.

Daisy odetchnęła z ulgą.

– Odegram rolę twojej pośredniczki. Powiem matce, że się zgodziłaś i że nie powinna cię dalej pouczać, bo gotowaś zmienić zdanie.

Lillian opadła na sofę, wyobrażając sobie satysfakcję zadufanego Westcliffa, gdy zostanie zmuszona go przeprosić. Do diabła, to będzie nie do zniesienia. Gotując się z wściekłości, zaczęła obmyślać skomplikowaną zemstę na hrabim, która doprowadziłaby do tego, że błagałby o łaskę.

Godzinę później członkowie rodziny Bowmanów opuścili swoje pokoje – na przedzie szedł Thomas Bowman. Ich celem była jadalnia, gdzie miała się odbyć kolejna bombastyczna czterogodzinna kolacja. Dowiedziawszy się niedawno o skandalicznym zachowaniu najstarszej córki, Thomas ledwie kontrolował furię. Jego wąsy jeżyły się nad zaciśniętymi w wąską linię wargami.

Odziana w bladolawendową jedwabną suknię ozdobioną powodzią białej koronki na staniku i krótkich bufiastych rękawach, Lillian szła zdecydowanym krokiem za rodzicami, wysłuchując gniewnego monologu ojca:

– W chwili, gdy staniesz się przeszkodą w potencjalnym układzie biznesowym, wsadzę cię na statek do Nowego Jorku. To całe polowanie na mężów w Anglii okazało się dotychczas tylko kosztowne i bezproduktywne. Ostrzegam cię, córko, jeśli twoje sprawy zagroziły moim negocjacjom z hrabią...

– Jestem przekonana, że nie zagroziły – przerwała mu Mercedes nerwowo. Jej marzenia o utytułowanym zięciu zaczęły się chwiać niczym filiżanka ustawiona na krawędzi stołu. – Lillian przeprosi hrabiego Westcliffa, mój drogi, i wszystko się ułoży. Zobaczysz. – Idąc pół kroku za mężem, przez ramię posłała groźne spojrzenie starszej córce.

Po części Lillian miała ochotę skulić się ze wstydu, po części pragnęła wybuchnąć nienawiścią. Rzecz jasna, jej ojciec poczułby się urażony wszystkim, co mogłoby zagrozić jego interesom, lecz poza tym zupełnie nie obchodziły go jej czyny. Pragnął tylko, by córki nie zwracały mu głowy. Gdyby nie trzej bracia, Lillian nigdy by się nie dowiedziała, co oznacza choćby okruczeństwo męskiej uwagi.

– Aby mieć pewność, że przeprosisz hrabiego w odpowiednich okolicznościach – kontynuował Thomas Bowman, przystając, by posłać Lillian twarde spojrzenie – poprosiłem go o spotkanie w bibliotece jeszcze przed kolacją. Tam go przeprosisz – ku satysfakcji mojej i jego.

Lillian znieruchomiała i szeroko otworzyła oczy. Jej gniew przybrał formę palącej, dławiącej masy, gdy

zastanawiała się, czy Westcliff specjalnie zaaranżował sytuację tak, by udzielić jej lekcji pokory.

– Czy on wie, dlaczego poprosiłeś o to spotkanie? – wykrztusiła.

– Nie. Nie sędzę też, by spodziewał się przeprosin od jednej z moich niepoprawnych córek. Niemniej jeśli nie uznasz twoich przeprosin za satysfakcjonujące, wkrótce pożegnasz Anglię ostatnim spojrzeniem z pokładu parowca zmierzającego do Nowego Jorku.

Lillian nie była na tyle nierozważna, by potraktować słowa ojca jako czczą pogroźkę. Jego ton – w swej ponurej stanowczości – okazał się szalenie przekonujący. A myśl o wyjeździe z Anglii i – co gorsza – o rozstaniu z Daisy...

– Tak jest, sir – powiedziała przez zaciśnięte zęby i rodzina podążyła korytarzem w napiętym milczeniu.

Lillian cierpiała w duchu, gdy nagle poczuła drobną dłoń siostry w swojej dłoni.

– To nic nie znaczy – szepnęła Daisy. – Powiedz to szybko i miej to za...

– Cisza! – przerwało im stanowcze warknięcie pana Bowmana.

Natychmiast wyprostowały ręce.

Pogrążona w ponurych rozważaniach, Lillian niemal nie zwróciła uwagi na otoczenie, gdy weszła z rodziną do biblioteki. Drzwi były uchylone, a ojciec powiadomił hrabiego o swoim przybyciu, stanowczo pukając w futrynę, zanim zagonił żonę i córki do środka. Pomieszczenie było wysokie na sześć metrów, miało ruchome schody, a na dwóch poziomach galerie mieszczące kilometry książek. W powietrzu unosił się zapach skóry, welinu i świeżo woskowanego drewna.

Lord Westcliff pochylał się nad biurkiem, opierając dłonie na jego porysowanej powierzchni. Gdy weszli, oderwał wzrok od papierów, wyprostował się, a jego czarne oczy zmrużyły się na widok Lillian. Mroczny, surowy i nienagannie ubrany – ze swoim doskonale związanym fularem i gęstymi włosami, które bezwzględnie zaczesał do tyłu – stanowił idealne uosobienie angielskiego arystokraty. Nie sposób było pogodzić tego człowieka z wesołym, nieogolonym brutalem, który pozwolił Lillian zbić się z nóg na boisku do palanta.

Thomas Bowman popchnął córki i żonę na środek pokoju, po czym oświadczył szorstko:

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać, milordzie. Zapewniam, że to nie potrwa długo.

– Panie Bowman – odezwał się Westcliff niskim głosem – nie wiedziałem, że dostąpię zaszczytu spotkania również z pana rodziną.

– Obawiam się, że słowo „zaszczyt” jest tu nie na miejscu – odparł Thomas kwaśno. – Dowiedziałem się, że jedna z moich córek zachowała się w pana obecności skandalicznie. Teraz pragnie wyrazić swoją skruchę. – Wcisnął knykcie w plecy Lillian, by popchnąć ją w stronę hrabiego. – Słuchamy.

Westcliff zmarszczył brwi.

– Panie Bowman, to nie jest konieczne...

– Pozwoli pan powiedzieć mojej córce, co trzeba – przerwał Thomas, mocniej popychając Lillian.

Atmosfera w bibliotece stężała, gdy Lillian podniosła wzrok na Westcliffa. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się i nagle Lillian zrozumiała, że on wcale nie chce jej przeprosin. Nie, kiedy ojciec zmusza ją do tego w takim upokarzającym stylu. Z jakiegoś powodu nagle wszystko stało się dla niej łatwiejsze.

Przełknęła ślinę i spojrzała prosto w jego nieodgadnione, ciemne oczy, z których światło wydobywało iskierki intensywnej czerni źrenic.

– Przepraszam za to, co się wydarzyło, milordzie. Był pan dla nas wspaniałym gospodarzem i zasługuje pan na więcej szacunku, niż okazałam tego ranka. Nie powinnam była sprzeciwiać się pana decyzji w kwestii skakania przez przeszkody i nie powinnam była w ten sposób się do pana odzywać. Mam nadzieję, że przyjmie pan moje przeprosiny, wiedząc, że są szczere.

– Nie – odparł cicho Westcliff. Zamrugła, skonsternowana, myśląc z początku, że odrzuca jej

przeprosiny, ale on kontynuował: – To ja powinienem przeprosić, panno Bowman, nie pani. Pani żywiołową reakcję sprowokowała chwila arogancji z mojej strony. Nie mogę winić pani za to, że w ten sposób odpowiedziała pani na moją arbitralność. – Lillian próbowała ukryć zdumienie, lecz nie było to łatwe, gdy Westcliff zachował się całkiem przeciwnie, niż się spodziewała. Otrzymał idealną okazję, aby zmiażdżyć jej dumę... i postanowił tego nie robić. Nie potrafiła tego zrozumieć. W jaką grę teraz grał? Powiódł łagodnym wzrokiem po jej zdumionej twarzy. – Niewłaściwie okazałem to tego ranka – szepnął – lecz moja troska o pani bezpieczeństwo była szczerą. Stąd właśnie wybuch gniewu.

Patrząc na niego, Lillian poczuła, że pokłady odrazy, które tkwiły w jej piersi, zaczynają topnieć. Okazał się taki miły! I wcale nie wyglądał tak, jakby odgrywał jakąś rolę. Wydawał się autentycznie miły i pełen współczucia. Ogarnęła ją ulga, po raz pierwszy tego dnia zdołała głęboko odetchnąć.

– To nie był jedyny powód pana gniewu – oświadczyła. – Nie lubi pan również, by mu się sprzeciwiano.

Roześmiał się chrapliwie.

– Nie – przyznał z leniwym uśmiechem – nie lubię. – Uśmiech całkowicie odmienił surowe kontury jego twarzy, wypędzając naturalną rezerwę i zastępując ją urokiem po tysiącokrotnie potężniejszym niż typowa męska uroda. Lillian poczuła osobliwie przyjemny dreszcz.

– Czy teraz znów będzie mi wolno jeździć konno? – ośmieliła się zapytać.

– Lillian! – zbeształa ją matka.

Oczy Westcliffa rozbłysły rozbawieniem, jakby podobała mu się jej bezczelność.

– Tak daleko bym się nie posunął.

Złapana w aksamitne sidła jego spojrzenia, nagle uświadomiła sobie, że panującą pomiędzy nimi wrogość zastąpił rodzaj przyjacielskiego wyzwania... złagodzonego czymś niemal... zmysłowym. Dobry Boże... Kilka miłych słów ze strony Westcliffa, a ona była gotowa zrobić z siebie idiotkę!

Widząc, że sytuacja została wyjaśniona, Mercedes zaczęła paplać z entuzjazmem:

– Och, drogi lordzie Westcliffie, jakież z pana wspaniałomyślny dżentelmen! W żadnym razie nie jest pan arbitralny... ewidentnie kierowała panem troska o mojego samowolnego aniołka, co stanowi jeszcze jeden dowód pana nieskończonej dobroci!

Hrabia uśmiechnął się sardonicznie, zerkając pytająco na Lillian, jakby się zastanawiał, czy fraza „samowolny aniołek” jest właściwym określeniem. Podając Mercedes ramię, zapytał beznamiętnie:

– Czy mogę zaprowadzić panią do jadalni, pani Bowman?

Wpadając w euforię na myśl, że wszyscy zobaczą ją w towarzystwie samego lorda Westcliffa, Mercedes przyjęła jego ramię z westchnieniem radości. Podczas spaceru z biblioteki do salonu, w którym ustawiała się już oficjalna procesja do kolacji, wdała się w przerażająco długi monolog na temat swoich wrażeń z Hampshire, wplatając weń kilka krytycznych uwag, które w założeniu miały być dowcipne, a które sprawiały, że Lillian i Daisy zerkwały na siebie z niemą rozpaczą. Lord Westcliff przyjmował obcesowe obserwacje Mercedes z ostrożną uprzejmością, sprawiając, że jej maniery wydawały się jeszcze gorsze w kontraście z jego nienagannym wychowaniem. Po raz pierwszy w życiu Lillian pomyślała, że może jej wyrachowane unikanie etykiety wcale nie jest dowodem sprytu, jak zawsze myślała. Rzecz jasna, nie miała zamiaru stać się osobą nadętą i pełną rezerwy... lecz jednocześnie uznała, że to nie taka zła rzecz zachowywać się z odrobiną godności.

Bez wątpienia lord Westcliff odczuł obezwładniającą ulgę, gdy mógł rozstać się z Bowmanami przy wejściu do salonu, lecz nie pokazał tego po sobie żadnym słowem ani gestem. Spokojnie życzył im miłego wieczoru, uklonił się lekko, po czym podszedł do grupy, w której była jego siostra lady Olivia oraz jej małżonek pan Shaw.

Daisy odwróciła się do Lillian, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

– Dlaczego lord Westcliff był wobec ciebie taki miły? – szepnęła. – I dlaczego, na miłość boską, zaoferował ramię matce, a potem odprowadził nas aż tutaj, wysłuchując jej niekończącej się paplaniny?

– Nie mam bladego pojęcia – odszepnęła Lillian – lecz ewidentnie ma wysoką tolerancję na ból.

Simon Hunt i Annabelle dołączyli do grupy po drugiej stronie pokoju. Mimowolnym gestem wyglądając talię srebrzystoniebieskiej sukni, Annabelle spojrzała ponad tłumem w oczy Lillian i zrobiła zmartwioną minę. Najwyraźniej usłyszała już o konfrontacji na torze przeszkod. „Przepraszam”, wyszeptała bezgłośnie, a gdy Lillian pokręciła głową i przesłała jej niemą wiadomość: „Nic się nie stało”, odetchnęła z ulgą.

W końcu wszyscy przeszli do jadalni – Bowmanowie i Huntowie, ze względu na swój niski status społeczny, niemal na samym końcu.

– To pieniądz sprawia, że ostatni stają się pierwszymi – Lillian usłyszała zagadkowe stwierdzenie ojca. Domyśliła się, że niewiele ma cierpliwości dla zasad precedencji, których zawsze ściśle przestrzegano przy takich okazach. Uderzyło ją, że pod nieobecność hrabiny lord Westcliffi jego siostra lady Olivia unikali zbędnych formalności, zachęcając gości, by wchodzili do jadalni w naturalnym porządku zamiast w procesji. Gdy jednak hrabina brała udział w kolacji, wszyscy sztywno trzymali się tradycji.

Odniosła wrażenie, że lokajów w jadalni jest tylu, ilu było gości – wszyscy mieli na sobie oficjalne liberie, złożone z czarnych aksamitnych bryczesów, musztardowych kamizelek i niebieskich fraków. Sprawnie rozsadzili gości, a następnie rozlali wino i wodę, nie uroniwszy ani kropli.

Lillian zdumiała się, gdy zauważyła, że posadzono ją tuż przy szczycie stołu, obok lorda Westcliffa, zaledwie trzy miejsca od jego prawej dłoni. Miejsce tak blisko gospodarza było oznaką najwyższego szacunku i bardzo rzadko udostępniano je niezamężnej dziewczynie bez żadnego tytułu. Zastanawiając się, czy lokaj nie popełnił błędu, zerknęła ostrożnie na twarze gości siedzących najbliżej niej i odkryła, że ich również dziwi jej obecność tutaj. Nawet hrabina, która siedziała na drugim końcu stołu, patrzyła na nią ze zmarszczonym czołem.

Lillian posłała lordowi Westcliffowi pytające spojrzenie, gdy zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

Uniósł ciemną brew.

– Czy coś się stało? – zapytał. – Wydaje się pani nieco poruszona, panno Bowman.

Zgodnie z etykietą powinna się zaczerwienić i podziękować mu za ten nieoczekiwany zaszczyt. Gdy jednak spojrzała na jego twarz, która złagodniała w blasku świec, ośmieliła się odpowiedzieć z zuchwałą wręcz szczerością:

– Zastanawiam się, dlaczego siedzę tak blisko szczytu stołu. W świetle wydarzeń dzisiejszego poranka założyłam, że posadzi mnie pan raczej na tarasie z tyłu.

Pomiędzy gośćmi zapanowała martwa cisza, znamionująca zdumienie tak otwartą aluzją. Jeszcze bardziej zaskoczył ich Westcliff, śmiejąc się cicho i patrząc dziewczynie prosto w oczy. Po chwili również inni goście zmusili się do śmiechu.

– Znając pani zamiłowanie do kłopotów, panno Bowman, doszedłem do wniosku, że bezpieczniej będzie mieć panią na oku i pod ręką – odparł hrabia z rzeczową lekkością. Trudno byłoby się doszukać jakiegokolwiek aluzji w jego tonie, lecz Lillian poczuła osobliwy dreszcz, który przepłynął przez jej nerwy niczym ciepły miód.

Uniosła do ust kieliszek schłodzonego szampana i rozejrzała się po jadalni. Daisy siedziała niemal na końcu stołu i perorowała z ożywieniem – prawie przewróciła puchar z winem, gdy gestem zapragnęła podkreślić swoje słowa. Annabelle siedziała przy kolejnym stole, całkowicie obojętna na pełne podziwu męskie spojrzenia. Mężczyźni po jej obu rękach dosłownie promienieli, uradowani zrządzeniem losu, które posadziło ich obok tak czarującej towarzyszki, podczas gdy Simon Hunt ulokowany kilka krzeseł dalej patrzył na nich nienawistnie.

Evie, jej ciotka Florence oraz rodzice Lillian siedzieli przy najdalszym stole. Evie jak zwykle prawie nie odzywała się do siedzących po obu jej stronach mężczyzn, oniemiała i zdenerwowana patrzyła tylko w swój talerz. Biedna Evie, pomyślała Lillian ze współczuciem. Będziemy musiały coś poradzić na tę jej przekłątą nieśmiałość. Przypomniała sobie o swoich braciach kawalerach i zaczęła się zastanawiać, czy nie wyswatać Evie z którymś. Może zdołałaby nakłonić jednego, by odwiedził Anglię. Dobry Boże, każdy z nich byłby lepszym mężem dla Evie niż jej kuzyn Eustace. Najstarszy brat nazywał się Raphael, a bliźniacy – Ransom i Rhys. Pełni życia młodzi dżentelmeni. Z drugiej strony każdy z braci Bowman z pewnością przeraziłby Evie. Byli dobrodusznymi mężczyznami, lecz nikt nie nazwałby ich wyrafinowanymi, nawet przy najlepszych chęciach. Ani nawet cywilizowanymi.

Uwagę Lillian przykuła procesja lokajów, którzy wnieśli pierwsze danie: wazy z zupą żółtą i srebrne półmiski z turbotem w sosie z homarów, puddingiem z raków oraz pstrągiem w ziołach z duszoną sałata. Było to pierwsze z co najmniej ośmiu dań przeplatanych wyborem deserów. Na myśl o kolejnej przedłużającej się kolacji Lillian stłumiła westchnienie i podniosła głowę. Napotkała wzrok Westcliffa, który przyglądał się jej subtelnie. Nic jednak nie powiedział i to ona pierwsza przerwała milczenie.

– Pański wierzchowiec Brutus to doskonały koń, milordzie. Zauważyłam, że nie używa pan przy nim ostróg ani bata.

Rozmowy wokół ucichły, a Lillian przeraziła się, że popełniła kolejne faux pas. Może niezamężna dziewczyna nie powinna odzywać się nieproszona? Westcliff na szczęście od razu jej odpowiedział:

– Rzadko używam bata i ostróg, niezależnie od konia, panno Bowman. Zazwyczaj jestem w stanie osiągnąć zamierzone rezultaty bez tego.

Lillian stwierdziła w duchu, że zapewne jak wszyscy i wszystko w posiadłości gniadosz nie ośmieliłby się nawet pomyśleć o nieposłuszeństwie wobec swego pana.

– Wydaje się mieć łagodniejszy temperament niż typowy koń czystej krwi – zauważyła.

Westcliff odchylił się na oparcie krzesła, gdy lokaj położył na jego talerzu porcję pstrąga. Światło świec igrało w krótkich warstwach jego czarnych włosów. Lillian nie mogła zapomnieć, jak ciężkie wydawały się pod jej palcami.

– W zasadzie Brutus to mieszaniec. Pochodzi od konia czystej krwi i irlandzkiego drafta.

Wszyscy wokół przysłuchiwali się ich rozmowie z uwagą. Gdy Westcliff skończył mówić, jeden z dżentelmenów rzucił jowialnie:

– Wyborne zwierzę, ten Brutus! Potomek Eclipse’a, prawda? Od razu można zauważyć krew Darleya Arabiana...

– To bardzo postępowe z pana strony dosiadać mieszańca – wymamrotała Lillian.

Westcliff uśmiechnął się lekko.

– Czasami bywam postępowy.

– Tak słyszałam... lecz dotychczas nie miałam na to żadnych dowodów.

Rozmowy przy stole znów ucichły, gdy goście usłyszeli prowokujący komentarz Lillian. Zamiast się zirytować, Westcliff przyglądał się jej z nieskrywanym zainteresowaniem. Nie sposób było ustalić, czy to zainteresowanie mężczyzny atrakcyjną kobietą, czy też może pewną osobliwością natury. Niemniej z pewnością było to zainteresowanie.

– W życiu staram się kierować logiką – wyjaśnił – co czasami prowadzi do naruszenia tradycji.

Lillian uśmiechnęła się kpiąco.

– Pana zdaniem tradycja nie zawsze cechuje się logiką?

Westcliff lekko pokręcił głową, a jego oczy rozblęły jeszcze mocniej, gdy podniósł do ust kieliszek z winem i spojrzał na nią ponad lśniąca kryształową krawędzią.

Inny dżentelmen rzucił żartobliwą uwagę na temat uleczenia Westcliffa z liberalnych poglądów, gdy wniesiono kolejne danie. Procesję intrygujących krągławych przedmiotów na srebrnych półmiskach powitały okrzyki zachwytu i radości. Na każdym ze stołów ustawiono po cztery – razem dwanaście, w równych odstępach, a lokaje i kamerdyner przystąpili do ich dzielenia. W powietrze rozszedł się zapach ostro przyprawionej wołowiny, a goście z niecierpliwością zerkali na zawartość półmisek. Wykręcając się nieco, Lillian spojrzała na najbliższy półmisek. Niemal wzdrygnęła się z przerażenia na widok osmalonych rysów niezidentyfikowanej bestii, z której świeżo upieczonej czaszki unosiła się para.

Poderwała się na krześle z zaskoczenia, potrącając stół, na którym wszystko zadygotało. Lokaj natychmiast pospieszył zamaskować jej niezdarność. Wyjął czyste widelce i łyżki, po czym pochylił się, aby pozbierać to, co spadło.

– C-co to jest? – wyszeptała Lillian, nie mogąc oderwać wzroku od odrażającego widowiska.

– Łeb cielęcia – odparła jedna z dam tonem pobłażliwego rozbawienia, jakby zdumienie Lillian stanowiło jeszcze jeden przykład amerykańskiego zacofania. – Wyborny angielski przysmak. Proszę nie mówić, że nigdy pani nie próbowała!

Z wysiłkiem przywołując na twarz obojętny wyraz, Lillian bez słowa pokręciła głową. Wzdrygnęła się, gdy lokaj otworzył dymiącą szczękę cielęcia i wykroił język.

– Niektórzy twierdzą, że język jest najsmaczniejszą częścią – kontynuowała dama – podczas gdy inni przysięgają, że najlepszy jest mózdzek. Ja osobiście zapewniam panią, że powinna pani zacząć od oczu.

Lillian przymknęła własne oczy, bo zemdliło ją od tych rewelacji. Czują napływającą do gardła żółć. Nigdy nie była amatorką angielskiej kuchni, lecz choć różne dania w przeszłości budziły jej opór, nic nie przygotowało jej na odrażający widok cielęcego łba. Uniosła powieki i rozejrzała się po sali. Wszędzie krojono cielęce łby, otwierano je i dzielono. Mózdzki wybierano na talerze łyżkami, grasicę siekano na cienkie plastry...

Poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Gdy krew odpłynęła jej z twarzy, spojrzała na koniec stołu, gdzie Daisy podejrzliwie przyglądała się kilku kawałkom, które uroczyście umieszczono na jej talerzu. Lillian powoli uniosła krawędź serwetki do ust. Nie. Nie może się pochorować. Wokół unosił się jednak ciężki, oleisty aromat cielęcego łba, słyszała pracowity stukot noży i widelców, a także zadowolone pomruki zebranych – i mdłości powróciły w dławiących ją falach. Ktoś postawił przed nią mały talerz z kilkoma plasterkami... czegoś... oraz galaretową gałką oczną ze stożkową podstawą, która potoczyła się leniwie ku krawędzi.

– Słodki Jezu... – wyszeptała, gdy na jej czoło wystąpił pot.

Przez falę przerażenia nagle przedarł się chłodny, spokojny głos:

– Panno Bowman...

Rzucając rozpaczliwe spojrzenie w kierunku, z którego ów głos dochodził, zobaczyła obojętną twarz lorda Westcliffa.

– Tak, milordzie? – zapytała ochryple.

Zdawał się dobierać słowa z zaskakującą starannością.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli moja prośba wyda się pani nieco ekscentryczna... lecz przyszło mi właśnie do głowy, że to najlepsza pora, by zobaczyć rzadki gatunek motyla, który zamieszkuje posiadłość. Wychodzi na żer tylko wczesnym wieczorem, co jest, rzecz jasna, pewnym odstępstwem od normy. Być może przypomina sobie pani, że wspominałem o nim w naszej poprzedniej rozmowie.

– Motyl? – powtórzyła Lillian, przełykając głośno.

– Może zgodzi się pani, bym zabrał ją oraz jej siostrę do oranżerii, w której widziano niedawno nowy wylęg? Ku mojemu żalowi będziemy musieli zrezygnować z tego konkretnego dania, lecz wrócimy na czas, aby mogła pani delektować się resztą kolacji.

Goście znieruchomieli z widelcami w powietrzu, a na ich twarzach odmalowało się zdumienie.

Uświadomiwszy sobie, że hrabia daje jej wymówkę do opuszczenia jadalni w towarzystwie jej siostry dla przyzwoitości, Lillian pokiwała głową.

– Motyle – powtórzyła bez tchu. – Tak, bardzo chciałabym je zobaczyć.

– Ja również – z drugiego końca stołu rozległ się głos Daisy. Wstała pospiesznie, zmuszając wszystkich dzentelmenów, by z grzeczności podnieśli się z krzesła. – To bardzo miłe z pana strony, że pamiętał pan o naszej fascynacji owadami zamieszkującymi Hampshire, milordzie.

Westcliff podszedł do Lillian, by pomóc jej wstać.

– Oddychaj przez usta – szepnął.

Poblądła i zlana potem, pokiwała posłusznie głową.

Wszyscy patrzyli na nich ze zdumieniem.

– Milordzie – odezwał się lord Wymark – czy mogę zapytać, który rzadki gatunek motyla ma pan na myśli?

Westcliff zawahał się lekko, po czym odparł z powagą:

– Nakrapiany... – urwał, po czym dokończył: – ...powszelatek bławatnik.

Wymark zmarszczył brwi.

– Uważam się za kompetentnego lepidopterologa, milordzie. I choć znam gatunek powszelatek brunatek, który można spotkać tylko w hrabstwie Northumberland, nigdy nie słyszałem o powszelatku bławatniku.

Zapadła niezręczna cisza.

– To hybryda – oświadczył w końcu Westcliff. – *Morpho purpureus practicus*. Wedle mojej wiedzy zaobserwowano go dotąd tylko w okolicach Stony Cross.

– W takim razie ja również chciałbym zobaczyć tę kolonię, jeśli mogę. – Wymark odłożył serwetkę na stół, aby wstać. – Odkrycie nowej hybrydy to zawsze niezwykła...

– Jutro wieczorem – przerwał mu Westcliff autorytarnie. – Bławatniki są bardzo wyczulone na obecność ludzi. Nie chciałbym zaszkodzić tak czułemu gatunkowi. Myślę, że najlepiej obserwować je w małych – dwu-, trzyosobowych grupach.

– Oczywiście, milordzie – zgodził się Wymark, po czym opadł na krzesło z niezadowoloną miną. – W takim razie jutro wieczorem.

Lillian z wdzięcznością ujęła ramię Westcliffa, Daisy stanęła po jej drugiej stronie i razem godnie opuścili jadalnię.

ROZDZIAŁ 10

Lillian niemal się pochorowała, gdy Westcliff prowadził ją do oranżerii. Niebo przybrało śliwkowy odcień, a nadciągający mrok rozpraszało tylko światło gwiazd i niedawno zapalonych pochodni. Gdy otoczyło ją czyste, słodkie, wieczorne powietrze, zaczęła głęboko oddychać. Westcliff poprowadził ją na fotel z wyplatany oparciem, okazując jej o wiele więcej współczucia niż Daisy, która zatoczyła się na kolumnę, wstrząsana napadami śmiechu.

– Och... dobry Boże... – sapnęła, ocierając łzy rozbawienia. – Twoja twarz, Lillian... Zrobiłaś się zielona jak groszek. Myślałam, że ulżysz swemu żołądkowi przy wszystkich!

– Ja również – mruknęła Lillian, dygocząc.

– Rozumiem, że nie jest pani amatorką cielęcego łba – wymamrotał Westcliff, siadając obok niej. Wyjął z kieszeni surduta miękką białą chusteczkę i otarł nią wilgotne czoło Lillian.

– Nie jestem fanką niczego, co gapi się na mnie z talerza – odparła Lillian, wciąż czując mdłości.

Daisy odzyskała oddech na tyle, by powiedzieć:

– Och, nie przesadzaj. To patrzyło na ciebie tylko przez chwilę... – Urwała, po czym dodała: – Dopóki gałki oczne nie trafiły na twój talerz. – Znów zaczęła zwijać się ze śmiechu.

Lillian zmierzyła siostrę gniewnym spojrzeniem, po czym zamknęła oczy.

– Na litość boską, czy naprawdę musisz...

– Proszę oddychać przez usta – przypomniał jej Westcliff. Chusteczka przesuwiała się po jej twarzy, zbierając ostatnie krople zimnego potu. – I proszę pochylić głowę.

Lillian posłusznie opuściła czoło na kolana. Jego dłoń zamknęła się na jej lodowatym karku i zaczęła masować sztywne ścięgna z zaskakującą delikatnością. Jego palce były ciepłe i szorstkie, a łagodne ugniatanie tak przyjemne, że mdłości wkrótce ustąpiły. Wiedział dokładnie, gdzie dotykać, koniuszki jego palców odkrywały najwrażliwsze miejsca na jej szyi i ramionach, po czym mocnymi naciśnięciami odpędzały ból. Nieruchomiejąc pod jego dłońmi, Lillian poczuła, że całe jej ciało rozluźnia się powoli, a oddech staje się głęboki i równy.

Zbyt szybko pomógł jej usiąść prosto – musiała przygryźć wargi, by nie zaprotestować jękiem. Ku własnemu przerażeniu odkryła, że pragnie, by dalej ją głaskał. Mogłaby cały wieczór siedzieć tutaj z jego dłonią na swoim karku. I plecach. I... w innych miejscach. Jej rzęsy uniosły się z bladych policzków. Zamrugała, gdy dostrzegła, jak blisko znajduje się jego twarz. Dziwne, jak jego surowe rysy stawały się dla niej coraz bardziej atrakcyjne za każdym razem, gdy widziała je z bliska. Ogarnęła ją pokusa, by musnąć palcami śmiały grzbiet jego nosa, obrysować kontur ust, surowych i miękkich zarazem, zbadać intrygujący cień zarostu na brodzie. Wszystko to składało się na bezdyskusyjnie męski wdzięk hrabiego. Najbardziej fascynujące były jednak jego oczy – czarny aksamit ogrzewany blaskiem pochodni i okolony prostymi rzęsami, które rzucały cienie na kości policzkowe o zdecydowanym charakterze.

Na wspomnienie jego kreatywnego wykładu na temat nakrapianego powszelatka bławatnika wydała z siebie rozbawione prychnięcie. Zawsze uważała Westcliffa za człowieka całkowicie pozbawionego poczucia humoru, tymczasem okazało się, że źle go osądziła.

– Myślałam, że nigdy pan nie kłamie – przyznała.

Jego wargi zadrżały.

– Biorąc pod uwagę wybór pomiędzy tym, czy pozwolić pani pochorować się podczas kolacji, czy skłamać, aby jak najszybciej panią stamtąd wydostać, zdecydowałem się na mniejsze zło. Lepiej pani?

– Lepiej... Tak. – Lillian uświadomiła sobie nagle, że opiera się na jego ramieniu, a jej spódnica zakrywa jedno z jego ud. Jego ciało było solidne i ciepłe, idealnie do niej pasowało. Spojrzawszy w dół, zauważyła, że materiał jego spodni ciasno opina muskularne uda. Obudziła się w niej niegodna damy ciekawość. Musiała zacisnąć palce, aby nie oprzeć dłoni na jego nodze. – Pomysł z powszelatkiem bławatnikiem był bardzo przebiegły – kontynuowała, podnosząc wzrok na jego twarz. – Natomiast wymyślenie jego łacińskiej nazwy to już przebłysk prawdziwego geniuszu.

Westcliff uśmiechnął się.

– Zawsze miałem nadzieję, że łacina na coś mi się w życiu przyda. – Przesunął ją nieco, sięgnął do kieszeni kamizelki i spojrział na zegarek. – Wrócimy do jadalni za mniej więcej kwadrans. Do tego czasu cielęce łby zostaną zabrane.

Lillian wykrzywiła twarz w grymasie.

– Nie znoszę angielskiego jedzenia – westchnęła. – Wszystkie te galaretki i kluchy, te trzęsące się puddingi i dziczyzna, która musi się zestarzeć, zanim poda się ją na stół, choć wtedy jest już równie stara, jak ja, a do tego... – Poczowała, jak wstrząsa nim dreszcz rozbawienia. – Co pana bawi?

– Przez panią boję się wrócić do własnego stołu.

– I słusznie! – oświadczyła z emfazą.

Nie zdołał dłużej powstrzymać gromkiego wybuchu śmiechu.

– Przepraszam – w pobliżu rozległ się głos Daisy – lecz skorzystam z okazji, aby udać się do... do... och, nie wiem, jak to stosownie powiedzieć, nie mam pojęcia! Spotkamy się przy wejściu do jadalni.

Westcliff cofnął ramię, którym otaczał Lillian, i spojrział na Daisy, tak jakby właśnie przypomniał sobie o jej obecności.

– Daisy – mruknęła Lillian z konsternacją, podejrzewając, że młodsza siostra zmyśliła tę wymówkę, by zostawić ich samych.

Daisy zignorowała ją jednak i wyszła z oranżerii przez drzwi balkonowe, machając im z szelmowskim uśmiechem.

Siedząc obok Westcliffa w powodzi światła bijącego z pochodni, Lillian czuła narastające zdenerwowanie. Choć za oknami nie unosił się rój rzadkich motyli, jej całkowicie wystarczały te, które czuła w żołądku. Westcliff odwrócił ją twarzą do siebie i położył ramię na oparciu jej fotela.

– Rozmawiałem dziś z hrabiną – powiedział, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu.

Lillian nie zareagowała od razu, rozpaczliwie odpychając od siebie obrazy, które nagle pojawiły się w jej umyśle – jego ciemna głowa pochylająca się nad nią, jego język penetrujący miękkie wnętrze jej ust...

– O czym? – zapytała zdławionym głosem. Odpowiedziało jej elokwentnie sardoniczne spojrzenie. – Och – szepnęła. – Zapewne ma pan na myśli moją... moją prośbę o patronat...

– Teraz nazywamy to prośbą? – Zatknął luźne pasmo jej włosów za ucho. Czubkami palców musnął małżowinę, sunąc aż do delikatnego płątka. – O ile pamiętam, bardziej przypominało to szantaż. – Dotknął delikatnej skóry, gładząc kciukiem mrowiącą powierzchnię. – Nie nosi pani kolczyków. Dlaczego?

– Ja... – Nagle zabrakło jej tchu. – Mam bardzo wrażliwe uszy – wykrztusiła. – Boli, gdy próbuję wpiąć klipsy... a sama myśl o przekłuwaniu ich igłą... – Urwała i gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy poczuła czubek jego środkowego palca na małżowinie, badawczo przesuwający się po wrażliwej strukturze. Westcliff wodził kciukiem po napiętej linii jej szczęki i delikatnej miękkości pod jej brodą, aż

poczuła na policzkach falę żaru. Siedzieli tak blisko siebie... zapewne poczuł jej perfumy. Było to jedyne wyjaśnienie jego zachowania.

– Masz skórę jak jedwab... – wymruczał. – O czym to rozmawialiśmy? Ach tak, hrabina. Zdołałem przekonać ją do objęcia patronatem pani i siostry w najbliższym sezonie.

Lillian ze zdumienia wytrzeszczyła oczy.

– Naprawdę? Jak? Musiał pan ją zastraszyć?

– Czy uważa mnie pani za człowieka, który straszy swoją sześćdziesięcioletnią matkę?

– Tak.

W jego gardle zawibrował niski śmiech.

– Mam w repertuarze również inne metody – poinformował ją. – Po prostu jeszcze ich pani nie poznała.

W jego słowach pobrzmiwała aluzja, której nie potrafiła rozszyfrować... a która napełniła ją dreszczem oczekiwania.

– Dlaczego przekonał ją pan, by mi pomogła? – zapytała.

– Uznałem, że narzucenie jej pani towarzystwa dostarczy mi rozrywki.

– Cóż, jeśli zamierza przedstawić mnie pan jako dopust...

– A poza tym – przerwał jej – poczułem się zobligowany, by wynagrodzić pani moje zachowanie tego ranka.

– To nie była tylko pana wina – wyznała niechętnie. – Możliwe, że... zachowałam się nieco prowokująco.

– Nieco – przytaknął, przesuwając palce za jej ucho, na satynową linię jej włosów. – Powiniennem panią ostrzec, że zgoda mojej matki na ten układ nie jest bezwarunkowa. Jeśli ją pani sprowokuje, wycofa się. Dlatego też doradzam, by spróbowała pani zachowywać się w jej obecności.

– Zachowywać się jak? – zapytała, boleśnie świadoma łagodnej badawczości jego palców. Jeśli Daisy wkrótce nie wróci, Westcliff mnie pocałuje, pomyślała, oszołomiona. Pragnęła tego tak bardzo, że jej wargi zaczęły drżeć.

Uśmiechnął się na jej pytanie.

– Cóż, cokolwiek przyjdzie pani do głowy, proszę nie... – Urwał nagle i podniósł głowę, jakby wyczuł, że ktoś się zbliża.

Lillian nie słyszała nic poza szelestem wiatru w gałęziach drzew i w opadłych liściach na zwirowanych ścieżkach. Chwilę później z cienia wyłoniła się jednak szczupła, wysoka postać. Błysk włosów w odcieniu starego złota zdradził obecność lorda St. Vincenta. Westcliff natychmiast cofnął dłoń. Zmysłowy czar prysł, a Lillian poczuła, jak fala ciepła stygnie.

St. Vincent kroczył dumnie, lecz swobodnie, z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach surduta. Uśmiechnął się na widok pary na ławce, a jego wzrok od razu padł na Lillian.

Bez wątpienia ten zdumiewająco piękny mężczyzna o twarzy upadłego anioła i oczach barwy nieba o brzasku nawiedzał sny wielu kobiet. A wielu zdradzanych mężów musiało go przeklinać.

Cóż za nieprawdopodobna przyjaźń, pomyślała Lillian, wodząc wzrokiem pomiędzy Westcliffem a St. Vincentem. Hrabia ze swą bezpośrednią, pryncypialną naturą musiał potępiać krnąbrne inklinacje swego druha. Możliwe jednak, że jak w wielu podobnych przypadkach dzielące ich różnice wzmacniały tę szczególną więź, zamiast ją osłabiać.

St. Vincent stanął przed nimi i mruknął:

– Dotarłbym do was wcześniej, lecz zaatakował mnie rój powszelatków bławatników. – Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu: – Nie chcę zasiać niepokoju w żadnym z was, lecz musiałem was ostrzec... piątym daniem według planu ma być pudding z nerek.

– Z tym sobie poradzę – oświadczyła Lillian ponuro. – Tylko zwierzęta serwowane w swoim

naturalnym stanie budzą mój opór.

– To zrozumiałe, kochanie. Wszyscy jesteśmy barbarzyńcami, a ty miałaś całkowitą rację, przeraziwszy się na widok cielęcych głów. Ja też za nimi nie przepadam. W zasadzie rzadko jadam wołowinę w jakiegokolwiek postaci.

– Jest pan wegetarianinem? – zapytała Lillian. Ostatnio często słyszała to słowo. Wiele rozmów koncentrowało się na temacie warzywnej diety rekomendowanej przez towarzystwo skupione przy szpitalu w Ramsgate.

St. Vincent odpowiedział jej czarującym uśmiechem.

– Nie, moja słodka, jestem kanibalem.

– St. Vincent – mruknął Westcliff ostrzegawczo, dostrzegając konsternację Lillian.

Wicehrabia uśmiechnął się bez cienia skruchy.

– Dobrze, że się tu zjawiłem, panno Bowman. Nie jest pani bezpieczna w towarzystwie Westcliffa.

– Nie? – zapytała Lillian, tężając w duchu na myśl, że St. Vincent nie poważałby się na taki komentarz, gdyby wiedział o intymnych relacjach pomiędzy nią a hrabią. Nie ośmieliła się spojrzeć na Westcliffa, lecz wyczuła sztywność męskiego ciała blisko niej.

– Absolutnie – potwierdził St. Vincent. – To właśnie bastiony moralności dopuszczają się najgorszych uczynków, gdy nikt nie widzi. Podczas gdy z takim jawnym potępieńcem jak ja byłaby pani bezpieczna w każdych okolicznościach. Dlatego też będzie lepiej, jeśli wróci pani do jadalni pod moją opieką. Bóg jeden wie, jaki lubieżny plan lęgnie się już w umyśle hrabiego.

Lillian zachichotała i wstała z ławki, rozbawiona jawnymi kpunami z Westcliffa. Hrabia spojrział na przyjaciela z grymasem i również się podniósł. Ujęła St. Vincenta pod ramię, zastanawiając się, co nakłoniło go do pojawienia się tutaj. Czy to możliwe, by się nią interesował? Na pewno nie. Było powszechnie wiadomo, że młode panny nie stanowią obiektu jego zainteresowania, a Lillian ewidentnie nie nadawała się na kochankę. Doskonale jednak bawiła się w towarzystwie obu panów – najbardziej pożądanego partnera do łóżka w całej Anglii oraz najbardziej pożądanego kawalera. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, jak wiele dziewcząt dopuściłoby się morderstwa, by znaleźć się teraz na jej miejscu.

St. Vincent pociągnął ją za sobą.

– O ile pamiętam, nasz przyjaciel Westcliff zabronił pani jeździć konno – zauważył. – Lecz nie wspominał nic o przejazdach powozem. Może zgodzi się pani towarzyszyć mi jutro rano w wyprawie na wieś?

Rozważając zaproszenie, postanowiła nie udzielać odpowiedzi od razu w nadziei, że Westcliff będzie miał w tej kwestii coś do powiedzenia. Oczywiście miał.

– Panna Bowman będzie rano zajęta – oświadczył szorstko.

Otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz St. Vincent zerknął na nią z ukosa.

– Zajęta czym? – zapytał.

– Razem z siostrą spotykają się z hrabiną.

– Ach, cóż to za wspaniała stara smoczyca – mruknął St. Vincent, otwierając drzwi i prowadząc Lillian przez próg. – Osobiście doskonale dogaduję się z hrabiną. Proszę pozwolić, że coś pani doradzę. Ona uwielbia pochlebstwa, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. Kilka miłych słów i będzie pani jadła z ręki.

Lillian zerknęła przez ramię na Westcliffa.

– Czy to prawda, milordzie?

– Nie wiem, nigdy nie musiałem jej pochlebiać.

– Westcliff uważa pochlebstwa i urok osobisty za stratę czasu – poinformował ją St. Vincent.

– Zauważyłam.

Parsknął śmiechem.

– W takim razie proponuję przełożyć naszą przejażdżkę na następny dzień. Czy to pani odpowiada?

– Tak, dziękuję.

– Doskonale – podkreślił St. Vincent, po czym dodał od niechcienia: – Chyba że rościsz sobie jakieś prawa do czasu panny Bowman, Westcliff?

– Żadnych – mruknął hrabia bez cienia emocji.

Oczywiście, pomyślała Lillian, czując nagłą urazę. Westcliff nie pragnął jej towarzystwa, chciał tylko oszczędzić swym gościom smutnego widoku jej niedomagania przy stole.

Po drodze napotkali Daisy, która na widok St. Vincenta uniosła brwi i zapytała łagodnie:

– A pan skąd się wziął?

– Gdyby moja matka żyła, mogłaby ją pani o to zapytać – odparł uprzejmie. – Choć wątpię, aby wiedziała.

– St. Vincent – syknął Westcliff już po raz drugi tego wieczoru. – To są niewinne dziewczęta.

– Doprawdy? Intrygujące. Cóż, w takim razie będę pamiętał o konwenansach... Na jakie tematy można dyskutować z niewinnymi dziewczętami?

– W sumie na żadne – mruknęła ponuro Daisy, prowokując wicehrabiego do śmiechu.

Przed wejściem do jadalni Lillian przystanęła, by zapytać Westcliffa:

– O której godzinie mamy jutro spotkać się z hrabiną? I gdzie?

Zmierzył ją obojętnym, chłodnym spojrzeniem. Nie mogła nie zauważyć, jak bardzo popsuł mu się humor, odkąd St. Vincent zaprosił ją na przejażdżkę powozem. Dlaczego wzbudziło to w nim takie niezadowolenie? Niedorzecznie byłoby zakładać, że kieruje nim zazdrość – była przecież ostatnią kobietą na ziemi, którą mógłby się interesować. Jedyne rozsądne konkluzja była taka, że obawiał się, iż St. Vincent może próbować ją uwieść. Zapewne nie chciałby mierzyć się z ewentualnymi kłopotami, które by z tego wyniknęły.

– O dziesiątej w saloniku Marsdenów – oświadczył.

– Obawiam się, że nie wiem, który to pokój...

– Niewiele osób wie. Znajduje się na górze i jest zarezerwowany do użytku rodzinnego.

– Och. – Spojrzała w jego ciemne oczy, czując wdzięczność i konsternację. Był dla niej taki miły, a mimo to ich relacji pod żadnym względem nie można by uznać za przyjacielską. Żałowała, że nie potrafi z siebie wypłenić narastającej nim fascynacji. Było jej łatwiej, gdy mogła go traktować jako zadufanego w sobie snoba. Okazał się jednak znacznie bardziej skomplikowany, niż z początku myślała; odkryła w nim poczucie humoru, zmysłowość i zdumiewające pokłady empatii. – Milordzie – kontynuowała, zniewolona jego spojrzeniem. – Powinnam... podziękować panu za...

– Wejdzmy do środka – przerwał jej szorstko, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy się jej pozbędzie.

– Dostatecznie długo zwlekaliśmy.

– Denerwujesz się? – szepnęła Daisy następnego ranka, gdy szły z Lillian za matką do saloniku Marsdenów. Mercedes nie została oficjalnie zaproszona przez hrabinę, niemniej nie miała zamiaru zostać wykluczona z tej wizyty.

– Nie – odparła Lillian. – Jestem przekonana, że nie mamy czego się bać, dopóki będziemy trzymały buzie na kłódkę.

– Podobno hrabina nienawidzi Amerykanów.

– To wielka szkoda – mruknęła Lillian drwiąco – biorąc pod uwagę, że obie jej córki poślubiły naszych krajanów.

– Bądźcie cicho – szepnęła Mercedes, odziana w srebrnoszarą suknię ozdobioną dużą diamentową broszą na szyi. Podniosła dłoń i zastukała do drzwi. Nie dobył się zza nich żaden dźwięk. Daisy i Lillian spojrzały na siebie, unosząc brwi i zastanawiając się, czy hrabina postanowiła jednak odwołać spotkanie. Mercedes zmarszczyła czoło i zapukała jeszcze raz, mocniej.

Tym razem przez mahoniowe deski przesączył się ostry głos:

– Zaprzestać już tego diabelskiego hałasu i wejść!

Panie Bowman przekroczyły próg z pokornymi minami. Salonik był niewielki, lecz uroczy – ściany pokrywała niebieska tapeta w kwiatowy wzór, a za wysokimi oknami rozpościerał się widok na ogród. Hrabina Westcliff siedziała na sofie pod oknem, z jej szyi spływały sznury rzadkich czarnych pereł, a jej palce i nadgarstki obwieszane były biżuterią. Z jej błyszczącymi bladłosrebrzystymi włosami mocno kontrastowały ciemne i grube brwi zawieszane bezkompromisowo nisko nad oczami. Jej rysy i figura były absolutnie pozbawione ostrych kątów – miała okrągłą twarz i pulchną sylwetkę. Lillian uznała, że lord Westcliff musiał odziedziczyć urodę po ojcu.

– Spodziewałam się tylko dwóch – oświadczyła hrabina, mierząc Mercedes surowym spojrzeniem. Jej głos był czysty i zimny niczym lodowa polewa na torcie. – Dlaczego widzę trzy?

– Wasza miłość... – zaczęła Mercedes z przymilnym uśmiechem, wykonując niezgrabny ukłon. – Po pierwsze, pragnę powiedzieć, że pan Bowman i ja jesteśmy pani głęboko wdzięczni za protekcję, jakiej postanowiła pani udzielić moim dwóm aniołkom...

– Tylko księżnę wolno tytułować waszą miłością – odparła hrabina. Kąciki jej ust opadły, jakby przyciągała je siła grawitacji. – Zamierzałaś ze mnie zadrwić?

– Och nie, wasza... to znaczy milady – zaprzeczyła pospiesznie Mercedes, blednąc jak ściana. – To nie była drwina. Nigdy! Chciałam tylko...

– Sama porozmawiam z twoimi córkami – oświadczyła hrabina władczo. – Możesz wrócić za dokładnie dwie godziny, aby je stąd zabrać.

– Tak, milady! – odparła Mercedes i uciekła z pokoju.

Chrzążąc, by ukryć atak śmiechu, Lillian zerknęła na Daisy. Siostra również walczyła z rozbawieniem na widok odprawy, jakiej udzielono ich matce.

– Cóż za nieprzyjemny dźwięk – zauważyła hrabina, patrząc na Lillian z niezadowolonym grymasem. – Postaraj się powstrzymać od dalszego jego emitowania.

– Dobrze, milady – odparła Lillian, siląc się na pokorę.

– Możecie podejść bliżej – poleciła hrabina, wodząc wzrokiem pomiędzy siostrami. – Obserwowałam was wczoraj i odnotowałam cały szereg niestosownych zachowań. Powiedziano mi, że muszę w tym sezonie wziąć was pod swoje skrzydła, co jedynie potwierdza moją opinię, iż mój syn jest gotów na wszystko, byle tylko utrudnić mi życie. Patronować dwóm niewychowanym Amerykankom! Ostrzegam was, jeśli nie będziecie mnie słuchały we wszystkim, nie spocznę, dopóki nie wydam was za pozorowanych arystokratów z kontynentu i nie ześlę w najbardziej zapomniany kąt Europy, abyście tam gnuśniały. – Jej słowa zrobiły na Lillian wrażenie. Musiała przyznać, że hrabina nie owija w bawełnę. Zerknęła na Daisy i zauważyła, że siostra od razu spoważniała. – Siadać – syknęła hrabina. Pospiesznie wypełniły polecenie i zajęły krzesła wskazane im gestem błyszczącej od klejnotów dłoni. Hrabina sięgnęła do małego stolika stojącego przy sofie i wzięła do ręki kawałek pergaminu obficie pokrytego notatkami naniesionymi kobaltowym atramentem. – Sporządziłam listę błędów, które popełniłyście zeszłego wieczoru – poinformowała je, po czym umieściła na krótkim nosie małe okulary *pince-nez*. – Omówimy ją punkt po punkcie.

– Jak to możliwe, że lista jest taka długa? – zapytała Daisy z niedowierzaniem. – Kolacja trwała zaledwie cztery godziny... Ile błędów mogłyśmy popełnić w tak krótkim czasie?

Wpatrując się w nie kamiennym wzrokiem, hrabina zaczęła rozwijać pergamin. Rozwijał się i rozwijał niczym akordeon, aż w końcu jego koniec musnął podłogę.

– Do ciężkiej cholery... – wymamrotała Lillian pod nosem. Hrabina usłyszała przekleństwo. Jej brwi utworzyły jedną ciemną linię. – Gdybym miała jeszcze trochę miejsca, dodałabym do listy wulgaryzmy – rzuciła starsza panna Bowman, po czym stłumiła westchnienie i wcisnęła się głębiej w fotel.

– Bądź łaskawa siedzieć prosto – mruknęła hrabina. – Dama nigdy nie pozwala na to, by jej kręgosłup dotykał oparcia fotela. Zaczniemy od oficjalnej prezentacji. Obie macie godny pożałowania nawyk ściskania dłoni. Jest to dowód niesmacznego przypochlebiania się. Zasady mówią, że nie należy ścisnąć sobie dłoni, wystarczy się ukłonić, chyba że poznają się dwie młode damy. Jeśli jesteśmy już przy temacie dygania, nigdy nie wolno kłaniać się dżentelmenowi, którego nikt wam oficjalnie nie przedstawił, nawet jeśli doskonale znacie się z widzenia. Nie wolno też kłaniać się dżentelmenowi, który skierował do was kilka uwag w domu wspólnego znajomego, ani też żadnemu dżentelmenowi, z którym zamieniłyście parę słów przy okazji. Krótka wymiana zdań nie oznacza od razu zawarcia znajomości i dlatego nie należy jej potwierdzać dyganiem.

– A jeśli dżentelmen oddał nam przysługę? – zapytała Daisy. – Podniósł rękawiczkę, która spadła na ziemię, lub coś w tym rodzaju?

– Można od razu wyrazić swoją wdzięczność, lecz nie należy kłaniać mu się w przyszłości, ponieważ w zasadzie nie doszło do zawarcia znajomości.

– To nie brzmi grzecznie – skomentowała Daisy, ale hrabina całkowicie ją zignorowała.

– Teraz kolacja. Po pierwszym kieliszku wina nie wolno prosić o następny. Gdy gospodarz podaje karafkę swoim gościom podczas posiłku, ma na myśli dżentelmenów, a nie damy. – Zmierzyła Lillian pogardliwym spojrzeniem. – Wczoraj słyszałam, jak poprosiłaś o ponowne napełnienie swego kieliszka, panno Bowman. Całkowity brak wychowania.

– Lord Westcliff napełnił go bez słowa – zaprotestowała Lillian.

– Tylko po to, by oszczędzić ci wstydu przyciągania do siebie uwagi po raz kolejny.

– Ale dlaczego... – Lillian umilkła na widok złowrogiej miny hrabiny. Uświadomiła sobie, że jeśli zacznie prosić o dokładne wyjaśnienie każdego punktu etykiety, ich spotkanie potrwa całe popołudnie.

Hrabina przeszła do tematu zachowania przy stole. Poinstruowała dziewczęta, jak przecinać szparagi oraz jak jeść przepiórkę i gołąbka.

– ...budyń i pudding należy jeść widelcem, a nie łyżką. Ku mojemu oburzeniu zauważyłam też, że obie użyłyście noży do kotletów siekanych. – Spojrzała znacząco na Bowmanówny, jakby oczekiwała, że obie umrą ze wstydu.

– Co to są kotlety siekane? – ośmieliła się zapytać Lillian.

– To chyba te małe brązowe hamburgery z zielonym sosem na wierzchu – odparła ostrożnie Daisy.

– Całkiem mi smakowały – zauważyła Lillian.

Daisy zerknęła na nią z przebiegłym uśmiechem.

– Wiesz, z czego były zrobione?

– Nie. I nie chcę wiedzieć!

Hrabina zignorowała tę wymianę zdań.

– Kotlety siekane, sznycle i wszystkie inne mięsa mielone je się tylko widelcem, nigdy z pomocą noża.

– Urwała i zerknęła na listę, próbując się na niej odnaleźć. Jej ptasie oczy zmrużyły się, gdy odczytała kolejny punkt: – A teraz – zerknęła na Lillian – cieleńce łby.

Lillian jęknęła, zasłoniła oczy dłonią i osunęła się na fotel.

ROZDZIAŁ 11

Ludzi znających typowy dla lorda Westcliffa zdecydowany krok ogromnie zdziwiłby widok jego powolnego spaceru z gabinetu do saloniku na górze. Samymi opuszkami palców trzymał list, którego zawartość zaprzętała jego myśli przez kilka ostatnich minut. Wieści były znaczące, lecz to nie tylko one odpowiadały za jego melancholijny nastrój.

Choć sam z radością by temu zaprzeczył, przepełniało go oczekiwanie na myśl o spotkaniu z Lillian Bowman. Szczerze interesowało go też, jak poradziła sobie z jego matką. Hrabina z każdej przeciętnej dziewczyny zrobiłaby kotlet siekany, lecz podejrzewał, że Lillian zdołała się obronić.

Lillian. To z jej powodu walczył o odzyskanie kontroli nad sobą – niczym chłopiec, który zbiera do pudełka porzucane na ziemi zapałki. Żywił wewnętrzną brak zaufania do wszelkich przejawów uczuć, zwłaszcza własnych, a także głęboką awersję do wszystkich i wszystkiego, co zagrażało jego godności. Ród Marsdenów znany był ze swojej ponurości – całe generacje poważnych mężczyzn zaprzętniętych ważkimi problemami. Ojciec Marcusa, stary hrabia, rzadko się uśmiechał, a gdy już to robił, jego uśmiech zwiastował zazwyczaj coś bardzo nieprzyjemnego. Poświęcił swoje życie wyplenieniu z własnego syna każdego przejawu frywolności i wesołości, i choć nie do końca mu się to udało, wywarł na niego przemożny wpływ. Egzystencję Marcusa ukształtowały wieczne wymagania i obowiązki. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to chwila nieuwagi i ta buntownicza dziewczyna.

Lillian Bowman nie była kobietą, do której mógłby się zalecać. Nie wyobrażał sobie, by mogła żyć szczęśliwie w okowach brytyjskiej arystokracji. Jej indywidualność i lekceważący stosunek do zasad nigdy nie pozwoliłyby jej połączyć się ze światem Marcusa. Co więcej – było powszechnie wiadomo, że skoro obie siostry Marcusa poślubiły Amerykanów, on musiał ocalić szacowne pochodzenie rodziny, żeniąc się z angielską panną.

Zawsze wiedział, że stanie na ślubnym kobiercu z jedną z młodych kobiet, które debiutowały na początku każdego sezonu, a wszystkie były tak do siebie podobne, że w sumie nie liczyło się, którą by wybrał. Każda z tych nieśmiałych, wyrafinowanych dziewcząt przysłużyłaby się jego celom, lecz mimo to dotąd nie zdołał wzbudzić w sobie zainteresowania żadną z nich. Lillian Bowman natomiast stała się jego obsesją, odkąd po raz pierwszy ją zobaczył. Nie istniał po temu żaden logiczny powód. Nie należała do najpiękniejszych znanych mu kobiet ani też do tych szczególnie wykształconych. Miała ostry język i opinię na każdy temat, a jej uparta natura bardziej pasowałaby do mężczyzny niż do kobiety.

Wiedział, że oboje mają bardzo silną wolę, a ich charaktery skazane są na nieustanny konflikt. Zajście na torze przeszkód stanowiło doskonały dowód na to, że ich związek jest niemożliwy. Nie zmieniało to jednak faktu, że pragnął Lillian Bowman bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety w całym swoim życiu. Jej świeżość, jej niekonwencjonalność przemawiała do niego, nawet gdy walczył z pokusą, którą uosabiała. Zaczęła pojawiać się w jego snach, igrała z nim i zmagala się, a on zatapiał się w jej ciepłym, drżącym ciele, aż krzyczała z rozkoszy. Były też inne sny, gdy leżał obok niej w zmysłowym bezruchu, a ich członki łączyły się i pulsowały... gdy pływał z nią w rzece, a jej nagie ciało przesuwało się po jego ciele, podczas gdy jej włosy rozsypywały się na jego pierś i ramiona niczym u syreny... gdy brał ją pod gołym niebem jak wiejską dziewczynę i tarzał się z nią po nagrzaną przez słońce trawie.

Nigdy jeszcze nie odczuwał ukąszeń hamowanej pasji równie dotkliwie, jak teraz. Wiele kobiet z radością zaspokoiłoby jego potrzeby. Wystarczyłoby kilka pomruków i dyskretne skrobnięcie w drzwi sypialni, a znalazłby się w chętnych objęciach kobiecych ramion. Nie zamierzał jednak wykorzystywać jednej kobiety jako substytutu tej, której nie mógł mieć.

Przystanął przed uchylonymi drzwiami saloniku, gdy usłyszał głos matki, która pouczała siostry Bowman. Narzekała właśnie na ich nawyk rozmawiania z lokajami, którzy obsługiwali je przy stole.

– Dlaczego mam nie podziękować komuś, kto coś dla mnie zrobił? – zapytała Lillian ze szczerym zdziwieniem. – Przecież dziękowanie to wyraz uprzejmości, nieprawdaż?

– Służącemu podziękowania należą się nie bardziej niż koniowi, który niesie cię na swoim grzbiecie, lub stołowi za to, że stawiasz na nim naczynia.

– Cóż, nie rozmawiamy przecież jednak ani o zwierzętach, ani o nieożywionych przedmiotach, prawda? Lokaj to człowiek.

– Nie – odparła hrabina zimno. – Lokaj to służący.

– A służący to człowiek – powtórzyła Lillian uparcie.

W głosie starszej damy zabrzmiała irytacja.

– Cokolwiek myślisz o lokajach, nie wolno ci dziękować im przy kolacji. Służący ani się nie spodziewają, ani też nie pragną takiej protekcyjności, a jeśli z uporem będziesz ich stawiać w niezręcznej sytuacji, oczekując, że odpowiedzą na twoje słowa, pomyślą źle nie tylko o tobie... ale też o wszystkich innych. Nie obrażaj mnie tym banalnym spojrzeniem, panno Bowman! Pochodzisz przecież z zamożnej rodziny. Na pewno zatrudniacie służących w swojej nowojorskiej rezydencji!

– Tak – odparła Lillian zuchwale. – Ale my z nimi rozmawiamy.

Marcus stłumił nagły wybuch śmiechu. Rzadko, jeśli w ogóle, ktokolwiek ośmielał się sprzeciwić hrabinie. Zapukał lekko do drzwi, po czym wszedł do pokoju, przerywając nadciągającą sprzeczkę. Lillian odwróciła się w fotelu, by na niego spojrzeć. Jej nieskazitelna cera barwy kości słoniowej zaróżowiła się lekko na kościach policzkowych. Wyrafinowane upięcie wysoko na jej głowie powinno ją postarzać, lecz tylko podkreślało jej młodość. Nie poruszała się w fotelu, a mimo to emanowała elektryzującym zniecierpliwieniem. Przypominała mu uczennicę gotową wymówić się od lekcji i uciec na dwór.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie. – Ufam, że wasza dyskusja była owocna? – Lillian posłała mu wymowne spojrzenie. Walcząc z uśmiechem, Marcus oficjalnie ukłonił się matce. – Milady, nadszedł list z Ameryki. – Matka spojrzała na niego, lecz nic nie powiedziała, choć musiała się domyślić, że to wiadomość od Aline. Uparta jędza, pomyślał Marcus, czując w piersi ciężar zimnego gniewu. Hrabina nigdy nie wybaczyła swojej najstarszej córce ślubu z człowiekiem niskiego stanu. Mąż Aline McKenna kiedyś był u nich stajennym. Mając kilkanaście lat, wyjechał do Ameryki w poszukiwaniu fortuny i wrócił do Anglii jako zamożny przemysłowiec. W oczach hrabiny sukces McKenny nie zdołał jednak zmasać grzechu jego pospolitego urodzenia i dlatego też zażarcie oprotestowała małżeństwo jego i swojej córki. Oczywiście szczęście Aline nie miało dla niej żadnego znaczenia, dawno już bowiem podniosła hipokryzję do rangi sztuki. Gdyby Aline zdecydowała się na romans z McKenną, nic by na ten temat nie powiedziała. Stając się jednak jego żoną, córka popełniła niewybaczalną zbrodnię. – Uznałem, że zechcesz natychmiast poznać jego treść – kontynuował Marcus, podając list matce.

Twarz hrabiny stężała. Jej spoczywające na kolanach dłonie nawet nie drgnęły, a oczy stwardniały surowo. Marcus czerpał złośliwą radość z faktu, że zmusi ją do konfrontacji z nowinami, które w tak oczywisty sposób pragnęła zignorować.

– Może sam mi ją przekażesz? – poprosiła oschłym tonem. – Widzę, że nie odejdziesz, dopóki tego nie zrobisz.

– Oczywiście. – Wsunął list do kieszeni. – Gratulacje, milady. Zostałaś babcią. Lady Aline powiła zdrowego chłopca, który będzie się nazywał John McKenna drugi. – Pozwolił sobie na odrobinę sarkazmu, dodając: – Jestem przekonany, że z radością przyjmiesz wieść, iż ona i dziecko czują się doskonale.

Kątem oka zauważył, że siostry Bowman wymieniają pytające spojrzenia, ewidentnie zastanawiając się, co jest przyczyną wrogości, która aż zelektryzowała powietrze.

– To miło, że nasz dawny stajenny spłodził sobie imiennika z moją najstarszą córką – oświadczyła hrabina kwaśno. – Jestem przekonana, że to pierwszy z wielu bachorów. Niestety, wciąż nie ma na świecie dziedzica tytułu hrabiowskiego. Obowiązek ten spoczywa na twoich barkach, jak sądzę. Wróć do mnie z nowiną o twoim ślubie z panną z dobrego rodu, Westcliff, a wykrzeszę z siebie odrobinę satysfakcji. Tymczasem jednak nie widzę powodów do radości.

Nie okazał żadnych emocji, słysząc bezduszną odpowiedź matki na nowinę o dziecku Aline, nie wspominając już nawet o oburzającej wzmiance o płodzeniu dziedziców, w głębi ducha jednak z całych sił walczył, by powstrzymać gwałtowną reakcję. Jego nastrój znacznie się pogorszył, gdy poczuł na sobie spojrzenie Lillian.

Wpatrywała się w niego przenikliwie, a jej wargi rozciągały się w osobliwym uśmiechu. Marcus uniósł brew i zapytał sardonicznie:

– Coś panią bawi, panno Bowman?

– Tak – wymruczała. – Zastanawiałam się właśnie, jakim cudem nie poślubił pan jeszcze pierwszej napotkanej chłopki.

– Ty impertynencka dziewucho! – zawołała hrabina.

Marcus uśmiechnął się do niepoprawnej dziewczyny, a uścisk w jego piersi zelżał.

– Myśli pani, że powinienem? – zapytał poważnie, jakby jej propozycja warta była rozważenia.

– Och, jak najbardziej – zapewniła go Lillian z figlarnym błyskiem w oku. – Marsdenom przydałaby się kropla świeżej krwi. Moim zdaniem tej rodzinie grozi widmo wsobności.

– Wsobności? – powtórzył Marcus, pragnąc już tylko rzucić się na nią i porwać ją gdzieś daleko stąd. – Skąd ten wniosek, panno Bowman?

– Och, sama nie wiem... Może to przez przesadne znaczenie, jakie nadajecie temu, czy do jedzenia puddingu należy używać widelca czy łyżki.

– Dobre wychowanie to domena nie tylko arystokracji, panno Bowman. – Nawet w jego uszach zabrzmiało to nieco pompatycznie.

– Moim zdaniem, milordzie, przesadne zaabsorbowanie dobrymi manierami i rytuałami to ewidentna oznaka tego, że ktoś ma za dużo wolnego czasu.

Uśmiechnął się, słysząc tę impertynencję.

– Opinia wywrotowa, niemniej rozsądna – oświadczył. – Nie jestem pewien, czy mogę się z nią nie zgodzić.

– Nie zachęcaj jej do dalszej beczelności, Westcliff – ostrzegła go hrabina.

– Cóż... pozostawię was w takim razie waszej syzyfowej pracy.

– To znaczy? – zapytała Daisy.

Lillian, wciąż patrząc roześmianym wzrokiem w oczy Marcusa, wyjaśniła siostrze:

– Moja droga, chyba nie uważałaś na lekcjach mitologii greckiej. Syzyf był duszą w Hadesie skazaną na wykonywanie przez całą wieczność jednego zadania. Wtaczał na wzgórze ogromny głaz, który za każdym razem staczał się w dół tuż przed szczytem.

– W takim razie jeśli hrabina jest Syzyfem – podsumowała Daisy – my musimy być...

– Głazem – oświadczyła zwięźle lady Westcliff, na co dziewczęta wybuchnęły śmiechem.

– Proszę kontynuować wykład, milady – powiedziała Lillian, koncentrując całą swą uwagę na starszej damie, podczas gdy Westcliff uklonił się i opuścił pokój. – Postaramy się pani nie zmiażdżyć.

Uczucie melancholii towarzyszyło Lillian przez resztę popołudnia. Jak zauważyła Daisy, wykład hrabiny nie stanowił balsamu dla duszy, lecz jej przygnębienie miało głębszy powód. Chodziło raczej o coś, co zostało powiedziane po wejściu do saloniku lorda Westcliffa, który przyniósł nowiny o narodzinach swego siostrzeńca. Westcliffa wyraźnie ucieszyło to wydarzenie, lecz nie zdziwiła go gorzka reakcja matki. Nerwowa wymiana zdań udowodniła Lillian istotność – nie, konieczność – by Westcliff poślubił „pannę z dobrego rodu”.

Panna z dobrego rodu... Taka, która wie, czym się je kotlet siekany, i nigdy nie przyszłoby jej do głowy dziękować lokajowi, który go podał. Taka, która nigdy nie popełniłaby błędu przejścia przez pokój, by porozmawiać z dżentelmenem, tylko stałaby pokornie i czekała, aż on podejdzie do niej. Małżonka Westcliffa będzie filigranową angielską różą o włosach w odcieniu popielatego blondu, ustach jak pączek kwiatu i pogodnym usposobieniu. Chów wsobny, pomyślała Lillian, czując wrogość w stosunku do nieznajomej. Dlaczego tak bardzo dręczy ją to, że Westcliff poślubi dziewczynę, która bez problemu dostosuje się do jego arystokratycznej egzystencji?

Marszcząc brwi, przypomniła sobie, jak hrabia poprzedniego wieczoru dotykał jej twarzy. Subtelna pieśczota, lecz całkowicie niestosowna, od mężczyzny, który nie miał co do niej żadnych planów. A jednak z jakiegoś powodu nie potrafił się powstrzymać. To przez perfumy, pomyślała ponuro. Sądziła, że będzie się dobrze bawić, dręcząc Westcliffa niechcianym pożądaniem. Tymczasem odbiło się to na niej, i to w najmniej przyjemny możliwy sposób. To ona była udręczona. Ilekroć Westcliff patrzył na nią, dotykał jej, uśmiechał się do niej, budziły się w niej emocje, których nie znała. Bolesne uczucie tęsknoty, które nakazywało jej pragnąć rzeczy niemożliwych.

Każdy powiedziałby, że to niedorzeczne połączenie – Westcliff i Lillian... zwłaszcza w świetle jego obowiązku spłodzenia dziedzica czystej krwi. Inni utytułowani mężczyźni nie mogli sobie pozwolić na takie wybrzydzenie jak Westcliff, ich odziedziczone fortuny skurczyły się i dlatego potrzebowali jej pieniędzy. Z poparciem hrabiny Lillian mogła znaleźć znośnego kandydata, poślubić go i wreszcie zakończyć cały ten proces polowania na męża. Uderzyła ją jednak myśl, że świat brytyjskiej arystokracji jest mały i w związku z tym zapewne nieraz jeszcze stanie twarzą w twarz z Westcliffem i jego angielską żoną. Ta perspektywa budziła w niej głęboki niepokój. Była wręcz nie do zniesienia.

Tęsknotę nagle zastąpiło ukłucie zazdrości. Lillian wiedziała, że Westcliff nigdy nie będzie szczęśliwy z kobietą, którą zamierzał poślubić. Szybko zmęczy go żona, którą zdoła zastraszyć. Monotonna dieta oparta na spokoju znuży go do granic wytrzymałości. Potrzebował kogoś, kto zdoła mu się przeciwstawić i go zainteresować. Kogoś, kto przedrze się przez warstwy arystokratycznego opanowania do ciepłego, ludzkiego mężczyzny, który krył się w środku. Kogoś, kto go rozgniewa, kto będzie z niego kpił i pobudzał go do śmiechu.

– Kogoś takiego jak ja... – szepnęła żałośnie.

ROZDZIAŁ 12

Tego wieczoru odbywał się oficjalny bal. Noc była piękna, sucha i chłodna, dlatego otwarto wysokie okna, aby wpuścić do środka świeże powietrze. Światło spływało z kryształowych żyrandoli na misternie ułożony parkiet niczym lśniące krople deszczu. Muzyka orkiestry falowała wokół, zapewniając idealne tło dla plotek i śmiechu gości.

Lillian nie ośmieliła się sięgnąć po filiżankę z ponczem w obawie, że poplamie suknię balową z kremowej satyny. Prosta spódnica opadała w lśniących fałdach na podłogę, a jej wąska talia była otoczona sztywną opaską. Jediną ozdobą sukni był artystyczny wzór z paciorków na brzegu okrągłego dekoltu. Gdy poprawiała białą rękawiczkę na najmniejszym palcu, po drugiej stronie sali dostrzegła lorda Westcliffa. Był mroczny i uderzająco przystojny w wieczorowym ubraniu, z białym fularem zaprasowanym w kanty przypominające ostrze noża.

Jak zwykle zebrała się wokół niego grupa mężczyzn i kobiet. Jedną z pań, piękna blondynka o ponętnej figurze, pochyliła się ku niemu i szepnęła coś, co przywołało blady uśmiech na jego wargi. Chłodno obserwował scenerię, oceniając zbierające się powoli towarzystwo... gdy nagle zobaczył Lillian. Zlustrował ją przelotnym, szacującym wzrokiem. Poczwała jego obecność tak namacalnie, jakby wcale nie dzieliło ich kilka metrów. Zaniepokojona własną zmysłową reakcją na mężczyznę stojącego po drugiej stronie sali, krótko skinęła mu głową, po czym odwróciła się.

– Co się stało, Lillian? – szepnęła Daisy, podchodząc do niej. – Wyglądasz na poruszoną.

– Próbuję przypomnieć sobie wszystko, co powiedziała nam hrabina – skłamała, uśmiechając się kpiąco – i wszystko zapamiętać. Zwłaszcza zasady dotyczące dygania. Jeśli ktoś mi się ukloni, zacznę krzyczeć i ucieknę w przeciwnym kierunku.

– Jestem przerażona, że popełnię błąd – wyznała Daisy. – Było o wiele łatwiej, zanim dowiedziałam się, jak wiele rzeczy robiłam źle. Z radością przez cały wieczór będę podpierać ściany, bezpieczna po drugiej stronie sali. – Razem zerknęły na rząd półokrągłych nisz wyłobionych w ścianie po jednej stronie. Każdą z nich otaczały smukłe kolumny i w każdej stały wąskie wyściełane aksamitem ławki. W najdalszej niszy, w kącie, siedziała samotnie Evie. Różowa suknia ostro kontrastowała z jej rudymi włosami, głowę trzymała opuszczoną i sączyła ukradkiem poncz z filiżanki, a cała jej postawa znamionowała głęboką niechęć do rozmowy z kimkolwiek. – Och, tak nie może być – westchnęła Daisy. – Chodź, wyrwiemy tę biedną dziewczynę z jej niszy i zmusimy ją, by przespacerowała się z nami po sali.

Lillian uśmiechnęła się i już miała ruszyć za siostrą, gdy nagle usłyszała tuż obok głęboki głos:

– Dobry wieczór, panno Bowman.

Mrugając szybko ze zdumienia, odwróciła się twarzą do lorda Westcliffa, który musiał pokonać dzielący ich dystans ze zdumiewającą szybkością.

– Milordzie.

Uklonił się nad dłonią Lillian, po czym przywitał się z Daisy i znów spojrzał na starszą z sióstr. Blask żyrandoli igrał w gęstych ciemnych warstwach jego włosów i na jego twarzy.

– Jak widzę, udało się paniom wyjść cało ze spotkania z moją matką.

Lillian uśmiechnęła się.

– Chciał pan powiedzieć raczej, że to jej udało się wyjść cało ze spotkania z nami.

– Było widać, że hrabina doskonale się bawi. Rzadko spotyka młode kobiety, które nie mdleją ze strachu w jej obecności.

– Jeśli nie mdleję ze strachu w pana obecności, milordzie, na pewno nie będę mdlała przy niej.

Westcliff uśmiechnął się szeroko na te słowa, po czym odwrócił głowę. Pomiędzy jego brwiami pojawiły się dwie małe zmarszczki, jakby rozważał jakąś ważną sprawę. Po chwili milczenia, która zdawała się trwać nieskończenie długo, znów spojrzał na Lillian.

– Panno Bowman...

– Tak?

– Czy uczyni mi pani ten honor i zgodzi się ze mną zatańczyć?

Lillian przestała oddychać, ruszać się, przestała myśleć. Westcliff nigdy jeszcze nie poprosił jej do tańca, mimo iż było mnóstwo okazji, kiedy powinien to zrobić z czystej uprzejmości. Był to jeden z powodów, dla których tak go nienawidziła – świadomość, że uważał się za o wiele lepszego od niej, a jej urok za zbyt nieznaczący, by w ogóle się tym kłopotać. W swoich najzłośliwszych fantazjach wyobrażała sobie tę chwilę, gdy podejdzie do niej, by poprosić ją do tańca, a ona zmiażdży go swoją odmową. Zamiast tego teraz oniemiała.

– Wybaczcie mi, proszę – usłyszała wesoły głos Daisy. – Muszę iść do Evie...

Lillian odetchnęła drżąco, gdy siostra uciekła z nieprzystojną wręcz szybkością.

– Czy to jakiś test obmyślony przez hrabinę? – zapytała. – Sprawdzian, czy odrobiłam lekcje?

Westcliff roześmiał się cicho. Odzyskując panowanie nad sobą, Lillian zauważyła, że ludzie otwarcie im się przyglądają, najwyraźniej zastanawiając się, co powiedziała, że tak go rozbawiło.

– Nie – szepnął. – To ja pragnę poddać testowi siebie, by przekonać się... – Chyba zapomniał, co chciał powiedzieć, gdy spojrzał jej w oczy. – Jeden walc – poprosił łagodnie.

Nie ufając swoim reakcjom ani obezwładniającej sile pragnienia, by znaleźć się w jego ramionach, pokręciła głową.

– Sądzę... Sądzę, że to byłby błąd. Dziękuję, lecz...

– Tchórz.

Przypomniała sobie tę chwilę, gdy zarzuciła mu to samo... i tak samo jak on nie zdołała oprzeć się wyzwaniu.

– Nie rozumiem, dlaczego teraz chce pan ze mną zatańczyć, skoro nigdy wcześniej nie przejawiał pan takich pragnień.

Odsłoniła więcej, niż zamierzała. Przekląła swój niesforny język, gdy pytający wzrok hrabiego zaczął błędzić po jej twarzy.

– Chciałem – powiedział, zaskakując ją. – Lecz zawsze znajdował się jakiś dobry powód, by tego nie zrobić.

– Dlaczego...

– Poza tym – przerwał jej, sięgając po dłoń w rękawiczce – nie było sensu prosić, jeśli istniała pewność, że pani odmówi. – Zwinnie wsunął jej rękę pod swoje ramię, po czym poprowadził ją w tłum par na środku sali.

– Wcale nie było takiej pewności – szepnęła.

Zerknął na nią sceptycznie.

– Twierdzi pani, że by się zgodziła?

– To możliwe.

– Wątpię.

– Właśnie to zrobiłam, nieprawdaż?

– Musiała pani. Dług honorowy.

Lillian nie zdołała pohamować wybuchu śmiechu.

– Za co, milordzie?

– Za cielecy łeb – przypomniał jej zwięźle.

– Cóż, gdyby nie zaserwował pan swoim gościom tego paskudnego dania, nie musiałyby mnie pan ratować!

– Nie musiałbym pani ratować, gdyby nie miała pani takiego słabego żołądka.

– Nie należy rozmawiać o częściach ciała w obecności damy – oświadczyła z wyższością. – Pańska matka tak powiedziała.

Westcliff uśmiechnął się szeroko.

– Proszę o wybaczenie.

Rozkoszując się niewinną sprzeczką, Lillian również się do niego uśmiechnęła. Jej uśmiech zbladł jednak, gdy rozpoczął się powolny walc, a Westcliff odwrócił ją do siebie twarzą. Jej serce zaczęło łomotać z niepohamowaną siłą. Gdy spojrzała na jego dłoń w rękawiczce, którą jej podał, nie zdołała jej ująć. Nie mogła sobie pozwolić na to, by wziął ją w ramiona w miejscu publicznym... Obawiała się tego, co zdradzi jej twarz.

Po chwili usłyszała jego cichy głos.

– Weź mnie za rękę. – Oszłomiona, wykonała polecenie i wyciągnęła drżące palce. Znow minęła chwila ciszy, zanim rozległ się jego łagodny szept: – Drugą połóż na moim ramieniu. – Patrzyła, jak biała rękawiczka powoli opada na jego ramię, twarde i solidne pod jej dłonią. – A teraz na mnie spójrz – szepnął.

Uniosła powieki. Jej serce wykonało salto, gdy spojrzała w jego oczy koloru kawy, wypełnione mrocznym ciepłem. Nie spuszczać z niej wzroku, poprowadził ją do walca, wykorzystując siłę pierwszego obrotu, by przytulić ją do siebie. Wkrótce zagubili się pomiędzy tancerzami, krążąc z leniwą gracją kołującej jaskółki. Tak jak przypuszczała, Westcliff prowadził zdecydowanie, nie pozostawiając jej miejsca na błędy. Jego dłoń spoczywała stanowczo na jej krzyżu, drugą przekazywał jej wyraźne wskazówki.

Wszystko to okazało się zbyt łatwe. Było idealnie, jak jeszcze nigdy w jej życiu – ich ciała poruszały się w zgodnej harmonii, jakby tańczyli razem walca już po raz tysięczny. Dobry Boże, ten mężczyzna potrafił tańczyć. Pokazywał jej figury, których nigdy jeszcze nie wykonywała, obroty w lewo i kroki boczne, a wszystko to wydawało się takie naturalne i swobodne, że gdy wykonali kolejny piruet, roześmiała się bez tchu. Czuła się lekka jak piórko w jego ramionach, sunęła po parkiecie bez wysiłku w ramie jego ekonomicznych, lecz pełnych gracji ruchów. Jej spódnica ocierała się o jego nogi, unosząc się i opadając w powtarzalnym rytmie.

Zatłoczona sala balowa zniknęła, a ona odniosła wrażenie, jakby tańczyli sami, gdzieś daleko, w odosobnionym miejscu. Intensywnie świadoma jego ciała i okazjonalnych powiewów jego oddechu na swoim policzku, zapadła w osobliwy sen na jawie... fantazję, w której lord Marcus Westcliff po walcu zaprowadzi ją na górę, rozbierze i położy delikatnie na swoim łóżku. Zacznie całować ją wszędzie, jak kiedyś szeptem obiecał... I będzie się z nią kochał, a potem tulił ją, gdy będzie spała. Jeszcze nigdy nie pragnęła takiej intymności z mężczyzną.

– Marcus... – powiedziała w zamyśleniu, smakując jego imię na języku. Spojrzał na nią uważnie. Użycie czyjegoś imienia było oznaką głębokiej osobistej więzi, intymności należącej parom małżeńskim i najbliższym krewnym. Uśmiechając się psotnie, pokierowała rozmowę na bardziej stosowne tory: – Podoba mi się to imię. Nie jest powszechne w dzisiejszych czasach. To imię po ojcu?

- Nie, po wuju. Jedynym ze strony matki.
- Cieszy się pan, że jest jego imiennikiem?
- Zaakceptowałbym każde imię, byle nie mojego ojca.
- Nienawidził go pan?

Westcliff pokręcił głową.

- Gorzej.
- Co może być gorszego niż nienawiść?
- Obojętność.

Spojrzała na niego z otwartym zaciekawieniem.

– A hrabina? – ośmieliła się zapytać. – Wobec niej również jest pan obojętny?

Kącik jego ust uniósł się w krzywym uśmiechu.

– Traktuję moją matkę jak starzejącą się tygrysicę, której kły i pazury już stępiały, lecz nadal potrafi ich użyć. Dlatego zazwyczaj staram się zachowywać bezpieczny dystans.

Posłała mu spojrzenie pełne udawanego oburzenia.

– A mimo to wepchnął mnie pan do jej klatki!

– Wiedziałem, że ma pani własne kły i pazury. – Uśmiechnął się na widok jej miny. – To był komplement.

– Cieszę się, że pan to wyjaśnił – mruknęła sucho. – W przeciwnym razie bym się nie zorientowała.

Ku jej rozgoryczeniu walc zakończył się ostatnią słodką nutą skrzypiec. Jedni tancerze zaczęli powoli schodzić z parkietu, inni ich zastępowali, a Westcliff zatrzymał się nagle pomiędzy nimi. Wciąż trzymał ją w ramionach, co uświadomiła sobie dopiero po chwili. Z wahaniem cofnęła się o krok. Jego ramię mimowolnie zacisnęło się na jej talii, a palce wpiły się w materiał sukni w instynktownej próbie zatrzymania jej. Zdumiona jego uczynkiem i tym, co zdradzał, poczuła, jak oddech więźnie jej w gardle.

Opanowując impuls, Westcliff zmusił się, by ją uwolnić. Wciąż jednak czuła siłę emanującego od niego pożądanego, równie intensywnej, jak fala żaru bijąca z płonącego lasu. Naszła ją przerażająca myśl, że choć jej uczucia do niego są szczerze, jego emocje mogą być tylko rezultatem kapryśnego działania perfum. Oddałaby wszystko, aby tak jej nie pociągał, ponieważ ta relacja mogła się zakończyć tylko rozczarowaniem lub złamanym sercem.

– Miałam rację, prawda? – zapytała ochryple, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy. – Nasz taniec okazał się błędem?

Westcliff nie odpowiadał tak długo, iż uznała, że już tego nie zrobi.

– Tak – mruknął w końcu. Jednosylabowe słowo kipiało od niezidentyfikowanych emocji.

Nie mógł sobie przecież pozwolić na to, by jej pragnąć. Wiedział równie dobrze, jak ona, że ich związek okazałby się katastrofą.

Nagle jego bliskość zaczęła sprawiać jej ból.

– Rozumiem więc, że to był nasz pierwszy, a zarazem ostatni walc – oświadczyła lekkim tonem. – Życzę miłego wieczoru, milordzie, i dziękuję za...

– Lillian – usłyszała jego szept.

Odwróciła się i odeszła z nikłym uśmiechem, czując gęsią skórę na odsłoniętej skórze karku i pleców.

Reszta wieczoru okazałaby się dla Lillian torturą, gdyby nie niespodziewany ratunek w postaci lorda Sebastiana St. Vincenta. Pojawił się u jej boku, zanim zdołała dołączyć do Evie i Daisy, które siedziały na aksamitnej ławce.

– Jest pani bardzo wdzięczną tancerką, panno Bowman.

Po chwili spędzonej w towarzystwie Westcliffa dziwnie się poczuła, musząc przechylić głowę, by

spojrzeć w twarz mężczyźnie o wiele wyższemu. St. Vincent patrzył na nią z obietnicą grzesznej rozrywki, której nie zdołała się oprzeć. Swoją enigmatyczny uśmiech mógł skierować równie dobrze do wroga, jak i przyjaciela. Jej wzrok padł na lekko przekrzywiony węzeł jego fularu. Całe jego odzienie nosiło oznaki nieładu, jakby ubierał się, w pośpiechu opuszczając łóżko kochanki... i zamierzał tam wkrótce wrócić.

W odpowiedzi na jego swobodny komplement uśmiechnęła się i nieco niezręcznie wzruszyła ramionami, zbyt późno przypominając sobie słowa hrabiny, że damy nigdy nie wykonują tego gestu.

– Jeśli wydałam się panu wdzięczna, milordzie, to tylko ze względu na umiejętności hrabiego, nie moje.

– Jesteś zbyt skromna, moja słodka. Widywałem Westcliffa w tańcu z innymi kobietami i rezultat nigdy nie był aż tak wyborny. Wygląda na to, że zakopaliście topór wojenny. Jesteście teraz przyjaciółmi?

Było to na pozór niewinne pytanie, lecz Lillian wyczuła, że kryje w sobie wiele warstw. Odpowiedziała na nie ostrożnie, widząc, jak lord Westcliff eskortuje damę o kasztanowych włosach do bufetu. Jej serce przeszła strzała zazdrości.

– Nie wiem, milordzie. Możliwe, że pańska definicja przyjaźni różni się od mojej.

– Mądra dziewczynka. – Jego oczy przypominały błękitne diamenty, blade i nieskończenie wieloaspektowe. – Proszę pozwolić, że zaprowadzę panią do bufetu. Po drodze porównamy nasze definicje.

– Nie, dziękuję – odparła z wahaniem, mimo iż umierała z pragnienia. Dla spokoju ducha zamierzała od teraz unikać bliskości Westcliffa.

St. Vincent spojrzał w tę samą stronę i zauważył hrabiego w towarzystwie ciemnowłosej damy.

– Może faktycznie lepiej nie – zgodził się spokojnym tonem. – Widok pani w moim towarzystwie bez wątpienia wzbudziłby niezadowolenie u Westcliffa. Bądź co bądź ostrzegł mnie, że mam się trzymać od pani z daleka.

– Tak? – Zmarszczyła brwi. – Dlaczego?

– Nie chce, by została pani skompromitowana, zadając się ze mną. – Posłał jej prowokacyjne spojrzenie. – Widzi pani, mam pewną reputację.

– Westcliff nie ma prawa decydować, z kim mogę się zadawać – wymamrotała, czując nagły gniew. – Wyniosły, zadufany w sobie mądrała. Mam ochotę... – Przystanąła, aby powściągnąć burzę emocji. – Chce mi się pić – oświadczyła szorstko. – Chcę pójść do bufetu. Z panem.

– Skoro pani nalega. Czego się napijemy? Wody? Lemoniady? Ponczu, a może...

– Szampana – padła ponura odpowiedź.

– Jak sobie życzysz.

Podeszli do długiego stołu otoczonego przez chmarę gości. Lillian nigdy jeszcze nie odczuła czystszej satysfakcji niż w chwili, gdy Westcliff zauważył ją w towarzystwie St. Vincenta. Zaciśnął wargi i zmrużył czarne oczy. Uśmiechając się buntowniczo, przyjęła od wicehrabiego kieliszek schłodzonego szampana, po czym opróżniła go niegodnymi prawdziwej damy haustami.

– Nie tak szybko, moja słodka – usłyszała szept St. Vincenta. – Szampan uderzy ci do głowy.

– Poproszę następny – odparła, odwracając głowę od Westcliffa i patrząc na St. Vincenta.

– Dobrze. Za kilka minut. Zaróżowiłaś się. Rezultat jest czarujący, lecz myślę, że na razie masz dość. Może chciałabyś zatańczyć?

– Z rozkoszą. – Postawiła pusty kieliszek na tacy przechodzącego lokaja, po czym spojrzała na St. Vincenta z celowo olśniewającym uśmiechem. – Intrygujące. Po roku permanentnego podpierania ścian otrzymałam dwa zaproszenia do tańca w ciągu jednego wieczoru. Ciekawe dlaczego?

– Cóż... – St. Vincent poprowadził ją powoli w tłum tancerzy. – Jestem występny człowiekiem, który czasami bywa odrobinę miły. I szukam miłej dziewczyny, która czasami bywa nieco występna.

– Znalazł ją pan? – zapytała ze śmiechem.

– Na to wygląda.

– A co zamierzał pan zrobić, gdy już znajdzie tę dziewczynę?

Jego oczy kryły w sobie intrygującą złożoność. Wydawał się być zdolny do wszystkiego... A w swoim obecnym lekkomyślnym stanie tego właśnie pragnęła.

– Powiem ci – mruknął. – Potem.

Taniec z St. Vincentem stanowił całkowicie odmienne doświadczenie niż taniec z Westcliffem. Nie towarzyszyło mu poczucie idealnej fizycznej harmonii, poruszania się bez namysłu... Niemniej St. Vincent był eleganckim i zdolnym tancerzem, a gdy krążyli wokół sali balowej, wciąż wygłaszał prowokacyjne komentarze, którymi pobudzał Lillian do śmiechu. Trzymał ją w pewnym uścisku dłońmi, które choć pełne szacunku, nosiły znamiona bogatego doświadczenia z kobiecym ciałem.

– Jaka część pana reputacji jest w pełni zasłużona? – ośmieliła się zapytać.

– Co najwyżej połowa. Co czyni ją absolutnie naganną.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Jak to możliwe, że mężczyzna taki jak pan przyjaźni się z lordem Westcliffem? Tak bardzo się od siebie różnicie.

– Znamy się od ósmego roku życia. A Westcliff jest zbyt uparty, by zaakceptować fakt, iż jestem straconą sprawą.

– Dlaczego jest pan straconą sprawą?

– Nie chcesz znać odpowiedzi na to pytanie – przerwał jej przesłuchanie i wyszeptał: – Walc się kończy. A obok złoczonego fryzu stoi kobieta, która bardzo uważnie się nam przygląda. Twoja matka, nieprawdaż? Zaprowadzę cię do niej.

Lillian pokręciła głową.

– Lepiej rozstańmy się już teraz. Proszę mi wierzyć... Nie chce pan poznać mojej matki.

– Oczywiście, że chcę. Jeśli jest choć trochę podobna do pani, uznam ją za czarującą.

– Jeśli jest choć trochę do mnie podobna, błagam, miej pan na tyle przyzwoitości, aby zachować tę opinię dla siebie.

– Nie obawiaj się – doradził jej zrelaksowanym tonem, schodząc razem z nią z parkietu. – Nie spotkałem dotąd kobiety, której bym nie polubił.

– Ostatni raz w życiu wypowiedział pan to zdanie.

Prowadząc Lillian ku grupie plotkujących kobiet, wśród których stała również Mercedes, St. Vincent dodał:

– Poproszę ją, by towarzyszyła nam jutro podczas przejażdżki powozem, jako że pilnie potrzebuje pani przyzwoitki.

– Nie potrzebuję – zaprotestowała Lillian. – Mężczyźni i kobiety mogą udać się na przejażdżkę powozem bez niej, jeśli tylko powóz będzie otwarty, a oni wrócą po nie więcej niż...

– Potrzebujesz przyzwoitki – powtórzył z łagodnym naciskiem, który sprawił, że nagle ogarnęło ją podenerwowanie i onieśmienie.

Roześmiała się drżąco, myśląc, że jego wzrok nie może przecież wyrażać tego, co jej zdaniem wyrażał.

– W przeciwnym razie... – Postanowiła powiedzieć coś skandalicznego. – W przeciwnym razie mnie pan skompromituje?

Jego uśmiech, jak wszystko w nim, okazał się subtelny i niespieszny.

– Coś w tym rodzaju.

Poczuła osobliwe, lecz przyjemne łaskotanie na podniebieniu, jakby połknęła łyżkę melasy. St. Vincent nie zachowywał się jak ci wszyscy uwodziciele zaludniający kieszonkowe powieści, w których zaczytywała się Daisy. Te nikczemne charaktery o ciężkim wąsie i lubieżnym spojrzeniu zazwyczaj

kłamały na temat swych podłych intencji aż do ostatniej chwili, kiedy to napadały na dziewczyną heroinę i narzucały się jej. W przeciwieństwie do nich St. Vincent przejawiał zdumiewającą determinację, by ją przed sobą ostrzegać. Nie wyobrażała sobie też, by musiał inwestować jakikolwiek wysiłek w nakłonienie dziewczyny do zrobienia czegoś wbrew jej woli.

Gdy przedstawiła go matce, od razu zauważyła wyrachowanie w oczach Mercedes. Pani Bowman wszystkich kawalerów wywodzących się z arystokracji postrzegała jako potencjalne ofiary, nie zważając na ich wiek, wygląd ani reputację. Nic nie mogło zaszkodzić jej misji zapewnienia każdej z córek utytułowanego męża, nie liczyło się też dla niej, czy mężczyzna z tytułem był młody i przystojny czy też stary i zdzieciniały. Zamówiła obszerny raport na temat niemal każdego arystokraty w Anglii i nauczyła się na pamięć setek stron danych o finansach brytyjskiej arystokracji. Gdy patrzyła teraz na stojącego przed nią eleganckiego wicehrabiego, niemal było widać, jak w jej mózgu przesuwały się kolumny cyfr.

Co ciekawsze, nie upłynęło więcej niż kilka minut, a Mercedes całkowicie poddała się urokowi St. Vincenta. Namówił ją, by zgodziła się na przejażdżkę powozem, żartował i pochlebiał jej, a także słuchał jej opinii z taką uwagą, że wkrótce zaczęła się rumienić i chichotać jak nastoletnie dziewczę. Lillian nigdy jeszcze nie widziała, by matka zachowywała się w ten sposób w obecności mężczyzny. Szybko stało się jasne, że podczas gdy Westcliff budził w niej nerwowość, St. Vincent wywierał na nią całkowicie przeciwny wpływ. Cechowała go unikalna umiejętność – potrafił każdą kobietę przekonać, że jest atrakcyjna. Miał dużo lepsze maniery niż większość Amerykanów, był jednak o wiele cieplejszy i bardziej bezpośredni niż Anglicy. Jego urok był tak magnetyzujący, że nawet Lillian zapomniała na chwilę, iż powinna rozglądać się po sali w poszukiwaniu Westcliffa.

W pewnej chwili St. Vincent ujął dłoń Mercedes, pochylił się nad jej nadgarstkiem i wymruczał:

– W takim razie do jutra.

– Do jutra – powtórzyła pani Bowman z oszołomioną miną, a Lillian przekonała się, jak matka musiała wyglądać w młodości, zanim zahartowało ją rozczarowanie. Kilka dam pochyliło się ku niej, a ona odwróciła się, by się z nimi naradzić.

Wtedy St. Vincent pochylił ciemnozieloną głowę i szepnął do ucha Lillian:

– Może teraz ma pani ochotę na drugi kieliszek szampana?

Pokiwała lekko głową, wdychając przyjemny zapach, który go otaczał – aromat kosztownej wody kolońskiej, nuta mydła do golenia i czysta, przypominająca goździki esencja jego skóry.

– Tutaj? – zapytał miękko. – Czy w ogrodzie?

Uświadomiwszy sobie, że pragnie ją porwać na kilka minut, Lillian poczuła wahanie. Sam na sam z St. Vincentem w ogrodzie... Bez wątpienia upadek niejednej nieroztropnej dziewczyny rozpoczął się w takich okolicznościach. Rozważając jego propozycję, wodziła oczami po sali, aż jej wzrok padł na Westcliffa, który obejmował kobietę. Tańczył z nią walca, zupełnie tak jak przed chwilą z Lillian. Na zawsze nieosiągalny Westcliff, pomyślała w przyływie gniewu. Zapragnęła rozrywki. I pocieszenia. A stojący przed nią potężny, przystojny mężczyzna był gotów jej to zapewnić.

– W ogrodzie – powiedziała.

– W takim razie spotkajmy się tam za dziesięć minut. Przy fontannie z syreną, tuż za...

– Wiem, gdzie to jest.

– Jeśli nie zdoła pani wymknąć się na zewnątrz...

– Zdołam – zapewniła Lillian, zmuszając się do uśmiechu.

St. Vincent zatrzymał się i objął ją przenikliwym, lecz osobliwie współczującym spojrzeniem.

– Potrafię sprawić, że poczujesz się lepiej, moja słodka – szepnął.

– Czyżby? – zapytała ponuro, gdy niechciane emocje zabarwiły jej policzki makową czerwienią.

W jego błyszczących oczach zapłonął obiecujący ogień. Odpowiedział jej lekkim skinieniem głowy, po

czym oszczęd.

ROZDZIAŁ 13

Angażując do pomocy Daisy i Evie, które w razie czego miały wytłumaczyć jej nieobecność, Lillian opuściła salę balową wraz z nimi pod pretekstem poprawy wyglądu. Zgodnie z naprędce skleconym planem, dziewczęta miały czekać na tylnym tarasie, gdy Lillian spotka się z lordem St. Vincentem w ogrodzie. Następnie zamierzały razem wrócić do sali balowej i zapewnić Mercedes, że przez cały ten czas były razem.

– Jesteś p-pewna, że to bezpieczne, byś spotkała się z lordem St. Vincentem sam na sam? – niepokoiliła się Evie, gdy szły przez główny hol.

– Całkowicie – odparła Lillian z przekonaniem. – Och, może pozwoli sobie na jakąś swobodę, lecz przecież taki właśnie jest cel tej wyprawy, nieprawdaż? Poza tym chcę sprawdzić, czy działają na niego moje perfumy.

– Na nikogo nie działają – mruknęła Daisy ponuro. – Nie, gdy ja mam je na sobie.

Lillian zerknęła na Evie.

– A ty, moja droga? Chcesz nam coś powiedzieć?

Daisy odpowiedziała za nią:

– Evie nikogo nie dopuściła na tyle blisko siebie, by się przekonać.

– Cóż, zamierzam dać St. Vincentowi możliwość porządnego zaciągnięcia się ich wonią. Na litość boską, powinny zadziałać na niepoprawnego kobieciarza jego pokroju.

– A jeśli ktoś was zobaczy...

– Nikt nas nie zobaczy. – Lillian przerwała siostrze ze zniecierpliwieniem w głosie. – Jeśli jest w Anglii mężczyzna bardziej doświadczony w wymykaniu się na intymne schadzki niż lord St. Vincent, chciałabym poznać jego nazwisko.

– Niemniej uważaj – ostrzegła ją Daisy. – Schadzki są niebezpieczne. Wiele o nich czytałam i zazwyczaj nie wynika z nich nic dobrego.

– To będzie bardzo krótka schadzka – zapewniła ją Lillian. – Najwyżej kwadrans. Co się może wydarzyć w takim czasie?

– Według Annabelle – mruknęła Evie ponuro – b-bardzo dużo.

– Właśnie. A gdzie jest Annabelle? – Lillian dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie widziała przyjaciółki przez cały wieczór.

– Źle się poczuła, biedaczka – wyjaśniła Daisy. – Pozieleniała na twarzy. Obawiam się, że zjadła coś nieświeżego na lunch.

Lillian wykrzywiła twarz, wzdrygając się z odrazą.

– Bez wątplenia było to coś z węgorzem, golonką cielecą lub kurzymi łapkami...

Daisy uśmiechnęła się szeroko.

– Przestań, bo się pochorujesz. W każdym razie zajmuje się nią teraz pan Hunt.

Przez drzwi balkonowe na tyłach holu wyszły prosto na pusty kamienny taras. Daisy odwróciła się i ostrzegawczo pokiwała palcem na siostrę.

– Jeśli znikniesz na dłużej niż kwadrans, zaczniemy cię z Evie szukać.

Lillian odpowiedziała jej niskim śmiechem.

– Nie będę się ościagać. – Mrugnęła, po czym uśmiechnęła się do zmartwionej Evie. – Nic mi nie będzie, moja droga. Pomyśl o wszystkich tych interesujących rzeczach, które będę mogła wam opowiedzieć, gdy wrócę!

– Właśnie t-tego się obawiam – odparła Evie.

Lillian zeszła po schodach na trawnik, zebrała spódnice i zagłębiła się w tarasowe ogrody, rozciągające się za starym żywopłotem, który tworzył nieprzeniknione ściany wokół niższych poziomów. Oświetlony pochodniami ogród obfitował w kolory i zapachy jesieni – złote i miedziane liście, gęste krzewy róż i dalie, kwitnące ozdobne trawy i rabaty okryte świeżą mierzwą, która napępiała powietrze intensywnym aromatem.

Słyszając przyjazny plusk fontanny z syreną, podążyła kamienną ścieżką w stronę małej polany, oświetlonej pojedynczą pochodnią. Tuż za fontanną coś się poruszyło – jedna, nie, dwie osoby tuliły się do siebie na jednej z kamiennych ławek otaczających fontannę. Lillian stłumiła okrzyk zaskoczenia i na powrót skryła się za żywopłotem. Lord St. Vincent poprosił, by spotkała się z nim tutaj... lecz przecież to nie on siedział na ławce... A może? Oszołomiona, podkradła się kilka centymetrów do przodu, by wyjrzeć zza wysokich krzewów.

Szybko zrozumiała, że para na ławce jest tak zajęta swoją miłosną grą, iż nie zauważyliby nawet pędzącego obok stada słoni. Kobieta miała jasnobrązowe włosy, które spływały swobodnie na jej plecy i dekolt, odsłonięty przez częściowo rozpiętą suknię. Jej szczupłe, blade ramiona lekko otaczały barki mężczyzny. Westchnęła drżąco, gdy jej kochanek pociągnął za rękawy sukni i ucałował białą wypukłość jej obojczyka. Uniósł głowę i spojrzał na nią sennymi, namiętymi oczami, po czym pochylił się do jej ust. Nagle Lillian ich rozpoznała – była to lady Olivia i jej mąż, pan Shaw. Zawstydzona i zciekawiona, schowała się na powrót za żywopłotem w tej samej chwili, gdy pan Shaw wsunął dłoń pod suknię małżonki na wysokości pleców. Lillian jeszcze nigdy nie była świadkiem tak intymnej sceny.

I nigdy jeszcze nie słyszała tak intymnych dźwięków, cichych jęków i słów miłości, a także niewytłumaczalnie łagodnego śmiechu pana Shawa, który sprawił, że podkurczyła palce stóp. Jej twarz płonęła ze wstydu, gdy cofała się powoli, coraz dalej od polany. Nie była pewna, dokąd iść ani co teraz robić, skoro miejsce jej własnej schadzki zostało zajęte. Ogarnęło ją osobliwe uczucie, gdy stała się świadkiem głęboko namiętnej czułości, która łączyła Shawów. Miłość w małżeństwie. Nie ośmieliła się nawet marzyć o czymś takim dla siebie.

Nagle tuż przed nią zjawiała się wysoka postać. Mężczyzna podszedł powoli, otoczył ramieniem zeszywniałe barki Lillian i wcisnął w jej palce kieliszek schłodzonego szampana.

– Milordzie? – szepnęła.

Jej ucho połaskotał miękki szepet St. Vincenta:

– Chodź ze mną. – Posłusznie pozwoliła mu poprowadzić się bardziej zacienioną ścieżką ku innej oświetlonej pochodniami polanie, na której stał masywny okrągły kamienny stół. Tuż za nim rósł gruszowy sad, roztaczając wokół aromat dojrzewających owoców. Wciąż obejmując ją ramieniem, St. Vincent poprowadził Lillian do stołu. – Zostaniemy tutaj? – zapytał. Pokiwała głową, po czym oparła się biodrem o stół. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, gdy sączyła szampana. Na myśl o tym, że niemal zakłóciła intymną scenę pomiędzy Shawami, znów się zaczerwieniła. – Moja droga, chyba się nie wstydzisz, prawda? – rzucił St. Vincent z rozbawieniem. – Zaledwie migawka... Och, daj spokój, to nic takiego. – Zdjął rękawiczki i poczuła koniuszki jego palców pod brodą, gdy delikatnie uniósł jej twarz. – Cóż za rumieniec – mruknął. – Dobry Boże, zapomniałem już, jak to jest być tak niewinnym. Wątpię, czy kiedykolwiek byłem. – W blasku pochodni stanowił hipnotyzujące zjawisko. Cienie pieściły płaszczyzny jego eleganckich kości policzkowych. Jego gęste, ciężkie włosy przybrały odcień miedzianego złota ze

starej bizantyjskiej ikony. – Przecież są małżeństwem – kontynuował, kładąc dłonie na jej talii i podnosząc ją, by usiadła na stole.

– Och, ja... nie jestem oburzona – zdołała wykrztusić Lillian, biorąc kolejny łyk szampana. – Wręcz przeciwnie, myślałam właśnie, jak bardzo sprzyja im los. Wydają się razem bardzo szczęśliwi. W świetle awersji hrabiny do Amerykanów jestem zaskoczona, że lady Olivii pozwolono poślubić pana Shawa.

– To dzieło Westcliffa. Postanowił, że nie pozwoli, by hipokryzja jego matki stanęła siostrze na drodze do szczęścia. Biorąc pod uwagę jej skandaliczną przeszłość, hrabina nie ma prawa potępiać wybranków córki.

– Hrabina ma skandaliczną przeszłość?

– Ależ tak! Boże... Jej ostentacyjna pobożność służy za parawan wieloletniej rozpuście. To dlatego tak dobrze się dogadujemy. Właśnie z mężczyznami mojego pokroju miewała romanse w młodości.

Pusty kieliszek niemal wysunął się z palców Lillian. Odstawiła na bok kruche naczynie i spojrzała na St. Vincenta z jawnym zdumieniem.

– Nie wygląda jak kobieta, która nawiązywałaby romanse.

– Nie zauważyłaś jeszcze braku rodzinnego podobieństwa pomiędzy Westcliffem a lady Olivią? Podczas gdy hrabia i jego siostra, lady Aline, to prawowici dziedzice nazwiska, powszechnie wiadomo, że nie jest tak w przypadku lady Olivii.

– Och...

– Nie można jednak winić hrabiny za zdrady – kontynuował swobodnie St. Vincent – jeśli się wie, czyją była żoną.

Temat starego hrabiego budził ogromne zainteresowanie Lillian. Hrabia był tajemniczą postacią, o której mówiono niechętnie.

– Lord Westcliff powiedział mi kiedyś, że jego ojciec był brutalem – wyznała w nadziei, że St. Vincent zdradzi jej coś więcej.

– Czyżby? – Jego oczy zapłonęły z zaciekawieniem. – To niezwykle. Westcliff nigdy nie rozmawia z nikim o swoim ojcu.

– To prawda? Był brutalem?

– Nie – odparł St. Vincent cicho. – Nazwanie go brutalem byłoby zbyt pobłażliwe, ponieważ zakładałoby pewien brak świadomości co do własnego okrucieństwa. Stary hrabia był wcielonym diabłem. Wiem tylko o niektórych okropnościach, jakich się dopuścił... i nie pragnę wiedzieć więcej. – Oparł się na dłoniach i kontynuował z namysłem: – Wątpię, by wiele osób zdołało przetrwać wychowywanie przez Marsdenów, którzy miotali się pomiędzy łagodnym zaniedbywaniem a skrajną agresją. – Pochylił głowę, a jego rysy okrył cień. – Przez większość życia obserwowałem, jak Westcliff walczy, by nie stać się człowiekiem, jakiego widział w nim ojciec. Dźwiga jednak na swoich barkach ciężar ogromnych oczekiwań... co wpływa na jego osobiste wybory częściej, niżby chciał.

– Osobiste wybory, takie jak...

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Wybór małżonki na przykład.

Natychmiast zrozumiała aluzję i z wielką uwagą skonstruowała swoją odpowiedź:

– Nie trzeba mnie przed tym ostrzegać. Jestem świadoma tego, że lord Westcliff nigdy nawet nie pomyślałby o zalotach do kogoś takiego jak ja.

– Och, myślał o tym – mruknął St. Vincent.

Serce Lillian niemal stanęło.

– Skąd pan to wie? Wspominał coś na ten temat?

– Nie. Ale to oczywiste, że cię pragnie. Ilekroć jesteś blisko, nie potrafi oderwać od ciebie wzroku. A gdy dzisiaj tańczyliśmy, miał taką minę, jakby chciał przeszyć mnie jakimś ostrym przedmiotem. Niemniej...

– Niemniej...?

– Gdy Westcliff w końcu się ożeni, dokona konwencjonalnego wyboru... w postaci uległej, młodej angielskiej panny, która nie będzie stawiała mu żadnych żądań.

Oczywiście. Lillian również tak myślała. Czasami jednak niełatwo pogodzić się z prawdą. A co najgorsze, nie miała nawet czego opłakiwać. Przecież nic nie straciła. Westcliff niczego nigdy jej nie obiecał, w żaden sposób nie wyraził swoich uczuć wobec niej. Kilka pocałunków i jeden walc nie oznaczały nieszczęśliwego romansu.

Dlaczego więc czuła się taka nieszczęśliwa?

Obserwując przez chwilę grę emocji na jej twarzy, St. Vincent uśmiechnął się ze współczuciem.

– To minie, moja słodka – szepnął. – Zawsze mija. – Pochylił głowę i musnął ustami jej włosy, po czym przesunął je na wrażliwą skórę jej skroni.

Znieruchomiała ze świadomością, że jeśli perfumy mają na niego zadziałać, to właśnie teraz. Znajdował się tak blisko, że nie zdołałby się oprzeć ich wpływowi. Gdy tylko cofnął głowę, zauważyła jednak, że wciąż jest spokojny i całkowicie opanowany. Przez jego twarz nie przemknął nawet cień gwałtownej pasji, którą widziała w oczach Westcliffa. Do diabła, pomyślała z frustracją. Jaki pożytek z tych perfum, jeśli działają tylko na niewłaściwego mężczyznę?

– Milordzie, czy pragnął pan kiedyś czegoś, czego nie mógł pan mieć? – zapytała cicho.

– Jeszcze nie. Ale wciąż żywię nadzieję.

Uśmiechnęła się pytająco.

– Żywi pan nadzieję, że pewnego dnia pokocha kogoś, kogo nie będzie pan mógł mieć? Dlaczego?

– Byłoby to interesujące doświadczenie.

– Tak jak upadek z konia. Ja wolałabym się dowiedzieć, co to za uczucie, z drugiej ręki.

Roześmiał się, po czym odepchnął się od stołu i zwrócił twarzą do niej.

– Może ma pani rację. Lepiej wracajmy do środka, moja mądra mała przyjaciółko, zanim twoja nieobecność zacznie się rzucać w oczy.

– Ale... – Lillian nagle uświadomiła sobie, że jej interludium w ogrodzie będzie się składać tylko ze spaceru i krótkiej rozmowy. – To wszystko? – wypaliła. – Nie zamierza pan...

St. Vincent stanął przed nią i oparł dłonie na stole po obu stronach jej bioder. Nie dotknął jej jednak. Jego uśmiech był subtelny i ciepły.

– Zakładam, że ma pani na myśli awanse, jakie powinienem pani czynić? – Z rozmysłem pochylił głowę, aż jego oddech musnął jej czoło. – Postanowiłem poczekać, byśmy oboje mogli się jeszcze nieco zastanowić.

Zawiedziona, rozmyślała, czy uznał ją za całkowicie nieatrakcyjną. Na miłość boską, plotki głośniły, że ugania się za wszystkim, co nosi spódnicę. Fakt, czy chciała go pocałować czy też nie, tracił na znaczeniu w kontekście o wiele poważniejszego problemu – wzgardził nią kolejny mężczyzna. Dwie odprawy w trakcie jednego wieczoru... każdy odczułby to jako cios.

– Ale przecież obiecał pan, że pomoże mi poczuć się lepiej... – Poczzerwieniała ze wstydu, słysząc błagalną nutę w swoim głosie.

St. Vincent roześmiał się cicho.

– Cóż, jeśli zamierzasz zacząć narzekać... Proszę. Coś, o czym będziesz mogła myśleć.

Pochylił się ku niej i samymi końcówkami palców ujął jej brodę, delikatnie nachylając jej głowę pod odpowiednim kątem. Lillian zamknęła oczy i poczuła jedwabisty nacisk jego ust, które poruszały się

z kuszącą lekkością. Jego wargi nacierały na nią leniwie, niespokojnie i coraz bardziej stanowczo, aż w końcu rozchyliła dla niego swoje. Dopiero zaczynała absorbować egzotyczną obietnicę pocałunku, gdy ten zakończył się delikatnym muśnięciem ust St. Vincenta.

Coś, o czym będzie mogła myśleć. Doprawdy.

Pomógł jej zejść na ziemię, po czym poprowadził ją przez ogród aż do stopni wiodących na tylny taras. Zatrzymali się przy żywopłocie. Blask księżyca otulił srebrem jego profil, gdy spojrzał w uniesioną twarz Lillian.

– Dziękuję – szepnął. Dziękował jej za pocałunek? Niepewnie pokiwała głową, myśląc, że chyba powinno być odwrotnie. Choć w jej podświadomości wciąż ponuro majaczyła wizja Westcliffa, nie czuła się już tak przygnębiona, jak w sali balowej. – Nie zapomnisz o naszej jutrzejszej przejażdżce? – zapytał, przesuwając palce w górę, po jej rękawiczkach, aż natrafił na obnażone partie jej ramion. – Pokręciła głową. Zmarszczył brwi z udawaną troską. – Czyżbym odebrał ci mowę? – zapytał, po czym roześmiał się, gdy potwierdziła skinieniem. – Nie ruszaj się w takim razie, zaraz ci ją oddam. – Szybko pochylił ku niej twarz i wycisnął na jej ustach pocałunek, wzniecając w jej żyłach falę mrowiącego ciepła. Długimi palcami ujął twarz Lillian i spojrzał na nią pytająco. – Już lepiej? Powiedz coś, abym się przekonał.

Nie zdołała powściągnąć uśmiechu.

– Dobranoc – szepnęła.

– Dobranoc – odparł, odwzajemniając uśmiech, po czym odwrócił ją w drugą stronę. – Ty pierwsza.

Gdy lord Sebastian St. Vincent szczególnie starał się być czarujący, tak jak następnego ranka, zdaniem Lillian żaden mężczyzna na ziemi nie był w stanie mu dorównać. Uparcie nalegając, by Daisy również im towarzyszyła, powitał trzy panie Bowman w holu, trzymając bukiet róż dla Mercedes. Poprowadził je do czarnego lakierowanego karykla, dał sygnał woźnicy i wybornie resorowany pojazd potoczył się gładko po żwirowej drodze.

St. Vincent usiadł obok Lillian i zajął wszystkie trzy damy rozmową, wypytując je o ich życie w Nowym Jorku. Od dawna już, uświadomiła sobie Lillian, nie miały z Daisy okazji porozmawiać z kimś o swojej ojczyźnie. Londyńska socjeta w ogóle nie interesowała się Nowym Jorkiem ani tym, co się w nim działo. Lord St. Vincent okazał się jednak tak wdzięcznym słuchaczem, że opowieści posypały się jak z rękawa.

Z radością opowiedziały mu o kamiennych rezydencjach przy Piątej Alei, o zimie w Central Parku, gdy sadzawka przy Pięćdziesiątej Dziewiątej zamarała i można było urządzać na niej cotygodniowe ślizgawki, i o tym, że czasami trzeba było przeznaczyć nawet pół godziny na pokonanie Broadway Avenue z powodu niekończącego się pochodu omnibusów i dorożek. A także o lodziarni na skrzyżowaniu Broadway i Franklin, w której ośmielano się serwować desery młodym damom przychodzącym tam bez męskiego towarzystwa.

St. Vincent wydawał się rozbawiony ich opisami ekscesów Manhattanville, jak na przykład przyjęcia, z okazji którego salę balową ozdobiono trzema tysiącami ciepłarnianych orchidei, albo mody na diamenty, która rozpoczęła się wraz z odkryciem nowych kopalni w Afryce, co zaowocowało tym, że teraz niemal wszyscy – od starców po nowo narodzone dzieci – obwieszali się błyszczącymi klejnotami. I rzecz jasna o prostym rozkazie wydawanym wszystkim dekoratorom: „Więcej”. Więcej pozłoty, więcej bibelotów, więcej farby i dekoracyjnych tkanin, aż zapełnią każdy pokój od podłogi po sufit.

Z początku Lillian czuła nostalgię, gdy mówiła o jarmarcznym życiu, które kiedyś wiodła. Gdy jednak karykiel toczył się przez hektary złotych pól gotowych na zbiory i przez ciemne lasy szeleszczące życiem, nagle uświadomiła sobie, że odczuwa zaskakującą ambiwalencję w stosunku do dawnego domu. W zasadzie egzystencja ta była pusta, stanowiła bezustanny pościg za modą i rozrywką. Londyńska

socjeta wydawała się pod tym względem niewiele lepsza. Nigdy nie pomyślałaby, że zauroczy ją takie miejsce jak Hampshire, lecz... tutaj można żyć prawdziwie, pomyślała tęsknie. Żyć pełnią życia, zamiast wiecznie rozmyślać nad niepewną przyszłością.

Nieświadoma tego, że od dłuższej chwili milczała, wpatrywała się nieobecny wzrokiem w mijane krajobrazy, gdy nagle dobiegł ją miękki szept St. Vincenta:

– Znowu straciłaś mowę? – Spojrzała prosto w jego jasne, roześmiane oczy i pokiwała głową. Daisy i Mercedes gawędziły wesoło na ławce naprzeciwko. – Mam na to niezawodne lekarstwo – powiedział, a ona roześmiała się ze skrepowaniem, czując na policzkach żar rumieńca.

Odrężona i zadowolona po przejażdżce z lordem St. Vincentem, Lillian nie przysłuchiwała się zbyt uważnie paplaninie matki na temat wicehrabiego do wzięcia, gdy wszystkie szły do jej pokoju.

– Trzeba się o nim więcej dowiedzieć. A ja zajrzę do swoich notatek z raportu o arystokracji, by sprawdzić, czy o niczym nie zapomniałam. Jeśli jednak pamięć mi służy, ma on skromną fortunę, a jego postawa i rodowód są zadowalające...

– Nie zapalałabym się jeszcze do idei wzięcia lorda St. Vincenta za zięcia, mamó – powiedziała Lillian. – Słynie z tego, że bawi się kobietami. Podejrzewam, że sam fakt małżeństwa go nie pociąga.

– Na razie – odparła Mercedes, wykrzywiając w grymasie przypominającą lisi pyszczek twarz. – W końcu jednak się ożeni.

– Czyżby? – zapytała Lillian bez przekonania. – Jeśli tak, wątpię, by kłopotał się konwencjonalnymi poglądami na małżeństwo. Na przykład koncepcją wierności.

Mercedes podeszła do najbliższego okna i utkwiała zacięty wzrok w lśniących szybach. Delikatnymi, niemal kościstymi palcami zaczęła skubać ciężkie frędzle jedwabnej zasłony.

– Wszyscy mężowie są niewierni w taki czy inny sposób.

Lillian i Daisy zerknęły na siebie, unosząc brwi.

– Ojciec nie jest – zauważyła Lillian rezolutnie.

Mercedes zareagowała śmiechem, który przypominał szelest miażdżonych pod stopami liści.

– Czyżby, moja droga? Może pozostał mi wierny fizycznie... co do tego nigdy nie można mieć pewności, lecz jego praca okazała się o wiele bardziej zazdrosną i wymagającą kochanką niż jakakolwiek kobieta z krwi i kości. Wszystkie swoje marzenia koncentruje na budynkach, pracownikach i wymogach prawnych, które angażują go tak, że nie ma w nim miejsca na nic więcej. Gdybym rywalizowała ze zwykłą śmiertelniczką, mogłabym to znosić z łatwością, wiedząc, że namiętność blednie, a uroda przemija. Jego firma nigdy jednak nie zblednie ani nie zbrzydnie. Przetrwa nas wszystkich. Jeśli twój mąż będzie cię darzył zainteresowaniem i uczuciem przez pierwszy rok, zyskasz więcej, niż ja kiedykolwiek miałam.

Lillian zawsze wiedziała, jak przedstawiają się sprawy między rodzicami – ich brak wzajemnego zainteresowania nie mógłby być bardziej oczywisty. Po raz pierwszy jednak Mercedes ujęła to w słowa, a szorstkość jej tonu sprawiła, że Lillian zmarszczyła brwi ze współczuciem.

– Ja nie poślubię takiego mężczyzny – oświadczyła.

– Iluzje nie pasują do dziewczyny w twoim wieku. Zanim skończyłam dwadzieścia cztery lata, miałam już dwoje dzieci. Czas, byś wyszła za mąż. I niezależnie od tego, kim będzie twój mąż ani jaką będzie się cieszył reputacją, nie powinnaś prosić go o obietnice, których nie zdoła dotrzymać.

– Rozumiem więc, że mój mąż może się zachowywać, jak tylko chce, i traktować mnie, jak uważa za stosowne, dopóki jest arystokratą? – zapytała gniewnie Lillian.

– Dokładnie – odparła Mercedes ponuro. – Biorąc pod uwagę inwestycję, jakiej dokonał wasz ojciec w to przedsięwzięcie... ubrania i hotele, wszystkie inne nasze wydatki... żadna z was nie ma innego

wyboru, niż poślubić arystokratę. Co więcej, nie zamierzam wrócić do Nowego Jorku na tarczy i stać się pośmiewiskiem, ponieważ moje córki nie zdołały wżenić się w szlachtę. – Odsunęła się od okna i wyszła z pokoju, zbyt pochłonięta własnymi gniewnymi myślami, by pamiętać, że powinna zamknąć drzwi.

Daisy przemówiła pierwsza:

– Czy to znaczy, że ona chce, byś poślubiła lorda St. Vincenta?

Lillian roześmiała się ponuro.

– Według niej mogłabym poślubić nawet śliniącego się szaleńca o morderczych skłonnościach, byle tylko w jego żyłach płynęła błękitna krew.

Daisy westchnęła, podeszła do siostry i odwróciła się do niej plecami.

– Pomóż mi z suknią i gorsetem, dobrze?

– Co zamierzasz?

– Pozbędę się tego paskudztwa i poczytam książkę, a potem się zdrzemnę.

– Chcesz spać? – zdumiała się Lillian. Daisy jeszcze nigdy dobrowolnie nie położyła się w ciągu dnia.

– Tak. Wstrząsy powozu wywołały u mnie ból głowy, a matka dokończyła dzieła wykładem. – Szczupłe ramiona Daisy zeszywniały w okowach spacerowej sukni. – Wydajesz się zauroczona lordem St. Vincentem. Co tak naprawdę o nim myślisz?

Lillian ostrożnie uwolniła misternie rzeźbione guziczki z kości słoniowej z maleńkich pętelek.

– Jest zabawny. I atrakcyjny. Mogłabym uznać go tylko za płytkiego ladaco... lecz od czasu do czasu dostrzegam oznaki czegoś, co kryje się pod tą fasadą... – Urwała, nie potrafiąc ubrać swoich myśli w słowa.

– Tak, wiem – dobiegł ją stłumiony głos Daisy, gdy ta pochyliła się, aby zsunąć z bioder fałdy delikatnego wzorzystego muślinu. – I nie podoba mi się to, cokolwiek to jest.

– Nie? – zapytała zdumiona Lillian. – Byłaś dzisiaj wobec niego bardzo miła.

– Nie sposób traktować go inaczej – przyznała Daisy. – Ma w sobie to coś, o czym mówią hipnotyzerzy. Zwierzęcy magnetyzm. Naturalną siłę przyciągania ludzi.

Lillian uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Czytasz za dużo kolorowych magazynów, moja droga.

– Cóż, abstrahując od magnetyzmu, lord St. Vincent kieruje się w życiu głównie własnym interesem i dlatego mu nie ufam. – Daisy rzuciła suknię na krzesło, po czym pociągnęła z determinacją za ramię gorsetu i westchnęła, gdy uwolniła z niego swą wdzięczną postać. Jeśli istniała dziewczyna, która nie potrzebowała gorsetu, była nią Daisy. Dama nie mogła jednak pokazać się publicznie bez niego. Rzuciła gorset na podłogę, wzięła książkę z nocnego stolika i wspięła się na materac. – Mam magazyn, jeśli ty też chcesz poczytać.

– Nie, dziękuję. Jestem zbyt poruszona, by czytać, i na pewno nie zdołałabym zasnąć. – Lillian zerknęła spekulatywnie na uchylone drzwi. – Wątpię, czy matka zauważy, jeśli wymknę się na spacer w ogrodzie. Przez następne dwie godziny będzie przeglądała raport o arystokracji.

Daisy nie odpowiedziała, zatopiona w lekturze. Uśmiechając się pod nosem, Lillian na palcach opuściła pokój i wymknęła się przez wejście dla służby na końcu korytarza.

W ogrodzie wybrała ścieżkę, której jeszcze nie знаła, a która biegła równoległe do niekończącego się, starannie przyciętego cisowego żywopłotu. Ogrody posiadłości, zaprojektowane z wielką dbałością o strukturę i formę, musiały wyglądać pięknie również zimą. Kiedy padał śnieg, żywopłoty i sztucznie kształtowane krzewy otulała zapewne warstwa przypominająca bożonarodzeniową polewę na torcie, a na gałęziach zbrązowiałych buków tworzyły się lodowe i śnieżne sople. Na razie jednak cała wieczność dzieliła ten rdzawy wrześnieowy ogród od zimy.

Lillian minęła potężną szklarnię, w której hodowano warzywa sałatkowe i egzotyczne przysmaki. Dwaj

mężczyźni dyskutowali przed drzwiami, jeden z nich przykucnął przy drewnianych tackach wypełnionych suchymi bulwami. Rozpoznała starszego głównego ogrodnika. Idąc dalej, zauważyła, że mężczyzna na ziemi – w grubych spodniach i prostej białej koszuli, a bez kamizelki – ma wyjątkowo atletyczną budowę. Jego pozycja sprawiała, że odzienie napinało się na jego plecach w niezwykle absorbujący sposób. Wziął jeden z korzeni i przyjrzał mu się krytycznie. Nagle chyba wyczuł, że ktoś się zbliża, bo wstał i odwrócił się twarzą do niej. To Westcliff, pomyślała, czując w brzuchu ucisk podekscytowania. Nadzorował całą posiadłość z wręcz drobiazgową troską. Nawet skromne bulwy nie mogły trwać sobie spokojnie w swej wygodnej przeciętności.

Taką właśnie wersję Westcliffa przedkładała ponad wszystkie inne – te rzadkie chwile, gdy był potargany i zrelaksowany, gdy hipnotyzował swoją męską żywotnością. Rozpięty kołnierzyk koszuli odsłaniał fragment kręconych włosów na jego piersi. Spodnie luźno zwisały w jego szczupłej talii, podtrzymywane szelkami, które podkreślały twarde linie jego barków. Jeśli lorda St. Vincenta cechował zwierzęcy magnetyzm, Westcliff był chyba samym magnetytem, z taką siłą pobudzał jej zmysły. Poczła mrowienie w całym ciele. Zapragnęła podbiec do niego natychmiast i pchnąć go na ziemię, by zakosztować szorstkich otwartych pocałunków i niecierpliwych pieścizot. Zamiast tego lekko skinęła głową w odpowiedzi na jego wymruczane powitanie i przyspieszyła kroku.

Ku jej uldze nie poszedł za nią. Po chwili jej puls zwolnił do normalnego tempa. Rozglądając się, doszła do muru, niemal w całości ukrytego za wysokim żywopłotem i wodospadami bluszczu. Ta konkretna część ogrodu zdawała się całkowicie odgrodzona potężnymi murami. Z zaciekawieniem obeszła je, lecz nie znalazła wejścia na prywatny dziedziniec.

– Przecież muszą tu być jakieś drzwi – mruknęła.

Cofnęła się, po czym utkwiała wzrok w murze, pragnąc znaleźć jakąś szczelinę w bluszczu. Nic. Obrawszy inną taktykę, podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, by namacać wyjście w obfitości zielonych powojów.

Nagle tuż za nią rozległ się śmiech. Odwróciła się szybko.

Okazało się, że Westcliff jednak postanowił ją śledzić. Ulegając zasadom przyzwoitości, włożył ciemną kamizelkę, lecz koszulę wciąż miał rozpiętą przy szyi, a jego zakurzone spodnie nosiły ślady wytarcia. Podeszedł do niej leniwym krokiem, z lekkim uśmiechem na ustach.

– Mogłem się domyślić, że zacznie pani szukać drzwi do ukrytego ogrodu. – Stała się niemal nadnaturalnie świadoma cichego świergotu ptaków i łagodnego szeptu wiatru w gałęziach bluszczu. Westcliff podchodził coraz bliżej i bliżej, nie spuszczał z niej wzroku, aż ich ciała prawie się zetknęły. Jego zapach wypełnił jej nozdrza – rozkoszna mieszanina rozgrzanej słońcem męskiej skóry i osobliwej suchej słodyczy, która tak ją pociągała. Powoli wyciągnął ku niej ramię, a jej oddech uwiązł w gardle, gdy wcisnęła się w szeleszczący bluszcz. Usłyszała metaliczne kliknięcie zapadki. – Nieco bardziej na lewo i znalazłaby je pani – dodał łagodnie. Odwróciła się i zobaczyła, że odsuwa bluszcz, po czym popycha lekko znajdujące się pod nim drzwi. – Proszę.– Poczła delikatny nacisk jego dłoni na swej talii, gdy wszedł wraz z nią do ogrodu.

ROZDZIAŁ 14

Niemy okrzyk wyrwał się z ust Lillian, gdy ujrzała kwadratową łąkę trawnika otoczoną przez ogród dedykowany motylom. Pod każdą ścianą kipiały barwne plamy – nad polnymi kwiatami unosiły się niezliczone trzepoczące skrzydełka. Jedynym sprzętem w ogrodzie była okrągła ławka pośrodku. Boski aromat rozgrzanych słońcem kwiatów napłynął w jej nozdrza, odurzając ją swą słodyczą.

– To Dwór Motyli – wyjaśnił Westcliff, zamykając drzwi. Jego głos muskał jej ucho niczym aksamit. – Zasadzono w nim kwiaty, które przyciągają te owady.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem, obserwując drobne, ruchliwe stworzenia szybujące nad heliotropami i nagietkami.

– Jak one się nazywają? Te pomarańczowo-czarne.

– To rusałka osetnik.

– A jak się mówi na grupę motyli? Rój?

– Zazwyczaj. Ja preferuję jednak nowszy termin. W niektórych kręgach nazywa się to kalejdoskopem motyli.

– Kalejdoskop... to jakiś instrument optyczny, prawda? Słyszałam o nich, lecz jeszcze nigdy żadnego nie widziałam.

– Mam kalejdoskop w bibliotece. Jeśli pani zechce, mogę go później pani pokazać. – Zanim zdołała odpowiedzieć, wskazał palcem ogromną kępę lawendy. – Tam... ten biały motyl to powszelatek.

W jej gardle wezbrał nagły śmiech.

– Powszelatek bławatnik?

Jego oczy rozbłysły wesoło.

– Nie. To tylko pospolity powszelatek.

Słońce nadawało blasku jego gęstym czarnym włosom, a skórę nasycalo ciepłym brązem. Wzrok Lillian padł na silną kolumnę jego szyi i nagle stała się nieznośnie świadoma hamowanej siły jego ciała, męskiej mocy, nad którą panował, a która fascynowała ją od ich pierwszego spotkania. Jak by się poczuła, gdyby ta potęga pochłonięła również ją?

– Lawenda ma piękny zapach – zauważyła, próbując oderwać myśli od tych niebezpiecznych inklinacji.

– Pewnego dnia pojedę do Prowansji, aby pospacerować latem wśród lawendowych pól. Podobno przypominają błękitny ocean. Wyobraża sobie pan, jakie to musi być piękne? – Pokręcił lekko głową, wpatrując się w nią. Podeszła do jednej z lawendowych kęp i dotknęła drobnych fioletowoniebieskich płatków, po czym uniosła pachnące opuszki palców do szyi. – Olejek eteryczny pozyskuje się, poddając rośliny działaniu pary, a następnie zbierając wilgoć. Czasami trzeba zużyć setki kilogramów lawendowych płatków, by pozyskać kilka mililitrów cennego olejku.

– Zna się pani na tym temacie.

Uniosła lekko kąciki ust.

– Zapachy to moja wielka pasja. W zasadzie mogłabym bardzo pomóc ojcu w prowadzeniu firmy, gdyby mi na to pozwolił. Jestem jednak tylko kobietą i dlatego jedyny cel mojego życia to dobrze wyjść za mąż.

Podeszła na skraj kolorowej rabaty, a Westcliff podążył za nią i stanął tuż obok.

– To mi przypomina, że jest pewna kwestia, którą musimy omówić.

– Och?

– Ostatnio często widuje się panią w towarzystwie St. Vincenta.

– Owszem.

– To nie jest odpowiednie towarzystwo dla pani.

– To pański przyjaciel, czyż nie?

– Tak. I dlatego dobrze wiem, do czego jest zdolny.

– Ostrzega mnie pan, bym trzymała się od niego z daleka?

– Jako że posłużyłoby to tylko jako zachęta, by postąpiła pani odwrotnie... nie. Radzę pani tylko wystrzegać się naiwności.

– Poradzę sobie.

– Na pewno pani w to wierzy. – W jego ton wkradła się nuta irytującej protekcyjności. – Niemniej to jasne, że nie ma pani ani doświadczenia, ani wystarczającej dojrzałości, aby obronić się przed jego awansami.

– Do tej pory tylko przed panem musiałam się bronić – odparła gniewnie, odwracając się do niego twarzą. Ogarnęła ją satysfakcja, gdy zauważyła, że pocisk dosięgnął celu. Jego policzki i mocno zaznaczony grzbiet nosa oblały się bladym rumieńcem.

– Jeśli St. Vincent jeszcze pani nie wykorzystał – oświadczył z niebezpieczną łagodnością – to tylko dlatego, że czeka na odpowiedni moment. I pomimo pani wygórowanej opinii na temat własnych umiejętności, a może właśnie przez nią, jest pani dla takiego uwodziciela łatwym celem.

– Wygórowanej? – powtórzyła gniewnie. – Powinien pan wiedzieć, że jestem zbyt doświadczona na to, by dać się zaskoczyć jakimkolwiek mężczyźni, a już zwłaszcza St. Vincentowi. – Ku jej rozdrażnieniu Westcliff najwyraźniej od razu zdemaskował przechwałkę. W jego sobolowych oczach rozblęsnął wesoły ognek.

– W takim razie pomyliłem się. Po prostu na podstawie sposobu, w jaki pani całuje, założyłem... – Z rozmysłem urwał zdanie, zastawiając na nią pułapkę, której nie zdołała ominąć.

– Co to znaczy: na podstawie sposobu, w jaki całuję? Sugeruje pan, że robię coś niewłaściwie? Coś się panu nie spodobało? Czegoś nie powinnam...

– Nie... – Musnął palcami jej wargi, uciszając ją. – Pani pocałunki były bardzo... – Zawahał się, jakby umknęło mu właściwe słowo, po czym skupił całą swą uwagę na aksamitnej fakturze jej ust. – Słodkie – szepnął po długiej chwili, wsuwając palce pod jej brodę. Jego dotyk był bardzo lekki, lecz musiał wyczuć sztywnienie mięśni jej szyi. – Nie takiej odpowiedzi spodziewałbym się jednak po doświadczonej kobiecie.

Dotknął kciukiem jej dolnej wargi, odsuwając ją od górnej. Lillian czuła się speszona i prowokowana zarazem, niczym senny kociak, którego właśnie obudziło łaskoczące piórko. Zesztywniała, gdy poczuła, że otoczył ramieniem jej plecy.

– Co... co więcej miałabym zrobić? Czego pan oczekiwał, czego nie udało mi się... – Urwała i gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy powiódł palcami po linii jej szczęki i objął jej policzek.

– Pokazać pani?

Instynktownie popchnęła go, by rozluźnić uścisk. Równie dobrze mogłaby jednak próbować przesunąć sydereytowy mur.

– Westcliff...

– Ewidentnie potrzebuje pani wykwalifikowanego nauczyciela. – Jego ciepły oddech musnął jej wargi.

– Proszę się nie ruszać.

Uświadomiwszy sobie, że stała się obiektem kpin, Lillian pchnęła o wiele mocniej. W odpowiedzi Westcliff schwycił jej nadgarstki i wykręcił je za jej plecy ze zdumiewającą łatwością, aż delikatny ciężar jej piersi oparł się na jego torsie. Wydała z siebie okrzyk protestu, lecz nagle jego usta przykryły jej usta, a ją natychmiast sparaliżowała fala doznań, która przepłynęła przez każdy mięsień w jej ciele, aż straciła władzę w członkach niczym dziecięca drewniana marionetka zawieszona na sznurkach.

W zaciszu jego ramion wtuliła się w jego twardy tors i poczuła, jak jej oddech kumuluje się w głębokich nierównych haustach. Jej powieki opadły, a słońce oblało je swoim ciepłem. Poczuła leniwą penetrację jego języka, osłabiającą intymność, która wzbudziła w jej ciele silny dreszcz. Wyczuwając ruch, począł ją koić, powoli głaszcząc jej plecy, podczas gdy jego usta igrały z jej ustami. Eksploracja się pogłębiła, lecz gdy wysunął język, spotkała go wstydliva rejterada, która sprowokowała go do niskiego śmiechu. Urażona Lillian natychmiast się wycofała, lecz powstrzymał ją, objawszy dłonią tył jej głowy.

– Nie – wymruczał. – Nie odsuwaj się. Otwórz się na mnie. Otwórz... – Jego usta znów znalazły się na jej ustach, kuszące i stanowcze. Stopniowo rozumiejąc, czego od niej chce, dotknęła swoim językiem jego języka. Poczuła siłę jego odpowiedzi, gorączkę, która go ogarnęła, mimo iż wciąż delikatnie eksplorował ją dryfującymi pocałunkami. Nie zdołała się powstrzymać przed dotykiem go. Jedną dłoń oparła płasko na wyćwiczonych mięśniach jego pleców, a drugą podniosła na jego kark. Jego musnięta słońcem skóra była gładka i gorąca niczym świeżo wyprasowana satyna. Jego silny puls bił miarowo u podstawy szyi, co poczuła, zsuwając rękę na ciemne włosy wystające spod rozpiętej koszuli.

Westcliff objął ciepłymi dłońmi jej policzki i skoncentrował się na jej ustach, biorąc je w posiadanie wygłodniałymi, kradnącymi duszę pocałunkami, które całkiem pozbawiły ją sił. Gdy ugięły się pod nią nogi, poczuła, że znów otacza ją ramionami. Uniósł jej osłabłe ciało i ułożył je na gęstym kobiercu z trawy. Położył się na niej, wsuwając nogę w jej spódnicę, a silne ramię pod jej kark. Odszukał ustami jej wargi – tym razem nie cofnęła się przed natarczywą eksploracją, lecz w pełni się na niego otworzyła. Świat poza ukrytym ogrodem przestał dla niej istnieć. Było tylko to miejsce, ten fragment raj, słoneczny, cichy i płonący feerią barw. Otaczały ją wymieszane aromaty lawendy i rozgrzanej męskiej skóry... zbyt delikatne... zbyt kuszące. Leniwie zarzuciła mu ręce na szyję i wplotła palce w jego gęste włosy.

Poczuła serię zwinnych szarpnięć na staniku sukni, gdy leżała pod nim, poddając się jego zabiegom. Jej ciało pragnęło jego dotyku. Pochylił się nad nią, rozpiął jej gorset i uwolnił ją z oków koronek i fiszbin. Nie była w stanie oddychać dostatecznie głęboko i szybko, jej płuca rozprężyły się, rozpaczliwie domagając się więcej tlenu. Uwięziona w płataninie ubrań, zaczęła się wić, by się od nich uwolnić, a on uspokajał ją cichymi pomrukami, rozsuwając poły jej gorsetu szerzej i ciągnąc za delikatną wstążkę jej koszulki.

Blade wypukłości jej piersi wyszły na spotkanie słońcu, powietrzu i ciemnym, migdałowym oczom mężczyzny, który ją do siebie tulił. Spojrzał na jej płytko unoszący się mostek, różowe pączki jej sutków i wyszeptał jej imię, pochylając głowę. Wodził lekko ustami po jej skórze aż po jędrny wzgórek jej piersi, by otworzyć je nad delikatnym koniuszkiem. Z jej gardła wyrwał się jęk rozkoszy, gdy czubkiem języka zataczał kółka wokół jej sutka, prowokując jego wrażliwość. Zacisnęła dłonie na niemożliwie twardych mięśniach jego ramion i wpiła palce w jego bicepsy. Namiętność tliła się w niej i wzniecała coraz wyższym płomieniem, aż krzyknęła cicho, próbując się od niego odsunąć.

Jej oddech zamienił się w drżący szloch, gdy znów pocałował jej usta. Jej ciało, wypełnione nieznanymi jej dotąd pulsami i rytмами, przestało należeć do niej.

– Westcliff... – Jej wargi błędziły niepewnie po męskiej szorstkości jego policzka, krawędzi jego szczęki i z powrotem ku miękkości jego ust. Gdy pocałunek dobiegł końca, odwróciła głowę na bok i szepnęła: – Czego ty chcesz?

– Nie pytaj. – Przesunął wargi na jej ucho i powiódł językiem po wgłębieniu za wrażliwą małżowiną. –

Odpowiedź... – Gdy usłyszał, że jej oddech przyspieszył, zatrzymał się dłużej przy jej uchu, wodząc po nim językiem i skubiąc zębami delikatną skórę. – Odpowiedź jest niebezpieczna – wykrztusił w końcu. Zarzuciła mu ręce na szyję i zbliżyła usta do jego ust w ognisku otwartym pocałunku, który całkiem pozbawił go panowania nad sobą. – Lillian... – wymruczał drżąc – powiedz, że mam przestać cię dotykać. Powiedz, że już wystarczy. Powiedz...

Chciwie syciła się żarem i smakiem jego ust. Pomiedzy nimi zapłonęło nowe pragnienie, jego pocałunki stały się twardsze, agresywniejsze, aż fala agonalnej tęsknoty osłabiła jej członki. Poczula, że jej spódnica unosi się w górę, a żar słońca penetruje cienki materiał jej reform. Ciężar jego dłoni przesunął się na jej kolano, a potem jeszcze wyżej. Nie dał jej szansy na protesty, jego usta zaabsorbowały jej usta w niecierpliwych pocałunkach, podczas gdy jego palce muskały szczupłą linię jej nogi.

Wzdrygnęła się lekko, gdy dotarł do nabrzmiałych, wrażliwych fałdek pomiedzy jej udami i obrysował ich kształt przez cienką tkaninę. Rumieniec oblał jej pierś i twarz. Wbiła pięty w trawę, wyginając się bezradnie ku jego dłoni. Gładził ją kojąco przez woal lnu. Dotyk jego silnych, nieco szorstkich palców na jej skórze sprawił, że jęknęła z tęsknotą. Po trwającej, zdawałoby się, całą wieczność torturze wsunął palce w wykończone koronką rozcięcie jej bielizny. Krzyknęła, wstrząśnięta, gdy poczuła, jak muska ją i otwiera, po czym wsuwa długie palce pomiedzy jedwabiste ciemne loki. Pieścił ją z delikatnym rozleniwieniem, jakby bawił się płatkami nierozwiniętej róży. Jego hipnotyzujący palec musnął małeńki czubeczek, który zapłonął pożądaniem, i wszystkie jej racjonalne myśli pierzchły. Odnalazł subtelny punkt, w którym koncentrowała się cała jej rozkosz, i zaczął gładzić go rytmicznie i okręzać delikatnie, aż zaczęła się wić w narastającej desperacji.

Pragnęła go, nie zważając na konsekwencje. Chciała, by ją posiadał, nawet jeśli miałoby to sprawić jej ból. Nagle jednak brutalnie pozbawił ją swego ciężaru, zostawiając ją wzburzoną i zdeorientowaną na plamie aksamitnego trawnika.

– Milordzie? – szepnęła bez tchu, podnosząc się do pozycji siedzącej, cała w rozpustnym nieładzie.

Usiadł obok niej, otaczając ramionami zgięte kolana. Bliska rozpacz, dostrzegła, że zdołał nad sobą zapanować, podczas gdy ona wciąż drżała od stóp do głów.

Jego głos był chłodny i spokojny, gdy powiedział:

– Dowiodłaś mej racji, Lillian. Jeśli mężczyzna, którego nawet nie lubisz, może doprowadzić cię do takiego stanu, o ile łatwiejsze będzie to dla St. Vincenta?

Wzdrygnęła się, jakby wymierzył jej policzek. Jej oczy zogromniały.

Przejście z ciepłego pożądania do głębokiej świadomości własnej głupoty nie było przyjemne.

Niszcząca intymność pomiedzy nimi okazała się tylko lekcją, która miała dowieść jej braku doświadczenia. Wykorzystał okazję, by pokazać, gdzie jest jej miejsce. Najwyraźniej nie byłaby dość dobra ani jako żona, ani jako kochanka. Zapagnęła umrzeć. Upokorzona, wstała gwałtownie i zacisnęła palce na rozpiętej sukni, posyłając mu spojrzenie pełne nienawiści.

– To jeszcze się okaże – wykrztusiła. – Po prostu będę musiała was obu porównać. A jeśli uprzejmie poprosisz, może powiem ci, czy on...

Skoczył na nią z przerażającą zwinnością, popchnął ją na trawę i uwięził jej głowę pomiedzy muskularnymi przedramionami.

– Trzymaj się z daleka od St. Vincenta – warknął. – On nie może cię mieć.

– Dlaczego? – zapytała, walcząc z nim, gdy usadowił się pomiedzy jej nogami. – Dla niego też nie jestem dość dobra? Podrzędna klasa taka jak ja...

– Jesteś dla niego zbyt dobra. On pierwszy to przyzna.

– Tym bardziej go lubię, skoro nie odpowiada twoim wysokim standardom!

– Lillian... Nie wierć się, do diabła... Spójrz na mnie! – Zaczekał, by pod nim znieruchomiała. – Nie

chcę, by cię zranił.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, ty arogancki idioto, że jedyną osobą, która może mnie zranić, jesteś ty? – Tym razem to on wzdrygnął się jak od ciosu. Spojrzał na nią, oniemiały. Niemal słyszała, jak pracują trybiki jego lotnego umysłu, gdy próbował oszacować implikacje jej pochopnego wyznania. – Złaż ze mnie – zażądała ponuro.

Przesunął się wyżej, usiadł na jej szczupłych biodrach i chwycił brzegi jej gorsetu.

– Pomogę ci się zapiąć. Nie możesz wrócić do domu na wpół rozebrana.

– Ależ oczywiście – odparła z bezradną pogardą – nie zapominajmy o przyzwoitości. – Zamknęła oczy, czując, jak walczy z jej ubraniem. Zawiązał jej koszulkę i starannie zapiął gorset.

Gdy w końcu ją uwolnił, zerwała się z trawy niczym przerażona łania i pobiegła do drzwi ukrytego ogrodu. Drżąc z upokorzenia, nie zdołała odnaleźć drzwi ukrytych za bujną powodzią bluszczu spływającego z muru. Na oślep wciskała dłonie w płożące się gałęzie, aż złamała dwa paznokcie, próbując doszukać się klamki.

Nagle Westcliff stanął za nią i położył dłonie na jej talii, z łatwością opierając się jej wysiłkom, by go odepchnąć. Stanowczo wcisnął jej biodra w swoje, po czym szepnął jej do ucha:

– Jesteś zła, bo zacząłem się z tobą kochać, czy dlatego, że nie dokończyłem?

Oblizła suche wargi.

– Jestem zła, ty cholerny hipokryto, bo nie potrafisz się zdecydować, co ze mną począć. – Podkreśliła swój komentarz mocnym ciosem łokciem w jego żebra.

Kuksaniec nie zrobił na nim żadnego wrażenia. W geście drwiącej kurtuazji uwolnił ją, po czym sięgnął do ukrytej klamki.

ROZDZIAŁ 15

Po ucieczce Lillian z ogrodu motyli Marcus długo walczył, by ugasić płonący w nim ogień. Niemal całkowicie stracił nad sobą panowanie, praktycznie wziął ją tu, na ziemi, niczym bezmyślny brutal. Tylko nikły promyk świadomości, słaby niczym płomień świecy podczas burzy, powstrzymał go przed zniewoleniem jej. Niewinna dziewczyna, córka jednego z jego gości... Dobry Boże, musiał całkiem oszaleć.

Idąc powoli przez ogród, próbował przeanalizować sytuację, w której nigdy nie spodziewał się znaleźć. I pomyśleć, że kilka miesięcy temu drwił z Simona Hunta z powodu jego przesadnego uwielbienia dla Annabelle Peyton. Nie rozumiał siły tej obsesji, nigdy – aż do teraz – nie czuł tak dzikiego pragnienia. Nie potrafił sobie tego racjonalnie wyperswadować. Zupełnie jakby jego wola wzięła rozwód z jego intelektem.

W swoich reakcjach na Lillian nie poznawał siebie. Jeszcze nigdy przy nikim nie czuł się taki świadomy, taki pełen życia, jakby sama jej obecność zaostrzała wszystkie jego zmysły. Fascynowała go. Rozśmieszała. Podniecała niedo zniesienia. Gdyby tylko mógł wziąć ją do łóżka i w tym znaleźć wytchnienie od tej permanentnej tęsknoty. Przez cały ten czas jednak racjonalna część jego mózgu podkreślała, że ocena, którą jego matka wystawiła siostrze Bowman, jest do bólu sprawiedliwa. „Może zdołamy nadać im odrobinę powierzchownego poloru, lecz mój wpływ na pewno nie sięgnie głębiej. Żadna z tych dziewcząt nie jest na tyle posłuszna, by zmienić się w znaczący sposób. Zwłaszcza starsza panna Bowman. Nie da się uczynić z niej damy, tak jak nie da się zamienić tombaku w szczerze złoto. Jest zdeterminowana, by się nie zmieniać”, oświadczyła hrabina.

Co ciekawe, właśnie ta cecha tak go w Lillian pociągała. Jej żywiołowa energia, jej bezkompromisowy indywidualizm działały na niego niczym powiew zimnego powietrza w dusznym domu. Postąpiłby jednak niehonorowo, a co gorsza – nieuczciwie, gdyby nadal się do niej zalecał, choć nic nie mogło z tego wyniknąć. Niezależnie od tego, jaką trudność miałoby to mu sprawić, musiał zostawić ją w spokoju, tak jak tego zażądała.

Decyzja ta powinna sprowadzić na niego spokój ducha, lecz tak się nie stało.

W posępnym nastroju opuścił ogród i udał się do posiadłości, wbrew swej woli zauważając, że otaczająca go przepiękna sceneria nagle stała się nieco przytłumiona, szara, jakby oglądał wszystko przez brudną szybę. Atmosfera domu też wydała mu się stęchła i ponura. Czuł się tak, jakby już nigdy miał nie zakosztować prawdziwej radości. Przeklinając się za te ckliwe myśli, wszedł do swego prywatnego gabinetu, mimo iż jego ubranie domagało się zmiany. Za swoim biurkiem dostrzegł Simona Hunta, który przeglądał stos dokumentów prawniczych.

Hunt podniósł wzrok, uśmiechnął się i wstał z fotela.

– Nie – mruknął Marcus opryskliwie, powstrzymując go gestem. – Chciałem tylko rzucić okiem na poranną pocztę.

– Jesteś w podłym humorze – zauważył Hunt, na powrót siadając. – Jeśli chodzi o kontrakty odlewnicze, właśnie napisałem do naszego radcy prawnego...

– To nie to. – Marcus sięgnął po list, złamał pieczęć i zmierzył pismo gniewnym spojrzeniem. Było to

jakieś zaproszenie.

Hunt przyglądał mu się pytająco. Po chwili zapytał:

– Pojawiły się kwestie sporne w twoich rozmowach z Thomasem Bowmanem?

Marcus pokręcił głową.

– Wydaje się otwarty na propozycję naszego zaangażowania w jego firmę, którą mu przedstawiłem. Nie przewiduję żadnych problemów z podpisaniem umowy.

– Może więc ma to coś wspólnego z panną Bowman?

– Dlaczego? – mruknął Marcus nieufnie.

Hunt obrzucił go sardonicznym spojrzeniem, jakby odpowiedź była zbyt oczywista, by ją werbalizować.

Marcus powoli osunął się na fotel po drugiej stronie biurka. Hunt czekał cierpliwie, nienachalnym milczeniem zachęcając go do zwierzeń. Choć Hunt zawsze był niezawodnym powiernikiem w kwestiach biznesowych i towarzyskich, Marcus nie omawiał z nim swoich spraw osobistych. Sprawy wszystkich innych – tak. Swoich nigdy.

– To nie jest logiczne, że jej pragnę – oświadczył w końcu, skupiając wzrok na witrażowej szybie w oknie. – To nosi wszelkie znamiona farsy. Niepodobna wyobrazić sobie gorzej dobranej parę.

– Ach. A twoim zdaniem „małżeństwo to kwestia zbyt istotna, by decyzję o nim podejmować na podstawie zmiennych uczuć”.

Marcus zerknął na niego z gniewnym grymasem.

– Czy wspominałem kiedyś, jak bardzo nie lubię twojej tendencji do rzucania mi moich własnych słów prosto w twarz?

Hunt parsknął śmiechem.

– Dlaczego? Ponieważ nie chcesz wysłuchać własnej rady? Muszę ci przypomnieć, Westcliff, że gdybym ja słuchał twoich rad w kwestii małżeństwa z Annabelle, popełniłbym największy błąd swojego życia.

– W tamtym czasie nie była dla ciebie rozsądnym wyborem – wymamrotał Marcus. – Dopiero później udowodniła, że jest ciebie warta.

– Teraz jednak przyznajesz, że podjąłem właściwą decyzję.

– Tak – odparł Marcus niecierpliwie. – Nie rozumiem jednak, jak to się ma do mojej sytuacji.

– Zmierzam do tego, że może to twoje instynkty powinny odgrywać wiodącą rolę w podejmowaniu decyzji, kogo poślubisz.

Ta sugestia autentycznie go uraziła. Spojrzał na Hunta jak na szaleńca.

– Dobry Boże, człowieku, jaki jest sens posiadania intelektu, jeśli nie taki, by powstrzymywał nas przed głupotą bazowania na instynkcie?

– Przecież bezustannie opierasz się na instynkcie – zauważył Hunt.

– Nie przy podejmowaniu decyzji mających życiowe konsekwencje. Odczuwam pociąg do panny Bowman, lecz wiem, że różnice pomiędzy nami sprowadziłyby nieszczęście na nas oboje.

– Rozumiem różnice pomiędzy wami – odparł cicho Hunt. Gdy ich spojrzenia się spotkały, coś w oczach Hunta przypomniało Marcusowi, że ma do czynienia z synem rzeźnika, który wspiął się po szczeblach drabiny społecznej i zrobił fortunę z niczego. – Wierz mi, rozumiem, z jakimi wyzwaniem musiałaby się zmierzyć panna Bowman w tej sytuacji. Lecz co jeśli gotowa jest to zaakceptować? Co jeśli jest gotowa znacząco się zmienić?

– Nie może.

– Wyrządzasz jej niesprawiedliwość, zakładając, że nie potrafiłaby się przystosować. Nie zasługuje na szansę, by spróbować?

– Do cholery, Hunt, nie potrzebuję adwokata diabła!

– Miałaś nadzieję na ślepe zgodę? – zapytał kpiąco Hunt. – Może więc trzeba było udać się po radę do kogoś z twojej klasy.

– To nie ma nic wspólnego z podziałami klasowymi – warknął Marcus, buntując się przeciwko sugestii, jakoby jego obiekcje wobec Lillian wypływały z czystego snobizmu.

– Nie – zgodził się Hunt spokojnie, wstając zza biurka. – To pusty argument. Myślę, że istnieje inny powód, dla którego postanowiłaś z niej zrezygnować. Coś, do czego nie przyznasz się ani mnie, ani prawdopodobnie nawet sobie. – Podeszedł do drzwi i przystanął, by posłać Marcusowi przenikliwe spojrzenie. – Gdy jednak będziesz się nad tym zastanawiał, powinieneś wiedzieć, że zainteresowanie nią St. Vincenta to nie jest przelotny kaprys z jego strony.

To stwierdzenie natychmiast przykuło uwagę Marcusa.

– Bzdura. St. Vincent nigdy nie okazał żadnej kobiecie zainteresowania wykraczającego poza granice sypialni.

– Być może tak było. Lecz niedawno dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że jego ojciec sprzedaje wszystko, co nie jest związane z majoratem. Lata beztrioskich wydatków i głupich inwestycji spustoszyły rodzinną szkatułę, w związku z czym St. Vincent wkrótce zostanie pozbawiony swojej rocznej pensji. Potrzebuje pieniędzy. A nieskrywane pragnienie Bowmanów, by upolować zięcia z tytułem, na pewno nie uszło jego uwagi. – Pozwolił sobie na zręcznie zaplanowaną pauzę, po czym dodał: – Niezależnie od tego, czy panna Bowman nadaje się na żonę arystokraty, może poślubić St. Vincenta. Jeśli tak zrobi, a on w końcu odziedziczy tytuł, ona zostanie księżną. Na szczęście dla niej St. Vincent nie ma żadnych wątpliwości co do jej predyspozycji do tego tytułu.

Marcus wpatrywał się w przyjaciela z wściekłym zdumieniem.

– Porozmawiam z Bowmanem – warknął. – Gdy zdradzę mu przeszłość St. Vincenta, położy kres tym zalotom.

– Jak chcesz. Jeśli sądzisz, że cię posłucha. Moim zdaniem tego nie zrobi. Księżę za zięcia, nawet bez grosza przy duszy, to niezła partia dla mydlarza z Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ 16

Każdy, kto śledził bieżące wydarzenia, mógł zauważyć, że przez ostatnie dwa tygodnie w Stony Cross Park lord Westcliff i panna Lillian Bowman podejmowali ogromny wysiłek, by unikać swego towarzystwa najczęściej, jak to tylko możliwe. Równie oczywista była determinacja lorda St. Vincenta, który coraz częściej partnerował pannie Bowman podczas potańcówek, pikników i przyjęć na wodzie, ożywiających przyjemne jesienne dni w hrabstwie.

Lillian i Daisy spędziły kilka poranków w towarzystwie hrabiny Westcliff, która pouczała, besztala i na próżno starała się wpoić im arystokratyczną perspektywę. Arystokraci nigdy nie okazują entuzjazmu, preferując obojętne zainteresowanie. Arystokraci polegają na subtelnych zmianach tonu, by przekazać znaczenie. Arystokraci mówią „powinowaty” lub „koligat” zamiast „krewny”. I używają sformułowania „bądź tak łaskaw”, zamiast zapytać „czy mógłbyś”. Poza tym arystokratyczna dama nigdy nie wyraża się wprost, preferując dyskretne aluzje co do swoich pragnień.

Jeśli hrabina obdarzyła jedną z sióstr większą sympatią, to zdecydowanie Daisy, która okazała się o wiele podatniejsza na archaiczny kodeks arystokratycznego dobrego wychowania. Z drugiej strony Lillian nie kryła swej pogardy dla zasad społecznych, które były, jej zdaniem, całkowicie pozbawione sensu. Jakie to ma znaczenie, że ktoś przesuwają butelkę porto po stole, zamiast ją podać, jeśli porto dociera do celu? Dlaczego istnieje tak wiele zakazanych tematów, podczas gdy inne, które zupełnie nikogo nie interesują, trzeba poruszać z nużącą powtarzalnością? Dlaczego lepiej iść powoli niż szybko i dlaczego dama musi powtarzać opinie dżentelmena, zamiast wyrażać własne?

Pocieszenie odnajdowała w towarzystwie St. Vincenta, który zupełnie nie dbał o jej maniery ani dobór słów. Bawiła go jej otwartość, cały świat stanowił dla niego przedmiot szyderstw. Nawet jego ojciec, książę Kingston, często padał ofiarą jego drwin. Książę podobno nie miał pojęcia, jak nakładać proszek do zębów na szczoteczkę ani jak wdziawać pończochy, ponieważ takie zadania zawsze wykonywał za niego jego pokojowiec. Lillian nie zdołała powstrzymać wybuchu śmiechu, wyobrażając sobie tę rozpieszczoną egzystencję, co doprowadziło St. Vincenta do snucia przerażonych spekulacji na temat tego, jak prymitywne życie musiała wieść w Ameryce, gdzie jej domowi nadano straszliwy numer na drzwiach i gdzie musiała sama się czesać i sznurować buty.

St. Vincent okazał się najbardziej intrygującym mężczyzną, jakiego dotąd poznała. Pod warstwami jedwabistej dystynkcji kryła się jednak twardość, nieprzeniknioność, która mogła cechować tylko bardzo zimnego człowieka. Albo bardzo ostrożnego. W każdym razie Lillian instynktownie wyczuwała, że nigdy się nie dowie, jaka dusza zamieszkuje to eleganckie stworzenie. Był piękny i nieodgadniony jak Sfinks.

– St. Vincent musi się wżenić w pieniądze – oświadczyła Annabelle pewnego popołudnia, gdy paprotki siedziały pod drzewem, rysując i malując akwarelami. – Według pana Hunta ojciec lorda St. Vincenta, książę, wkrótce obetnie mu jego roczną pensję, ponieważ nie zostały mu już żadne pieniądze. Obawiam się, że St. Vincent niewiele po nim odziedziczy.

– A co się stanie, gdy pieniądze się skończą? – zapytała Daisy, sprawnie szkicując ołówkiem pejzaż. – Czy St. Vincent sprzeda część swoich posiadłości i nieruchomości, gdy zostanie księciem?

– To zależy – odparła Annabelle, podnosząc liść i przyglądając się delikatnemu żyłkowaniu na jego

bursztynowej skórce. – Jeśli większość jego posiadłości należy do majoratu, nie. Nie obawiaj się jednak, że zostanie żebrakiem. Wiele rodzin hojnie go wynagrodzi, jeśli zwiąże się z nimi przez małżeństwo.

– Moja rodzina na przykład – mruknęła Lillian sardonicznie.

Annabelle przeniosła na nią uważne spojrzenie, po czym szepnęła:

– Moja droga, czy lord St. Vincent wspominał ci coś o swoich intencjach?

– Ani słowem.

– A czy kiedykolwiek próbował...

– Dobry Boże, oczywiście, że nie!

– W takim razie zamierza cię poślubić – zawyrokowała Annabelle z niepokojącym przekonaniem. –

Gdyby tylko się bawił, już dawno spróbowałby cię skompromitować.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, zakłócały tylko suchy szelest liści nad ich głowami i skrzypienie ołówka Daisy.

– C-co zrobisz, jeśli lord St. Vincent się oświadczy? – zapytała Evie, zerkając na Lillian ponad drewnianą skrzynką z akwarelami, której wieko służyło jej za sztalugę.

Lillian bezmyślnie rwała trawę pod swoimi stopami, miażdżąc delikatne źdźbła palcami. Uświadomiwszy sobie nagle, że przypomina tym Mercedes, która miała nerwowy nawyk szarpania i targania różnych rzeczy, zaprzestała i odrzuciła na bok strzępki trawy.

– Zgodzę się, rzecz jasna – odparła, na co przyjaciółki obrzuciły ją spojrzeniami wyrażającymi lekkie zdziwienie. – A czemu nie? – kontynuowała obronnym tonem. – Macie pojęcie, jak niewielu jest wśród nas książąt? Według raportu matki w całej Wielkiej Brytanii jest ich tylko dwudziestu dziewięciu.

– Lord St. Vincent to przecież bezwstydnym uwodziciel – powiedziała Annabelle. – Nie wyobrażam sobie, byś jako jego żona tolerowała takie zachowanie.

– Wszyscy mężowie są niewierni w taki lub inny sposób – odparła Lillian rzeczowo. Jej głos zabrzmiał jednak buntowniczo i kwaśno.

Błękitne oczy Annabelle złagodniały pod wpływem współczucia.

– Ja w to nie wierzę.

– Nowy sezon jeszcze się nie zaczął – zauważyła Daisy. – A teraz, gdy naszą patronką została hrabina, na pewno będziemy miały więcej szczęścia niż w zeszłym roku. Nie musisz wychodzić za lorda St. Vincenta, jeśli nie chcesz... Nieważne, co powie mama.

– Ale ja chcę go poślubić. – Wargi Lillian zacisnęły się w wąską linię. – W zasadzie nie mogę już się doczekać chwili, kiedy razem weźmiemy udział w przyjęciu jako księżę i księżna Kingston... w przyjęciu, na którym będzie też Westcliff, a ja wejdę do jadalni przed nim, ponieważ tytuł mojego męża będzie miał pierwszeństwo. Sprawię, że Westcliff pożałuje. Sprawię, że zapragnie... – Urwała gwałtownie, uświadomiwszy sobie, że jej ton jest zbyt ostry, za dużo zdradza. Wyprostowała plecy i utkwiała gniewne spojrzenie w jakimś odległym punkcie. Wzdrygnęła się, gdy poczuła drobną dłoń Daisy pomiędzy swoimi łopatkami.

– Może wtedy nie będzie cię już obchodził – szepnęła siostra.

– Być może – przytaknęła Lillian ponuro.

Następnego popołudnia posiadłość praktycznie opustoszała, ponieważ większość dżentelmenów udała się na miejscowe wyścigi, aby stawiać zakłady, pić i palić, ile dusza zapragnie. Damy natomiast pojechały powozami do wioski, gdzie odbywał się tradycyjny festyn, na którym gościć miała trupa teatralna z Londynu. Spragnione rozrywki w postaci lekkiej komedii i muzyki panie dokonały masowego exodusu. Choć Annabelle, Evie i Daisy gorąco namawiały Lillian, by pojechała z nimi, ta odmówiła. Błazeństwa kilku wędrownych aktorów w ogóle jej nie pociągały. Nie chciała zmuszać się do

uprzejmości i śmiechu. Pragnęła pójść samotnie na spacer i wędrować, aż stanie się zbyt zmęczona, by myśleć.

Wyszła do ogrodu na tyłach domu i obrała ścieżkę wiodącą do fontanny z syreną, która błyszczała niczym klejnot pośrodku brukowanego placu. Pobliski żywopłot był pokryty glicynią, która wyglądała jak udrapowane na gałązkach różowe ocieplacze na imbryki z herbatą. Lillian usiadła na brzegu fontanny i utkwiała wzrok w spienionej wodzie. Nie zauważyła, że ktoś się zbliża, dopóki nie dobiegł jej cichy głos:

– Cóż za szczęście, że znalazłem cię w pierwszym miejscu, w którym szukałem.

Podniosła głowę i zobaczyła lorda St. Vincenta. Jego złotobursztynowe włosy zdawały się pochłaniać światło słoneczne. Miał niezaprzeczalnie anglosaską karnację, lecz zdecydowane linie kości policzkowych, cechujące się wręcz tygrysią ostrością, i zmysłowa pełnia szerokich ust nadawały mu szczególnie egzotyczny urok.

– Nie wybiera się pan na wyścigi? – zapytała.

– Za chwilę. Najpierw chciałem z tobą porozmawiać. – Zerknął na miejsce obok niej. – Mogę?

– Jesteśmy sami. A pan zawsze nalega na przyzwóitkę.

– Dzisiaj zmieniłem zdanie.

– Och. – Uśmiechnęła się drżąco. – W takim razie proszę. – Zarumieniła się na wspomnienie namiętnej sceny, której świadkiem była tu jakiś czas temu. Błysk w oczach St. Vincenta powiedział jej, że on również to pamięta.

– Z nadejściem weekendu skończy się przyjęcie – powiedział. – I trzeba będzie wrócić do Londynu.

– Na pewno nie może się pan już doczekać rozrywek miejskiego życia – zauważyła. – Jak na rozpustnika zachowywał się pan zaskakująco powściągliwie.

– Nawet my, niepoprawni rozpustnicy, od czasu do czasu potrzebujemy wakacji. Monotonna dieta złożona z deprawacji szybko staje się nudna.

Lillian uśmiechnęła się.

– Rozpustnik czy nie, cieszyłam się naszą przyjaźnią przez te ostatnie dni, milordzie. – Gdy tylko te słowa padły z jej ust, uświadomiła sobie ze zdumieniem, że są szczere.

– Myślisz więc o mnie jak o przyjacielu – mruknął cicho. – To dobrze.

– Dlaczego?

– Ponieważ pragnę dalej cię widywać.

Jej puls przyspieszył. Choć nie zaskoczył jej tą deklaracją, niemniej zbił ją nieco z tropu.

– W Londynie? – zapytała idiotycznie.

– Gdziekolwiek będziesz. Czy to ci odpowiada?

– Cóż, oczywiście, to... Ja... Tak.

Gdy spojrział na nią oczami upadłego anioła i uśmiechnął się, Lillian musiała zgodzić się z Daisy, która doszukiwała się w nim zwierzęcego magnetyzmu. Wyglądał jak mężczyzna urodzony do grzechu... mężczyzna, który mógł uczynić grzech takim przyjemnym, że zapominało się o jego konsekwencjach.

Powoli wyciągnął ku niej dłoń i musnął palcami jej ramiona aż do szyi.

– Lillian, moja kochana. Zamierzam poprosić twego ojca o zgodę na oficjalne zaloty.

Oddychała nierówno, gdy ją pieścił.

– Nie jestem jedyną dostępną dziedziczką, którą mógłby pan zdobyć.

Kciukami gładził łagodne wgłębienia na jej policzkach. Jego ciemnobrązowe rzęsy opadły nieco.

– Nie – odparł szczerze. – Jesteś jednak najbardziej interesującą z nich. Większość kobiet nie jest, wiesz? Przynajmniej nie poza łóżkiem. – Pochylił się ku niej, aż poczuła na ustach gorący żar jego szeptu. – Ośmielę się powiedzieć, że w łóżku również okażesz się interesująca. – Cóż, a oto i one, pomyślała

Lillian z oszołomieniem, długo wyczekiwane umizgi. Chwilę później jej myśli pierzchnęły, gdy przesunął wargi na jej usta w lekkiej pieśczoce. Całował ją jak mężczyzna, który odkrył pocałunki dla świata, z leniwą wprawą, uwodząc ją stopniowo. Nawet ze swoim ograniczonym doświadczeniem czuła, że pocałunek ten opiera się bardziej na technice niż emocjach, lecz jej osłupiałe zmysły zdawały się nie zważać na to, gdy prowokował ją do bezradnej odpowiedzi każdym czułym ruchem warg. Budował jej rozkosz w niespiesznym tempie, aż jęknęła cicho w jego usta i słabo odwróciła głowę. Przesunął palce na jej gorący policzek i delikatnie przycisnął jej głowę do swego ramienia. – Nigdy jeszcze do nikogo się nie zalecałem – wymruczał, muskając wargami jej ucho. – W każdym razie nie w honorowym celu.

– Dobrze sobie radzisz jak na amatora – szepnęła w jego surdut.

Roześmiał się i odsunął, po czym powiódł ciepłym wzrokiem po jej zaróżowionej twarzy.

– Jesteś urocza – powiedział cicho. – I fascynująca.

A także bogata, dodała w myślach. St. Vincent potrafił jednak przekonać ją, że pragnie jej nie tylko z powodów finansowych. Doceniała to. Zmusiła się do uśmiechu i spojrzała na enigmatycznego, lecz czarującego mężczyznę, który wkrótce mógł zostać jej mężem. Wasza miłość, pomyślała. Tak będzie musiał zwracać się do niej Westcliff, gdy St. Vincent odziedziczy tytuł. Najpierw zostanie lady St. Vincent, a potem księżną Kingston. Będzie górować nad Westcliffem społecznie i nigdy nie pozwoli mu o tym zapomnieć. Wasza miłość, powtórzyła, czerpiąc pocieszenie z tych sylab. Wasza miłość...

Gdy St. Vincent w końcu zostawił ją, by pojechać na wyścigi, wróciła do posiadłości. Fakt, że jej przyszłość w końcu nabierała kształtów, powinien przynieść jej ulgę, lecz zamiast tego odczuwała ponurą determinację. Weszła do spokojnego, cichego domu. Po kilku tygodniach, kiedy wnętrza były przepełnione ludźmi, osobiwie się czuła, idąc przez pusty hol. W korytarzach panowała cisza, tylko przechodzący samotny służący od czasu do czasu zakłócał pustkę.

Mijając bibliotekę, zajrzała do środka. Po raz pierwszy nie była zajęta. Weszła do przytulnego pokoju, wysokiego na dwa piętra, z półkami zastawionymi ponad dziesięcioma tysiącami książek. W powietrzu unosił się przyjemny aromat welinu, pergaminu i skóry. Na ścianach niezajętych przez książki wisiały oprawione mapy i sztychy. Postanowiła znaleźć dla siebie coś do czytania, tomik lekkiej poezji lub frywolną powieść. Nie potrafiła jednak określić, gdzie pomiędzy kilometrami skórzanych grzbietów mogą znajdować się powieści.

Gdy spacerowała wzdłuż półek, odkryła rzędy książek historycznych, z których każda ważyła wystarczająco, by spłaszczyć słonia. Następne były atlasy, a za nimi szeroki wybór tekstów matematycznych, które uleczyłyby najgorszy przypadek bezsenności. Tuż przy jednej ze ścian w niszy stał kredens, a na nim srebrna grawerowana taca z kolekcją kuszących butelek i karafek. Najładniejsza butelka, wykonana ze szkła uformowanego w liściasty wzór, była do połowy wypełniona bezbarwnym płynem. Jej uwagę przykuła znajdująca się w środku gruszka.

Sięgnęła po butelkę i przyjrzała się jej uważnie, po czym delikatnie zakołysała nią, a gruszka uniosła się i obróciła. Doskonale zachowana złota gruszka. Musiał to być jakiś rodzaj *eau-de-vie*, jak nazywali ją Francuzi... „wody życia”, bezbarwnej brandy destylowanej z winogron, śliw lub dzikiego bzu. A także gruszek, jak się okazało.

Odczuła pokusę, by spróbować intrygującego trunku. Damy nie pijały jednak mocnych alkoholi. A na pewno nie same w bibliotece. Gdyby została złapana, bardzo źle by to wyglądało. Z drugiej strony... wszyscy dżentelmeni pojechali na wyścigi, damy udały się do wioski, a służbie dano dzień wolny.

Zerknęła na pusty korytarz, po czym znów na kuszącą butelkę. Zegar na kominku przerywał ciszę miarowym tykaniem. Nagle usłyszała w myślach głos lorda St. Vincenta... „Zamierzam poprosić twego ojca o zgodę na oficjalne zaloty”.

– Och, do diabła z tym – mruknęła, po czym pochyliła się ku szafce, aby wyjąć kieliszek.

ROZDZIAŁ 17

Milordzie. – Na dźwięk głosu swego kamerdynera Marcus podniósł głowę, lekko marszcząc brwi. Przez ostatnie dwie godziny pracował nad poprawkami do listy rekomendacji, które miały zostać zaprezentowane w parlamencie pod koniec tego roku przez komitet, w pracach którego brał udział. Gdyby rekomendacje zostały zaakceptowane, zaowocowałyby to znaczącą poprawą systemu kanalizacyjnego domów, ulic i ziemi w Londynie, a także w otaczających go gminach.

– Tak, Salter? – zapytał szorstko, niezadowolony z faktu, że mu przeszkodzono. Stary rodzinny kamerdyner wiedział jednak, że przeszkadzać mu w pracy można tylko z naprawdę ważnych powodów.

– Zaistniała... sytuacja, milordzie, o której na pewno chciałby pan zostać poinformowany.

– Jaka sytuacja?

– Dotyczy jednego z gości, milordzie.

– Tak? – ponaglił go Marcus, poirytowany jego nieśmiałością. – Kto to jest? I co on robi?

– Właściwie ona, milordzie. Jeden z lokajów poinformował mnie, że widział pannę Bowman w bibliotece i ona... nie czuje się dobrze.

Marcus wstał tak gwałtownie, że jego fotel niemal się przewrócił.

– Która panna Bowman?

– Nie wiem, milordzie.

– Co to znaczy „nie czuje się dobrze”? Czy ktoś z nią jest?

– Nie sędzę, milordzie.

– Jest ranna? Chora?

Salter posłał mu łagodnie udręczone spojrzenie.

– Nie, milordzie. Po prostu... nie czuje się dobrze.

Nie tracąc czasu na pytania, Marcus wyszedł z pokoju, przeklinając cicho pod nosem, i udał się do biblioteki długimi krokami, które przypominały bieg. Co, na litość boską, mogło się stać Lillian lub jej siostrze? Poczł gwałtowne ukłucie strachu.

Gdy szedł korytarzem, jego umysł wypełniły niezwiązane z tematem myśli. Jaki olbrzymi wydawał się ten dom bez gości, z kilometrami korytarzy i nieskończonymi skupiskami pokoi. Wielki dom, obojętną atmosferą przypominający hotel. Taki dom potrzebował echa radosnych dziecięcych okrzyków, zabawek rozrzuconych na podłodze salonu i jękliwych dźwięków lekcji skrzypiec dobiegających z pokoju muzycznego.

Aż do tej chwili nigdy nie traktował idei małżeństwa inaczej niż w kategoriach nużącego obowiązku, by kontynuować ród Marsdenów. Niedawno przyszło mu jednak do głowy, że jego przyszłość może się różnić od jego przeszłości. To mógł być jego nowy początek – szansa na stworzenie rodziny, o której dotychczas nie ośmielał się nawet marzyć. Zdumiała go myśl, jak bardzo tego pragnął... i to nie z byle jaką kobietą. Nie z kobietami, które dotąd poznał, które widział ani o których słyszał... poza jedną, która stanowiła całkowite przeciwieństwo wszystkiego, czego powinien pragnąć. Powoli przestawało go to obchodzić.

Jego dłonie zacisnęły się w bielejące pięści, gdy przyspieszył. Miał wrażenie, że dotarcie do biblioteki

zabiera mu całą wieczność. Gdy w końcu przekroczył próg, serce tłukło się gwałtownie w jego piersi... lecz nie z wysiłku, tylko z przerażenia. To, co zobaczył, sprawiło, że znieruchomiał pośrodku dużego pokoju.

Lillian stała przed półką biblioteczną, podczas gdy cała masa książek otaczała ją w wysokich stosach na podłodze. Ściągała bezcenne woluminy z półek jeden po drugim, przyglądała im się ze zdziwioną miną, po czym beztrudnie ciskała je za siebie. Wydawała się przy tym osobliwie powolna, jakby poruszała się pod wodą. Jej włosy wymykały się z upięcia. Nie wyglądała na chorą. W zasadzie wyglądała na...

Zauważywszy jego obecność, zerknęła na niego przez ramię z krzywym uśmiechem.

– Och, to ty – wymamrotała niewyraźnie, po czym znów spojrzała na półki. – Nic tu nie mogę znaleźć. Wszystkie te książki są tak śmiertelnie nudne... – Marszcząc brwi, Marcus podszedł do niej, gdy wróciła do przeglądania książek. – Ta nie... ta też nie... o nie, nie, nie, ta nawet nie jest po angielsku...

Jego panika szybko zamieniła się w oburzenie, a oburzenie w rozbawienie. Do diabła. Gdyby potrzebował dodatkowego dowodu, że Lillian Bowman nie jest kobietą dla niego, właśnie go otrzymał. Żona Marsdena nie mogła zakradać się do biblioteki i pić aż do stanu, który jego matka nazwałaby „lekką niedyspozycją”. Wpatrując się w senne ciemne oczy Lillian i jej zaczerwienioną twarz, Marcus zmienił jednak zdanie. Nie była lekko niedysponowana. Ona była kompletnie, całkowicie, absolutnie, totalnie, dokumentnie, do cna pijana.

Więcej książek poszybowało w powietrze, a jedna z nich niemal trafiła go w ucho.

– Może mógłbym pomóc? – zasugerował uprzejmie. – Gdybyś powiedziała mi, czego szukasz.

– Czegoś romantycznego. Czegoś ze szczęśliwym zakończeniem. Wszystko powinno zawsze kończyć się szczęśliwie, nieprawdaż?

Wyciągnął dłoń, by opleść pasmo jej włosów wokół swego palca i pogłaskać kciukiem lśniąca satynę kosmyków. Nigdy nie uważał się za szczególnie wylewnego człowieka, lecz nie potrafił się powstrzymać od dotykania tej kobiety. Rozkosz, jaką czerpał z najzwyklejszego kontaktu z nią, elektryzowała wszystkie jego zmysły.

– Nie zawsze – odparł na jej pytanie.

Wybuchnęła miękkim śmiechem.

– Bardzo angielska odpowiedź. Wszyscy uwielbiacie cierpieć, i to z jakim fas... fas... – zerknęła na książkę, którą trzymała w dłoniach, rozkojarzona jej złoconą okładką – ...fasonem – dokończyła nieobecny tonem.

– Wcale nie lubimy cierpieć.

– Owszem, lubicie. Na pewno wychodzicie z siebie, aby unikać dobrej zabawy.

Marcus zdołał już przywyknąć do unikalnej mieszanki pożądania i rozbawienia, którą zawsze w nim budziła.

– Nie ma nic złego w tym, że dobrze się bawimy tylko w chwilach prywatności.

Odrzucając książkę, Lillian odwróciła się do niego twarzą. Gwałtowność tego ruchu sprawiła, że zakołysała się na nogach i niemal wpadła na półki. Westcliff udzielił jej pomocy, kładąc dłonie na jej talii. Jej migdałowe oczy lśniły niczym diamenty rozsypane na brązowym aksamicie.

– To nie ma nic wspólnego z prywatnością – poinformowała go. – Prawda jest taka, że nie chcesz być szczęśliwy, b-bo... – Czknęła dyskretnie. – Bo to naruszyłoby twoją godność. Biedny Westcliff. – Spojrzała na niego ze współczuciem.

W tej chwili myśli o godności całkowicie opuściły Marcusa. Chwycił ramę biblioteczki po obu stronach, zamykając Lillian w uścisku swych ramion. Gdy poczuł jej oddech, pokręcił głową i mruknął:

– Kruszyno... coś ty piła?

– Och. – Zanurkowała pod jego ręką i pochyliła się ku stojącemu trochę dalej kredensowi. – Pokażę ci. Wspaniała, wspaniała rzecz... To. – Triumfalnym gestem chwyciła za szyjkę niemal pustej butelki brandy i podniosła ją. – Zobacz, co ktoś zrobił... gruszka, w środku! Jakie to sprytne... – Przysunęła butelkę do swojej twarzy i zmrzyła powieki, patrząc na uwieczony w szkłe owoc. – Na początku nie było dobre. Ale po jakimś czasie się poprawiło. Podejrzewam, że to t-trzeba... – znów czknięcie – polubić.

– Wygląda na to, że tobie się udało – zauważył Marcus, podchodząc do niej.

– Nikomu nie powiesz, prawda?

– Nie – zadeklarował z powagą. – Obawiam się jednak, że i tak się dowiedzą. Chyba że zdołamy cię otrzeźwić przez te dwie lub trzy godziny, które dzielą nas od powrotu wszystkich. Lillian, mój aniele... Ile było w butelce, gdy zaczynałaś?

Przyłożyła palec do szkła w jednej trzeciej wysokości.

– Było tyle, gdy zaczynałam. Chyba. A może tyle. – Zmarszczyła z żalem brwi. – Teraz została tylko gruszka. – Znów zakołysała butelką, a mięsisty owoc chlupnął soczyście na dnie. – Chcę ją zjeść – oświadczyła stanowczo.

– Ona nie jest do jedzenia. Jej zadaniem jest nadać aromat... Lillian, oddaj mi tę cholerną butelkę.

– Zjem ją. – Uciekła od niego chwiejnym krokiem, jednocześnie potrząsając naczyniem z rosnącą determinacją. – Gdybym tylko zdołała ją wyciągnąć...

– Nie dasz rady. To niemożliwe.

– Niemożliwe? – prychnęła, odwracając się do niego. – Twoja służba potrafi wydłubać mózdzek z cielejczy czaszki, a nie zdoła wyciągnąć jednej małej gruszki z butelki? Wątpię. Poślij po jednego z lokajów... No, zagwiźdź na niego... Och, zapomniałam. Ty nie umiesz gwizdać. – Skoncentrowała się na nim. Zmrzyła powieki i wbiła wzrok w jego wargi. – To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Każdy umie gwizdać. Nauczę cię. Teraz. Zrób dzióbek. Taki. Dzióbek... Widzisz? – Chwycił ją w objęcia, gdy się przed nim zakołysała. Spojrzał na jej uroczo wydęte usta i natychmiast poczuł uporczywą falę ciepła, która zalała jego serce. Dobry Boże, był już taki zmęczony walką z pożądaniem, które do niej czuł. Wyczerpywała go wojna z czymś tak obezwładniającym. Zupełnie jakby walczył z oddechem. Utkwiła w nim uroczyste spojrzenie, wyraźnie zdziwiona tym, że odmawia współpracy. – Nie, nie, nie tak. Tak. – Butelka upadła na dywan. Lillian sięgnęła do jego ust, by palcami nadać im pożądany kształt. – Oprzyj język na zębach i... w zasadzie język jest najważniejszy. Jeśli umiesz się nim sprawnie posługiwać, będziesz bardzo, bardzo dobrze... – urwała, gdy zamknął jej usta krótkim, żarłocznym pocałunkiem – ...gwizdać. Milordzie, nie mogę mówić, gdy pan... – Znów zawładnął jej ustami, sycąc się jej słodkim smakiem z nutą brandy.

Osunęła się na niego bezradnie, wplotła palce w jego włosy, a jej oddech zaczął się rwać. Przetoczyła się przez niego fala zmysłowego pragnienia, gdy pocałunek pogłębił się kompulsywnie. Wspomnienie ich spotkania w ukrytym ogrodzie nawiedzało go od wielu dni... delikatność jej skóry pod jego dłońmi, jej małe, idealne piersi, kusząca siła jej nóg. Pragnął poczuć, jak go nimi obejmuje, jak wpija paznokcie w jego plecy i zaciska kolana na jego biodrach... Pragnął poczuć jedwabiste wilgotną pieśczętę jej ciała, gdy porusza się w jej wnętrzu.

Lillian cofnęła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem. Jej wargi były wilgotne i czerwone. Wysunęła dłonie z jego włosów i przeniosła je na jego policzki, by muskać opuszkami palców ich ostre kąty. Delikatne smugi chłodu na buchającym żarze jego skóry. Pochylił głowę i wtulił szczękę w bładę jedwab jej dłoni.

– Lillian – szepnął. – Próbowałem zostawić cię w spokoju. Ale już dłużej nie mogę. Przez ostatnie dwa tygodnie musiałem tysiąc razy się powstrzymać, by do ciebie nie przyjść. Niezależnie od tego, jak często powtarzam sobie, że jesteś najbardziej niestosowną... – Urwał, gdy zaczęła się gwałtownie wyrывać.

Wiła się i wykręcała szyję, by spojrzeć na podłogę. – Niezależnie od... Lillian, czy ty mnie słuchasz? Czego szukasz, do diabła?

– Mojej gruszki. Upuściłam ją i... Och, tu jesteś! – Oswobodziła się i osunęła na kolana i dłonie, aby sięgnąć pod krzesło. Wyjęła butelkę brandy, usiadła na podłodze i położyła ją sobie na podołku.

– Lillian, zapomnij o tej przeklętej gruszce.

– Jak ona się tam dostała twoim zdaniem? – Eksperymentalnie wsunęła palec w szyjkę. – Nie rozumiem, jak coś tak dużego mogło się zmieścić do takiej małej dziurki.

Marcus zacisnął powieki, by obronić się przed falą gwałtownej namiętności. Jego głos łamał się, gdy odpowiedział:

– Butelki... umieszcza się na drzewach. Pączek rośnie... w środku... – Uniósł nieco powieki, po czym znów je zacisnął, gdy zobaczył, że Lillian wsuwa palec głębiej. – Rośnie... – wykrztusił – aż owoc dojrzeje.

Ta informacja zrobiła na niej ogromne wrażenie.

– Naprawdę? To najmądrzejszy, najmądrzejszy... Gruszka w swojej własnej... o nie.

– Co znowu? – syknął Marcus przez zaciśnięte zęby.

– Palec mi utknął.

Otworzył oczy. W osłupieniu spojrzał na Lillian, która niecierpliwie szarpała uwięziony palec.

– Nie mogę go wyjąć – poinformowała.

– Pociągnij.

– Boli. Chyba puchnie.

– Pociągnij mocniej.

– Nie mogę! Naprawdę utknął. Potrzebuję czegoś śliskiego. Masz pod ręką jakiś smar?

– Nie.

– A coś podobnego?

– Zapewne cię to zdziwi, lecz nigdy wcześniej nie potrzebowaliśmy smaru w bibliotece.

Zmarszczyła brwi.

– Zanim zaczniesz krytykować, Westcliff, wiedz, że nie jestem pierwszą osobą w historii, której palec utknął w butelce. To się ciągle zdarza.

– Doprawdy? Chyba w Ameryce. Ja nigdy jeszcze nie widziałem Anglika z butelką na palcu. Nawet zawianego.

– Nie jestem zawiana, ja tylko... Dokąd idziesz?

– Zostań tu – mruknął, wychodząc z pokoju. Na korytarzu zauważył pokojówkę, która szła ku niemu z wiadrzem pełnym ścierek i środków czyszczących. Ciemnowłosa dziewczyna znieruchomiała na jego widok, onieśmielona gniewnym grymasem malującym się na jego twarzy. Przez chwilę próbował przypomnieć sobie jej imię. – Meggie – mruknął zwięźle. – Masz na imię Meggie, prawda?

– Tak, milordzie – odparła pokornie, opuszczając wzrok.

– Masz może w tym wiadrze jakieś mydło lub pastę?

– Tak, proszę pana. Gospodyni nakazała mi wypolerować krzesła w pokoju bilardowym...

– Z czego jest zrobiona? – przerwał jej, zastanawiając się, czy środek zawiera jakieś żrące substancje.

Na widok jej rosnącego zdumienia sprecyzował: – Pasta, Meggie.

Jej oczy zogniły, gdy usłyszała, że panicz przejawia zainteresowanie tak nieciekawą substancją.

– Z pszczelego wosku – powiedziała niepewnie. – I soku cytrynowego, i kropli lub dwóch olejku.

– To wszystko?

– Tak, milordzie.

– Dobrze. – Zdecydowanie pokiwał głową. – Podaj mi ją, jeśli możesz.

Oszołomiona pokojówka sięgnęła do wiadra i wyjęła mały słoiczek z woskową, żółtawą substancją, po czym podała mu go.

– Milordzie, jeśli życzy pan sobie, bym coś wypolerowała...

– To wszystko, Meggie. Dziękuję.

Dygnęła wdzięcznie, wpatrując się w niego, jakby całkiem postradał rozum.

Gdy Marcus wrócił do biblioteki, Lillian leżała na plecach na dywanie. Jego pierwszą myślą było, że straciła przytomność, lecz gdy podszedł bliżej, zauważył, iż w wolnej ręce trzyma długi drewniany walec i mrużąc oko, wpatruje się w jeden z jego końców.

– Znalazłam! – zawołała triumfalnie. – Kalejdoskop. Jest barrrrrdzo interesujący. Ale nie tego się spodziewałam.

Podszedł do niej w milczeniu, wyjął instrument z jej dłoni, po czym podał go jej drugim końcem.

Od razu pisnęła ze zdumienia.

– Och, urocze... Jak to działa?

– Na jednym końcu znajdują się odpowiednio rozmieszczone płytki posrebrzanego szkła, a na drugim...

– Umilkł, gdy zwróciła kalejdoskop ku niemu.

– Milordzie – oświadczyła z uroczystą troską, patrząc na niego przez walec – ma pan... trzysta par oczu. – Atak śmiechu wstrząsnął nią tak, że aż upuściła kalejdoskop.

Osunął się na kolana obok niej i mruknął szorstko:

– Podaj mi rękę. Nie, tę drugą. Tę z butelką.

Leżała na plecach, gdy wsmarowywał grudkę pasty w odsłoniętą część jej palca. Wtarł odrobinę także w miejsce, w którym szyjka zaciskała się wokół skóry. Rozgrzany ciepłem jego dłoni aromatyczny wosk zapachniał cytrynami. Lillian z rozkoszą wzięła głęboki oddech.

– Och, podoba mi się.

– Możesz go teraz wyciągnąć?

– Jeszcze nie.

Otoczył palcami jej palec, by dokładniej otulić oleistym woskiem jej knykcie i szyjkę butelki. Lillian rozluźniła się pod wpływem jego dotyku. Najwyraźniej w pełni zadowolalo ją to, że może leżeć nieruchomo i go obserwować.

Spojrzał na nią i nagle poczuł, że nie zdoła oprzeć się pokusie pochylenia się nad nią i całowania jej do utraty zmysłów.

– Czy mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego piłaś gruszkową brandy w środku dnia?

– Nie mogłam otworzyć sherry.

Jego wargi zadrżały.

– Pytałem o to, dlaczego w ogóle piłaś.

– Och. Cóż, czułam się nieco... podenerwowana. I uznałam, że to pomoże mi się zrelaksować.

Pocierał podstawę jej palca delikatnymi, okrężnymi ruchami.

– Dlaczego byłaś podenerwowana?

Odwróciła od niego twarz.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Hm.

Znów na niego spojrzała, mrużąc powieki.

– Co to miało znaczyć?

– Nic.

– Właśnie, że miało. To nie było zwykłe „hm”. To było „hm” pełne dezaprobaty.

– Po prostu się zastanawiałem.

– Słucham więc? – prowokowała go. – Co wymyśliłeś?

– Myślę, że ma to coś wspólnego z St. Vincentem. – Cień, który przemknął po jej twarzy, powiedział mu, że odgadł. – Powiedz mi, co się stało – dodał, obserwując ją uważnie.

– Wiesz – wymruczała z rozmarzeniem, ignorując jego pytanie – nie jesteś nawet w połowie tak przystojny, jak lord St. Vincent.

– A to ci niespodzianka – sarknął.

– Ale z jakiegoś powodu – kontynuowała – jego nigdy nie chcę całować tak, jak pragnę całować ciebie.

– Dobrze, że zamknęła oczy, bo gdyby zobaczyła jego minę, na pewno nie mówiłaby dalej. – Masz w sobie coś, co sprawia, że czuję się niegrzeczna. Mam ochotę robić szokujące rzeczy. Może to dlatego, że jesteś taki stosowny. Twój fular nigdy się nie przekrzywia, a twoje buty zawsze lśnią. I masz takie wyprasowane koszule. Czasami, gdy na ciebie patrzę, mam ochotę oderwać ci wszystkie guziki. Albo podpalić spodnie. – Zachichotała bezradnie. – Zastanawiałam się niedawno... czy pan ma łaskotki, milordzie?

– Nie – wychrypiał, czując gwałtowne uderzenia serca pod wyprasowaną koszulą. Dotkliwe pożądanie sprawiło, że jego ciało stężało w gotowości do ataku na szczupłą kobiecą postać, która leżała obok niego. Jego znękanе poczucie honoru zaprotestowało, przypominając mu, że nie należy do mężczyzn, którzy uwiedliby kobietę pod wpływem alkoholu. Była bezradna. Była dziewicą. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby wykorzystał jej stan...

– Zadziałało! – Uniosła dłoń i pomachała nią zwycięsko. – Wyciągnęłam palec. – Jej usta wygięły się w zmysłowym uśmiechu. – Dlaczego marszczysz brwi? – Z trudem usiadła, chwytając się dla pewności jego ramion. – Ta mała zmarszczka pomiędzy twoimi brwiami... sprawia, że pragnę... – Urwała, utkwivszy wzrok w jego czole.

– Co takiego? – szepnął, panując nad sobą resztkami sił, które niemal się wyczerpały.

Nadal trzymając się jego ramion, podniosła się na kolana.

– Zrobić to. – Przycisnęła wargi do miejsca pomiędzy jego brwiami.

Zamknął oczy, a z jego gardła dobył się niski, rozpaczliwy jęk. Pragnął jej. Nie tylko w łóżku... choć w chwili obecnej to była jego pierwsza myśl... lecz także pod wszelkimi innymi względami. Nie potrafił już dłużej zaprzeczać temu, że przez resztę życia będzie porównywał z nią każdą inną kobietę i wszystkie one okażą się nie dość dobre. Jej uśmiech, jej ostry język, jej temperament, jej zaraźliwy śmiech, jej ciało i jej duch – wszystko to uderzało w jego czułą strunę. Była niezależną, samowolną, upartą... większość mężczyzn nie pragnęła takich cech u małżonki. Fakt, że on ich pragnął, był równie niezaprzeczalny, co nieoczekiwany.

Sytuacja ta miała tylko dwa wyjścia. Mógł dalej jej unikać, w czym odnosił dotychczas spektakularne porażki, albo po prostu się poddać. Poddać się... wiedząc, że ona nigdy nie stanie się łagodną, układną małżonką, którą zawsze wyobrażał sobie u swego boku. Poślubiając ją, sprzeciwiał się przeznaczeniu, które zostało mu zapisane na długo przed narodzinami.

Nigdy nie będzie do końca pewien, czego się po niej spodziewać. Będzie zachowywała się w sposób, który nie zawsze wyda mu się zrozumiały, i będzie gryzła jak zdziczałe zwierzę, jeśli spróbuje ją kontrolować. Była istotą cechującą się silnymi emocjami i jeszcze silniejszą wolą. Będą się kłócić. Nigdy nie pozwoli, by zadowolili się czymś małym, by popadł w marazm.

Dobry Boże, czy naprawdę właśnie takiej przyszłości pragnął?

Tak. Tak. Tak.

Muskając nosem miękką wypukłość jej policzka, rozkoszował się gorącą falą pachnącego brandy oddechu na swojej twarzy. Posiadzie ją. Stanowczo otoczył rękami jej głowę i uniosł jej usta ku swoim. Wydała niewyraźny dźwięk i odpowiedziała na jego pocałunek z mało panięńskim entuzjazmem, taka

słodka i gorliwa w swej reakcji, że niemal się uśmiechnął. Uśmiech ustąpił jednak pod zmysłowym naporem jej warg. Uwielbiał sposób, w jaki na niego reagowała, uczując na jego ustach z pasją, która dorównywała jego pasji. Położył ją na podłodze, ułożył ją sobie w zagłębieniu ramienia i natarł na jej usta głębokimi, zmysłowymi pociągnięciami języka. Jej spódnica wzbijała się pomiędzy nimi, sabotując ich wzajemne wysiłki, by zbliżyć się do siebie. Wykręcając się jak kot, Lillian wsunęła dłonie pod jego surdut. Przetaczali się powoli po parkiecie, raz on na górze, raz ona – nie dbali o to, dopóki ich ciała były połączone.

Była szczupła, lecz silna, otoczyła go kończynami i zaczęła niecierpliwie wodzić rękami po jego plecach. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak intensywnego podniecenia, każda komórka jego ciała przeniknęła żarem. Musiał dostać się do jej wnętrza. Musiał poczuć, całować, pieścić, smakować każdy jej centymetr.

Znów się przetoczyli, a gdy w jego plecy wbiła się noga krzesła, chwilowo odzyskał rozum. Uświadomił sobie, że zamierzają się kochać w jednym z najbardziej uczęszczanych pokoiów w domu. To się nie uda. Przeklinając, podciągnął ją w górę i wstał, przyciskając ją mocno do siebie. Zaczęła szukać miękkimi wargami jego ust, lecz oparł się jej, śmiejąc się drżąco.

– Lillian... – Jego głos był ochrypły. – Chodź ze mną.

– Dokąd? – zapytała słabo.

– Na górę.

Nagła sztywność w jej kręgosłupie powiedziała mu, że Lillian zrozumiała jego intencje. Brandy pozbawiła ją zahamowań, lecz nie rozumu. W każdym razie nie do końca. Uniosła delikatne, gorące palce do jego policzków i spojrzała mu w oczy z lśniąco intensywnością.

– Do twojego łóżka? – szepnęła. Gdy lekko skinął głową, pochyliła się ku niemu i wymruczała w jego usta. – Och, tak...

Odnalazł jej opuchnięte od pocałunków wargi swoimi. Była taka rozkoszna, jej usta, jej język... Jego oddech zaczął się rwać, gdy wtulił w siebie jej ciało. Zataczali się, aż oparł rękę o pobliską półkę, aby odzyskać równowagę. Miał wrażenie, że nie jest w stanie całować jej dość głęboko. Pragnął więcej. Więcej jej skóry, jej zapachu, jej gorączkowego pulsu pod jego językiem, jej włosów owiniętych wokół jego palców. Chciał, by wyginała się i prężyła pod nim naga, chciał czuć jej paznokcie na plecach i dreszcze jej orgazmu, gdy zaciskała wewnętrzne mięśnie wokół niego. Pragnął posiąść ją szybko, wolno, szorstko, łagodnie... na nieskończenie wiele sposobów, w bezgranicznej pasji.

Jakimś cudem zdołał unieść głowę na tyle, by wymruczeć ochryple:

– Obejmij mnie za szyję.

Gdy spełniła jego prośbę, wziął ją na rękę.

ROZDZIAŁ 18

Jeśli to sen, pomyślała Lillian kilka minut później, to zdumiewająco realny. Sen, tak... Kurczowo uchwyciła się tej myśli. W snach możemy robić wszystko, co tylko sobie wymarzymy. Nie ma żadnych zasad, żadnych obowiązków... tylko rozkosz. Och, rozkosz... Marcus rozebrał ją, a potem siebie, a gdy ich ubrania wymieszały się w stosie na podłodze, położył ją na szerokim łóżu z miękkimi jak puch poduszkami obleczonymi w śliski biały len. To musiał być sen, ponieważ ludzie kochają się tylko w ciemnościach, a teraz pokój zalewało popołudniowe słońce.

Położył się obok niej, pochylił nad nią i zaczął muskać jej wargi swoimi w pocałunkach tak leniwych i powolnych, że nie potrafiła stwierdzić, kiedy jeden się zaczyna, a inny kończy. Ciężar jego nagiego ciała, które zdumiewało swoją mocą, spoczywający na jej ciele, jego mięśnie przypominające stal pod jej ciekawskimi dłońmi. Twarde, lecz satynowe i gorące jak ogień... Jego ciało było objawieniem. Sprężyste włoski na jego piersi łaskotały jej obnażone piersi, gdy poruszał się nad nią. Zawłaszczał każdy centymetr jej ciała w zrelaksowanej, zmysłowej pielgrzymce pocałunków i pieszczot.

Ich wymieszane zapachy zmieniły się w żarze pożądania, zyskując słonawą ostrość, która przesyciła każdy oddech erotycznymi perfumami. Ukryła twarz na jego szyi, wdychając je chciwie. Marcus... ten Marcus ze snu nie był opanowanym angielskim dżentelmenem, lecz czułym, zuchwałym nieznajomym, który szokował ją intymnością, jakiej się domagał.

Przewrócił ją na brzuch i zaczął zębami skubać jej skórę wzdłuż kręgosłupa, odkrywając językiem miejsca, które sprawiały, że dygotała z rozkoszy. Poczowała ciepło jego dłoni na pośladku i koniuszki jego palców w ukrytej szczelinie pomiędzy jej udami. Wydała bezradny jęk i instynktownie uniosła biodra z materaca.

Przycisnął ją do niego z cichym pomrukiem, rozdzielił sprężyste loki i wsunął w nią palec, prowokując i masując delikatną tkanę. Przytuliła płonący policzek do śnieżnobiałej pościeli, jęcząc z rozkoszy. Zamruczał cicho w jej kark i usiadł na niej okrakiem. Jedwabisty ciężar jego męskości ocierał się o wnętrze jej nogi, gdy pieścił ją dłonią pomiędzy udami diabelnie lekko i czule. Zbyt czule. Pragnęła więcej... chciała wszystkiego... wszystkiego. Jej serce kołatało, zacisnęła dłonie na prześcieradle, zbierając materiał w wilgotne pięści. Narastało w niej osobliwe napięcie, które kazało jej wić się pod potężnie umięśnionym męskim ciałem.

Jej płytkie okrzyki zdawały się go zadowalać. Przetoczył ją na plecy. Jego oczy płonęły mrocznym ogniem.

– Lillian – szepnął w jej drżące wargi – mój aniele, moja miłości... Boli? – Pogłaskał palcem jej wnętrze. – To słodkie, puste miejsce... Czy chcesz, bym je wypełnił?

– Tak – wyszlochała, próbując mocniej się w niego wtulić. – Tak... Marcus, tak...

– Wkrótce. – Polizał jej sztywny sutek.

Jęknęła, gdy wycofał hipnotyzującą dłoń. Oszołomiona i rozgorączkowana, poczuła, że Marcus zsuwa się coraz niżej i niżej, smakuje i skubie jej napięte ciało, aż do... aż do...

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy dłońmi rozsunął jej uda, a chłodna wilgoć jego języka zaatakowała gęstwiny wilgotnych loków. Jej biodra uniosły się wysoko ku jego ustom. Nie może, nie może, pomyślała,

odurzona, gdy polizał jej łono, zataczając czubkiem języka zwinne kółka, uwodzicielską torturą prowokując ją do krzyku. Nie przestawał. Skoncentrował się na maleńkim pączku jej kobiecości, odnalazł rytm, który wzniecił w jej ciele dziki ogień, po czym przesunął usta na misterne fałdki, aż jęknęła pod wpływem doznań, gdy poczuła w sobie jego język.

– Marcus – usłyszała swój złamany szept. Powtarzała jego imię raz po raz niczym zmysłowe zaklęcie. – Marcus... – Objęła jego głowę drżącymi dłońmi, by przesunąć ją wyżej, tam gdzie jego usta były najbardziej potrzebne. Gdyby była w stanie mówić, zaczęłaby błagać. Nagle pokonał wargami ten nieznaczący, a jednak kluczowy dystans i zamknął je na niej z erotyczną precyzją, ssąc i liżąc bez litości. Wydała ochryply okrzyk, gdy przetoczyła się przez nią fala ekstazy, zalewając jej zmysły.

Przesunął się wyżej i wziął ją w ramiona, by całować ciepłymi wargami jej mokre policzki. Uchwyciła się go kurczowo, próbując zapanować nad ciężkimi, szybkimi oddechami. Wciąż nie miała dość. Pragnęła jego ciała, jego duszy w sobie. Niezręcznie przesunęła dłoń w dół i dotknęła jego sztywnej męskości, by poprowadzić ją ku wilgotnej dolinie pomiędzy swymi udami.

– Lillian... – Jego oczy przypominały płynny obsydian. – Jeśli to zrobimy, musisz zrozumieć, że wiele się zmieni. Będziemy musieli...

– Teraz – przerwała mu ochryple. – Wejdz we mnie... Teraz. – Przesunęła badawcze palce od nasady jego członka po nabrzmiałą żołądź. Musnęła nosem silną kolumnę jego szyi i ugryzła go lekko. Nagłym ruchem popchnął ją na plecy i pochylił się nad nią. Rozsunął szeroko jej nogi. Gdy poczuła piekący nacisk pomiędzy udami, instynktownie zacisnęła mięśnie, wzbraniając się przed inwazją.

Marcus sięgnął pomiędzy ich ciała i odnalazł czubek jej kobiecości, by opuszkami rozniecić nowy płomień rozkoszy w jej wrażliwym ciele, aż zaczęła kołysać się bezradnie w odpowiedzi. Z każdym zapraszającym uniesieniem czuła nieustępliwą twardość, która rozciągała ją, pracując coraz dalej. Wykonał zdecydowane pchnięcie i w pełni się w niej zagłębił. Krzyknęła z zaskoczenia i bólu, po czym znieruchomiała, wbijając palce w jego twarde, gładkie plecy. Jej ciało pulsowało gwałtownie wokół niego, a uczucie rozciągania i bólu nie ustępowało, mimo iż pragnęła go w siebie przyjąć. Mruczając do niej uspokajająco, zamarł w niej z nieskończoną cierpliwością, nie chcąc jej krzywdzić.

Gdy pieścił ją i całował, Lillian spojrzała w jego czułe ciemne źrenice. Gdy ich oczy się spotkały, poczuła, że całe jej ciało się rozluźnia, a opór ustępuje. Objął dłonią jej pośladki, uniósł ją i zaczął poruszać się w ostrożnym rytmie.

– Czy tak jest dobrze? – szepnęła.

Jęcząc, w odpowiedzi otoczyła ramionami jego szyję. Jej głowa opadła do tyłu, a on zaczął całować jej szyję, podczas gdy jej ciało w pełni otworzyło się na śliską, gorącą inwazję. Zaczęła się więc pod wpływem pchnięć, niosących wymieszaną z bólem rozkosz, a jej ruchy tylko podsycaly jego podniecenie. W pewnej chwili jego twarz stężała, a oddech zaczął się rwać.

– Lillian – wychrypiał, obejmując mocniej jej pośladki. – Mój Boże, nie mogę... Lillian... – Zamknął oczy i jęknął głośno, osiągając orgazm, a jego członek zaczął wyczuwalnie w niej pulsować.

Gdy po chwili spróbował się odsunąć, przywarła do niego, mruczając:

– Nie. Jeszcze nie, proszę... – Wtedy przetoczył ich oboje na bok, nie przerywając połączenia pomiędzy ich ciałami. Nie chcąc go puścić, otoczyła szczupłą nogą jego biodro, a on zaczął rysować na jej plecach egzotyczne wzory. – Marcusie – szepnęła. – To sen... prawda?

Poczuła na swoim policzku jego powolny uśmiech.

– Śpij – powiedział, po czym pocałował ją miękko.

Gdy Lillian otworzyła oczy, popołudniowe światło znacząco osłabło, a niebo widoczne za oknem przybrało odcień lawendy. Wargi Marcusa błędziły lekko pomiędzy jej policzkiem a szczęką. Otoczył

ramieniem jej barki i pomógł jej usiąść. Usta miała wyschnięte na wiór, w gardle czuła pieczenie, a gdy spróbowała coś powiedzieć, wydała z siebie tylko ochryply szept:

– Pić...

Marcus przyłożył do jej warg kryształowy kieliszek, którego zawartość wychyliła z wdzięcznością. Płyn był chłodny, smakował cytryną i miodem.

– Więcej?

Gdy spojrzała na obejmującego ją mężczyznę, zauważyła, że jest w pełni ubrany, ma uczesane włosy, a jego cera lśni czystością. Jej język wydawał się opuchnięty i suchy.

– Śniło mi się... Och, śniło mi się... – Nagle pojęła, że to nie sen. Choć Westcliff był już stosownie ubrany, ona leżała naga w jego łóżku, przykryta tylko prześcieradłem. – O Boże... – szepnęła, zdumiona i przerażona świadomością tego, co uczyniła. W głowie czuła dotkliwe pulsowanie. Przycisnęła palce do obolałych skroni.

Westcliff podszedł do leżącej na nocnym stoliku tacy i ponownie napełnił kieliszek odświeżającym napojem.

– Boli cię głowa? – zapytał. – Tak myślałem. Proszę.

Podał jej cienki papierowy pakiecik, a ona rozdarła go drżącymi palcami. Odchyliła głowę, wylała gorzką zawartość pakietu na język, po czym spłukała ją łykiem słodkiego napoju. Prześcieradło zsunęło się na jej talię. Czerwieniąc się ze wstydu, podciągnęła je z cichym okrzykiem. Westcliff powstrzymał się od komentarza, lecz po jego minie poznała, że na skromność jest zdecydowanie za późno. Zamknęła oczy i jęknęła.

Wyjął kieliszek z jej palców, pomógł jej położyć się na poduszce i czekał cierpliwie, aż ośmieli się znów na niego spojrzeć. Z uśmiechem pogłaskał ją po płonącym policzku grzbietami knykci. Marząc o tym, by nie miał tak cholernie zadowolonej z siebie miny, Lillian wykrzywiła twarz w grymasie.

– Milordzie...

– Jeszcze nie. Porozmawiamy, gdy się tobą zajmę.

Pisnęła z oburzenia, gdy odsunął prześcieradło z jej ciała, odsłaniając każdy centymetr nagiej skóry.

– Nie!

Ignorując ją, podszedł do umywalni i wlał parującą wodę z małego dzbanka do fajansowej misy. Zamoczył w wodzie kawałek płótna, wykręcił go i usiadł obok Lillian. Uświadomiwszy sobie, co zamierza, pod wpływem impulsu odepchnęła jego dłoń. Przeszył ją ironicznym spojrzeniem i powiedział:

– Jeśli zamierzasz zasłaniać się wstydliwie na tym etapie...

– Och, niech będzie. – Oblała się krwawym rumieńcem, opadła na poduszkę i zamknęła oczy. – Tylko... szybko.

Wcisnął gorące płótno pomiędzy jej uda, a ona wzdrygnęła się w odpowiedzi.

– Spokojnie – szepnął, obmywając piekące miejsce z czułą troską. – Przepraszam. Wiem, że boli. Nie ruszaj się. – Zakryła oczy dłonią, zbyt zawstydzona, by patrzeć, gdy przyłożył kolejny gorący kompres na źródło tępego bólu. – Czy to pomaga? – usłyszała jego pytanie. Pokiwała sztywno głową, nie mogąc wydobyć z siebie dźwięku. Gdy Westcliff znów przemówił, w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie: – Nie spodziewałem się takiej skromności po dziewczynie, która bawi się w bieliźnie na świeżym powietrzu. Dlaczego zakrywasz oczy?

– Bo nie mogę na ciebie patrzeć, gdy ty patrzysz na mnie – odparła płacząco. Wybuchnął śmiechem, zdjął kompres i znów zamoczył go w gorącej wodzie. Lillian wyjrzała zza swoich palców, gdy znów przycisnął gorącą szmatkę do wnętrza jej ud. – Musiałeś zadzwonić po służbę – powiedziała. – Czy ktoś... coś widział? Czy ktoś wie, że tu jestem?

– Tylko mój pokojowy. A on wie, że nie należy nikomu mówić o moich...

Zawahał się, ewidentnie szukając odpowiedniego słowa.

– Podbojach? – podpowiedziała z napięciem.

– To nie był podbój.

– W takim razie błąd.

– Niezależnie od tego, jak to nazwiesz, fakty są takie, że musimy w stosowny sposób zmierzyć się z konsekwencjami tej sytuacji.

To zabrzmiało złowieszczo. Lillian odsunęła rękę od oczu i zauważyła, że gdy tym razem Westcliff płukał szmatkę, była ona poplamiona krwią. Jej krwią. Poczowała ucisk w żołądku, a jej puls gwałtownie przyspieszył. Każda młoda kobieta wiedziała, że jeśli odda się mężczyźnie poza małżeństwem, będzie zrujnowana. Słowo „zrujnowana” miało taki... nieprzyjemny posmak. Jakby na zawsze już była zepsuta. Jak pokryty brązowymi plamami banan na samym spodzie misy z owocami.

– Musimy tylko uważać, by nikt się nie dowiedział – odparła ostrożnie. – Będziemy udawać, że to nie miało miejsca.

Westcliff przykrył ją prześcieradłem, po czym pochylił się nad nią, opierając dłonie po obu stronach jej ramion.

– Lillian. Spaliśmy ze sobą. Nie można tego zignorować.

Nagle przepełniła ją panika.

– Ja mogę to zignorować. A jeśli ja mogę, ty również...

– Wykorzystałem cię – oświadczył z najgorzej udawaną skrucą, jaką kiedykolwiek widziała. – Mój postępek jest niewybaczalny. Biorąc jednak pod uwagę sytuację, w jakiej się znaleźliśmy...

– Wybaczam ci – przerwała mu szybko. – Już, załatwione. Gdzie moje ubrania?

– ...jedynym wyjściem jest małżeństwo.

Hrabia Westcliff właśnie się jej oświadczył.

Każda panna na wydaniu w Anglii, słysząc od niego te słowa, zapłakałaby z radości. Lillian wydawało się to jednak niewłaściwe. Westcliff nie oświadczał się, ponieważ naprawdę tego chciał, ani też dlatego, że pożałował jej ponad wszystkie inne. Oświadczał się z obowiązku.

Usiadła powoli.

– Milordzie, czy istnieje jakiś inny powód tych oświadczeń niż fakt, że ze sobą spaliśmy? – zapytała drżącym głosem.

– Oczywiście jesteś atrakcyjna... inteligentna... bez wątpienia urodzisz zdrowe dzieci... sojusz pomiędzy naszymi rodzinami również znamionuje pewne zalety...

Dostrzegła swoje ubrania, które schludnie powieszono na krześle przy kominku, i wyczołgała się z łóżka.

– Muszę się ubrać. – Skrzywiła się, gdy jej stopy dotknęły podłogi.

– Pomogę ci – oświadczył Westcliff, podchodząc do krzesła.

Lillian stanęła przy łóżku, włosy spływały na jej piersi i plecy. Przyniósł jej ubrania, położył je na pościeli, po czym objął ją wzrokiem.

– Jesteś taka śliczna – szepnął. Dotknął jej nagich ramion i powiódł palcami aż do jej łokci. – Przepraszam, że sprawiłem ci ból – dodał miękko. – Następnym razem będzie łatwiej. Nie chcę, byś bała się tego... albo mnie. Mam nadzieję, że uwierzysz, jeśli...

– Bać się ciebie? – przerwała mu bez zastanowienia. – Dobry Boże, to absolutnie niemożliwe.

Odchylił jej głowę i spojrział na nią, a na jego wargach powoli pojawił się uśmiech.

– Masz rację – zgodził się. – Naplułabyś w twarz samemu diabłu, gdybyś tylko miała taki kaprys.

Nie umiejąc zdecydować, czy powinna uznać to za komplement czy za krytykę, niespokojnie odsunęła się od niego. Sięgnęła po swoje ubrania i zaczęła się ubierać.

– Nie chcę za ciebie wychodzić. – Nie była to prawda, rzecz jasna. Nie potrafiła jednak zignorować przeczucia, że to nie może odbyć się w taki sposób. Nie powinna przyjmować oświadczeń, których jedyną motywacją jest poczucie obowiązku.

– Nie masz wyboru – rozległ się jego głos.

– Oczywiście, że mam. Ośmielę się stwierdzić, iż lord St. Vincent weźmie mnie nawet mimo braku dziewictwa. A jeśli nie, rodzice przecież nie wyrzucą mnie na ulicę. Jestem przekonana, że odetchniesz z ulgą na wieść, iż zwalniam cię z wszelkich zobowiązań. – Sięgnęła po reformy i pochyliła się, by je włożyć.

– Dlaczego wspominasz o St. Vincencie? – zapytał ostro. – Oświadczył ci się?

– Tak trudno w to uwierzyć? – mruknęła gniewnie, próbując zawiązać tasiemki reform. Później sięgnęła po koszulkę. – Poprosił mnie o zgodę na rozmowę z moim ojcem.

– Nie możesz go poślubić. – Westcliff mierzył ją gniewnym spojrzeniem, gdy jej głowa i barki wyłoniły się spod koszulki.

– Dlaczego?

– Ponieważ teraz należysz do mnie.

Prychnęła pogardliwie, mimo iż jej serce zgubiło rytm na wieść o jego zaborczości.

– Fakt, że z tobą spałam, nie oznacza, że jestem twoją własnością.

– Możesz być brzemienna – oświadczył z bezwzględną satysfakcją. – Właśnie w tej chwili w twoim brzuchu może rosnać moje dziecko. Ten fakt chyba coś oznacza, jak sądzę.

Pod Lillian ugięły się kolana, choć jej głos dorównywał chłodem jego głosowi, gdy mówiła:

– Wkrótce się przekonamy. A tymczasem odrzucam twoją propozycję. Tyle że ty niczego mi nie zaproponowałaś, prawda? – Wsunęła gołe stopy w pończochy. – Ty zażądałaś.

– O to ci chodzi? Że nie ubrałem tej kwestii w słowa w zadowalający cię sposób? – Niecierpliwie pokręcił głową. – Dobrze więc. Czy wyjdiesz za mnie, Lillian Bowman?

– Nie.

Jego twarz pociemniała.

– Dlaczego?

– Bo spanie ze sobą nie jest wystarczającym powodem, by związać się na resztę życia.

Uniósł brew z zimną arogancją.

– Moim zdaniem wystarczającym. – Podniósł gorset i podał go jej. – Nic, co powiesz ani zrobisz, nie zmieni mojej decyzji. Pobierzemy się, i to szybko.

– Może to twoja decyzja, ale nie moja – odparowała, wciągając oddech, gdy chwycił za sznurówki gorsetu i mocno pociągnął. – Chciałabym usłyszeć, co powie hrabina, gdy się dowie, że zamierzasz wprowadzić do rodziny kolejnego Amerykanina!

– Dostanie ataku apopleksji – odparł Marcus spokojnie, wiążąc sznurówki. – Wygłosi krzykiem długą tyradę, pod koniec której prawdopodobnie zemdleje. A potem wyjedzie na pół roku na kontynent i nie napisze do żadnego z nas. – Urwał, by po chwili dodać z wyraźną radością: – Nie mogę się doczekać.

ROZDZIAŁ 19

Lillian. Lillian, moja droga... Musisz wstać. Posłałam już po herbatę. – Daisy stała nad łóżkiem siostry i delikatnie potrząsała jej ramieniem.

Lillian burknęła coś zrzędliwie, przewróciła się na bok i spojrzała na Daisy, mrużąc powieki.

– Nie chcę wstawać.

– Cóż, musisz. Dzieją się różne rzeczy i moim zdaniem powinnaś być gotowa.

– Rzeczy? Jakie rzeczy? – Lillian poderwała się z materaca i przycisnęła dłoń do obolałego czoła. Jedno spojrzenie na drobną, zaniepokojoną twarz siostry sprawiło, że jej serce zaczęło nieprzyjemnie tłuc się w piersi.

– Oprzyj się na poduszkach – doradziła jej Daisy – a ja podam ci herbatę. Proszę.

Lillian przyjęła filiżankę parującego napoju i z trudem zebrała myśli, zamazane i rozproszone niczym bele gręplowanej wełny.

Jak przez mgłę pamiętała, że Marcus pomógł jej przekraść się do jej pokoju poprzedniego wieczoru, gdzie czekała już na nią ciepła kąpiel i pomocna pokojówka. Wykąpała się i przebrała w czystą koszulę nocną, po czym zasnęła, zanim jej siostra wróciła z festynu w wiosce. Po długim odpoczynku bez snów niemal zdołała przekonać samą siebie, że wydarzenia poprzedniego wieczoru nie miały miejsca, uniemożliwiło jej to jednak w pełni pieczenie pomiędzy udami.

I co teraz?, zastanawiała się niespokojnie. Powiedział, że zamierza ją poślubić. W świetle dnia mógł jednak zmienić zdanie. A ona nie była pewna, czego właściwie pragnie. Gdyby miała spędzić resztę życia jako niechciany obowiązek, który wymuszono na Marcusie...

– Jakie „rzeczy” się dzieją?

Daisy usiadła na brzegu łóżka twarzą do niej. Miała na sobie błękitną suknię poranną, a włosy upięła nieschludnie na karku. Utkwiła zaniepokojony wzrok w zmęczonym obliczu Lillian.

– Mniej więcej dwie godziny temu usłyszałam jakiś rwetes w pokoju rodziców. Wygląda na to, że lord Westcliff poprosił ojca o prywatne spotkanie... chyba w saloniku Marsdenów. Gdy ojciec wrócił, zajrzałam do pokoju, by zapytać, co się stało. Ojciec niczego mi nie wyjaśnił, lecz wydawał się podekscytowany, a matka znów miała napad, śmiała się i płakała, tak że ojciec posłał po alkohol, by ją uspokoić. Nie wiem, co powiedział ojcu lord Westcliff, lecz uznałam, że ty możesz się domyślać... – Daisy urwała, gdy filiżanka Lillian zaczęła dzwonić na talerzyku. W pośpiechu wyjęła porcelanę z roztrzęsionych dłoni siostry. – Kochana, o co chodzi? Dziwnie wyglądasz. Czy coś się wczoraj stało? Czy zrobiłaś coś, co uraziło lorda Westcliffa?

Lillian poczuła, że w jej gardle narasta dziki śmiech. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w takim stanie – zawieszona na niebezpiecznej granicy pomiędzy gniewem a łzami. W tym momencie zwyciężył gniew.

– Tak – oświadczyła – coś się stało. A teraz on wykorzystuje to, aby zmusić mnie do uległości, czy tego chcę, czy nie. Posunął się do tego, by za moimi plecami uzgadniać wszystko z ojcem... Och, nie zniosę tego! Nie mogę!

Oczy Daisy stały się wielkie jak obiadowe talerze.

– Jeździłaś na koniu lorda Westcliffa bez jego pozwolenia? O to poszło?

– Jeździłam... Boże, nie, gdybyż chodziło tylko oto. – Lillian ukryła szkarłatną twarz w dłoniach. – Spałam z nim. – Jej głos sączył się przez zimną zasłonę jej palców. – Wczoraj, gdy wszyscy opuścili posiadłość.

Na śmiałe wyzwanie najpierw odpowiedziała cisza.

– Ty... ale... ale nie rozumiem, jak mogłaś... – wyjąkała w końcu Daisy.

– Piłam brandy w bibliotece – odparła Lillian ponuro. – A on mnie znalazł. Koniec końców, wylądowaliśmy w jego sypialni.

Daisy zareagowała na tę informację szczerym zdumieniem. Upiła łyk herbaty z filiżanki Lillian i odchrząknęła.

– Podejrzewam, że gdy mówisz, iż z nim spałaś, masz na myśli coś więcej niż tylko drzemkę?

Lillian posłała jej miażdżące spojrzenie.

– Daisy, nie zachowuj się jak ptasi mózdzek.

– Myślisz, że postąpi honorowo i się oświadczy?

– O tak – mruknęła gorzko. – Zamieni swój honorowy postępek w wielką ciężką pałkę i będzie mnie nią tłukł po głowie, dopóki się nie poddam.

– Wyznał ci miłość?

Lillian prychnęła pogardliwie.

– Nie, nie wydał z siebie ani słowa na ten temat.

Czoło Daisy zmarszczyło się z namysłem.

– Lillian... czy ty się obawiasz, że pragnie cię tylko z powodu tych perfum?

– Nie, ja... O, Boże, nawet nie wzięłam tego pod uwagę, byłam zbyt rozkojarzona... – Lillian jęknęła, sięgnęła po najbliższą poduszkę i wcisnęła w nią twarz, jakby chciała się udusić. W tej chwili wcale nie brzmiało to źle.

Poduszka była gruba, nie zagłuszyła jednak całkiem głosu Daisy:

– Pragniesz go poślubić?

Lillian odczuła to pytanie niczym cios prosto w serce. Odrzuciła poduszkę na bok i wymamrotała:

– Nie w ten sposób! Nie, gdy podjął decyzję, zupełnie ignorując moje uczucia, i nie, gdy twierdzi, że robi to tylko dlatego, ponieważ zostałam skompromitowana.

Daisy przez chwilę z namysłem rozważała jej słowa.

– Nie wierzę, by lord Westcliff opisał to w taki sposób. Nie uważam go za mężczyznę, który wzięłby dziewczynę do łóżka lub oświadczył się, gdyby naprawdę tego nie chciał.

– Można tylko żałować, że nie ma dla niego znaczenia to, czego ja chcę – odparła Lillian ponuro, po czym wstała i podeszła do umywalni. Zobaczyła w lustrze swoją gniewną, wymizerowaną twarz. Nalała wodę z dzbanka do misy, ochlapała się, po czym wytarła skórę miękkim kawałkiem ręcznika. W powietrze uniosła się chmurka cynamonowego proszku, gdy odkręciła małą puszkę i zanurzyła w niej szczoteczkę. Ostry smak cynamonu odpędził kwaśne, ziemiste doznanie w jej ustach. Energicznie wypłukała zęby, aż stały się czyste i gładkie niczym szkło. – Daisy, zrobisz coś dla mnie? – zapytała, oglądając się przez ramię.

– Oczywiście.

– Nie chcę teraz rozmawiać z rodzicami, lecz muszę się upewnić, czy Westcliff faktycznie się oświadczył. Gdybyś zdołała się tego dowiedzieć...

– Nie musisz mówić nic więcej – odparła szybko Daisy, podchodząc do drzwi.

Zanim Lillian zakończyła poranne ablucje i zapięła guziki białego batystowego szlafrocza, który narzuciła na nocną koszulę, młodsza siostra powróciła.

– Nie musiałam pytać – oświadczyła ponuro. – Ojca nie ma, za to matka wpatruje się w szklaneczkę

whisky i nuci pod nosem marsz weselny. Jest w euforii. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzam, że Westcliff oświadczył się o twoją rękę.

– Łajdak – wymamrotała Lillian. – Jak śmiał mnie pominąć? Jakbym była tylko zbędnym dodatkiem w całym tym interesie. – Zmrużyła powieki. – Ciekawe, co teraz robi. Pewnie dopina wszystko na ostatni guzik, co oznacza, że następną osobą, z którą zapragnie porozmawiać, jest... – Urwała, wydając z siebie nieartykułowany jęk. Gniew zapłonął w niej z całą siłą. Ten apodyktyczny drań na pewno nie pozwoli jej samej zakończyć przyjaźni z lordem St. Vincentem. Nie pozwoli, by z godnością go pożegnała. Nie, Westcliff zajmie się tym wszystkim sam, podczas gdy Lillian będzie bezradnie czekała na wynik jego machinacji. – Jeśli robi to, co myślę, że robi – wyszczała – zdziele go w łeb pogrzebaczem!

– Słucham? – zapytała oszołomiona Daisy. – Co twoim zdaniem... Nie, Lillian, nie możesz wyjść z pokoju w bieliznie! – Pobiegła za siostrą do drzwi i szepnęła głośno, gdy ta jak burza wypadła na korytarz: – Lillian, proszę cię, wracaj. Lillian...

Brzeg białej koszuli nocnej Lillian i jej szlafroka wydymał się za nią niczym żagle statku, gdy pędziła przez korytarz i dalej schodami na dół. Wciąż jeszcze było na tyle wcześnie, że większość gości leżała w łóżkach. Lillian była zbyt wściekła, by dbać o to, że ktoś może ją zobaczyć. Z furią wymięła kilkoro zdumionych służących. Gdy w końcu dotarła do gabinetu Marcusa, oddychała ciężko. Drzwi były zamknięte. Bez wahania popchnęła je z taką siłą, że uderzyły w ścianę, i przekroczyła próg.

Tak jak podejrzewała, w środku zastała Marcusa z lordem St. Vincentem. Obaj odwrócili głowy, słysząc skrzypienie drzwi.

Lillian spojrzała na obojętną twarz St. Vincenta.

– Ile ci powiedział? – zapytała bez wstępów.

Przywoławszy na twarz neutralną, uprzejmą minę, St. Vincent odpowiedział cicho:

– Wystarczająco dużo.

Przeniosła wzrok na Marcusa, którego twarz wyrażała całkowity brak skruchy. Wyczuła, że udzielił niezbędnych informacji z zabójczą precyzją chirurga na polu bitwy. Podjąwszy decyzję, parł agresywnie do przodu, by zapewnić sobie zwycięstwo.

– Nie miałeś prawa – syknęła, pałając furią. – Nie pozwolę sobą manipulować, Westcliff!

Zwodniczo spokojny St. Vincent odsunął się od biurka i podszedł do niej.

– Odradzałbym ci włóczenie się po domu w dezabilu, kochanie – szepnął. – Pozwól, proszę, że...

Marcus wyprzedził go jednak i otulił ramiona Lillian swoim surdudem, zakrywając jej nocną bieliznę przed wzrokiem innego mężczyzny. Gniewnie próbowała zrzucić z siebie surdut, lecz zacisnął stanowczo dłonie na jej barkach i przycisnął jej sztywne ciało do swojego.

– Nie rób z siebie idiotki – szepnął do jej ucha.

Zaczęła się zaciekle wyrywać.

– Puszczaj! Porozmawiam z lordem St. Vincentem. Oboje na to zasługujemy. A jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, zrobię to za twoimi plecami.

Niechętnie ją uwolnił, po czym odsunął się na bok i skrzyżował ręce na piersi. Pomimo pozorów spokoju Lillian wyczuwała w nim jakąś silną emocję, której nie potrafił kontrolować.

– W takim razie rozmawiaj – mruknął krótko. Po uparcie zaciśniętej linii jego szczęki poznała, że nie zamierza zostawić ich samych.

Niewiele było kobiet na tyle lekkomyślnych, by sądzić, że zdołają okiełznać tę arogancką, upartą bestię. Lillian obawiała się jednak, że może należeć do tej nielicznej grupy. Posłała mu spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Postaraj się nie przerywać, dobrze? – rzuciła drwiąco, po czym odwróciła się od niego.

Zachowując nonszalancką fasadę, St. Vincent przysiadł na biurku. Lillian zmarszczyła z namysłem brwi

– pragnęła, by zrozumiał, iż nie zwodziła go z rozmysłem.

– Milordzie, proszę, wybacz mi, nie zamierzałam...

– Moja słodka, nie musisz przeproszać. – St. Vincent przyglądał się jej z leniwą przenikliwością, jakby odczytywał jej intymne myśli. – Nie zrobiłaś nic złego. Doskonale wiem, jak łatwo jest uwieść niewinną kobietę. – Po celowej pauzie dodał obcesowo: – Westcliff najwyraźniej również to wie.

– Chwileczkę... – najeżył się hrabia.

– Tak się kończy, gdy człowiek pragnie zachować się jak dżentelmen – przerwał mu St. Vincent. Wyciągnął rękę i dotknął pasma włosów Lillian, które spływało na jej ramię. – Gdybym wcielił w życie moją typową taktykę, uwiódłbym cię do dzisiaj już dziesięć razy i byłabyś moja. Wygląda jednak na to, że zbyt wiele ufności pokładałem w osławionym poczuciu honoru Westcliffa.

– Była to tak samo moja wina, jak i jego – oświadczyła Lillian, pragnąc postawić sprawę uczciwie. Po jego minie poznała jednak, że jej nie uwierzył.

Zamiast o tym dyskutować, St. Vincent wysunął palce z jej włosów i dodał, pochylając ku niej głowę:

– Moja kochana, a gdybym powiedział ci, że nadal cię pragnę, niezależnie od tego, co zaszło pomiędzy tobą a Westcliffem?

Nie zdołała ukryć zdumienia.

Marcus natomiast uznał, że dłużej nie zdoła milczeć. Gdy się odezwał, jego głos iskrzył irytacją:

– Twoje pragnienia nie mają tu żadnego znaczenia, St. Vincent. Fakty są takie, że ona należy do mnie.

– Przez jeden w zasadzie nic nieznaczący akt? – zaproponował chłodno St. Vincent.

– Milordzie – wtrąciła Lillian – dla mnie... t-to miało znaczenie. Możliwe też, że będą konsekwencje.

Nie mogłabym poślubić mężczyzny, nosząc w sobie dziecko innego.

– Moja droga, to się zdarza codziennie. Uznałbym dziecko za swoje.

– Dłużej nie będę tego słuchał – warknął ostrzegawczo Marcus.

Ignorując go, Lillian spojrzała przeproszająco na St. Vincenta.

– Nie mogłabym tego zrobić. Przepraszam. Kości zostały rzucone, milordzie, i nie sposób już tego cofnąć. Ale... – Pod wpływem impulsu uściśnęła jego dłoń. – Ale mam nadzieję, pomimo tego, co się wydarzyło, że będę mogła nadal nazywać pana swoim przyjacielem.

Z osobliwym uśmiechem St. Vincent uściśnął ciepło jej dłoń, po czym ją uwolnił.

– Wyobrażam sobie tylko jedną okoliczność, kiedy zdołałbym ci odmówić, moja słodka... i to nie jest ten przypadek. Oczywiście, pozostanę twoim przyjacielem. – Ponad głową Lillian spojrzał na Westcliffa z ponurym uśmiechem, który obiecywał, że sprawa nie jest jeszcze zakończona. – Nie sądzę jednak, bym mógł się cieszyć resztą przyjęcia – kontynuował obojętnie. – Mimo iż nie chciałbym, by mój pospieszny wyjazd wzbudził falę plotek, nie jestem pewien, czy zdołałbym ukryć swoje... hm, rozczarowanie, i dlatego też najlepiej będzie, jeśli wyjadę. Bez wątpienia będziemy mieli wiele tematów do rozmów, gdy się następnym razem spotkamy.

Marcus odprowadził przyjaciela wzrokiem, mrużąc powieki, gdy ten wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

W przygniatającej ciszy, która zapadła, począł rozmyślać nad słowami St. Vincenta.

– Wyobraża sobie tylko jedną okoliczność, kiedy zdołałby ci odmówić... Co to znaczy?

Lillian odwróciła się do niego z wściekłym grymasem na twarzy.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi! Zachowałeś się odrażająco, a St. Vincent jest po dziesięciokroć bardziej dżentelmenem niż ty!

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś cokolwiek o nim wiedziała.

– Wiem, że traktował mnie z szacunkiem, podczas gdy ty postrzegasz mnie jako pionka, którym możesz dyrgować... – Gdy wziął ją w ramiona, zaczęła okładać pięściami jego tors.

– Nie byłabyś z nim szczęśliwa – oświadczył, ignorując jej ciosy, jakby była wijącym się kociakiem,

którego złapał za skórę na karku. Surdut, którym otulił jej ramiona, zsunął się na podłogę.

– Skąd pomysł, że z tobą będzie mi lepiej?

Zacisnął palce wokół jej nadgarstków i wykręcił jej ręce na plecy, po czym jęknął z zaskoczenia, gdy mocno nastąpiła na jego stopę.

– Bo mnie potrzebujesz – odparł, wciągając powietrze, gdy nadal zaciekle się wykręcała. – Tak jak ja potrzebuję ciebie. – Zmiażdżył jej wargi swoimi. – Potrzebowałem cię od lat. – Kolejny pocałunek, tym razem głęboki i oszałamiający, z udziałem intymnie eksplorującego języka. Nadal by z nim walczyła, gdyby nie zrobił czegoś, co całkowicie ją zaskoczyło. Uwolnił jej nadgarstki, otoczył ją ramionami i przytulił w ciepłym, czułym uścisku. Zbita z tropu, znieruchomiała. Jej serce szaleńczo waliło w piersi.

– Dla mnie to również nie był nieznaczący akt. – Jego ochryply szept łaskotał jej ucho. – Wczoraj uświadomiłem sobie w końcu, że wszystkie te rzeczy, które dotychczas mi w tobie przeszkadzały, lubię najbardziej. Nie obchodzi mnie, co robisz, jeśli tylko daje ci to radość. Biegaj sobie boso po trawniku. Jedz pudding palcami. Posyłaj mnie do diabła, kiedy tylko chcesz. Pragnę cię taką, jaka jesteś. Bądź co bądź, poza moimi siostrami jesteś jedyną kobietą, która kiedykolwiek ośmieliła się powiedzieć mi prosto w twarz, że jestem aroganckim dupkiem. Jak mógłbym ci się oprzeć? – Jego usta przesunęły się na miękką poduszkę jej policzka. – Moja najdroższa Lillian – szepnął, odchylając jej głowę, by ucałować jej powieki. – Gdybym miał talent poetycki, obsypałbym cię sonetami. Słowa jednak zawsze przychodziły mi z trudem, gdy targały mną silne uczucia. Zwłaszcza jednego słowa nie zdołałbym jednak do ciebie skierować... „żegnaj”. Nie zniósłbym patrzenia, jak ode mnie odchodzisz. Jeśli nie chcesz mnie poślubić dla dobra swego honoru, zrób to dla dobra tych wszystkich, którzy musieliby mnie tolerować po tym, jak byś mi odmówiła. Wyjdź za mnie, ponieważ potrzebuję kogoś, kto pomoże mi się z siebie śmiać. Bo ktoś musi mnie nauczyć gwizdać. Wyjdź za mnie, Lillian... ponieważ twoje uszy nieodparcie mnie fascynują.

– Moje uszy? – Zdumiona, poczuła, że Marcus pochyla głowę, by skubnąć zębami różowy koniuszek jej małżowiny.

– Mhm. Najbardziej idealne uszy, jakie w życiu widziałem. – Obwiódł wewnętrzną szczelinę językiem, po czym przesunął dłoń z jej talii na pierś, by rozkoszować się kształtem niezafałszowanym przez gorset. Gdy dotknął jej skóry, wyraźnie odczuła własną nagość pod nocną koszulą. Jego palce otoczyły miękką, drobną wypukłość, aż sutek zeszywniał pod wpływem ich ciepła. – One również – wymruczał. – Idealne... – Pochłonięty pieścizotami rozpiął maleńkie guziczki jej szlafroka.

Puls Lillian gwałtownie przyspieszył, jej oddech mieszał się w krótkich sapnięciach z jego oddechem. Przypomniała sobie jego twarde ciało, które ocierało się lekko o jej skórę, gdy się kochali, ich doskonałe dopasowanie, skurcze mięśni i ścięgien pod jej dłońmi. Jej skóra zamrowiła na wspomnienie jego dotyku, a także zmyślnej badawczości jego ust i palców, które zredukowały ją do rozdygotanego łaknienia. Nic dziwnego, że za dnia bywał taki chłodny i przeintelektualizowany – całą zmysłowość musiał zachowywać na wieczór.

Wstrząśnięta jego bliskością, chwyciła go za nadgarstki. Tyle jeszcze musieli omówić... kwestie zbyt istotne, by mogli je zignorować.

– Marcusie – szepnęła bez tchu – nie. Nie teraz. To tylko zaciemnia obraz, a...

– Dla mnie to wszystko rozjaśnia. – Przesunął dłonie na jej twarz i objął jej policzki z tęskną łagodnością. Jego oczy były o wiele ciemniejsze niż jej – tylko blady ogień najgłębszego odcienia bursztynu zdradzał, że nie są czarne, lecz brązowe. – Pocałuj mnie – szepnął, po czym odnalazł ustami jej usta i przygryzł jej górną wargę, a potem dolną w czułej, półotwartej pieścizocie, która obudziła w niej falę dreszczy, rozchodzących się od ust aż po palce jej stóp. Podłoga zakołysała się pod nią, a ona uchwyciła się jego ramion dla równowagi. Nakrył jej usta swoimi bardziej stanowczo, a wilgotny nacisk zdeorientował ją świeżą falą rozkoszy.

Nie przerywając pocałunku, pomógł jej otoczyć ramionami swoją szyję. Pieścił jej barki i plecy, a gdy stało się jasne, że jej kolana drżą, ułożył ją na dywanie. Jego usta powędrowały do jej piersi i zamknęły się na pączku, który zaczął lizać przez cienki biały batyst. W jej oczach rozbłysły kolory, głęboka czerwień, błękit i złoto. Z oszołomieniem uświadomiła sobie, że leżą w plamie słońca, które wpadało do środka przez rząd prostokątnych witrażowych okien. Jej skóra lśniła od powodzi barw, jakby znalazła się pod tęczowym łukiem.

Chwycił w palce stanik jej koszuli nocnej i zaczął niecierpliwie szarpać, aż guziczki poodpadały i rozsypały się po podłodze. Jego twarz wyglądała inaczej – była łagodniejsza, młodsza, jego skóra zaróżowiła się pod wpływem pożądania. Nikt nigdy nie patrzył na nią w taki sposób – z ognistym zaangażowaniem, które blokowało wszystkie inne doznania. Pochylił się nad jej odsłoniętą pierś, polizał perłowobiałą skórę, a gdy natrafił na głęboko różowy pączek, zamknął na nim wargi.

Lillian sapała i wyginała się, unosiła ciało ku niemu, kierowana potrzebą całkowitego zatracenia się w nim. Podniosła ręce i wplotła palce w jego gęste czarne włosy. Zrozumiałwszy niewypowiedzianą prośbę, skubnął koniuszek jej piersi, zębami i językiem torturując ją z zaskakującą łagodnością. Dłonią uniósł jej koszulę aż do talii i opuszką serdecznego palca obrysował delikatnie jej pępek. Spalała ją gorączka pożądania, gdy wiła się pod nim w kałuży kolorowego światła. Jego palce zsunęły się niżej, aż na brzeg gęstwiny jedwabistych loczków, a ona pojęła, że gdy tylko Marcus dotknie małego czubeczka ukrytego w fałdkach jej kobiecości, wprowadzi ją na szczyt oślepiającej rozkoszy.

Nagle wycofał dłoń, a ona zakwiliła w proteście. Przeklinając, ukrył jej ciało pod sobą i przycisnął jej twarz do swego ramienia w tej samej chwili, w której drzwi stanęły otworem.

W ogłuszającej ciszy, w której słychać było tylko ich rwące się oddechy, Lillian odważyła się wyrzec z za chroniącego ją ciała Marcusa. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że ktoś stoi w progu. Był to Simon Hunt. W dłoniach trzymał księgę rachunkową i kilka teczek, obwiązanych czarną wstążką. Na jego twarzy odmalowała się konsternacja, gdy zauważył parę leżącą na podłodze. Na uznanie zasługiwał fakt, że zdołał się opanować, choć musiało to być trudne. Hrabia Westcliff, znany w wielu kręgach jako zagorzały krzewiciel umiarkowania i samokontroli, był ostatnim człowiekiem, jakiego spodziewałby się zobaczyć na podłodze gabinetu z kobietą odzianą tylko w koszulę nocną.

– Proszę o wybaczenie, milordzie – powiedział zduszonym głosem. – Nie wiedziałem, że będziesz się... spotykał... z kimś o tej porze.

Marcus posłał mu dzikie spojrzenie.

– Następnym razem może zapukaj.

– Masz rację, rzecz jasna. – Hunt otworzył usta, by coś dodać, zmienił jednak zdanie i tylko głośno odchrząknął. – Zostawię cię więc, byś mógł dokończyć swoją, hm... rozmowę. – Gdy wycofywał się z gabinetu, nie zdołał się jednak opanować i dodał zagadkowo: – Raz w tygodniu, mówiłeś?

– Zamknij za sobą drzwi – mruknął lodowatym tonem Marcus, a Hunt wykonał rozkaz niezwłocznie, choć stłumiony dźwięk, jaki z siebie wydawał, podejrzanie przypominał śmiech.

Lillian ukryła twarz na ramieniu Westcliffa. Była przerażona, kiedy Hunt zobaczył ją w pumpach podczas gry w palanta, lecz to było po stokroć gorsze. Nigdy nie zdołałam spojrzeć w twarz Simonowi Huntowi, pomyślała, po czym jęknęła głośno.

– Nic się nie stało – mruknął Marcus. – On nikomu nie powie.

– Nie obchodzi mnie, że komuś powie – zdołała wykrztusić. – Nie wyjdę za ciebie. Nawet gdybyś skompromitował mnie sto razy.

– Lillian... – W jego głosie pobrzmiwał śmiech. – Z rozkoszą skompromituję cię jeszcze sto razy, lecz najpierw chciałbym się dowiedzieć, co takiego niewybaczalnego uczyniłem ci tego ranka.

– Zacznijmy od tego, że rozmawiałeś z moim ojcem.

Uniósł nieco brwi.

– To cię uraziło?

– A mogłoby być inaczej? Zachowałeś się w najbardziej arbitralny sposób, za moimi plecami układając się z moim ojcem, nie mówiąc mi przy tym ani słowa...

– Chwileczkę – przerwał jej sardonicznie, po czym przetoczył się na bok i usiadł jednym zwinnym ruchem. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej się podnieść. – Nie postąpiłem arbitralnie, spotykając się z twoim ojcem. Postąpiłem zgodnie z tradycją. Potencjalny mąż zazwyczaj prosi o opinię ojca kobiety, zanim oficjalnie się oświadczy. – W jego tonie pojawiła się nieco zgryźliwa nuta, gdy dodał: – Nawet w Ameryce. Chyba że źle mnie poinformowano?

Zegar na kominku odmierzył powoli pół minuty, zanim Lillian zdobyła się na niechętną odpowiedź:

– Owszem, tak to się zazwyczaj odbywa. Założyłam po prostu, że zawarlicie już odpowiednią umowę, nie zważając na to, czy tego właśnie pragnę...

– Twoje założenie było błędne. Nie rozmawialiśmy o szczegółach zaręczyn ani też o posagu czy dacie ślubu. Ja tylko poprosiłem twojego ojca o zgodę na oficjalne zaloty.

Patrzyła na niego ze zdumieniem i rozgoryczeniem, gdy nagle do głowy przyszło jej inne pytanie.

– A twoja rozmowa z lordem St. Vincentem?

Teraz to Marcus zrobił rozgoryczoną minę.

– To było arbitralne – przyznał. – Zapewne powinienem powiedzieć, że tego żałuję, lecz skłamałbym. Nie mogłem ryzykować, że St. Vincent zdoła przekonać cię, byś poślubiła jego zamiast mnie. Uznałem więc za konieczne, by go zniechęcić. – Urwał, a Lillian zauważyła nietypowe dla niego wahanie. – Kilka lat temu – kontynuował, nie patrząc na nią – St. Vincent zainteresował się kobietą, z którą byłem... związany. Nie kochałem jej, lecz z czasem pojawiła się możliwość, że ona i ja... – Urwał i pokręcił głową. – Nie wiem, jak mógłby się zakończyć ten związek. Nigdy nie miałem okazji, by się przekonać. Gdy St. Vincent okazał jej swoje zainteresowanie, zostawiła mnie dla niego. – Jego wargi wykrzywiły się w ponurym uśmiechu. – Oczywiście znudziła mu się po kilku tygodniach.

Lillian przyglądała się ze współczuciem surowej linii jego profilu. W jego zwięzłej opowieści nie było gniewu ani uzalania się nad sobą, lecz wyczuła, że to doświadczenie go zraniło. Dla mężczyzny tak ceniącego lojalność zdrada przyjaciela i perfidia kochanki musiały okazać się trudne do zniesienia.

– A mimo to dalej się z nim przyjaźnisz? – zapytała łagodnie.

Odpowiedział jej tonem ostrożnie pozbawionym uczuć. Było jasne, że rozmowy o sprawach prywatnych sprawiają mu trudność.

– Każda przyjaźń nosi swoje blizny. Wierzę, że gdyby St. Vincent rozumiał głębię moich uczuć do tej kobiety, nie uwiódłby jej. W obecnym przypadku nie mogłem jednak pozwolić na to, by historia się powtórzyła. Jesteś... zbyt ważna... dla mnie. – Lillian poczuła ukłucie zazdrości na wieść, że Marcus żywił uczucia do innej kobiety. A potem jej serce podskoczyło z radości, gdy zastanawiała się, jakie znaczenie powinna przypisać słowu „ważna”. Marcusa cechowała wrodzona Anglikiem niechęć do wyrażania uczuć. Uświadomiła sobie jednak, że Westcliff bardzo się stara otworzyć dla niej swe chronione dotychczas serce i że odrobina zachęty z jej strony mogłaby dać zdumiewające rezultaty. – Biorąc pod uwagę ewidentną przewagę St. Vincenta pod względem urody i uroku osobistego – kontynuował spokojnie Marcus – uznałem, że mogę to zrównoważyć tylko bezwzględną determinacją. I dlatego właśnie spotkałem się z nim dzisiaj, by powiedzieć mu...

– To nieprawda – zaprotestowała Lillian, nie mogąc się powstrzymać.

Marcus spojrział na nią pytająco.

– Słucham?

– To nieprawda, że St. Vincent ma nad tobą taką przewagę – poinformowała go, oblewając się

rumieńcem, gdy odkryła, że jej wcale nie jest łatwiej obnażyć swoje serce niż jemu. – Potrafisz być bardzo czarujący, gdy masz na to ochotę. A co do twojego wyglądu... – Jej rumieniec pociemniał, aż poczuła, że emanuje żarem. – Moim zdaniem jesteś bardzo atrakcyjny – wypaliła. – Zawsze tak uważałam. Nigdy nie przespałabym się z tobą, gdybym cię nie pragnęła, nieważne, ile brandy bym wcześniej wypiała.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Położył dłoń na rozchyłonych połach jej stanika, zebrał je delikatnie, po czym pogładził grzbietami knykci jej zaróżowioną szyję.

– Rozumiem więc, że twoje obiekcje co do małżeństwa ze mną wynikają bardziej z przekonania, że jesteś do tego zmuszana, niż z osobistych uprzedzeń?

Zaabsorbowana rozkoszą jego pieśczoły, posłała mu zdeprymowane spojrzenie.

– Hm?

Roześmiał się cicho.

– Pytam, czy rozważyłabyś moje oświadczenia, gdybym ci obiecał, że nie zostaniesz do tego zmuszona.

Z wahaniem pokiwała głową.

– Mogłabym... to rozważyć. Jeśli jednak zamierzasz się zachowywać jak jakiś średniowieczny lord i zastraszać mnie, bym zgodziła się robić to, co ty chcesz...

– Nie, nie będę cię zastraszal – zadeklarował z powagą, choć w jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia. – To przecież jasne, że taka taktyka nie zadziała. Wygląda na to, że trafiłem na godnego siebie przeciwnika.

Udobruchana jego słowami, Lillian nieco się odprężyła. Nie zaprotestowała nawet, gdy posadził ją sobie na kolanach. Wsunął ciepłą dłoń pod materiał jej koszuli na biodrach, pragnąc dodać jej otuchy, nie uwieść, po czym spojrzał na nią przenikliwie.

– Małżeństwo to partnerstwo – powiedział. – A jako że nigdy jeszcze nie nawiązałem żadnego partnerstwa w interesach, nie negocjując wcześniej warunków, postąpimy tak samo i w tej sytuacji. Tylko ty i ja, na osobności. Bezwątpienia pojawią się kwestie sporne... lecz przekonasz się, że jestem biegły w sztuce kompromisu.

– Mój ojciec będzie nalegał na ostatnie słowo w kwestii posagu.

– Nie chodziło mi o finanse. Pragnę od ciebie czegoś, czego nie zdoła wynegocjować twój ojciec.

– Zamierzasz więc rozmawiać o rzeczach takich jak... nasze wzajemne oczekiwania? Na przykład gdzie zamieszkamy?

– Dokładnie.

– A gdybym ci powiedziała, że nie chcę mieszkać na wsi... że wolę Londyn niż Hampshire... zgodziłbyś się przeprowadzić do Marsden Terrace?

Przez chwilę patrzył na nią z namysłem, po czym odpowiedział:

– Byłbym gotów na pewne ustępstwa. Choć musiałbym często tu przyjeżdżać, by zarządzać posiadłością. Rozumiem, że nie lubisz Stony Cross Park?

– Och, nie. To znaczy... bardzo lubię. Moje pytanie było hipotetyczne.

– Niemniej jesteś przyzwyczajona do rozrywek miejskiego życia.

– Wolałabym mieszkać tutaj – oświadczyła, myśląc o pięknie Hampshire, o rzekach i lasach, o dolinach, w których mogłaby się bawić ze swoimi dziećmi. O wiosce z jej ekscentrycznymi mieszkańcami i sklepikarzami, o miejscowych festynach, które ożywiały leniwe tempo wiejskiego życia. O samej posiadłości, wielkiej, a zarazem intymnej, z wszystkimi tymi niszami i kątami, w których można się ukryć w deszczowe dni... lub zmysłowe noce. Zacerwieniła się na myśl, że to właściciel Stony Cross Park jest największą zaletą tego miejsca. Wiedziała, że życie z tym pełnym energii mężczyzną, niezależnie od lokalizacji, nigdy nie będzie nudne. – Oczywiście – dodała z naciskiem – byłabym o wiele skłonniejsza

wybrać Hampshire na naszą rezydencję, gdyby wolno mi było znów jeździć konno.

Jej oświadczenie powitał ledwie hamowany śmiech.

– Nakazę jeszcze dziś osiodłać dla ciebie Starlighta.

– Och, dziękuję – mruknęła sardonicznie. – Dwa dni przed końcem przyjęcia zezwalasz mi na jazdę konną. Dlaczego teraz? Ponieważ wczoraj z tobą spałam?

Leniwy uśmiech wypłynął na jego usta, a jego dłoń poruszyła się ukradkiem na jej biodrze.

– Powinnaś przespać się ze mną wiele tygodni temu. Dzisiaj zarządzałaś całą posiadłością.

Przygryzła wewnątrz policzka, by się do niego nie uśmiechnąć.

– Rozumiem. W tym małżeństwie będę więc zobligowana świadczyć ci usługi seksualne, ilekroć będę czegoś od ciebie chciała.

– Ależ skąd. Chociaż... – W jego oczach rozblęsnął kpiący ogień. – Twoje usługi wydają się budzić we mnie zgodny nastrój.

Flirtował, zrelaksowany, przekomarzając się z nią w sposób, którego jeszcze nigdy u niego nie widziała. Byłaby gotowa założyć się, że niewiele osób rozpoznałoby szacownego hrabiego Westcliffa w mężczyźnie, który siedział z nią na dywanie. Gdy przesunął ją, by było mu nieco wygodniej, i musnął dłonią jej łydkę, kończąc pieszczotę delikatnym uściśnięciem jej wąskiej kostki, Lillian poczuła rozkosz wykraczającą daleko poza fizyczne doznanie. Jej namiętność do niego zdawała się krążyć nawet w jej kościach.

– Myślisz, że zdołamy się porozumieć? – zapytała z powątpiewaniem, ośmielając się położyć dłoń na węźle jego fularu i rozluźnić palcami szary jedwab. – Różnimy się pod niemal każdym względem.

Przechylił głowę i musnął czule nosem wewnątrz jej nadgarstka, a wargi przycisnął do pajęczyny niebieskich żyłek, które przypominały misterną koronkę ukrytą pod jej skórą.

– Zaczynam wierzyć, że wybór żony podobnej do mnie pod każdym względem okazałby się najgorszą decyzją, jaką mógłbym podjąć.

– Może masz rację – rozmyślała na głos, wsuwając palce w jego lśniące krótkie włosy. – Potrzebujesz żony, która nie pozwoli ci zawsze stawiać na swoim. Takiej... – Zadrzała, gdy dotknął językiem wrażliwego miejsca po wewnętrznej stronie jej łokcia. – Takiej, która – kontynuowała, próbując zebrać myśli – będzie potrafiła nieco ci pohamować, gdy staniesz się zbyt pompatyczny...

– Nigdy nie bywam pompatyczny – oświadczył, odsuwając materiał koszuli z wrażliwej krzywizny jej szyi.

Jej oddech zaczął się rwać, gdy obsypał pocałunkami jej obojczyk.

– A jak nazwiesz kogoś, kto zachowuje się tak, jakby zawsze wiedział wszystko najlepiej, a każdego, kto się z nim nie zgadza, uważa za idiotę?

– Tak się składa, że zazwyczaj ludzie, którzy się ze mną nie zgadzają, okazują się idiotami. Nic na to nie poradzę.

Roześmiała się bez tchu i oparła głowę na jego ramieniu, gdy jego usta powędrowały w kierunku jej szyi.

– Kiedy rozpoczniemy negocjacje? – Zdumiał ją gardłowy ton jej głosu.

– Dzisiaj wieczorem. Przyjdiesz do mojego pokoju.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– Czy to nie jest przypadkiem wybieg mający na celu zwabienie mnie w pułapkę, w której będziesz mnie mógł bez skrpułów wykorzystać?

Odsunął się, by na nią spojrzeć, a potem odparł z powagą:

– Oczywiście, że nie. Zamierzam odbyć z tobą ważną rozmowę, która położy kres twoim wątpliwościom związanym z naszym ślubem.

– Och.

– A potem bez skrpułów cię wykorzystać. – Na jej wargi wypłynął uśmiech, który znikł, gdy Marcus ją pocałował. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy słyszy z jego ust rozpustną uwagę. Zazwyczaj był zbyt zasadniczy, by okazywać brak szacunku, co jej przychodziło niemal naturalnie. Może był to znak, że ma na niego jakiś wpływ. – Teraz jednak – mruknął – muszę rozwiązać pewien problem logistyczny.

– Jaki? – zapytała, przesuwając się nieco, gdy poczuła narastające w jego ciele napięcie.

Musnął opuszką kciuka jej wargi, masując je lekko i obwodząc ich kształt. Jakby nie potrafił się opanować, skradł jej jeszcze jeden pocałunek. Głębokie, stęsknione ruchy jego ust sprawiły, że poczuła mrowienie na skórze, doznania narastały i kotłowały się w niej, aż w końcu osłabła bez tchu w jego ramionach. Wtedy szepnął:

– Muszę cię zaprowadzić na górę, zanim ktoś cię zobaczy w samej koszuli nocnej.

ROZDZIAŁ 20

Nie było jasne, czy to Daisy pierwsza „puściła farbę”, jak mawiało się w Nowym Jorku, czy może źródłem nowin była Annabelle, którą mąż poinformował o scenie w gabinecie. Gdy Lillian dołączyła do paprotek na drugie śniadanie w pokoju śniadaniowym, mogła być pewna tylko jednego – wszystkie już wiedziały. Widziała to w speszonym uśmiechu Evie, w atmosferze konspiracji otaczającej Daisy i w wystudiowanej swobodzie Annabelle. Zaczerwieniła się i nie spojrzała żadnej z nich w oczy, siadając przy stole. Zawsze zachowywała cyniczną fasadę, wykorzystując ją do obrony przed wstydem, strachem, samotnością... w tej chwili czuła się jednak wyjątkowo obnażona.

Annabelle przerwała milczenie jako pierwsza:

– Cóż to za nudny poranek. – Uniosła dłoń do ust, by wdzięcznie ukryć udawane ziewnięcie. – Mam nadzieję, że któraś z was zdoła ożywić konwersację. Może chcecie się podzielić jakimiś plotkami? – Jej rozbawione spojrzenie spoczęło na skonsternowanej twarzy Lillian. Lokaj podszedł napełnić filiżankę starszej siostry Bowman herbatą. Annabelle zaczęła, aż odejdzie od stołu, i podjęła: – Późno się dzisiaj pojawiłaś, moja droga. Źle spałaś?

Lillian zmrużyła powieki, wpatrując się w oblicze wesoło kpiącej z niej przyjaciółki. Evie zakrztusiła się herbatą.

– Wręcz przeciwnie.

Annabelle uśmiechnęła się szeroko. Zdecydowanie wyglądała zbyt radośnie.

– Może ty zdradzisz nam swój sekret, Lillian, a ja wam potem zdradzę mój. Choć wątpię, by mój okazał się choć w połowie tak interesujący.

– Wygląda na to, że ty już wszystko wiesz. – Lillian próbowała zamaskować zawstydzenie, podnosząc filiżankę do ust. Osiągnęła tylko tyle, że oparzyła sobie język, odstawiła więc filiżankę na stół i zmusiła się, by spojrzeć Annabelle w oczy, które złagodniały z pełnym rozbawienia współczuciem.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – zapytała Annabelle troskliwie.

– Nie wiem – wyznała Lillian. – Nie czuję się sobą. Jestem podekscytowana i szczęśliwa, lecz zarazem...

– Przerażona? – szepnęła Annabelle.

Jeszcze miesiąc temu Lillian wolałaby skonać na torturach, niż przyznać się do strachu, teraz jednak pokiwała głową.

– Nie podoba mi się, że odsłaniam się przed mężczyzną, który nie jest powszechnie znany ze swej wrażliwości ani uczuciowości. To dość oczywiste, że nie pasujemy do siebie temperamentem.

– Ale pociąga cię fizycznie? – zapytała Annabelle.

– Niestety, tak.

– Dlaczego niestety?

– Ponieważ łatwiej byłoby mi poślubić mężczyznę, z którym łączy mnie swobodna przyjaźń niż... niż...

Trzy młode damy spojrzały na nią z napięciem.

– N-niż co? – zapytała Evie, szeroko otwierając oczy.

– Niż płonąca, drapieżna, szalona, absolutnie nieprzyzwoita namiętność.

– Ojej... – sapnęła słabo Evie, osuwając się na oparcie krzesła. Annabelle uśmiechnęła się szeroko, a Daisy spojrzała na siostrę z nieskrywaną ciekawością.

– To łączy cię z człowiekiem, którego pocałunki były „chyba znośne”? – zapytała Annabelle.

Lillian uśmiechnęła się lekko, wpatrując się w parującą zawartość filizanki.

– Kto by pomyślał, że taki wykrochmalony i odprasowany jegomość w sypialni pokazuje drugie oblicze?

– Przy tobie zapewne nie potrafi się powstrzymać – mruknęła Annabelle.

Lillian podniosła wzrok znad filizanki.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała ostrożnie, obawiając się, że Annabelle napomknie o działaniu jej perfum.

– Gdy tylko wchodzisz do pokoju, hrabia się ożywia. To oczywiste, że jest tobą zafascynowany. Nie sposób prowadzić z nim rozmowy, ponieważ bezustannie śledzi każdy twój krok.

– Czyżby? – Zadowolona Lillian zrobiła nonszalancką minę. – Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś?

– Nie chciałam się mieszać, ponieważ istniała możliwość, że faworyzujesz starania lorda St. Vincenta.

Lillian wykrzywiła usta i oparła czoło na dłoni. Opowiedziała przyjaciółkom o zawstydzającej scenie pomiędzy nią a Marcusem i St. Vincentem tego ranka. Wszystkie okazały jej współczucie, dzieląc jej dyskomfort.

– Jedyne, co mnie powstrzymuje przed przelaniem współczucia na lorda St. Vincenta – odezwała się Annabelle – to całkowita pewność, że złamał wiele serc i stał się powodem wielu łez w przeszłości... I dlatego to sprawiedliwe, że dowie się, jak smakuje odrzucenie.

– Niemniej czuję się tak, jakbym go zwodziła – wyznała dręczona wyrzutami sumienia Lillian. – A on zachował się tak miło. Ani słowa wyrzutów. Nie mogłam go za to nie polubić.

– U-uważaj – zasugerowała jej Evie cicho. – Z tego, co słyszałam, lord St. Vincent nie należy do osób, które łatwo się poddają. Jeśli znów się do ciebie zbliży, obiecaj mi, że nie zgodzisz się pójść z nim nigdzie sama.

Lillian obdarzyła zatroskaną przyjaciółkę uśmiechem.

– Evie, mówisz jak prawdziwa cyniczka. Ale obiecuję. Myślę jednak, że nie ma powodów do obaw. Nie wierzę, że lord St. Vincent jest na tyle głupi, by odważyć się na zrażenie do siebie kogoś tak potężnego, jak hrabia. – Pragnąc zmienić temat, zwróciła się do Annabelle: – Ja podzieliłam się swoimi nowinami, więc teraz czas na ciebie. Co się stało?

Z roześmianymi oczami i słońcem w jasnych, satynowych włosach Annabelle wyglądała jak dwunastolatka. Rozejrzała się, by zyskać pewność, że nikt jej nie usłyszy, i szepnęła:

– Jestem niemal pewna, że spodziewam się dziecka. Od niedawna miewam objawy... mdłości i senność... a poza tym to drugi miesiąc bez moich miesięcznych przypadłości.

Wszystkie pisnęły z radości, a Daisy ukradkiem wyciągnęła dłoń, by ucisnąć rękę przyjaciółki.

– Moja droga, to wspaniałe wieści! Czy pan Hunt już wie?

Uśmiech Annabelle nieco zbladł.

– Jeszcze nie. Chcę być całkowicie pewna, zanim mu powiem. A poza tym pragnę zachować to przed nim w tajemnicy, dopóki się da.

– Dlaczego? – zapytała Lillian.

– Ponieważ gdy tylko się dowie, stanie się tak nadopiekuńczy, że już nigdzie nie pójde sama.

Znając Simona Hunta i wiedząc o jego namiętym zainteresowaniu wszystkim, co wiązało się z Annabelle, paprotki w milczeniu pokiwały głowami. Gdy Hunt dowie się o dziecku, zawiśnie nad ciężarną żoną niczym jastrząb.

- Cóż za triumf – zawołała szeptem Daisy. – Paprotka w zeszłym roku, a w tym roku matka. Wszystko cudownie się dla ciebie ułożyło, moja droga.
- A Lillian jest następna – dodała Annabelle z uśmiechem.
- Na te słowa Lillian odczuła przypływ radości i niepokoju.
- Co się stało? – zapytała Daisy cicho, gdy Evie i Annabelle pograżyły się w rozmowie o dziecku. – Masz zmartwioną minę. To wątpliwości? Podejrzewam, że są naturalne w takiej sytuacji.
- Jeśli za niego wyjdę, bez wątpienia będziemy walczyć jak pies z kotem – odparła Lillian z napięciem.
- Daisy uśmiechnęła się do niej.
- A może za bardzo koncentrujesz się na różnicach pomiędzy wami? Moim zdaniem jesteście do siebie bardziej podobni, niż ci się wydaje.
- Pod jakimi względami mielibyśmy być do siebie podobni?
- Zastanów się nad tym – doradziła jej młodsza siostra z uśmiechem. – Jestem pewna, że coś wymyślisz.

Wezwawszy matkę oraz siostrę do saloniku Marsdenów, Marcus stanął przed nimi, zakładając dłonie za plecy. Znalazł się w obcej dla siebie sytuacji, kiedy to zaufał własnemu sercu, miast zdawać się na dyktat rozumu. Nie tak postępowali Marsdenowie. Jego rodzina znana była z korowodu chłodnych i praktycznych przodków, z czego wyłamały się dotąd tylko Aline i Livia. Marcus z kolei podążył typową dla Marsdenów ścieżką, dopóki w jego życie nie wkroczyła z subtelnością huraganu Lillian Bowman.

Zobowiązanie poczynione wobec tej upartej młodej kobiety napełniało go spokojem, którego nigdy dotąd nie zaznał. Rozbawiony grymas pobudził mięśnie jego twarzy, gdy zastanawiał się, jak powiedzieć matce, że w końcu będzie miała synową. I że zostanie nią ostatnia dziewczyna, jaką hrabina wybrałaby na to stanowisko.

Livia usiadła w fotelu obok, podczas gdy hrabina jak zwykle zajęła sofę. Marcusowi od razu rzuciła się w oczy różnica w ich spojrzeniach – siostra patrzyła na niego ciepło i z wyczekiwaniem, matka natomiast obojętnie i nieufnie.

– Skoro już zakłóciłeś mój popołudniowy odpoczynek – oświadczyła hrabina kąśliwie – błagam cię, byś powiedział, co masz do powiedzenia, milordzie. Jakie masz dla nas nowiny? Jaka kwestia okazała się na tyle ważna, bym musiała się tu stawić o tak niedogodnej porze? Zapewne chodzi o jakąś błahą wiadomość na temat bezprawnie spółzonego bachora twojej siostry. No mówże wreszcie!

Marcus zacisnął zęby. Wszelkie inklinacje, by przekazać nowiny łagodnie, ustąpiły pod naporem nieżyczliwej uwagi o jego siostrzeńcu. Nagle odczuł wielką satysfakcję na myśl, że poinformuje matkę, iż każde z jej wnucząt, włączając w to przyszłego dziedzica tytułu, będzie w połowie Amerykaninem.

– Jestem przekonany, że ucieszysz się, gdy usłyszysz, iż postanowiłem pójść za twoją radą i w końcu wybrałem sobie żonę – oświadczył płynnie. – Nie oświadczyłem się jeszcze oficjalnie, lecz mam powód, by wierzyć, że gdy to zrobię, zostanę przyjęty.

Hrabina zamrugnęła, zaskoczona.

Livia spojrzała na brata z zagadkowym uśmiechem. W jej oczach rozbłysnął szelmowski ogień, który powiedział Marcusowi, że odgadła tożsamość nienazwanej jeszcze panny młodej.

– To cudownie – powiedziała. – Czyżbyś w końcu znalazł kogoś, kto będzie cię tolerował, Marcusie?

Uśmiechnął się do niej.

– Na to wygląda. Choć podejrzewam, że w moim interesie leży, by przyspieszyć przygotowania do ślubu, zanim panna odzyska rozum i ucieknie.

– Bzdura – mruknęła hrabina ostro. – Żadna kobieta nie uciekłaby na wieść, że ma poślubić hrabiego Westcliffa. Posiadasz najstarszy tytuł w Anglii. W dniu, w którym weźmiesz ślub, obdarzysz swoją

małżonkę większymi godnościami niż te, które są udziałem każdej niekoronowanej głowy na ziemi. A teraz powiedz mi, na kogo się zdecydowałaś.

– Na pannę Lillian Bowman.

Hrabina prychnęła z odrazą.

– Dość już tych głupich żartów, Westcliff. Podaj mi nazwisko dziewczyny.

Livia niemal podskoczyła z radości. Rozpromieniła się, pochyliła ku matce, po czym powiedziała scenicznym szeptem:

– Myślę, że on mówi poważnie, mamó. To naprawdę jest panna Bowman.

– To niemożliwe! – Hrabina zrobiła przerażoną minę. Niemal widać było naczynka pękające na jej policzkach. – Żądam, byś zrezygnował z tego szaleństwa, Westcliff, i odzyskał rozum. Nie pozwolę, by ta okropna dziewczucha została moją synową!

– Ależ pozwolisz – oświadczył Marcus nieustępliwie.

– Mogłeś wybrać każdą dziewczynę tutaj lub na kontynencie... dziewczynę o dopuszczalnym rodowodzie i wychowaniu.

– Pragnę panny Bowman.

– Ona nigdy nie zdoła wpasować się w formę żony Marsdena.

– W takim razie będzie trzeba rozbić formę.

Hrabina wybuchnęła ostrym śmiechem, który zabrzmiał tak paskudnie, że Livia zacisnęła palce na podłokietnikach fotela, aby nie zakryć sobie dłońmi uszu.

– Co za szaleństwo cię opętało? Dziewczyna Bowmanów to kundel! Jak możesz myśleć o obciążeniu swych dzieci matką, która podważy nasze tradycje, wydrwi nasze zwyczaje i będzie kpić z podstawowych zasad wychowania? Jak przysłuży ci się taka żona? Dobry Boże, Westcliff! – Urwała i zaczęła oddychać z wysiłkiem. Przeniosła spojrzenie z Marcusa na Livię i dosłownie eksplodowała: – Jakie jest źródło piekielnej fascynacji Amerykanami w tej rodzinie?

– Interesujące pytanie, mamó – odparła Livia z rozbawieniem. – Z jakiegoś powodu nikt z twego potomstwa nie może znieść choćby myśli o poślubieniu kogoś ze swojej klasy. Jak myślisz, dlaczego, Marcusie?

– Podejrzewam, że odpowiedź nie pochlebiłaby żadnemu z nas – padła sardoniczna riposta.

– Cięży na tobie obowiązek poślubienia dziewczyny dobrej krwi! – krzyknęła hrabina, wykrzywając gniewnie twarz. – Jedyne powody twojej egzystencji to przedłużenie rodu oraz przekazanie tytułu i majątku swoim dziedzicom. Na razie stanowisz pod tym względem potworne rozczarowanie.

– Rozczarowanie? – wtrąciła Livia. Jej oczy zapłonęły. – Marcus czterokrotnie pomnożył rodzinny majątek po śmierci ojca, nie mówiąc już o tym, że polepszył życie każdego służącego i każdego dzierżawcy w posiadłości. Patronuje humanitarnym ustawom w parlamencie i stworzył miejsca pracy dla ponad setki ludzi w swojej fabryce lokomotyw. Co więcej, okazał się najlepszym bratem, jakiego tylko...

– Livio – mruknął Marcus – nie musisz mnie bronić.

– Owszem, muszę! Po wszystkim, co uczyniłeś dla innych, dlaczego miałbyś nie poślubić wybranej przez siebie dziewczyny... pełnej werwy i absolutnie uroczej dziewczyny, pragnę dodać... nie musząc przy tym wysłuchiwać nedorzecznych przemówień matki na temat naszego rodu?

Hrabina utkwiała w swym najmłodszym dziecku bezwzględne spojrzenie.

– W zasadzie nie powinnaś partycypować w rozmowach o naszym rodzie, dziecko, jako że jakby nie jesteś jego częścią. A może powinnam przypomnieć ci, iż jesteś owocem przelotnej znajomości z lokajem? Zmarły hrabia nie miał wyboru, musiał cię uznać, by nie przypięto mu łątki rogowca, niemniej...

– Livio – przerwał Marcus gniewnie matce, wyciągając dłoń do siostry, która zbladła jak ściana.

Wieści te nie były dla niej niespodzianką, lecz hrabina nigdy jeszcze nie ośmieliła się otwarcie o tym mówić. Livia wstała i podeszła do brata. Oczy płonęły na tle jej bladej twarzy. Marcus otoczył ją opiekuńczo ramieniem, przytulił i szepnął do ucha: – Będzie lepiej, jeśli nas zostawisz. Będę musiał powiedzieć pewne rzeczy... i nie chcę, byś utknęła w krzyżowym ogniu.

– Nic się nie stało. – W jej głosie słychać było tylko lekkie drżenie. – Nie przeszkadzają mi jej słowa. Już dawno temu utraciła zdolność ranienia mnie.

– Mnie to przeszkadza w twoim imieniu – odparł łagodnie. – Znajdź swojego męża, Livio, i pozwól mu się pocieszyć, a mnie zostaw z hrabiną.

Livia uniosła ku niemu o wiele spokojniejszą twarz.

– Poszukam go – powiedziała – mimo iż nie potrzebuję pociechy.

– Grzeczna dziewczynka. – Ucałował czubek jej głowy.

Zaskoczona tym przejawem uczuć, Livia zachichotała cicho, po czym odsunęła się.

– O czym tak szepczecie? – zapytała cierpko hrabina.

Marcus zignorował ją, odprowadził siostrę do drzwi, po czym cicho je za nią zamknął. Gdy na powrót zwrócił się do hrabiny, na jego twarzy malował się ponury wyraz.

– Okoliczności narodzin Livii nie świadczą o jej charakterze, lecz o twoim. Nie obchodzi mnie, że zabawiasz się z lokajami ani że rodzisz im dzieci... Obchodzi mnie natomiast, że zawstydzasz tym Livię. Żyła w cieniu twojego postępu przez wiele lat i drogo zapłaciła za twoje dawne słabości.

– Nie zamierzam przeproszać za moje potrzeby – syknęła hrabina. – Twój ojciec nie okazywał mi uczuć, szukałam ich więc tam, gdzie mogłam.

– A Livii pozwalasz żyć z piętnem winy. – Westcliff wykrzywił gniewnie wargi. – Pamiętam, jak była maltretowana i pogardzana jako dziecko. Wtedy nie mogłem zrobić nic, by ją obronić. Teraz natomiast mogę. Nigdy więcej nie powiesz przy niej słowa na ten temat. Nigdy. Rozumiesz mnie?

Mówił cicho, lecz matka musiała wyczuć, że targa nim wściekła furia, ponieważ nie zaprotestowała ani słowem. Przełknęła tylko ślinę i pokiwała głową.

Upłynęła cała minuta, zanim oboje zdołali zapanować nad emocjami. Hrabina przypuściła atak jako pierwsza.

– Westcliff – powiedziała opanowanym głosem – czy przyszło ci do głowy, że twój ojciec gardziłby dziewczyną Bowmanów i wszystkim, co ona sobą reprezentuje?

Marcus zmierzył ją obojętnym spojrzeniem.

– Nie – odparł w końcu – nie przyszło mi to do głowy. – Jego zmarły ojciec nie nawiedzał jego myśli od tak wielu lat, że nie zastanawiał się nad tym, jakie wrażenie wywarłaby na nim Lillian Bowman. Zdumiał go natomiast fakt, że matka uznała, iż może mieć to dla niego jakieś znaczenie.

Założywszy, że dała mu powód do namysłu, hrabina zaczęła naciskać z coraz większą determinacją:

– Zawsze pragnąłeś go zadowolić. I często ci się udawało, choć twój ojciec rzadko to przyznawał. Może mi nie uwierzysz, lecz zawsze kierował się tym, co dla ciebie najlepsze. Pragnął ukształtować z ciebie człowieka wartego tytułu, potężnego mężczyznę, który nigdy nie pozwoli się wykorzystać. Mężczyznę takiego jak on. I w dużej mierze mu się udało.

Jej słowa miały pochlebiać Marcusowi. Odniosły jednak przeciwny rezultat – uderzyły go niczym cios toporem w pierś.

– Nie udało mu się – wyjąkał ochryple.

– Wiesz, jaką kobietę widział u twego boku w roli matki swoich wnuków – oświadczyła hrabina. – Dziewczyna Bowmanów nie jest ciebie warta, Westcliff, nie jest warta twojego nazwiska ani twojej krwi. Wyobraź sobie, że mieliby się spotkać... ona i twój ojciec. Wiesz, że by ją znienawidził. – Marcus wyobraził sobie konfrontację pomiędzy Lillian a swoim okropnym ojcem, który we wszystkich

napotkanych ludziach budził zachwyt i przerażenie. Bez wątpienia Lillian odnosiłaby się do hrabiego z typową dla siebie nonszalancją. Nie przstraszyłaby się go nawet przez chwilę. W przedłużającej się ciszy hrabina dodała łagodniejszym tonem: – Oczywiście dziewczyna ma swój urok. Doskonale rozumiem, jaki pociąg mogą budzić w nas niższe klasy... które czasami przemawiają do naszego pragnienia zasmakowania egzotyki. Nie jest też niespodzianką fakt, że ty, tak jak wszyscy mężczyźni, pragniesz odmiany w swoich podbojach. Jeśli jej pragniesz, możesz ją przecież mieć. Rozwiązanie jest oczywiste: jak już oboje poślubicie innych ludzi, możecie nawiązać romans i kontynuować go, dopóki się nią nie znudzisz. Nasz rodzaj zawsze znajduje miłość poza małżeństwem... Tak jest lepiej, przekonasz się.

W pokoju zapadła ogłuszająca cisza, gdy w umyśle Marcusa przewijały się zżerające duszę wspomnienia i gorzkie echa dawno umilkłych głosów. Choć gardził rolą męczennika i nigdy nie postrzegał siebie w tym świetle, nie mógł nie zauważyć, że przez większość jego życia jego potrzeby były ignorowane, a tylko dokładano mu obowiązków. Teraz w końcu znalazł kobietę, która oferowała mu całe ciepło i radość, jakich przez lata był pozbawiony i... do diabła, miał prawo wymagać w tej kwestii wsparcia od rodziny i przyjaciół, niezależnie od tego, jakie obiekcje żywili oni w duchu. Jego myśli zawędrowały na mroczniejsze terytorium, gdy przypomniał sobie najwcześniejsze lata swojego życia, kiedy to jego ojciec odsyłał każdego, kto cokolwiek znaczył dla Marcusa. Aby wyplenić z niego słabość. Nauczyć go, by na nikim oprócz siebie nie polegał. Izolacja rządziła całym jego życiem aż do teraz. Dość tego.

Sugestia matki, by nawiązał z Lillian romans, gdy już oboje poślubią innych ludzi, obrażała go dogłębnie. Byłaby to perwersyjna imitacja uczciwego związku, na jaki oboje zasługiwali.

– Posłuchaj mnie uważnie – oświadczył, gdy w końcu odzyskał głos. – Zanim zaczęła się ta rozmowa, byłem absolutnie przekonany, że uczynię z Lillian Bowman swoją żonę. Gdyby można jeszcze bardziej wzmocnić moją determinację, twoje słowa właśnie taki odniosłyby skutek. Nie wątp we mnie, gdy mówię, że to jedyna kobieta na ziemi, z którą ślub biorę pod uwagę. Jej dzieci będą moimi dziedzicami albo ród Marsdenów zakończy się na mnie. Od teraz moją jedyną troską jest jej szczęście. Jakikolwiek słowo, gest lub czyn, które mu zagrożą, spotkają się z najsurowszymi konsekwencjami. Nigdy w żaden sposób nie okażesz jej, że nie jesteś zadowolona z naszego małżeństwa. Pierwsze słowo tego rodzaju, jakie usłyszę, poskutkuje dla ciebie wygnaniem z posiadłości. A nawet z Anglii. Na stałe.

- Nie mówisz poważnie. Wpadłeś w złość. Później, gdy się uspokoisz, wrócimy...
- To nie złość. Mówię śmiertelnie poważnie.
- Oszalałeś!
- Nie, milady. Po raz pierwszy w życiu mam szansę na szczęście. I nie zamierzam jej utracić.
- Ty głupcze – szepnęła hrabina, trzęsąc się z furii.
- Cokolwiek z tego wyniknie, poślubienie Lillian będzie najmniej głupią rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem – odparł Marcus, po czym ukłonił się lekko i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 21

Annabelle jednak wymówiła się od drugiego śniadania.

– Znów nie czuję się dobrze – mruknęła przepraszająco. – Wrócę na jakiś czas do siebie. Na szczęście pan Hunt udał się na konną przejażdżkę i nie dowie się, że ucięłam sobie drzemkę.

– Odprowadzę cię do p-pokoju – zaproponowała zatroskana Evie.

– Och, Evie, kochana, nie trzeba...

– Będzie to dla mnie doskonała wymówka, by unikać ciotki Florence, która p-prawdopodobnie już mnie szuka.

– Cóż, w takim razie dziękuję. – Walcząc z falą mdłości, Annabelle oparła się z wdzięcznością na ramieniu Evie.

Lillian i Daisy wstały, by pójść za nimi.

– Nie sędzę, by udało jej się długo dochować tajemnicy przed panem Huntem, a ty? – szepnęła Daisy.

– Nie na tym etapie – odszepnęła Lillian. – On już na pewno coś podejrzewa. Annabelle jest przecież zazwyczaj zdrowa jak koń.

– Być może. Słyszałam jednak, że mężczyźni bywają obojętni na takie kwestie...

Gdy wyszły z pokoju śniadaniowego, w holu natknęły się na lady Oliwię. Na jej ślicznej twarzy malowało się zdenerwowanie. Dziwnie wyglądała, marszcząc brwi, ponieważ zazwyczaj była wyjątkowo wesołą kobietą. Lillian zaczęła się zastanawiać, co takiego spowodowało jej zły nastrój.

Lady Olivia podniosła wzrok, a gdy zauważyła siostry, jej twarz pojaśniała. Na jej wargi wypłynął ciepły uśmiech.

– Dzień dobry.

Choć była zaledwie dwa lub trzy lata starsza od Lillian, wydawała się nieskończenie bardziej światowa. Miała oczy kobiety, która w przeszłości zaznała wielu smutków. To te nieznanne nikomu przeżycia, wykraczające znacznie poza doświadczenie Lillian, sprawiały, że panna Bowman zawsze czuła się nieco niezręcznie w towarzystwie lady Olivii, choć siostra hrabiego była uroczą rozmówczynią, która w lot wyczuwała, jakich pytań nie powinna zadawać i jakie tematy stanowią tabu.

– Właśnie szłam do oranżerii – oświadczyła teraz.

– Nie będziemy pani zatrzymywać – odparła Lillian, zafascynowana nikłym podobieństwem kobiety do Westcliffa... Nic konkretnego, lecz pewien wyraz oczu i uśmiech...

– Proszę mi towarzyszyć – zaczęła ją namawiać lady Olivia. Nagle, jakby pod wpływem impulsu, sięgnęła po dłoń Lillian i otoczyła jej długie palce swoimi drobnymi. – Właśnie odbyłam niezwykle ciekawą rozmowę z hrabią. Chciałabym omówić ją z panią.

O, dobry Boże. Powiedział swojej siostrze... I zapewne również matce. Lillian posłała Daisy spojrzenie pełne zawoalowanej paniki, jednak siostra oświadczyła tylko wesoło:

– Ja idę do biblioteki po powieść. Ta, którą czytam teraz, okazała się rozczarowaniem i chyba jej nie skończę.

– Proszę udać się do ostatniego rzędu po prawej, dwie półki nad podłogą – poradziła jej lady Olivia. – I zajrzeć za książki na przodzie. Ukryłam tam moje ulubione powieści... skandaliczne historie, których

nie powinny czytać niewinne dziewczęta. Niezmiernie panią zepsują.

Oczy Daisy pojaśniały.

– Och, dziękuję! – zawołała i pobiegła korytarzem, nie oglądając się za siebie.

– Chodźmy – powiedziała lady Olivia, prowadząc Lillian przez pokój śniadaniowy. – Jeśli mamy zostać siostrami, na pewno są rzeczy, które chciałaby pani wiedzieć. Jestem nieocenionym źródłem informacji, a dziś mam wyjątkowo gadatliwy nastrój.

Rozbawiona Lillian poszła z nią do oranżerii, która rozciągała się za pokojem śniadaniowym. W środku było ciepło i aromatycznie, przez szyby sączyło się południowe słońce, a z kratki wentylacyjnych w podłodze unosiło się ciepłe powietrze.

– Nie jest jeszcze pewne, czy zostaniemy siostrami – zauważyła Lillian, siadając na trzcinowej ławce z wygiętym oparciem. – Jeśli hrabia zasugerował, że coś zostało uzgodnione...

– Nie, tak daleko się nie posunął. Niemniej wyraził bardzo poważne intencje wobec pani. – Orzechowozielone oczy lady Olivii błyszczały wesoło, choć patrzyły czujnie. – Bez wątpienia powinnam wykazać się opanowaniem i taktem, lecz po prostu nie mogę dłużej czekać i muszę zapytać... Czy pani go przyjmie?

Lillian, której nigdy nie brakowało słów, nagle zaczęła się jąkać jak Evie.

– J-ja...

– Proszę mi wybaczyć. – Lady Olivia zlitowała się nad nią. – Wszyscy, którzy mnie znają, zaświadczą, że uwielbiam mieszać się w sprawy innych ludzi. Mam nadzieję, że pani nie uraziłam.

– Nie.

– To dobrze. Nie dogaduję się z ludźmi, których łatwo urazić.

– To tak jak ja – wyznała Lillian, relaksując się nieco. Uśmiechnęły się do siebie. – Milady, sytuacja jest, jaka jest... Może nie zna pani szczegółów, chyba że hrabia...

– Nie – zapewniła ją lady Olivia łagodnie. – Mój brat jak zwykle szczegóły zachował dla siebie. Jest irytująco skrytym mężczyzną, który uwielbia dręczyć ciekawskich ludzi, takich jak ja. Proszę mówić dalej.

– Prawda jest taka, że pragnę go przyjąć – oświadczyła Lillian szczerze – lecz mam kilka obaw.

– To oczywiste – odparła lady Olivia bez wahania. – Marcus jest przytłaczający. Wszystko robi idealnie i pilnuje, by każdy o tym wiedział. Nie można podjąć najprostszych kroków, takich jak mycie zębów, bez pytania go o radę w kwestii tego, czy powinno się zacząć od trzonowców czy może jednak od siekaczy.

– Właśnie.

– Szalenie męczący mężczyzna, który wszystko traktuje w kategorii absolutu. Dobre, złe, czarne, białe. Jest zadufany w sobie i apodyktyczny, nie wspominając o tym, że nie potrafi przyznać się do błędu.

Lady Olivia postanowiła najwyraźniej, że wyliczy wszystkie wady Marcusa, a Lillian nagle doświadczyła pragnienia, by go bronić. Bądź co bądź, ten surowy portret nie był do końca sprawiedliwy.

– To wszystko prawda – zgodziła się – lecz należy przyznać lordowi Westcliffowi punkty za szczerść. Zawsze dotrzymuje słowa. Nawet gdy jest apodyktyczny, stara się robić to, co jego zdaniem najlepsze dla innych.

– No może... – mruknęła lady Olivia z powątpiewaniem, co zachęciło Lillian do rozwinięcia tematu.

– Co więcej, kobieta, która poślubi lorda Westcliffa, nigdy nie będzie musiała martwić się jego niewiernością. Na pewno dochowa jej wiary. Sprawdzi, że poczuje się ona bezpiecznie ze świadomością, że hrabia się nią opiekuje i nigdy nie straci głowy w kryzysowej sytuacji.

– Ale jest taki sztywny – wtrąciła lady Olivia.

– Nie do końca...

– I zimny. – Z żalem pokręciła głową.

– O, nie! – zaprotestowała żywo Lillian. – To nieprawda. To najbardziej... – Nagle urwała i oblała się szkarłatnym rumieńcem, gdy zauważyła na twarzy lady Olivii uśmiech satysfakcji. Dała się podejść.

– Panno Bowman, mówi pani jak kobieta zakochana. I mam gorącą nadzieję, że się nie mylę, ponieważ wiele lat zajęło Marcusowi znalezienie pani... Pękłoby mi serce, gdyby jego miłość nie została odwzajemniona.

Lillian wzdrygnęła się, czując gwałtowne uderzenie serca.

– On mnie nie kocha – szepnęła łamiącym się głosem. – To znaczy, nic takiego mi nie powiedział...

– To akurat mnie nie dziwi. Mój brat ma tendencję do wyrażania swoich uczuć poprzez czyny, nie słowa. Musi pani okazać mu cierpliwość.

– Na to wygląda – odparła Lillian ponuro.

Jej towarzyszka wybuchnęła śmiechem.

– Nigdy nie poznałam go tak dobrze, jak moja starsza siostra Aline. Są sobie bliżsi wiekiem i to ona była jego główną powierniczką, zanim wyjechała z mężem do Ameryki. To Aline tłumaczyła mi postępowanie Marcusa, ilekroć miałam ochotę go zamordować. – Lillian znieruchomiała, słuchając z uwagą niskiego, słodko łagodnego głosu. Aż do tej chwili nie uświadamiała sobie, jak bardzo pragnie zrozumieć Marcusa. Nigdy wcześniej nie myślała o tym, dlaczego kochankowie z taką determinacją kolekcjonują pamiątki: listy, pukle włosów, zgubioną rękawiczkę, pierścione. Teraz jednak dowiedziała się, co oznacza obsesja na czyimś punkcie. Przepęłniało ją kompulsywne pragnienie, by poznać wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły z życia człowieka, który wydawał się tak bezpośredni, a którego w zasadzie nie znała. Lady Olivia oparła ramię na krawędzi sofy i utkwiała pełne namysłu spojrzenie w kratownicy, po której pięły się rośliny. – Są takie fakty z przeszłości, o których Marcus nigdy nikomu nie opowie, ponieważ uważa, że narzekanie jest niemęskie, i wolałby umrzeć w męczarniach, niż stać się obiektem współczucia. Jeśli kiedykolwiek się dowie, że coś pani powiedziałam, zażąda mojej głowy.

– Potrafię dochować tajemnicy – zapewniła Lillian.

Lady Olivia uśmiechnęła się do niej lekko, po czym utkwiała wzrok w czubku pantofla, który wystawał spod falbany na brzegu sukni.

– W takim razie doskonale będzie pani pasowała do Marsdenów. Jesteśmy bardzo skrytą gromadką. Żadne z nas nie lubi rozmyślać o przeszłości. Marcus, Aline i ja cierpieliśmy na różne sposoby na skutek postępowania naszych rodziców, którzy moim zdaniem w ogóle nie powinni mieć dzieci. Mojej matki nigdy nie interesował nikt poza nią samą ani nic ponad to, co mogłoby mieć na nią bezpośredni wpływ. Mój ojciec w ogóle nie dbał o swoje córki.

– Przykro mi – powiedziała Lillian szczerze.

– Nie, jego obojętność była dla nas błogosławieństwem. O wiele gorzej wyszedł na tym Marcus, który padł ofiarą szalonych pomysłów ojca na temat tego, jak wychowywać dziedzica Marsdenów. – Choć lady Olivia mówiła cicho i spokojnie, Lillian przeszedł dreszcz. Potarła rękami skórę na ramionach, aby ukoić mrowienie. – Mój ojciec w swoim jedynym synu akceptował tylko doskonałość. Wyzaczył Marcusowi niedorzecznie wysokie standardy w każdym aspekcie jego życia i karał go straszliwie, jeśli ten im nie dorównywał. Marcus nauczył się znosić kary cielesne bez ani jednej łzy i bez cienia buntu, bo gdy je przejawiał, kara się podwajała. Ojciec był bezlitosny w obliczu słabości. Kiedyś zapytałam Aline, dlaczego Marcus nie lubi psów... Opowiedziała mi, że gdy był dzieckiem, bał się pary wilczarzy, które ojciec trzymał w domu. Psy wyczuwały lęk Marcusa i przejawiały wobec niego agresję. Szczekały i warczały, gdy tylko go widziały. Kiedy ojciec odkrył, jak bardzo Marcus się ich boi, zamknął go z nimi w pokoju, zmuszając go do konfrontacji z największym strachem. Nie wyobrażam sobie, jak czuł się

pięcioletni chłopiec zamknięty w pokoju z tymi bestiami przez wiele godzin. – Uśmiechnęła się gorzko. – Ojciec nadał dosłowne znaczenie powiedzeniu: rzucić kogoś psom na pożarcie. W chwili, kiedy powinien chronić swego syna, sam urządził mu piekło. – Lillian wpatrywała się w nią bez mrugnięcia. Próbowwała coś powiedzieć, zapytać o coś, lecz uniemożliwił jej to ucisk w gardle. Marcus był tak nieskończenie pewny siebie i swojej wartości, że nie potrafiła wyobrazić go sobie jako przerażonego dziecka. Niemniej jego rezerwa musiała wypływać między innymi z tej bolesnej lekcji w bardzo młodym wieku. Wtedy przekonał się, że nikt mu nie pomoże, nikt nie osłoni go przed lękami. Co ciekawe, choć teraz był już dojrzałym mężczyzną, ona pragnęła pocieszyć małego chłopca z przeszłości. – Mój ojciec pragnął, by jego dziedzic stał się niezależny i bezlitosny – kontynuowała lady Olivia – aby nikt nie mógł go wykorzystać. Dlatego też ilekroć zauważył, że Marcus obdarzył kogoś uczuciem, na przykład ulubioną nianię, niezwłocznie odsyłał taką osobę. Mój brat nauczył się, że okazywanie uczuć owocuje tym, iż zostaje sam. Oddalił się więc od wszystkich, których kochał, a których nie chciał utracić, wliczając w to Aline oraz mnie. O ile rozumiem, jego życie nieco się poprawiło, gdy odesłano go do szkół, ponieważ przyjaciele stali się dla niego zastępczą rodziną.

To dlatego Marcus nie zerwał przyjaźni z St. Vincentem, pomyślała Lillian.

– Czy pani matka nigdy nie wstawiała się za swoimi dziećmi? – zapytała.

– Nie, była zbyt zajęta własnymi sprawami.

Obie zamilkły na pewien czas. Lady Olivia czekała cierpliwie, aż Lillian przemówi, jakby rozumiała, że dziewczyna musi przyswoić wszystko, co usłyszała.

– Cóż to musiała być dla wszystkich za ulga, gdy stary hrabia zmarł – odezwała się w końcu Lillian.

– Tak. Smutny testament ludzkiego życia, jeśli świat stał się lepszy dzięki jego brakowi.

– Nie udało mu się jednak uczynić z pani brata człowieka zimnego i pozbawionego uczuć.

– To prawda – zgodziła się lady Olivia. – Cieszę się, że to dostrzegasz, moja droga. Marcus zaszedł daleko, a mimo to wciąż bardzo potrzebuje... lekkości.

Zamiast zaspokoić ciekawość Lillian, rozmowa ta sprowokowała tylko więcej pytań o Marcusa. Znajomość z lady Oliwią była jednak jeszcze zbyt świeża i niesprawdzona, by wyczuła, jak daleko może się posunąć, zanim zostanie łagodnie zniechęcona.

– Według pani wiedzy, milady... – odważyła się w końcu – czy lord Westcliff rozważał kiedykolwiek na poważnie ślub z inną kobietą? Wiem, że żywił uczucia wobec pewnej damy...

– Ach, to... to nie było nic ważnego, naprawdę. Marcus szybko by się nią znudził, gdyby lord St. Vincent mu jej nie ukradł. Proszę mi wierzyć, gdyby Marcus zechciał o nią walczyć, byłaby jego. Nigdy nie rozumiał tego, co reszta z nas wyraźnie widziała. Z jej strony była to intryga, by wzbudzić jego zazdrość i zmusić do małżeństwa. Jej plan się nie powiódł, ponieważ Marcus nie był nią zainteresowany. Była jedną z wielu kobiet, które... cóż, zapewne domyśla się pani, że Marcusowi nigdy nie brakowało kobiecej uwagi. Jest przez to nieco rozpieszczony, kobiety wpadały mu w ramiona, odkąd wyrósł z pacholeństwa. – Lady Olivia spojrzała na Lillian roześmianymi oczami. – Jestem przekonana, że odnalazł miłą odmianę w kobiecie, która ośmiela się z nim nie zgadzać.

– Nie jestem pewna, czy użyłby w tym kontekście słowa „miła” – odparła kpiąco Lillian. – Gdy jednak nie podoba mi się, co robi, nie waham się mu o tym powiedzieć.

– I dobrze. Właśnie tego trzeba mojemu bratu. Niewiele jest kobiet... ani mężczyzn w zasadzie... którzy odważyli się mu przeciwstawić. To silny mężczyzna, który powinien mieć równie silną żonę, aby potrafiła zrównoważyć jego naturę.

Lillian zaczęła bez potrzeby wygładzać spódnicę bładozielonej sukni.

– Jeśli pobierzemy się z lordem Westcliffem... – napomknęła z wahaniem – spotka się to z wieloma obiekcjami ze strony jego krewnych i przyjaciół, prawda? Mam na myśli zwłaszcza hrabinę.

– Jego przyjaciele nigdy by się nie odważyli – odparła lady Olivia od razu. – A co do mojej matki... – Zawahała się, po czym dodała szczerze: – Już dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie pochwała tego wyboru. Wątpię, czy się do pani kiedykolwiek przekona. Co oznacza, że znalazła się pani w bardzo szerokim gronie osób, ponieważ moja matka nie lubi praktycznie nikogo. Czy jej sprzeciw wobec tego małżeństwa panią niepokoi?

– Kusi mnie ponad wszelkie wyobrażenie – wyznała Lillian.

Lady Olivia wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Och, lubię panią – sapnęła. – Musi pani poślubić Marcusa, ponieważ szalenie chciałabym mieć panią za bratową. – Spoważniała i spojrzała na Lillian z ciepłym uśmiechem. – To wyraz mojego egoizmu, że pragnę, by go pani przyjęła. Choć nie mamy z panem Shawem zamiaru przeprowadzać się do Nowego Jorku w najbliższym czasie, wiem, że ten dzień kiedyś nadejdzie. A kiedy to się stanie, odetchnę z ulgą, wiedząc, że Marcus ma żonę, która się nim zaopiekuje, gdy obie jego siostry zamieszkają na drugim końcu świata. – Wstała z ławki i strzepnęła spódnicę. – Powiedziałam pani to wszystko, ponieważ pragnę, by zrozumiała pani, jakie to trudne dla Marcusa poddać się miłości. Trudne, lecz nie niemożliwe. Moja siostra i ja zdołałyśmy w końcu uwolnić się od przeszłości z pomocą naszych mężów. Okowy Marcusa są jednak najcięższe. Wiem, że niełatwo go kochać. Jeśli jednak zgodzi się pani wyjść mu naprzeciw... może nawet nieco dalej niż w połowie drogi... wierzę, że pani nie pożałuje.

W rezydencji roiło się od pracowitych służących, którzy przypominali gromadę pszczoł, wykonując skomplikowane zadanie pakowania dobytku swoich panów i pań. Generalnie towarzystwo opuszczało posiadłość za dwa dni, lecz niektórzy już się żegnali. Ta ostatnia grupa była jednak nieliczna, ponieważ nikt nie chciał rezygnować z wielkiego balu pożegnawego w ostatni wieczór przyjęcia.

Lillian często przebywała w towarzystwie matki, która nadzorowała (a raczej zdręczała) dwie pokojówki odpowiedzialne za złożenie i spakowanie do wielkich skórzanych kufrów setek rzeczy. Zdumiewający obrót wydarzeń z ostatnich dni sprawił, że Lillian oczekiwała, iż matka będzie planowała każde jej słowo i ruch, aby doprowadzić do jej zaręczyn z Westcliffem. Mercedes tymczasem zachowywała się zdumiewająco spokojnie i pobłażliwie, a także starannie dobierała słowa podczas każdej rozmowy ze starszą córką. W dodatku ani razu nie wspomniała o Westcliffie.

– Co się z nią dzieje, Daisy? – zapytała Lillian, zdumiona zachowaniem matki. Nie lubiła sprzeczać się i wojować z Mercedes, lecz jednocześnie oczekiwała, że w takich okolicznościach matka zaatakuje niczym brygada konna.

Daisy wzruszyła ramionami i odpowiedziała filuternie:

– Zakładam, że skoro sprzeciwiałaś się każdemu jej rozkazowi i robiłaś dokładnie odwrotnie, niż chciała, a ostatecznie lord Westcliff niemal ci się oświadczył, matka postanowiła zostawić sprawy w twoich rękach. Podejrzewam, że oślepie i ogłuchnie na wszystko, co robisz, jeśli tylko zdołasz dzięki temu podtrzymać zainteresowanie hrabiego.

– To znaczy... że jeśli tego wieczoru wymknę się do pokoju lorda Westcliffa, nie będzie protestować?

Daisy roześmiała się cicho.

– Zapewne pomogłaby ci się tam zakraść, gdybyś poprosiła. – Zerknęła na Lillian z ukosa. – A co zamierzasz robić z lordem Westcliffem wieczorem w jego pokoju?

Lillian poczuła, że się czerwieni.

– Negocjować.

– Och... Tak się to teraz nazywa?

Lillian przygryzła wargi i zmrużyła oczy.

– Nie bądź złośliwa, bo nie podzielę się z tobą szczegółami.

– Nie musisz się ze mną nimi dzielić – odparła Daisy nonszalancko. – Czytam powieści, które poleciła

mi lady Olivia... i ośmielałam się stwierdzić, że wiem już więcej niż ty i Annabelle razem wzięte.

Lillian musiała się roześmiać.

– Moja droga, nie jestem pewna, czy te powieści wiarygodnie opisują mężczyzn oraz... oraz to.

Daisy zmarszczyła brwi.

– A pod jakim względem mogłyby nie być wiarygodne?

– Cóż, tak naprawdę nie ma żadnej... no wiesz, lawendowej mgiełki i omdlenia ani też kwiecistych przemówień.

Daisy utkwiała w siostrze zdeglustowane spojrzenie.

– Nawet odrobiny omdlenia?

– Na litość boską, przecież nie chcesz mdleć, bo mogłabyś coś przegapić!

– No właśnie. Na początku powinnam być w pełni przytomna, a potem omdleć w obliczu całej reszty.

Lillian spojrzała na siostrę z rozbawieniem.

– Dlaczego?

– Ponieważ to brzmi potwornie niewygodnie. A do tego odrażająco.

– Ale takie nie jest.

– Jakie nie jest? Niewygodne czy odrażające?

– Ani takie, ani takie – odparła Lillian rzeczowym tonem, choć z całej siły powstrzymywała się od śmiechu. – Naprawdę, Daisy. Przecież bym ci powiedziała, gdyby było inaczej. To jest urocze. Zapewniam cię.

Młodsza siostra przez chwilę rozważała jej słowa, po czym zerknęła na nią sceptycznie.

– Skoro tak mówisz.

Uśmiechając się, Lillian pomyślała o czekającym ją wieczorze. Odczuła dreszcz podniecenia, wiedząc, że znajdzie się sam na sam z Westcliffem. Rozmowa z lady Olivią w oranżerii pomogła jej lepiej zrozumieć, jakie zaskakujące jest to, że Marcus zdołał odsłonić się przed nią do tego stopnia.

Może jednak ich przyszłość wcale nie będzie taka burzliwa. Do kłótni trzeba przecież dwojga. Możliwe, że mogłaby nauczyć się odróżniać sprawy, które warte są walki, od tych, które można by ignorować jako nieistotne. A Marcus już udowodnił jej, że jest gotów na kompromis. Na przykład przeprosinami w bibliotece, kiedy mógł zadać cios jej dumie, lecz obrał inną drogę. Nie tak postępował bezkompromisowy mężczyzna.

Gdyby tylko mogła być nieco zręczniejsza, jak choćby Annabelle, miałyby większą szansę, by wpływać na Marcusa. Lillian zawsze była jednak zbyt obcesowa i bezpośrednia, by uciekać się do kobiecych sztuczek. No cóż, pomyślała drwiąco, zaszałam tak daleko bez żadnych wybiegów, że chyba sobie poradzę, jeśli dalej będę parła przed siebie.

Od niechcenia przeglądając rzeczy w narożnej komodzie, odkładała na bok to, co będzie jej potrzebne aż do dnia wyjazdu. Inkrustowana srebrem szczotka do włosów, zestaw szpilek, czyste rękawiczki... Znieruchomiała, gdy jej palce zamknęły się na buteleczce perfum od pana Nettle'a.

– O, Boże... – wymamrotała, siadając na wyściełanym aksamitem krześle na pątkowatych nogach. Utkwiła wzrok w błyszczącym flakoniku. – Daisy... czy powinnam powiedzieć hrabiemu, że wypróbowałam na nim eliksir miłosny?

Siostra zareagowała gwałtownym oburzeniem.

– Ależ skąd! Z jakiego powodu miałabyś mu o tym mówić?

– Przez szczerłość? – zasugerowała Lillian.

– Szczerłość jest przeceniana. Jak ktoś kiedyś powiedział: „Dyskrecja jest podstawą w sprawach serca”.

– Powiedział to diuk Richelieu – odparła Lillian, która czytała tę samą książkę na lekcjach filozofii. –

A prawdziwy cytat brzmi: „Dyskrecja jest podstawą w sprawach państwa”.

– Był przecież Francuzem – zaprotestowała Daisy. – Na pewno miał na myśli również serce.

Lillian roześmiała się i spojrzała na siostrę z uczuciem.

– Być może. Ja jednak nie chcę niczego ukrywać przed lordem Westcliffem.

– Och, jak uważasz. Ale zważ na moje słowa. To nie byłby prawdziwy romans, gdybyście nie mieli kilku małych sekretów.

ROZDZIAŁ 22

O odpowiednio późnej godzinie, gdy część gości udała się już na spoczynek, a inni grali jeszcze w pokojach karcianym i bilardowym, Lillian wymknęła się ze swojej sypialni na spotkanie z Marcusem. Szła na palcach korytarzem, lecz nagle znieruchomiała na widok mężczyzny, który opierał się o ścianę na zbiegu dwóch szerokich przedpokojów. Mężczyzna wyszedł z cienia, a ona od razu rozpoznała w nim pokojowego hrabiego.

– Panienko – powiedział spokojnie – milord prosił, bym pokazał pani drogę.

– Znam drogę. On wie, że znam drogę. Co ty tu, do diabła, robisz?

– Milord nie życzył sobie, by błąkała się pani po domu bez opieki.

– Oczywiście. Ktoś mógłby mnie przecież napaść. Może nawet uwieść.

Najwyraźniej odporny na sarkazm, bo przecież wiadomo było, że Lillian nie idzie do pokoju hrabiego z towarzyską wizytą, pokojowy odwrócił się i ruszył przed siebie.

Zaintrygowana jego rezerwą, Lillian nie zdołała oprzeć się pytaniu:

– Więc... czy często eskortujesz niezamężne damy do prywatnych komnat lorda Westcliffa?

– Nie, panienko – padła niewzruszona odpowiedź.

– Powiedziałbyś mi, gdyby było inaczej?

– Nie, panienko – powtórzył dokładnie takim samym tonem, a ona się uśmiechnęła.

– Czy hrabia jest dobrym pracodawcą?

– Doskonałym, panienko.

– Podejrzewam, że odpowiedziałbyś tak samo, gdyby był potworem.

– Nie, panienko. Wtedy powiedziałbym tylko, że jest przyzwoitym pracodawcą. Gdy mówię, że jest doskonały, mam na myśli dokładnie to.

– Hm. – Jego słowa zachęciły ją do dalszych pytań. – Czy rozmawia ze swoją służbą? Dziękuje za dobrze wykonaną pracę i tak dalej?

– Nie więcej, niż wypada, panienko.

– Czyli nigdy?

– Dokładniej mówiąc, rzadko, panienko.

Jako że pokojowy najwyraźniej stracił chęć do rozmowy, Lillian podążyła za nim w ciszy. Przystanął razem z nią na progu, podrapał drzwi czubkami palców i znieruchomiał, czekając na odpowiedź.

– Dlaczego to robicie? – szepnęła Lillian. – To skrobanie. Dlaczego po prostu nie pukacie?

– Hrabina preferuje skrobanie, ponieważ pukanie działa jej na nerwy.

– A czy hrabia również preferuje skrobanie?

– Wątpię, by zwracał na to uwagę, panienko.

Lillian z namysłem zmarszczyła brwi. W przeszłości słyszała już, że służący skrobią do drzwi swoich pracodawców, i zjawisko to zawsze uderzało ją swoją osobliwością... Jak psy proszące, by wpuścić je do środka.

Drzwi otworzyły się i Lillian zalała fala czystej radości na widok mrocznej twarzy Marcusa. Jego mina była obojętna, za to oczy jaśniały ciepłem.

– To wszystko – powiedział do pokojowego, wpatrując się w twarz Lillian, gdy sięgnął po jej dłoń.

– Tak jest, milordzie.

Pokojowy zniknął z taktowną szybkością. Marcus zamknął za nim drzwi, po czym spojrzał na Lillian, a ogień w jego oczach zapłonął jeszcze jaśniej. W kącikach jego ust błąkał się uśmiech. Wyglądał tak przystojnie z surową twarzą, oblaną blaskiem lampy i paleniska, że przeszedł ją słodki dreszcz. Pozbył się swojego oficjalnego rynsztunku – nie miał na sobie surduta, a jego biała koszula była rozpięta pod szyją, odsłaniając opaloną skórę. Całowała trójkątne wgłębienie u jej podstawy... Muskała językiem...

Ignorując falę namiętych wspomnień, odwróciła wzrok. Natychmiast poczuła jego długie palce na swoim gorącym policzku. Nakłonił ją, by znów na niego spojrzała, i wsunął kciuk pod jej brodę.

– Pragnąłem cię dzisiaj – wyznał miękko.

Jej serce gwałtownie przyspieszyło, a policzek pod jego pieśczołliwymi palcami napiął się w uśmiechu.

– Podczas kolacji nawet na mnie nie spojrzałeś.

– Obawiałem się.

– Czego?

– Wiedziałem, że jeśli to zrobię, nie zdołam powstrzymać się od uczynienia cię swoim następnym daniem.

Opuściła powieki i pozwoliła się mu przytulić. Wodził dłońmi po jej plecach, wzdłuż kręgosłupa. Jej piersi i talia puchły pod ciasną izolacją gorsetu, a ona nagle zapragnęła się go pozbyć. Wzięła na tyle głęboki oddech, na ile pozwalały fiszbiny, i nagle poczuła, że w powietrzu unosi się słodkawy zapach przypraw.

– Co to takiego? – wymruczała, pociągając nosem. – Cynamon i wino... – Obróciła się w ramionach Marcusa i zaczęła rozglądać się po jego sypialni. Na małym stoliku pod oknem, obok łóża z baldachimem, stało srebrne naczynie, z którego unosiła się aromatyczna para. Zdumiona znów spojrzała na hrabiego.

– Sprawdź – zachęcił ją.

Z zaciekawieniem podeszła bliżej. Chwyciła za rączkę pokrywy owiniętą lnianą serwetką i podniosła ją, uwalniając miękką chmurę odurzającego zapachu. Zbita z tropu, przez chwilę wpatrywała się w naczynie, po czym parsknęła śmiechem. Na białej porcelanie leżało pięć idealnych gruszek o lśniącej skórce zabarwionej winem na rubinową czerwień. Oblewał je przejrzysty bursztynowy sos pachnący cynamonem i miodem.

– Nie zdołałem wyjąć dla ciebie gruszki z butelki – rozległ się za nią aksamitny głos – więc uznałem, że to dobra alternatywa.

Sięgnęła po łyżeczkę i wbiła ją w jeden z miękkich jak masło owoców, po czym z rozkoszą uniosła ją do ust. Kęs ciepłego, nasiąkniętego winem miąższu rozpułynał się w jej ustach, a pikantny od korzennych przypraw miód połaskotał jej podniebienie.

– Mmmm... – Zamknęła oczy w ekstazie.

Marcus z rozbawieniem odwrócił ją twarzą do siebie. Jego wzrok padł na kącik jej ust, w którym lśniła kropelka miodowego sosu. Przechylił głowę, pocałował Lillian i zlizął lepłą kroplę. Pieścizota jego ust obudziła w niej nowy rozkoszny dreszcz.

– Wyśmienite – szepnął i ponowił pocałunek bardziej stanowczo, wzniecając w jej krwi snopy rozgrzanych do białości iskier. Ośmieliła się podzielić z nim smakiem wina i cynamonu, z wahaniem eksplorując jego usta językiem. Jego odpowiedź była tak zachęcająca, że zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego. Był rozkoszny, jego usta smakowały czystością i słodyczą, a nacisk jego szczupłego, solidnego ciała budził w niej nieokiełznaną ekscytację. Jej płuca rozprężyły się w drżących,

rozpalonych oddechach. Gdy poczuła na żebrach ucisk gorsetu, przerwała pocałunek, gwałtownie łapiąc powietrze ustami.

– Nie mogę oddychać...

Marcus bez słowa odwrócił ją do siebie plecami, po czym rozpiął jej suknię. Rozsznurował gorset i poluźnił go serią fachowych szarpnięć, aż fiszbiny ustąpiły, a Lillian odetchnęła z ulgą.

– Dlaczego zasznurowałaś się tak ciasno? – zapytał.

– W przeciwnym razie nie zapięłabym sukni. Poza tym według mojej matki Anglicy preferują kobiety o wąskich taliach.

Prychnął śmiechem, odwracając ją z powrotem.

– Anglicy preferują szersze talie, jeśli tylko niweczy to ryzyko omdlenia z braku tlenu. Jesteśmy dość praktyczną nacją. – Zauważywszy, że rękaw rozpiętej sukni zsunął się z jej bladego ramienia, opadł ustami na gładką krzywiznę obojczyka. Jedwabiste muśnięcie jego warg na skórze sprawiło, że zadrżała i przywarła do niego, podczas gdy emocje otuliły ją niczym rozgrzana słońcem woda. Na oślep uniosła ręce i wplotła palce w jego krótkie, jedwabiste loki. Jej serce waliło mocno w piersi, gdy wiała się niespokojnie w jego ramionach, poddając się coraz gorętszym pocałunkom.

– Lillian... – Jego głos stał się ochrypliwy i pełen żalu. – To za wcześnie. Obiecałem ci... – Urwał, by wycisnąć pocałunek w czułym zagłębieniu za jej uchem. – Obiecałem... – kontynuował wytrwale – że będziemy negocjować warunki.

– Warunki? – zapytała słabo, zaciskając dłonie na jego głowie i ciągnąc go ku sobie.

– Tak, ja... – Urwał, by nakryć jej wargi swoimi z przeszywającym naciskiem. Poznawała jego szyję i twarz, czubkami palców muskając silne linie jego kości policzkowych i szczęki oraz napięte ścięgna karku. Zapach jego skóry oszałamiał ją przy każdym oddechu. Zapragnęła wtulić się w niego, aż nie zostanie pomiędzy nimi nawet centymetr przestrzeni. Nagle przestały jej wystarczać siła i trwanie jego pocałunków.

Czując jej narastającą dzikość, Marcus odsunął ją od siebie, ignorując jęk protestu. Jego oddech rwał się gwałtownie, a zebranie rozpierzchłych myśli zaczęło wymagać od niego wielkiego wysiłku.

– Kruszyno... – Dłońmi zataczał delikatne kółka na jej plecach i ramionach, by ją ukoić. – Spokojnie. Spokojnie. Możesz mieć wszystko, czego pragniesz. Nie musisz o to walczyć.

Lillian nerwowo pokiwała głową. Nigdy nie była tak świadoma różnicy w ich doświadczeniach, jak teraz, gdy rozumiała, że on potrafi powściągnąć intensywną namiętność, która ją całkowicie obezwładniała. Przycisnął wargi do jej rozpalonego czoła, a potem przesunął je na łuk jej brwi.

– Lepiej dla ciebie... dla nas... by to trwało dłużej – wymruczał. – Nie chcę cię brać w pośpiechu. – Zaczęła ocierać się o jego twarz i dłonie jak kot domagający się pieśczot. Wsunął rękę za luźny materiał jej sukni na plecach, dotknął skóry tuż nad brzegiem gorsetu i westchnął, czując jej pokrytą delikatnym meshkiem miękkość. – Jeszcze nie – dodał szorstkim szeptem, choć nie było pewne, czy zwracał się do siebie czy do niej. Ścisnął silną dłonią jej kruchy kark, po czym pochylił się, by ucztować na jej rozchyłonych wargach, podbródku i szyi. – Jesteś taka słodka... – wymamrotał rwącym się głosem.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu, nawet owładnięta pożądaniem.

– Czyżby?

Zawładnął jej wargami w kolejnym wygłodniałym pocałunku.

– Bardzo słodka – potwierdził gardłowo. – Choć gdybym był mniej mężczyzną, już dawno urwałabyś mi głowę.

Jego słowa sprowokowały ją do cichego śmiechu.

– Teraz rozumiem to przyciąganie między nami. Stanowimy zagrożenie dla wszystkich, tylko nie dla siebie. Jak para rozżłoszczonych jeży. – Urwała, gdy coś jej przyszło do głowy. Spojrzała na niego

poważnie. – A skoro mowa o przyciąganiu... – Jej nogi nieco się trzęsły, dlatego podeszła bliżej łóżka i oparła się o masywną rzeźbioną kolumnienkę. – Muszę ci coś wyznać.

Marcus poszedł za nią. Światło podkreślało kształtne, idealnie umięśnione linie jego ciała. Spodnie o luźnym, zgodnie z panującą modą, kroju nie opinały mięśni, lecz też nie maskowały ich potęgi.

– To mnie nie dziwi. – Zrelaksowany, oparł dłoń na słupku nad jej głową. – Spodoba mi się to wyznanie?

– Nie wiem. – Sięgnęła do ukrytej w obfitych fałdach spódnicy kieszeni i wyjęła z niej buteleczkę perfum. – Proszę.

– Co to jest? – Marcus wziął flakonik, odkorkował go i powąchał. – Perfumy – powiedział, wpatrując się pytająco w jej oczy.

– To nie byle jakie perfumy – mruknęła z niepokojem. – To powód, dla którego poczułeś do mnie pociąg.

Powąchał jeszcze raz.

– Tak?

– Kupiłam je u starego perfumiarza w Londynie. To afrodyzjak.

Jego oczy rozbliły się wesoło.

– Gdzie się nauczyłaś tego słowa?

– Od Annabelle. I to prawda – wyznała Lillian szczerze – one są prawdziwe. Mają specjalny składnik, który przyciąga zalotników. Tak powiedział perfumiarz.

– Jaki specjalny składnik?

– Tego nie chciał mi zdradzić. Ale zadziałało. Nie śmiej się, zadziałało! Zauważyłam ich wpływ na ciebie tego dnia, gdy graliśmy w palanta i pocałowałeś mnie za żywopłotem. Nie pamiętasz?

Jej słowa wyraźnie go rozbawiły – było jasne, że nie uwierzył, by uwiodły go jej perfumy. Znów przytknął flakonik do nosa i mruknął:

– Pamiętam, że zauważyłem ten zapach. Pociągałaś mnie jednak z wielu innych powodów na długo przed tym dniem.

– Kłamca – oskarżyła go. – Nienawidziłeś mnie.

Pokręcił głową.

– Nigdy nie darzyłem cię nienawiścią. Niepokoiłaś mnie, prześladowałaś i dręczyłaś, a to nie to samo.

– Perfumy działają – powtórzyła z uporem. – Nie tylko ty na nie zareagowałeś, Annabelle wypróbowała je na swoim mężu... I przysięga, że nie pozwolił jej zasnąć przez całą noc.

– Kochanie – mruknął Marcus sucho – Hunt zachowuje się przy Annabelle jak niedźwiedź w rui od pierwszego dnia, kiedy się poznali. To dla niego typowe zachowanie.

– Ale to nie jest typowe zachowanie dla ciebie! W ogóle się mną nie interesowałeś, dopóki nie skropiłam się tym zapachem, a gdy tylko go poczułeś...

– Twierdzisz – przerwał jej, a jego czarne oczy zalśniły jak aksamit – że zareagowałbym podobnie na każdą kobietę skropioną tymi perfumami?

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, a potem zamknęła je gwałtownie, gdy przypomniała sobie, że nie przejawiał żadnego zainteresowania innymi paprotkami, które nosiły perfumy.

– Nie – odparła. – Lecz w moim wypadku różnica była wyraźna.

Jego wargi wygięły się w leniwym uśmiechu.

– Lillian, pragnąłem cię od chwili, kiedy po raz pierwszy wziąłem cię w ramiona. To nie ma nic wspólnego z twoimi przeklętymi perfumami. Niemniej – pociągnął nosem nad buteleczką po raz ostatni, po czym ją zakorkował – wiem, co jest tym specjalnym składnikiem.

Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy.

– Nie wiesz.

– Wiem – odparł pewnie.

– Pozjadałeś wszystkie rozumy! – zawołała, śmiejąc się z irytacją. – Może się domyślasz, lecz zapewniam cię, że skoro ja nie zdołałam rozpoznać, co to za składnik, ty na pewno...

– Ponad wszelką wątpliwość wiem, co to jest – poinformował ją.

– Powiedz mi więc.

– Nie. Pozwolę, byś sama dokonała tego odkrycia.

– Powiedz mi! – Skoczyła na niego i zaczęła okładać pięściami jego twarde tors. Większość mężczyzn cofnęłaby się pod naporem solidnych ciosów, lecz on tylko się roześmiał. – Westcliff, jeśli mi natychmiast nie powiesz...

– Będziesz mnie torturować? Przykro mi, ale to nie zadziała. Przywykłem do tego. – Podniósł ją z szokującą łatwością, po czym rzucił na łóżko jak worek ziemniaków. Zanim zdołała się przesunąć, opadł na nią, a ona zaczęła się z nim siłować, mrużąc i śmiejąc się.

– Zmuszę cię do kapitulacji! – Zahaczyła nogą o jego nogę i pchnęła mocno jego lewe ramię. Lata dziecięcych potyczek z niesfornymi braćmi nauczyły ją paru sztuczek. Marcus z łatwością jednak parował każdy jej ruch swoim ciałem, zbudowanym ze stalowych, elastycznych mięśni. Był bardzo zwinny i zaskakująco ciężki.

– Nie stanowisz dla mnie żadnego wyzwania – zażartował, gdy przetoczyła się na niego na chwilę. Wykręcił się i znów położył ją na plecach. – Tylko na tyle cię stać?

– Przemądrzały drań – mruknęła Lillian, podwajając swe wysiłki. – Mogłabym wygrać... gdybym nie miała na sobie sukni...

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł, uśmiechając się do niej. Po chwili znów przycisnął ją do materaca, uważając, by nie skrzywdzić jej podczas tych miłosnych zapasów. – Wystarczy – zawyrokował w końcu. – Jesteś męcząca. Możemy ogłosić remis.

– Jeszcze nie – wydyszała, wciąż zamierzając go pokonać.

– Na miłość boską, ty mała dzikusko – mruknął z rozbawieniem. – Czas się poddać.

– Nigdy! – Zaczęła wykręcać się zawzięcie, chociaż jej zmęczone ręce drżały.

– Uspokój się – rozległ się jego pieszczotliwy szept. Jej oczy zogromniały, gdy poczuła sztywność jego ciała pomiędzy udami. Pisnęła cicho i znieruchomiała. – No już... – Pociągnął w dół materiał jej sukni, więżąc jej ramiona. – Spokojnie... – wyszeptał.

Zamarła. Jej krew pulsowała dziko, gdy spojrzała na jego twarz. Światło nie docierało do tej części pokoju – łoże skąpane było w cieniu. Mroczna postać Marcusa przesunęła się nad nią, a jego dłonie zaczęły ją obracać, by pozbawić ją sukni i rozpiąć gorset. Nagle znów zaczęła oddychać, zbyt głośno, zbyt szybko, gdy jego delikatne dłonie przesunęły się po jej ciele tylko po to, by jeszcze bardziej ją pobudzić.

Jej skóra stała się tak wrażliwa, że nawet muśnięcia świeżego powietrza zdawały się powodować na niej otarcia. Całe jej ciało mrowiło i łaskotało. Zaczęła dygotać, gdy zdjął z niej koszulkę, pończochy i reformy. Mimowolne dotknięcia jego knykci sprawiały, że podrywała się za każdym razem.

Stał przy łóżku, wpatrując się w nią z napięciem, po czym sam się rozebrał z leniwą powolnością. Coraz lepiej poznawała jego elegancko wyrzeźbione ciało, gdy bolesne podeksycytowanie przeszywało każdy centymetr jej wrażliwej istoty. Jęknęła cicho, gdy położył się obok niej na materacu i przytulił ją do ciepłego runa swej piersi. Czując wstrząsające ją dreszcze, pogłaskał ją po białych plecach i objął rękami jej jędrne pośladki. Jego dotyk sprawiał, że przetaczały się przez nią fale intensywnej ulgi, wzmagając głęboki, rozkoszny ból.

Całował ją powoli, głęboko, lizał jedwabistą głębinę jej ust, aż zaczęła jęczeć z rozkoszy. Przesunął się

na jej piersi i obsypał je lekkimi, półotwartymi pocałunkami, muskając sutki przelotnymi dotknięciami języka. Kusił ją i uwodził, jakby wcale nie drżała już z pożądania, jakby nie szlochała błagalnie, prosząc, by ulżył jej pragnieniu. Gdy jej piersi opuchły, a sutki stężały w twarde pączki, wziął jeden z nich do ust i zaczął szarpać stanowczo, kładąc dłoń na jej brzuchu.

Czuła narastające napięcie, wzbierającą w niej żądzę, która doprowadzała ją do szaleństwa. Jej dłoń drżała gwałtownie, gdy położyła ją na jego dłoni i przesunęła ją na wilgotny trójkącik loków pomiędzy swoimi udami. Uśmiechnął się do jej piersi i przeniósł się na drugi sutek, wciągając ją w mokry aksamit swoich ust. Czas stanął w miejscu, gdy jego palce zsunęły się delikatnie, rozdzieliły sprężyste loczki i zatrzymały się nad mokrym, intrygująco nabrzmałym pączkiem jej kobiecości. Ach... jego pieśszoty okazały się lekkie niczym babie lato, gdy głaskał ją z łagodnym uporem, najpierw prowokująco, potem agresywniej, i znów tylko prowokująco, aż krzyknęła w bezradnym spełnieniu, unosząc biodra ku jego dłoni.

Przytulił ją opiekuńczo, pieśszcząc jej drżące kończyny. Szeptał czułe słówka w jej rozchylone wargi, deklaracje zachwytu i pożądania, podczas gdy jego dłonie przesunęły się po jej skórze z nabożnym skupieniem. Nie zauważyła, w której dokładnie chwili jego dotyk stał się bardziej podniecający niż kojący, lecz poczuła, że doznania znów stopniowo w niej narastają. Jej puls przyspieszył, zaczęła się pod nim niespokojnie wiercić. Rozsunął jej nogi i lekko ugiął je w kolanach, po czym wszedł w nią powoli. Wzdrygnęła się, czując intymny ból. Był taki twardy, nad nią, w niej, że jej ciało zacisnęło się instynktownie. Nic jednak nie mogło powstrzymać jego ciężkiego natarcia. Wsuwał się w nią lekko i głęboko, penetrując jej ciasne wnętrze z nieskończoną czułością. Każdy ruch zdawał się przyzywać dreszcz rozkoszy z głębin jej ciała i wkrótce rozluźniła się, a ból zamienił się w ledwie uchwytne ukłucia. Cała zapłonęła gorączką i desperacją, gdy wyczuła nadejście kolejnego orgazmu. Nagle zaskoczył ją, wycofując się.

– Marcus... – jęknęła – o Boże, nie przerywaj, proszę...

Uciszył ją ustami, podniósł i ostrożnie odwrócił na brzuch. Oszołomiona i rozdygotana, poczuła, jak wsuwa pod nią poduszkę, a potem jeszcze jedną, podpierając wysoko jej biodra. Na koniec uklękła pomiędzy jej udami. Palcami rozchylił fałdy jej kobiecości, po czym znów na nią natarł. Jej jęki stały się niekontrolowane. Bezradnie odwróciła głowę na bok i przycisnęła policzek do materaca, podczas gdy jego stanowcze dłonie unieruchomiły jej uniesione biodra. Wdarł się w nią głębiej, zanurzał się w niej, głaskał i zadowalał w miarowym rytmie, z wyrachowaniem popychając ją na skraj szaleństwa. Błagała go, szlochała, jęczała, przeklinała nawet, a on roześmiał się tylko cicho, po czym w końcu wbił się w nią w druzgocącej eksplozji spełnienia. Jej ciało zacisnęło się pulsująco wokół jego członka, wyciągając z niego orgazm, aż z jego gardła wyrwał się głęboki jęk.

Dysząc ciężko, osunął się na jej ciało i przycisnął wargi do jej karku, wciąż zanurzony w jej wnętrzu.

Leżąc pod nim i oblizując opuchnięte usta, Lillian wymamrotała:

– I mnie nazywasz dzikuską.

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy zachichotał, a włoski na jego torsie otarły się o nią niczym szorstki aksamit.

Choć Lillian była przyjemnie zmęczona po uprawianiu miłości, nie zamierzała zasypiać. Przepęłniało ją zdumienie na myśl o odkryciach, które poczyniła na temat Marcusa. Mężczyzna, którym dawniej pogardzała za powagę i wyniosłość, okazał się zupełnie inny. Zaczynała wierzyć, że miał swoją łagodniejszą stronę, którą pokazywał tylko wybranym. Wyczuwała, że darzył ją miłością, choć bała się spekulować co do jego natury, ponieważ uczucia płynące z jej serca stawały się niepokojąco intensywne.

Gdy Marcus otarł jej ciało z potu chłodną, wilgotną szmatką, odział ją we własną koszulę, która wciąż

nosiła na sobie zapach jego skóry. Podał jej talerz z gruszkami oraz kieliszek słodkiego wina, a nawet pozwolił jej nakarmić się kilkoma kawałkami jedwabiście miękkiego owocu. Gdy jej apetyt został zaspokojony, odłożyła pusty talerz i łyżkę, po czym wtuliła się w kochanka. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią, leniwie bawiąc się jej włosami.

– Żałujesz, że nie pozwoliłem St. Vincentowi cię zdobyć?

Posłała mu skonsternowany uśmiech.

– Dlaczego mnie o to pytasz? Chyba nie dokuczają ci wyrzuty sumienia?

Pokręcił głową.

– Zastanawiam się tylko, czy ty czegoś nie żałujesz.

Zaskoczona i wzruszona jego niepewnością, przez chwilę bawiła się ciemnymi włosami na jego piersi.

– Nie – odparła szczerze. – St. Vincent jest atrakcyjny i lubię go... ale nigdy go nie pragnęłam.

– Rozważałaś małżeństwo z nim.

– Cóż, przyszło mi do głowy, że chciałabym zostać księżną... ale tylko na złość tobie.

Przez jego twarz przemknął uśmiech. Zemścił się na niej, skubiąc jej pierś i prowokując ją do okrzyku.

– Nie zniósłbym twojego widoku u boku innego mężczyzny.

– Nie sądzę, by lord St. Vincent napotkał trudności w znalezieniu kolejnej dziedziczki, która mogłaby posłużyć jego celom.

– Być może. Niewiele jest jednak kobiet, które dorównują ci fortuną... i urodą.

Uśmiechnęła się, słysząc ten komplement, po czym wtuliła się w niego i przerzuciła nogę nad jego nogą.

– Mów dalej. Chcę usłyszeć, jak się rozplýwasz nad moimi wdziękami.

Usiadł, po czym podniósł ją ze swobodą, która przyprawiła ją o okrzyk zdumienia, i posadził sobie okrakiem na biodrach. Pogłaskał czubkiem palca bladą skórę widoczną w otwartym kołnierzyku koszuli.

– Ja się nie rozplýwam – oświadczył. – Marsdenowie nie należą do poetycznych typów. Niemniej... –

Urwał, by podziwiać długonogą młodą kobietę, która siedziała na nim. Włosy spływały na jej plecy i talię w potarganych strumieniach. – Mogę powiedzieć ci, że wyglądasz jak pogańska księżniczka z potarganymi czarnymi włosami i świetlistymi ciemnymi oczami.

– I? – zachęciła go Lillian, obejmując rękami szyję.

Położył dłonie na jej szczupłej talii, po czym przesunął je na jej silne, kształtne uda.

– Każdy erotyczny sen, który miałem o twoich wspaniałych nogach, błędnie w porównaniu z rzeczywistością.

– Śniłeś o moich nogach? – Zaczęła się więc, gdy poczuła jego dłonie na wnętrzu swoich ud, gdzie leniwie wytyczały prowokującą ścieżkę.

– O, tak... – Jego dłonie zniknęły pod brzegiem koszuli. – Owijały się wokół mnie – mruknął głębokim głosem – i ścisnęły mnie mocno, gdy mnie ujeżdżałaś...

Jej oczy zognęły, gdy poczuła jego kciuki na wrażliwych zewnętrznych fałdach skóry otaczających jej płeć.

– Słucham? – zapytała słabo. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy otworzył ją łagodnymi, masującymi ruchami. Jego palce robiły coś bardzo grzesznego, a ich sprawne ruchy ukrywały się pod koszulą. Zadygotała, wpatrując się w jego napiętą twarz, gdy zaczął się nią bawić obiema rękami. Palce jednej ją wypełniały, palce drugiej flirtowały z nią umiejętnie, pobudzając wrażliwy mały pączek, który zdawał się płonąć pod jego dotykiem. – Przecież kobiety nie... – szepnęła z konsternacją. – Nie w ten sposób. To znaczy... och... ach... Nigdy nie słyszałam...

– Niektóre owszem – mruknął, pieszcząc ją w sposób, który przyprawił ją o kolejny jęk. – Mój ty nieustraszony aniele... Chyba będę musiał ci to pokazać.

W swej niewinności nie pojęła jego intencji, dopóki nie uniósł jej znów i nie pomógł jej nasunąć się na

sztyną, opuchniętą długość swej erekcji, aż przyjęła go w siebie całkowicie. Oniemiała ze zdumienia, Lillian wykonała kilka nieśmiałych ruchów, posłuszna jego niskiemu pomrukowi i cierpliwym wskazówkom jego dłoni na swoich biodrach. Po chwili odnalazła właściwy rytm.

– Właśnie tak – wymruczał Marcus bez tchu. – Dokładnie tak...

Znów wsunął dłonie pod jej koszulę i odnalazł napęczniały czubeczek jej kobiecości. Otoczył go kciukiem, odpowiadając w elektryzujący sposób na jej ruchy, po czym wywarł delikatny nacisk, który obudził nową falę żaru w jej zakończeniach nerwowych. Nie odrywał wzroku od jej oczu, sycił się widokiem jej rozkoszy, a świadomość tego, jak bardzo jest na niej skupiony, sprawiła, że jej ekstaza dojrzała, aż wstrząsnęły nią silne dreszcze głębokiej satysfakcji, wypełniając jej ciało, serce i umysł. Marcus zacisnął dłonie na jej talii i przytrzymał ją stanowczo, unosząc jednocześnie biodra i przelewając w nią własną rozkosz.

Czując całkowitą pustkę w głowie i skrajne wyczerpanie, Lillian osunęła się na niego i położyła głowę na jego mostku. Jego serce waliło mocno pod jej uchem przez długie minuty, zanim jego rytm w końcu się wyrównał.

– Mój Boże... – westchnął Marcus, otaczając ją ramionami, po czym opuścił je, jakby ten gest wymagał zbyt wiele wysiłku. – Lillian, Lillian...

– Mhm? – Zamrugła leniwie, doświadczając obezwładniającego uczucia senności.

– Zmieniłem zdanie w sprawie negocjacji. Możesz mieć wszystko, czego chcesz. Zgadzam się na każdy twój warunek, na wszystko, co w mojej mocy. Tylko daj mi odetchnąć z ulgą i powiedz, że zgodzisz się za mnie wyjść.

Zdołała unieść głowę i spojrzeć w jego oczy do połowy przysłonięte ciężkimi powiekami.

– Jeśli to jest przykład na twoją biegłość w negocjacjach – odezwała się – zaczyna mnie martwić stan twoich finansów. Mam nadzieję, że nie ulegasz tak łatwo żądaniom swoich partnerów w interesach.

– Nie. Ani też z nimi nie sypiam.

Jej usta rozciągnęły się w leniwym uśmiechu. Jeśli Marcus był gotów na taki akt wiary, ona nie mogła postąpić inaczej.

– Możesz więc odetchnąć z ulgą, Westcliff. Tak, wyjdę za ciebie. Choć od razu ostrzegam: zapewne jeszcze pożałujesz, że nie negocjowałeś, gdy był na to czas. Może na przykład zażądam miejsca w zarządzie mydlanej manufaktury...

– Boże, dopomóż... – mruknął, po czym zasnął z głębokim westchnieniem zadowolenia.

ROZDZIAŁ 23

Lillian spędziła w łóżku Marcusa większą część nocy. Budziła się od czasu do czasu, zauważając, że otaczają ją żar jego ciała i miękkie warstwy płótna, jedwabiu i wełny. Marcus musiał być wyczerpany po ich miłosnych zapasach, ponieważ nie wydawał żadnych dźwięków ani nawet się nie poruszał. Z nadejściem brzasku ocknął się jednak pierwszy. Pograżona w głębokim śnie, zaprotestowała, gdy nią potrząsnął.

– Już niemal świt – szepnął jej do ucha. – Otwórz oczy. Muszę odprowadzić cię do pokoju.

– Nie – mruknęła sennie. – Za chwilę. Później. – Wtuliła się w jego ramiona. Łóżko było takie ciepłe, a powietrze chłodne. Wiedziała, że podłoga okaże się lodowata pod jej stopami.

Ucałował czubek jej głowy i pomógł jej usiąść.

– Teraz – oświadczył łagodnie, zataczając dłonią kółka na jej plecach. – Zaraz zjawi się pokojówka, by napalić w kominku. A wielu gości wybiera się dziś na polowanie, co oznacza, że wkrótce wstaną.

– Pewnego dnia – mruknęła marudnie, wtulając się w jego szeroką pierś – będziesz musiał mi wyjaśnić, dlaczego mężczyźni czerpią taką nieprzyzwoitą radość ze wstawania przed świtem, by błąkać się po mokradłach i zabijać małe zwierzęta.

– To dlatego, że lubimy mierzyć się z siłami natury. A co więcej, to dobra wymówka, by zacząć pić przed południem.

Uśmiechnęła się i musnęła nosem jego ramię, pocierając wargami gładką skórę.

– Zimno mi – szepnęła. – Połóż się ze mną pod kołdrą.

Jęknął, próbując oprzeć się pokusie, po czym zmusił się, by wstać. Lillian natychmiast wsunęła się pod kołdrę, owijając się ciasniej miękkimi połami jego koszuli. Marcus wrócił po chwili całkiem ubrany i podniósł ją z pościeli.

– Wszelkie narzekania są bezcelowe – poinformował ją, otulając jednym ze swoich szlafroków. – Wracasz do swojego pokoju. Nikt nie może nas zobaczyć razem o tej porze.

– Obawiasz się skandalu? – zapytała.

– Nie. W mojej naturze leży jednak zachowanie dyskrecji, gdy tylko to możliwe.

– Prawdziwy dżentelmen – zakpiła, unosząc ramiona, by mógł zawiązać pasek szlafroka. – Powinieneś ożenić się z dziewczyną równie dyskretną.

– Cóż, nie są one nawet w połowie tak intrygujące, jak te niedyskretne.

– Ja taka jestem? – zapytała, otaczając się ramionami. – Niedyskretna?

– O, tak – mruknął miękko, po czym ją pocałował.

Daisy obudziło skrobanie do drzwi. Uchyliła lekko powieki. Barwa światła wlewającego się przez okna powiedziała jej, że jest jeszcze wcześniej. Jej siostra siedziała przy toalecie i wyczesywała kołtuny z włosów. Daisy usiadła i zapytała:

– Kto to może być?

– Sprawdź.

Odziana w ciemnoczerwoną dzienną suknię z prążkowanego jedwabiu, Lillian podeszła do drzwi

i uchyliła je na kilka centymetrów. Daisy zauważyła, że to pokojówka przyszła z wiadomością. Nawiązała się szeptana rozmowa i choć Daisy nie rozróżniała słów, usłyszała w głosie siostry łagodne zaskoczenie, a potem nutę irytacji.

– Dobrze – oświadczyła Lillian krótko. – Powiedz jej, że przyjdę. Choć nie rozumiem, po co te wszystkie tajemnice.

Pokojówka zniknęła, a Lillian zamknęła drzwi i zmarszczyła czoło.

– Co się stało? – zapytała Daisy. – Co ci powiedziała? Kto ją przysłał?

– To nic takiego – odparła Lillian, po czym dodała z ironią: – Nie wolno mi powiedzieć.

– Usłyszałam coś o tajemnicach.

– Och, to tylko pewna nużąca sprawa, którą muszę załatwić. Wyjaśnię ci wszystko później... Bez wątpienia będzie to wysoce zabawna i barwna historyjka.

– Czy ma coś wspólnego z lordem Westcliffem?

– Niebezpośrednio. – Czoło Lillian wygładziło się, a jej twarz nagle zajaśniała szczęściem. Daisy nigdy jeszcze nie widziała jej w takiej euforii. – Och, Daisy, to odrażające, jak bardzo się do niego łąszę. Obawiam się, że zrobię dziś coś potwornie głupiego. Zacznę śpiewać lub coś w tym stylu. Na miłość boską, nie pozwól mi na to!

– Nie pozwolę – obiecała Daisy, uśmiechając się do siostry. – Jesteś zakochana?

– Nie wolno wypowiadać przy mnie tego słowa – odparła w pośpiechu Lillian. – Nawet gdybym była... a do niczego się nie przyznaję... nigdy nie powiem tego pierwsza. To kwestia dumy. Istnieje też szansa, że on nie odpowie tym samym, tylko uprzejmym „dziękuję”, a wtedy będę musiała go zamordować. Albo siebie.

– Mam nadzieję, że hrabia nie jest równie uparty, jak ty.

– Nie jest. Choć może jest. – Jakieś osobiste wspomnienie sprawiło, że Lillian zachichotała i przycisnęła dłoń do czoła. – Och, Daisy – dodała z diabelskim błyskiem w oku – będę taką straszną hrabiną.

– Nie myślmy o tym w ten sposób – odparła Daisy dyplomatycznie. – Będiesz hrabiną niekonwencjonalną.

– Mogę być taką hrabiną, jaką tylko chcę – oświadczyła Lillian, po części z zachwytem, po części ze zdumieniem. – Westcliff tak powiedział. I co więcej... chyba naprawdę tak myśli.

Po lekkim śniadaniu złożonym z herbaty i grzanki Lillian wyszła na tylny taras posiadłości. Oparła łokcie na balustradzie i spojrzała na rozległe ogrody o elegancko wyprofilowanych ścieżkach, szerokich, niskich żywopłotach porośniętych różami i starymi, wypielęgnowanymi cisami, które zapewniały wiele rozkosznych kryjówek. Jej uśmiech zbladł, gdy przypomniała sobie, że hrabina czeka już na nią w Dworze Motyli. To ona przysłała pokojówkę z wiadomością.

Hrabina pragnęła porozmawiać z Lillian na osobności. I nie był to dobry znak, że na miejsce spotkania wybrała część ogrodu tak oddaloną od domu. Miała trudności z chodzeniem i korzystała z laski lub pozwalała wozić się w wózku, wycieczka do ukrytego ogrodu musiała być więc dla niej męczącym przedsięwzięciem. O wiele łatwiej i rozsądniej byłoby się spotkać w saloniku Marsdenów na górze. Może jednak to, co pragnęła wyznać hrabina, było tak osobiste – lub tak głośne – że nie mogła ryzykować, by je usłyszano. Lillian doskonale wiedziała, dlaczego hrabina zażądała, by ich spotkanie otaczała dyskrecja. Gdyby Marcus się o nim dowiedział, nalegałby na dokładne jego omówienie tuż po... a tego nie chciała żadna z nich. Poza tym Lillian nie zamierzała ukrywać się za jego plecami. Mogła zmierzyć się z hrabiną sama.

Spodziewała się długiej tyrady. Znajomość z tą kobietą nauczyła ją, że hrabina ma ostry język i zdaje

się nie zważać na granice, do jakich można się posunąć. To jednak nie miało znaczenia. Lillian wiedziała, że każda sylaba, która padnie z jej ust, spłynie z niej jak woda po szybie, ponieważ towarzyszyła jej pewność, że nic nie powstrzyma jej małżeństwa z Marcusem. Hrabina będzie musiała zrozumieć, że w jej interesie jest utrzymywanie serdecznej relacji z synową. W przeciwnym razie mogły bardzo utrudnić sobie życie.

Lillian uśmiechnęła się ponuro, po czym zeszła po schodach do ogrodu, rozkoszując się chłodnym, porannym powietrzem.

– Nadchodzę, stara wiedźmo – mruknęła. – Rób, co chcesz.

Drzwi do Dworu Motyli były uchylone, gdy dotarła na miejsce. Wyprostowała ramiona, przywołała na twarz minę wyrażającą chłodną obojętność, po czym weszła do środka. Hrabina była sama, nie towarzyszył jej nikt ze służby. Siedziała na okrągłej ogrodowej ławce jak na tronie, a jej wysadzana drogimi kamieniami spacerowa laska leżała obok. Jej twarz była nieruchoma i Lillian ogarnęła nagła pokusa, by się roześmiać na widok tej drobnej wojowniczkę, gotowej zaakceptować tylko bezdyskusyjne zwycięstwo.

– Dzień dobry – przywitała się uprzejmie, podchodząc bliżej. – Jakie urocze miejsce wybrała pani na nasze spotkanie, milady. Mam nadzieję, że spacer z domu nie pozbawił panią sił.

– To moje zmartwienie, nie twoje – odparła hrabina.

Mimo iż jej czarne rybie oczy nie wyrażały emocji, Lillian poczuła nagle pełzający po plecach dreszcz. Nie był to zwykły strach, lecz instynktowna trwoga, której nigdy jeszcze nie czuła w obecności hrabiny.

– Wyraziłam tylko troskę o pani zdrowie. – Uniosła dłonie w udawanym geście samoobrony. – Nie będę pani prowokować dalszym sileniem się na uprzejmość, milady. Proszę mówić. Jestem tu, by słuchać.

– Dla dobra własnego i dla mojego syna mam nadzieję, że to właśnie zrobisz. – Jej słowa były najeżone lodowatą wrogością, lecz jednocześnie wydawała się lekko zdumiona, jakby sama nie mogła uwierzyć, że musi to wszystko powiedzieć. Doświadczyła w życiu wielu kontrowersji, lecz takiej chyba się nie spodziewała. – Gdyby tylko przyszło mi do głowy, że tak pospolita dziewczyna zdoła przykuć uwagę hrabiego, już dawno położyłabym temu kres. Hrabia musiał postradać rozum, w przeciwnym razie nie dopuściłby do tego szaleństwa.

Gdy urwała, aby wziąć oddech, Lillian zapytała cicho:

– Dlaczego nazywa to pani szaleństwem? Kilka tygodni temu sama stwierdziła pani, że może uda mi się złapać na haczyk brytyjskiego arystokratę. Dlaczego więc nie samego hrabiego? Sprzeciwia się pani z powodu osobistych antypatii czy może...

– Ty głupia dziewczucho! – zawołała hrabina. – Sprzeciwiam się, ponieważ od piętnastu pokoleń żaden dziedzic Marsdenów nie wziął sobie żony spoza arystokracji. I mój syn nie stanie się pierwszym hrabią, który to robi! Nie masz pojęcia, jak ważna jest nasza krew... Ty, która pochodzisz z kraju bez żadnych tradycji, bez kultury i bez odrobiny szlachectwa. Jeśli hrabia cię poślubi, będzie to nie tylko jego porażka, lecz także moja. Będzie to upadek każdego mężczyzny i każdej kobiety, którzy są spokrewnieni z herbem Marsdenów.

Pompatyczność tego oświadczenia niemal sprowokowała Lillian do drwiącego śmiechu. Tyle że nagle zaczęła rozumieć, iż wiara lady Westcliff w nienaruszalność szlacheckiego rodowodu Marsdenów graniczy z prawdziwą dewocją. Hrabina urwała, próbując odzyskać panowanie nad sobą, a Lillian zastanawiała się, jak sprowadzić to do poziomu osobistego i zaapelować do jej głęboko skrywanych uczuć wobec syna.

Emocjonalna szczerłość nie była dla niej łatwa. Wolała wygłaszać inteligentne lub cyniczne komentarze, ponieważ mówienie z głębi serca pociągało za sobą zbyt duże ryzyko. To jednak było istotne. Może była

winna szczerść kobiecie, której syna zamierzała wkrótce poślubić.

Zaczęła mówić z niezręczną powolnością:

– Milady, wiem, że w głębi serca pragnie pani szczęścia swojego syna. Chcę, by zrozumiała pani, jak bardzo pragnę dla niego tego samego. To prawda, że nie należę do arystokracji i nie jestem starannie wykształcona w dziedzinach, które dla pani są najważniejsze... – Pozwoliła sobie na samokrytyczny, drwiący uśmiech. – W zasadzie nie jestem nawet pewna, co to jest herb, lecz sądzę... wierzę, że potrafię uczynić hrabiego Westcliffa szczęśliwym. Mogłabym przynajmniej pomóc mu dźwigać ciężar jego trosk... i nie będę się zachowywać jak dziwaczka, przysięgam. Jeśli pani w to nie wierzy, proszę uwierzyć, że nigdy nie zrobiłabym nic, co mogłoby go zawstydzić albo obrazić panią...

– Nie będę dłużej słuchać tych bzdur! – eksplodowała hrabina. – Wszystko w tobie mnie obraża. Nie najęłabym cię na służkę w mojej posiadłości, a co dopiero na jej panią! Mój syn nie dba o ciebie. Jesteś tylko symbolem jego dawnych konfliktów z ojcem. Jesteś wyrazem buntu, bezużytecznym gestem wobec ducha. A gdy już mu się znudzi wulgarność własnej żony, zacznie tobą gardzić, tak jak ja gardzę tobą teraz. Wtedy jednak będzie za późno. Rodowód będzie zrujnowany.

Lillian niczego po sobie nie pokazała, lecz cały kolor odpłynął z jej twarzy. Jeszcze nikt nigdy nie patrzył na nią z taką nienawiścią. Stało się dla niej jasne, że hrabina życzy jej wszystkiego, co najgorsze... może nawet śmierci. Zamiast skulić się w sobie, rozplakać się lub zaprotestować, przeszła do kontrataku:

– Może pragnie mnie poślubić w wyrazie buntu wobec pani, milady. W tym przypadku z radością mu się przysłużę.

Hrabina wytrzeszczyła oczy.

– Jak śmiesz! – wychrypiąła.

Choć Lillian pragnęła powiedzieć więcej, zaczęła się obawiać, że przyprawi tym hrabinę o apopleksję. A zabicie teściowej to nie najlepszy początek małżeństwa, pomyślała kpiąco. Powstrzymała bardziej kąśliwe słowa i posłała hrabinie spojrzenie z ukosa.

– Cóż, obie jasno wyraziłyśmy swoje stanowiska. Miałam nadzieję na inny rezultat naszej rozmowy, lecz rozumiem, że nowina była dla pani szokiem. Może z czasem dojdziemy do porozumienia.

– Owszem... dojdziemy – syknęła staruszka.

Lillian z trudem oparła się pokusie cofnięcia się o krok pod naporem wrogości w jej oczach. Nagle przeszył ją chłód. Zniesmaczona ohydą tej rozmowy, zapragnęła uciec stąd najszybciej, jak to tylko możliwe. Przypomniała sobie jednak, że hrabina nie może jej przecież skrzywdzić, dopóki tylko Marcus jej pragnie.

– Poślubię go – oświadczyła spokojnie, czując potrzebę podkreślenia tego wyraźnie.

– Nie, dopóki ja żyję – szepnęła hrabina.

Wstała, sięgnęła po laskę i oparła się na niej dla równowagi. Mając na uwadze jej fizyczną kruchość, Lillian prawie podeszła, aby jej pomóc. Hrabina posłała jej jednak tak zjadliwe spojrzenie, że dziewczyna cofnęła się w obawie, iż otrzyma cios laską.

Łagodne poranne słońce przedarło się przez delikatny woal mgły unoszącej się nad ogrodem, a kilka rusalek rozwinęło skrzydełka i zawisło nad rozchylonymi czasami kwiatów. Ogród cechowała taka uroda, że wydawało się absurdalne, iż mogły w nim paść tak okrutne słowa. Lillian podążyła za hrabiną, która z wysiłkiem torowała sobie drogę.

– Otworzę pani drzwi – zaproponowała. Hrabina przystanąła, po czym przekroczyła próg Dworu Motyli. – Mogłyśmy przecież spotkać się w dogodniejszym miejscu – dodała Lillian, nie mogąc oprzeć się pokusie. – Bądź co bądź, równie dobrze możemy kłócić się w domu, a wtedy nie musiałyby pani tak daleko chodzić.

Ignorując ją, lady Westcliff nawet się nie odwróciła. A potem nagle powiedziała coś osobliwego, nie odwracając głowy do Lillian, lecz na bok, jakby mówiła do kogoś innego:

– Możesz działać.

– Milady? – Skonsternowana Lillian również przeszła przez furtkę.

Z brutalną szybkością została pochwycona w miażdżącym uścisku. Zanim zdołała poruszyć się lub przemówić, coś otuliło jej usta i nos. Jej oczy zogromniały z lęku, próbowała się bronić, lecz jej płuca z trudem łapały powietrze. Ta rzecz na jej twarzy, przyciskana mocno przez dużą dłoń, była nasączona mdląco słodkim płynem. Jego opary wypełniły jej nozdrza, gardło, pierś, głowę lotną, trującą chmurą, która sprawiła, że zaczęła rozsypywać się po kawałku niczym wieża z malowanych drewnianych klocków. Tracąc siłę w rękach i nogach, osunęła się w nieprzeniknionej ciemności. Słońce spowiła czerń i jej powieki opadły.

Wracając z późnego śniadania podanego w pawilonie nad jeziorem po porannym polowaniu, Marcus zatrzymał się u podnóża szerokich schodów na tyłach posiadłości. Jeden z myśliwych, starszy mężczyzna, który był przyjacielem rodziny przez ostatnich dwadzieścia pięć lat, poprosił o chwilę rozmowy, pragnąc poskarżyć się na innego z gości.

– Strzelał poza swoją kolejnością – oświadczył staruszek z oburzeniem. – Nie raz, nie dwa, ale trzy razy. A co gorsza, utrzymywał, że to on zestrzelił ptaka, którego ja upolowałem. Odkąd poluję w Stony Cross Park, jeszcze nigdy nie spotkałem się z takim nieokrzesaniem...

Marcus przerwał mu z powagą, obiecując, że nie tylko porozmawia z bezczelnym gościem, lecz także zaprosi staruszkę do siebie w przyszłym tygodniu, by mógł polować i strzelać do woli. Nieco udobruchany, starzec odszedł, mrużąc pod nosem uwagi na temat źle wychowanych gości, którzy nie mają pojęcia o dżentelmeńskich manierach podczas obławy. Uśmiechając się lekko, Marcus wspiął się na stopnie tarasu. Zauważył Hunta, który również wrócił, a teraz pochylał głowę ku żonie. Annabelle miała wyraźnie zmartwioną minę, szeptała coś do męża, zaciskając palce na rękawie jego surduta.

Gdy Marcus stanął na najwyższym stopniu, podeszły do niego Daisy Bowman i jej przyjaciółka Evie Jenner, która jak zwykle nie zdołała spojrzeć mu w oczy. Marcus uklonił się lekko, po czym uśmiechnął się do Daisy. Wiedział, że z łatwością obdarzy ją braterskim afektem. Jej drobna postać i słodki entuzjazm przypominały mu Livię w młodości. W tej chwili jednak na jej zazwyczaj roześmianej twarzy malował się smutek, a policzki pozbawione były rumieńców.

– Milordzie – szepnęła – tak się cieszę, że pan już wrócił. Stało się... Jest pewna kwestia, która przysparza nam trosk...

– Jak mogę pomóc? – zapytał od razu. Lekka bryza zmierzwiła jego włosy, gdy pochylił ku niej twarz.

Daisy z trudem znajdowała słowa.

– Chodzi o moją siostrę – oświadczyła z napięciem. – Nigdzie jej nie ma. Ostatnio widziałam ją pięć godzin temu. Wyszła w jakiejś sprawie bez słowa wyjaśnienia. Gdy nie wracała, zaczęłam jej szukać. Inne paprotki... to znaczy Evie i Annabelle... również jej szukały. Lillian nie ma ani w domu, ani w ogrodach. Poszłam aż do studni życzeń, by sprawdzić, czy nie zawędrowała tam pod wpływem kaprysu. Ona nigdy nie znika w taki sposób. Nie beze mnie w każdym razie. Może to jeszcze za wcześnie, by się martwić, lecz... – Urwała i zmarszczyła brwi, jakby próbowała wyjaśnić sobie samej, że jej obawy są nieuzasadnione. – Coś się stało, milordzie. Czuję to.

Marcus niczego po sobie nie pokazał, lecz odczuł gwałtowne ukłucie lęku. Zaczął wymyślać możliwe wyjaśnienia nieobecności Lillian, od tych całkiem błahych po najgorsze, lecz żadne z nich nie miało sensu. Lillian nie była głuptaską, która odeszłaby za daleko od domu i zabłądziła ani też nie bawiłaby się w taką grę pomimo jej słabości do psikusów. Nie wydawało się też prawdopodobne, by poszła kogoś

odwiedzić, ponieważ nie знаła nikogo w wiosce i nie opuściłaby posiadłości na własną rękę. A może została ranna? Może złożyła ją jakaś choroba?

Jego serce zaczęło gwałtownie łomotać, lecz głos miał spokojny, gdy przeniósł spojrzenie z drobnej twarzyczki Daisy na Evie Jenner.

– Czy to możliwe, że poszła do stajni i...

– N-nie, milordzie – odparła Evie. – Już tam pytałam. Są wszystkie konie i nikt nie widział tam dziś Lillian.

Marcus skinął krótko głową.

– Zorganizuję gruntowne poszukiwania w domu i okolicy. Znajdziemy ją w godzinę.

Czerpiąc pociechę z jego szorstkości, Daisy wydała z siebie drżące westchnienie.

– Co mogę zrobić?

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tej tajemniczej sprawie. – Marcus z napięciem spojrzał w jej okrągłe oczy koloru piernika. – Rozmawiała pani z nią przed jej wyjściem?

– Jedna z pokojówek dostarczyła jej rankiem wiadomość i...

– O której? – przerwał jej ostro.

– Około ósmej.

– Która pokojówka?

– Nie wiem, milordzie. Nic nie widziałam, drzwi były tylko uchylone, gdy rozmawiały. A pokojówka miała na głowie czepek, więc nie wiem nawet, jakiego koloru były jej włosy.

Simon i Annabelle podeszli bliżej.

– Porozmawiam z gospodynią i pokojówkami – oświadczył Hunt.

– Dobrze – zdecydował Marcus, przepełniony gwałtowną potrzebą działania. – Ja rozpocznę poszukiwania. – Postanowił zebrać do pomocy grupę służących i kilku gości, w tym ojca Lillian. W pośpiechu policzył, od jak dawna Lillian jest nieobecna i jaką odległość mogła przebyć w tym czasie pieszo na tym dość trudnym terenie. – Rozpocznemy od ogrodów i poszerzymy zasięg poszukiwań do promienia piętnastu kilometrów wokół posiadłości.

Gdy napotkał wzrok Hunta, krótko skinął głową ku drzwiom, po czym obaj odwrócili się, by odejść.

– Milordzie – rozległ się za nimi zdenerwowany głos Daisy. – Znajdzie ją pan, prawda?

– Tak – odparł bez wahania. – A potem ją uduszę.

Daisy uśmiechnęła się lekko, odprowadzając go wzrokiem.

Wraz z upływem popołudnia nastrój Marcusa przeszedł od dokuczliwej frustracji po nieznośny lęk. Thomas Bowman, ponuro przekonany, że jego córka znów popełniła jakieś głupstwo, dołączył do jeźdźców, którzy przeszukiwali pobliskie mokradła i otaczającą je dolinę, podczas gdy inna grupa ochotników pocwałowała ku nadrzeczному klifowi. Skrupulatnie przeszukali domek kawalerski, stróżówkę, powozownię, lodownię, kaplicę, oranżerię, piwnicę na wina, stajnie i otaczający je dziedziniec. Przeczესali Stony Cross Park centymetr po centymetrze, lecz nie znaleźli nic, nawet odcisku buta lub zgubionej rękawiczki, co mogłoby im powiedzieć, co spotkało Lillian.

Podczas gdy Marcus galopował po lasach i polach, aż boki Brutusa pokryły się potem, a z jego pyska zaczęła ciec piana, Simon Hunt pozostał w domu, by metodycznie przesłuchać służbę. Tylko on, zdaniem Marcusa, mógł wykonać to zadanie z taką samą bezwzględnością skutecznością, z jaką podszedłby do niego hrabia. Marcus ze swej strony nie chciał rozmawiać z nikim. Miał ochotę rozbijać głowy i wyduszać informacje z niewinnych gardeł. Świadomość, że Lillian gdzieś tam jest, zagubiona albo nawet ranna, napełniała go nieznanym uczuciem, gorącym jak błyskawica i zimnym jak lód... Uczuciem, które w końcu rozpoznał jako strach. Jej bezpieczeństwo było dla niego zbyt ważne. Nie mógł znieść myśli, że znalazła się w sytuacji, w której nie może jej pomóc. Nie może jej nawet znaleźć.

– Czy mamy przeszukać sadzawki i jezioro, milordzie? – zapytał główny lokaj William, gdy dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły rezultatów.

Marcus spojrział na niego tępo, podczas gdy szum w jego uszach stawał się coraz ostrzejszy, coraz bardziej przeszywający, a łomot jego własnego pulsu wywoływał ból w jego żyłach.

– Jeszcze nie – usłyszał swój zdumiewająco spokojny głos. – Idę do gabinetu naradzić się z panem Huntem. Tam mnie szukaj, gdyby coś się zmieniło.

– Tak jest, milordzie.

Bez pukania wszedł do pokoju, w którym Hunt po kolei przesłuchiwał służących. Siedział teraz za masywnym mahoniowym biurkiem twarzą do pokojówki, która przycupnęła na krześle. Na widok Marcusa zerwała się i dygnęła nerwowo.

– Siadaj – nakazał jej szorstko.

Czy to przez jego ton, jego surową minę, czy może przez samą obecność dziewczyna wybuchnęła płaczem. Marcus z niepokojem zerknął na Simona, który wpatrywał się w pokojówkę ze spokojną, przerażającą nieustępliwością.

– Milordzie – powiedział Hunt cicho, nie spuszczać oka ze służącej, która łkała w rękaw – po rozmowie z tą młodą kobietą... Gertie... doszedłem do wniosku, że może ona dysponować użytecznymi informacjami co do tajemniczej sprawy panny Bowman z dzisiejszego ranka i jej późniejszego zniknięcia. Uważam jednak, że obawa przed zwolnieniem sprawia, iż Gertie milczy. Gdyby pan, jako jej pracodawca, zdołał zagwarantować, iż...

– Nie zostaniesz odprawiona – obiecał Marcus twardym głosem – jeśli natychmiast wszystko mi powiesz. W przeciwnym razie nie tylko zostaniesz zwolniona, lecz dopilnuję, byś stanęła przed sądem za współudział w zniknięciu panny Bowman.

Gertie wytrzeszczyła na niego oczy, a jej łkanie gwałtownie ucichło, gdy odpowiedziała, jękając się z przerażenia:

– M-milordzie... tego ranka p-posłano mnie do panny Bowman z wiadomością, lecz miałam nikomu nie mówić... została zaproszona w tajemnicy na spotkanie w Dworze Motyli... a ona powiedziała, że jeśli komukolwiek powiem, zostanę zwolniona...

– Kto cię posłał? – warknął Marcus, płonąc z gniewu. – Z kim miała się spotkać? Mów, do cholery!

– Posłała mnie hrabina – szepnęła Gertie, porażona wyrazem jego twarzy. – Lady Westcliff, milordzie.

Zanim ostatnie słowo spłynęło z jej ust, Marcus wypadł z pokoju jak burza i wbiegł na schody z morderczą furią.

– Westcliff! – ryknął Simon Hunt, pędząc za nim. – Westcliff... Do diabła, zaczekaj...

Marcus przyspieszył, przeskakiwał teraz po trzy stopnie naraz. Lepiej niż ktokolwiek na ziemi wiedział, do czego jest zdolna hrabina. Jego duszę spowiła czarna chmura przerażenia na myśl, że – tak czy inaczej – może już utracił Lillian.

ROZDZIAŁ 24

Lillian odczuwała wstrząsy z irytującą powtarzalnością. Doszła do siebie na tyle, by zauważyć, że znajduje się w powozie, który kołysze się i podskakuje na drodze, pędząc z dużą szybkością. Wszystko wokół spowijał okropny zapach... rodzaj silnie działającego rozpuszczalnika, może terpentyna. Poruszyła się z konsternacją i uświadomiła sobie, że przyciska ucho do nieustępliwej poduszki wypchanej jakąś wysoko skondensowaną substancją. Czuła się tak potwornie chora, jakby ją otruto. Gardło piekło ją przy każdym oddechu. Mdłości przetaczały się przez nią falami. Jęknęła w proteście, gdy jej otępiały umysł zaczął walczyć, by wyrwać się z tego nieprzyjemnego snu.

Uchyliła powieki i zobaczyła coś nad sobą... twarz, która wydawała pojawiać się i znikać w losowej kolejności. Próbowwała o coś zapytać, dowiedzieć się, co się dzieje, lecz miała wrażenie, że jej mózg nie ma łączności z resztą ciała i choć była świadoma, że mówi, z jej ust płynął tylko niezrozumiały bełkot.

– Sza... – Dłoń o długich palcach spoczęła na jej głowie, by masować czaszkę i skronie. – Odpoczywaj. Wkrótce dojdiesz do siebie, kochanie. Po prostu odpoczywaj i oddychaj.

Zdezorientowana, zamknęła oczy i spróbowała przymusić swój mózg do pracy. Po chwili udało jej się połączyć głos z obrazem.

– Sainvincen... – wymamrotała, walcząc z kołowacującym językiem.

– Tak, kochanie.

Jej instynktowną reakcją była ulga. Przyjaciel. Ktoś, kto jej pomoże. Ulga szybko jednak ustąpiła, gdy instynkt obudził w niej niespokojną czujność. Przetoczyła głowę po udzie St. Vincenta. Obezwładniał ją mdlący zapach... który przykleił się do jej nosa i twarzy, szczypał w oczy. Uniosła palce, aby podrapać skórę, pragnąc go usunąć.

St. Vincent chwycił jej nadgarstki, mrużąc:

– Nie, nie... Pomogę ci. Opuść ręce, kochanie. Grzeczna dziewczynka. Wypij to. Po łyku, bo nie zdołasz zatrzymać tego w żołądku. – Przycisnął do jej warg szyjkę... piersiówkę, bukłak, a może butelkę... i do jej ust spłynęła chłodna woda. Przełknęła ją z wdzięcznością, po czym znieruchomiała, gdy wilgotna szmatka przesunęła się po jej policzkach, nosie i szczęce. – Moje słodkie biedactwo – mruknął St. Vincent, wycierając jej szyję i czoło. – Idiota, który cię do mnie przyniósł, musiał podać ci dwa razy więcej eteru niż to konieczne. Powinnaś się obudzić dawno temu.

Eter. Idiota, który cię do mnie przyniósł... Poczuła pierwsze przebłyski zrozumienia. Spojrzała na niego zamglonym wzrokiem, lecz dostrzegła tylko szczupły zarys jego twarzy i kolor włosów – ciemne złoto ze starych słowiańskich ikon.

– Nie widzę... – wyszeptała.

– To zaraz ustąpi.

– Eter... – zastanawiała się nad słowem, które wydawało się jej znajome. Już je kiedyś słyszała, w jakiejś aptece lub podobnym miejscu. Eter... słodki witriol... używany jako środek odurzający i czasami też przy zabiegach medycznych. – Dlaczego? – zapytała, nie wiedząc, czy niekontrolowane drżenie to rezultat zatrucia eterem czy może świadomości, że leży bezradnie w objęciach wroga.

Nie widziała wyraźnie miny St. Vincenta, lecz usłyszała poważną przepraszącą nutę w jego głosie,

gdy znów się odezwał:

– Nie miałem wyboru w kwestii okoliczności naszego spotkanie, kochanie. W przeciwnym razie dopilnowałbym, by potraktowano cię łagodniej. Powiedziano mi tylko, że jeśli cię chcę, powinienem bezzwłocznie cię odebrać, a w razie mojej zwłoki pozbędą się ciebie w inny sposób. Znając hrabinę, nie zdziwiłbym się, gdyby postanowiła cię utopić w worku niczym kociaki.

– Hrabina – powtórzyła Lillian słabo, wciąż doświadczając trudności w operowaniu grubym, opuchniętym językiem. Jej usta wypełniała ślina, również konsekwencja działania eteru. – Westcliff... Powiedz mu... – Och, jak bardzo pragnęła teraz Marcusa. Tęskniła za jego głębokim głosem, kochającymi dłońmi i twardym ciepłem jego ciała. Marcus nie wiedział jednak, gdzie ona jest ani co się z nią stało.

– Spotkała cię odmiana losu, kruszyno – mruknął cicho St. Vincent, głaszcząc ją po włosach. – Nie ma sensu pytać o Westcliffa... Jesteś już poza jego zasięgiem. – Poruszyła się, pragnąc usiąść, lecz w rezultacie niemal stoczyła się na podłogę powozu. – Spokojnie – wymamrotał St. Vincent, przytrzymując ją lekko za ramiona. – Nie jesteś jeszcze gotowa, by siedzieć o własnych siłach. Nie, przestań. Pochorujesz się.

Gardziła sobą za to, lecz nie zdołała powstrzymać kwilenia strachu, gdy znów osunęła się na jego kolana, a jej głowa spoczęła słabo na jego udzie.

– Co ty robisz? – zdołała wykrztusić, dysząc ciężko i walcząc z mdłościami. – Dokąd jedziemy?

– Do Gretna Green. Pobierzemy się, kochanie.

Trudno jej było pokonać fale mdłości i natychmiastowej paniki.

– Nie będę współpracować – szepnęła w końcu, bezustannie przełykając ślinę.

– Obawiam się, że będziesz – odparł spokojnie. – Znam kilka metod na zagwarantowanie sobie twojego udziału, choć wolałbym nie sprawiać ci niepotrzebnego bólu. A po ceremonii dojdzie do natychmiastowej konsumpcji, która przypieczętuje ten związek.

– Westcliff na to nie pozwoli – wychrypiała. – Nieważne, co zrobisz. On... on ci mnie odbierze.

Głos St. Vincenta był zwodniczo miękki.

– Wtedy nie będzie miał już do ciebie żadnego prawa, moja słodka. Znam go o wiele dłużej niż ty i dlatego wiem, że nie zechce cię po tym, jak ja cię wezmę.

– Nie, jeśli to będzie gwałt – wykrztusiła, wzdrygając się, gdy poczuła lekkie muśnięcie jego dłoni na ramieniu. – Nie będzie mnie winił.

– To nie będzie gwałt – zapewnił St. Vincent łagodnie. – Jeśli coś w życiu potrafię, kochanie, to właśnie... cóż, nie będę się chełpił. Zamiast więc omawiać z tobą szczegóły, zapewnię cię tylko, że choć Westcliff nie będzie cię winił, nie zaryzykuje też upomnienia się o kobietę, która może nosić w łonie bękart innego mężczyzny. Tak jak nie zaakceptowałyby dziewczyny pozbawionej dziewictwa. Z oporami, rzecz jasna, lecz... poinformuje cię, że lepiej dla wszystkich zainteresowanych będzie, jeśli zostaniesz ze mną. A on poślubi jakąś skromną angielską różę, na którą powinien zdecydować się na samym początku. Podczas gdy ty... – musnął palcem wypukłość jej drżącego policzka – w sam raz nadasz się dla mnie. Ośmielę się stwierdzić, że twoja rodzina szybko pogodzi się z nowym zięciem. Dostrzegą zalety tej sytuacji.

Nie zgadzała się z jego analizą, przynajmniej jeśli chodzi o Marcusa. Pokładała o wiele większą wiarę w jego lojalność niż St. Vincent. Nie była to jednak teoria, którą pragnęła przetestować w prawdziwym życiu... zwłaszcza jeśli chodzi o wymuszoną konsumpcję. Leżała nieruchomo przez długą chwilę, odkrywając z ulgą, że wzrok jej wraca, a mdłości ustępują, choć gorzka ślina nadal zbierała się w jej ustach. Teraz, gdy minęła już pierwsza fala konfuzji i paniki, zdołała ponaglić swój otepiały umysł do wyczerpanej pracy. Choć jakaś jej część pragnęła eksplodować gniewem, nie dostrzegała w tym żadnej

korzyści. Wiedziała, że powinna się opanować i zacząć myśleć racjonalnie.

– Chcę usiąść – oświadczyła bez emocji.

St. Vincent ze zdumieniem i podziwem odniósł się do jej spokoju.

– Powoli. I pozwól, że cię podtrzymam, dopóki nie odzyskasz sił.

Przed oczami Lillian zatańczyły snopy białych i błękitnych iskier, gdy pomógł jej usiąść w kącie powozu. Do jej ust znów napłynęła ślina, przetoczyły się przez nią mdłości, lecz zdołała wziąć się w garść. Jej suknia była rozpięta – stanik rozchyłał się aż do talii, odsłaniając pomiętą koszulkę. Jej serce załomotało nerwowo, gdy to zauważyła. Zaczęła bez powodzenia zbierać dłonią poły materiału. Posłała oskarżycielskie spojrzenie St. Vincentowi. Jego twarz była poważna, lecz oczy uśmiechały się wesoło.

– Nie zniewoliłem cię – mruknął. – Jeszcze. Wolę, by moje ofiary były przytomne. Oddychałaś jednak bardzo płytko i obawiałem się, że połączenie nadmiaru eteru z ciasnym gorsetem może cię wykończyć. Zdjąłem więc gorset, lecz w efekcie nie zdołałem zapiąć sukni.

– Wody – zażądała ochryple, po czym upiła ostrożny łyk ze skórzanego bukłaka, który jej podał. Spojrzała na niego kamiennym wzrokiem, doszukując się w nim jakiegokolwiek cienia czarującego towarzysza, którego знаła w Stony Cross Park. Dostrzegła jednak tylko obojętne oczy mężczyzny gotowego na wszystko, by osiągnąć swój cel. Nie miał zasad, cienia honoru ani żadnych ludzkich słabości. Mogła płakać, krzyczeć, błagać – nic by go nie poruszyło. Wiedziała, że nie cofnie się przed niczym, nawet przed gwałtem, by zdobyć to, czego pragnie. – Dlaczego ja? – zapytała głucho. – Dlaczego nie porwałś innej niechętniej dziewczyny dysponującej majątkiem?

– Ponieważ ty okazałaś się najwygodniejszą opcją. A pod względem finansowym jesteś najlepiej uposażona.

– A w dodatku chcesz uderzyć w Westcliffa, ponieważ mu zazdrościsz.

– Kochanie, puszczasz wodze fantazji. Nie zamieniłbym się miejscami z Westcliffem i jego przekłętymi obowiązkami za żadne skarby świata. Chcę tylko poprawić własną sytuację.

– I dlatego jesteś gotów wziąć sobie żonę, która cię znienawidzi? – zapytała, pocierając powieki. Jej oczy wciąż wydawały się jej zamglone i lepkie. – Jeśli myślisz, że kiedykolwiek ci to wybaczę, jesteś próżnym, skupionym na sobie idiotą. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię unieszczęśliwić. Tego właśnie pragniesz?

– W chwili obecnej, kruszyno, pragnę tylko twoich pieniędzy. Potem porozmawiamy o sposobach na to, jak złagodzić twoje uczucia względem mnie. Jeśli to się nie uda, zawsze mogę odesłać cię do jakiejś odległej wiejskiej posiadłości, gdzie za jedyną rozrywkę będzie służyło ci obserwowanie krów i owiec przez okno.

Czuła pulsowanie w głowie. Przytknęła palce do skroni i ścisnęła je stanowczo, pragnąc ukoić ból.

– Nie doceniasz mnie – oświadczyła, zamykając oczy. Jej serce zamieniło się w zimny, twardy kamień.

– Uczynię z twojego życia piekło. Może nawet cię zamorduję.

Jej deklarację powitał cichy, niewesoły śmiech.

– Zawsze wiedziałem, że ktoś to kiedyś zrobi. Równie dobrze może to być moja własna żona.

Lillian zacisnęła mocno powieki, czując piekące bezużyteczne łzy. Nie będzie płakać. Zaczeka na właściwy moment... a jeśli będzie musiała go zamordować, by od niego uciec, z radością się do tego posunie.

Zanim Marcus dotarł do prywatnych apartamentów hrabiny z Simonem Huntem, który deptał mu po piętach, hałas przykuł uwagę połowy domu. Koncentrując się na dotarciu do tej nikczemnej suki, swojej matki, Marcus nie dostrzegał zdumionych min służących, których mijał w biegu. Ignorował też wezwania Hunta, by się uspokoił, zapomniał o gniewie i zachowywał się racjonalnie. Jeszcze nigdy w życiu nie

uległ do tego stopnia emocjom.

Gdy stanął przed drzwiami apartamentu matki, odkrył, że są zamknięte. Zaczął gwałtownie szarpać za klamkę.

– Otwierać! – ryknął. – Otwierać natychmiast!

Po chwili ciszy zza drzwi padła odpowiedź przerażonej pokojówki:

– Milordzie... hrabina nakazała przekazać panu, że teraz odpoczywa.

– Wyślę ją na przekłętą wieczny odpoczynek – warknął – jeśli te drzwi natychmiast nie zostaną otwarte.

– Milordzie, proszę...

Cofnął się trzy lub cztery kroki, po czym staranował drzwi ramieniem. Skrzydło zatrzęsło się na zawiasach i częściowo ustąpiło z trzaskiem. W korytarzu rozległy się przerażone okrzyki dam, które stały się mimowolnymi świadkami tego zdumiewającego pokazu gniewnej gorączki.

– Dobry Boże! – zawołała jedna z nich. – On oszalał!

Marcus cofnął się i znów natarł na drzwi, z których tym razem posypały się drzazgi. Gdy poczuł na sobie dłonie Simona Hunta, okręcił się z uniesioną pięścią, gotów atakować na wszystkich frontach.

– Jezu – mruknął Hunt, cofając się o krok i podnosząc ręce w geście kapitulacji. Jego twarz była napięta, a oczy szeroko otwarte. Wpatrywał się w przyjaciela, jakby był obcym człowiekiem. – Westcliff...

– Zejdź mi z drogi, do cholery!

– Z radością. Pozwól mi tylko zauważyć, że gdybyśmy zamienili się miejscami, jako pierwszy doradzałbyś mi zachowanie spokoju...

Ignorując go, Marcus odwrócił się do drzwi, po czym wymierzył w wyłamany zamek potężne, idealnie wycelowane kopnięcie butem. W korytarzu rozległ się okrzyk pokojówki, gdy drzwi stanęły otworem. Wpadł do salonu i od razu skierował się ku sypialni. Hrabina siedziała w fotelu przy kominku. Była ubrana, na szyi miała sznur pereł. Wpatrywała się w niego z pogardliwym rozbawieniem.

Oddychając ciężko, zbliżał się do niej powoli, łaknąc krwi. Hrabina nie zdawała sobie, rzecz jasna, sprawy, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, w przeciwnym razie nie zachowywałaby się tak spokojnie.

– Jesteśmy dziś w zwierzęcym nastroju, nieprawdaż? – zapytała. – Twój upadek od dżentelmena do dzikiego brutala wydarzył się wyjątkowo szybko. Muszę pogratulować panie Bowman skuteczności.

– Co jej zrobiłaś?

– Co ja jej zrobiłam? – Zadrwiła z niego, przybierając maskę niewinnego zdumienia. – O czym ty, do diabła, mówisz, Westcliff?

– Spotkałaś się z nią dziś rano w Dworze Motyli.

– Nigdy nie odchodzę tak daleko od domu – oświadczyła hrabina wyniośle. – Cóż to za niedorzeczne oskar... – Krzyknęła głośno, gdy Marcus chwycił w palce sznury pereł na jej szyi i zacisnął je wokół jej gardła.

– Powiedz mi, gdzie ona jest, albo skręcę ci kark!

Simon Hunt znów rzucił się na niego, pragnąc zapobiec morderstwu.

– Westcliff!

Marcus zacisnął dłoń na perłach jeszcze mocniej. Bez mrugnięcia wpatrywał się w twarz matki, dlatego też nie umknął mu błysk mściwego triumfu w jej oczach. Nie oderwał od niej wzroku, nawet gdy dobiegł go głos Livii:

– Marcusie! Marcusie, posłuchaj mnie! Masz moją zgodę na to, by ją udusić. Nawet ci pomogę. Zaczekajmy z tym jednak, dopóki nam nie powie, co uczyniła.

Marcus zacisnął sznur pereł na chudej szyi, aż staruszka wytrzeszczyła oczy.

– Jedyna wartość, jaką dla mnie przedstawiasz – oświadczył niskim głosem – to twoja wiedza na temat miejsca pobytu Lillian Bowman. Jeśli jej od ciebie nie uzyskam, poślę cię do diabła. Mów albo wyduszę z ciebie te słowa. I możesz mi wierzyć, mam w sobie na tyle z ojca, by zrobić to bez wyrzutów sumienia.

– O tak, masz go w sobie – odparła hrabina ochryple. Gdy jego ucisk na perłach nieco się poluźnił, uśmiechnęła się z nikczemnym rozbawieniem. – Widzę, że wszystkie pozory bycia szlachetniejszym, lepszym i mądrzejszym niż twój ojciec w końcu zniknęły. To stworzenie zatruło cię, a ty nawet tego...

– Mów! – ryknął.

Na jej twarzy po raz pierwszy odmalował się niepokój, który nie przesłonił jednak przekonania o własnej nieomyślności.

– Przyznaję, że spotkałam się dziś rano z panną Bowman w Dworze Motyli... gdzie podzieliła się ze mną swoimi planami ucieczki z lordem St. Vincentem. Postanowiła, że wyjdzie za niego.

– To kłamstwo! – rozległ się oburzony okrzyk Livii, a przy drzwiach wybuchło poruszenie. Paprotki równie zaciekle zaprzeczyły temu twierdzeniu.

Marcus uwolnił hrabinę, jakby go oparzyła. Jego pierwszą reakcją była obezwładniająca ulga, że Lillian wciąż żyje. Ulgę szybko zastąpiła jednak świadomość, że nie jest bezpieczna. W świetle bankructwa St. Vincenta głęboki sens miało porwanie Lillian. Marcus odwrócił się od matki, nie chcąc jej już nigdy więcej widzieć i nie panując nad sobą na tyle, by z nią rozmawiać. Utkwił wzrok w Simonie Huncie, który dokonał już pospiesznych kalkulacji.

– Oczywiście zawiezie ją do Gretna Green – mruknął – wybierając przy tym główną drogę przez Hertfordshire. Nie będzie ryzykował podróży mniej uczęszczanymi trasami w obawie, że utonie w błocie albo połamie koła na wybojach. Z Hertfordshire do Szkocji jest około czterdziestu pięciu godzin jazdy... co przy prędkości piętnastu kilometrów na godzinę z okazjonalnymi przystankami na zmianę koni...

– Nigdy ich nie dogonisz! – krzyknęła hrabina, zanosząc się gdaczącym śmiechem. – Mówiłam ci, że postawię na swoim, Westcliff!

– Och, zamknij się, ty stara wiedźmo! – zawołała Daisy Bowman od progu. Jej oczy zogniły na tle bladej twarzy. – Milordzie, czy mam pobiec do stajni i nakazać osiodłać konia?

– Dwa konie – wtrącił Simon Hunt stanowczo. – Jadę z nim.

– Które...

– Ebony i Yasmin – odparł Marcus. Były to jego najlepsze araby hodowane do pokonywania długich dystansów. Nie były równie szybkie, jak konie czystej krwi, lecz cechowała je o wiele większa wytrzymałość; mogły galopować przez wiele godzin, utrzymując tempo trzy razy szybsze niż powóz St. Vincenta.

Daisy zniknęła w mgnieniu oka, a Marcus zwrócił się do siostry:

– Dopilnuj, by hrabina wyjechała, zanim wrócę – nakazał jej krótko. – Spakuj wszystko, co będzie jej potrzebne, i odeślij ją jak najdalej stąd.

– Dokąd? – zapytała blada, lecz opanowana Livia.

– Nie obchodzi mnie to, byle już nigdy nie wróciła.

Uświadomiwszy sobie, że właśnie została skazana na wygnanie, hrabina uniosła się z fotela.

– Nie pozwolę, by pozbyto się mnie w taki sposób! Nie pozwolę na to, milordzie!

– I powiedz hrabinie – dodał Westcliff – że jeśli pannę Bowman spotka jakakolwiek krzywda, powinna się modlić, bym nigdy jej nie znalazł.

Wyszedł z pokoju, przepychając się przez tłum, który zebrał się w korytarzu. Simon Hunt podążył za nim. Przystanął tylko na chwilę, by szepnąć coś do Annabelle i ucałować jej czoło. Odprowadzała go wzrokiem, marszcząc z niepokojem brwi i przygryzając wargi, by nie przywołać go do siebie z powrotem.

Po długiej chwili milczenia hrabina wymamrotała:

– Nieważne, co się ze mną stanie. Pocięsam się świadomością, że zapobiegłam zbrukaniu rodzinnego rodowodu.

Livia odwróciła się do matki i posłała jej na poły współczujące, na poły pogardliwe spojrzenie.

– Marcus nigdy nie zawodzi – oświadczyła cicho. – Większość dzieciństwa upłynęła mu na pokonywaniu niemożliwych przeszkód. A teraz, gdy w końcu znalazł to, o co warto walczyć... Czy naprawdę myślisz, że pozwoli, by coś stanęło mu na drodze?

ROZDZIAŁ 25

Konsekwencje działania eteru sprawiły, że pomimo lęku i zmartwień Lillian zasnęła z głową opartą na wyściełanej aksamitem ścianie powozu. Gdy klekotanie powozu w końcu ustało, ocknęła się. Bolały ją plecy, a stopy miała zimne i odrętwiałe. Potarła piekące oczy, zastanawiając się, czy to wszystko jej się przyśniło. Zapragnęła obudzić się w swojej cichej małej sypialni w Stony Cross Park... lub lepiej – w przestronnym łóżu, które dzieliła z Marcusem. Gdy otworzyła oczy i dostrzegła wewnątrz powozu St. Vincenta, poczuła bolesny ucisk w sercu.

Jej palce drżały, gdy niezdarnym ruchem uniosła zasłonę z okna. Był wczesny wieczór, słońce rzuciło ostatnie promienie na rzadki dębowy zagajnik. Powóz stał przed zajazdem, nad którego wejściem wisiał szyld z bykiem i ustami. Była to obszerna gospoda mogąca pomieścić w stajniach nawet sto koni i zaproponować podróżującym po głównej drodze nocleg w trzech połączonych budynkach.

Dostrzegając ruch na siedzeniu obok, Lillian odwróciła się i zeszywniała, gdy oba jej nadgarstki zostały zwinnie uwięzione za jej plecami.

– Co... – W tej samej chwili zimne metalowe obręcze zamknęły się na jej kostkach. Szarpnęła rękę, lecz okowy nie ustąpiły. Kajdanki, uświadomiła sobie. – Ty draniu... – Jej głos drżał z furii. – Ty tchórze. Ty cholerny... – Urwała, gdy St. Vincent zakneblował ją kawałkiem materiału.

– Przepraszam – mruknął do jej ucha bez cienia skruchy. – Nie powinnaś się szarpać, kruszyno. Tylko się posiniaczysz. – Jego ciepłe palce zamknęły się wokół jej lodowatych pięści. – Interesująca zabawka – dodał, przesuwając kciukiem po metalu na jej skórze. – Niektóre moje znajome bardzo ją sobie upodobały. – Odwrócił do siebie jej zeszywniałe ciało i uśmiechnął się na widok gniewnego zdumienia na jej twarzy. – Moja niewinna... Z radością udzielę ci stosownych nauk.

Wypychając knebel suchym językiem, Lillian nie zdołała oprzeć się refleksji, że ma do czynienia z wyjątkowo piękną i zdradziecką istotą. Nikczemnik powinien mieć czarne włosy i pokrytą brodawkami twarz, by paskudny wygląd odzwierciedlał jego podłą naturę. Było głęboko niesprawiedliwe, że bezduszna bestia pokroju St. Vincenta została obdarzona taką urodą.

– Zaraz wrócę – dodał. – Nie ruszaj się. I postaraj się nie sprawiać kłopotów.

Zadufany dupek, pomyślała gorzko, podczas gdy narastająca panika wzbudziła ucisk w jej gardle. Bez mrugnięcia obserwowwała, jak St. Vincent otwiera drzwi i wyskakuje z powozu. Półmrok zwiastował nadejście wieczoru. Zmuszając się do uspokojenia oddechu, Lillian postanowiła pokonać strach. Na pewno nadarzy się chwila, jakaś okazja, którą będzie mogła wykorzystać na ucieczkę. Musiała tylko czekać.

Jej nieobecność w Stony Cross Park zauważono pewnie wiele godzin temu. Zaczną jej szukać... będą tracić czas, martwić się... a hrabina będzie czekać w milczeniu, czerpiąc satysfakcję ze świadomości, iż pozbyła się przynajmniej jednej kłopotliwej Amerykanki. Co myśli sobie teraz Marcus? Co sobie... Nie, nie mogła zadrećcać się takimi pytaniami, bo piekły ją oczy. Nie mogła się rozplakać. St. Vincent nie pozna satysfakcji płynącej z patrzenia na dowody jej słabości.

Wykręcając uwięzione w kajdankach dłonie, próbowała sprawdzić mechanizm zamka, lecz w jej obecnej pozycji było to niemożliwe. Odprężyła się więc na siedzeniu i wbiła gniewne spojrzenie

w drzwi, które po chwili się otworzyły.

St. Vincent wspiął się do środka i dał sygnał woźnicy. Powóz potoczył się powoli po dziedzińcu za gospodą.

– Za chwilę zaniosę cię na górę do pokoju, w którym będziesz mogła ulżyć swoim osobistym potrzebom. Niestety, nie mamy czasu na posiłek, lecz obiecuję, że jutro zjemy przyzwoite śniadanie.

Gdy powóz znów się zatrzymał, St. Vincent objął ją w talii i pociągnął ku sobie. Jego błękitne oczy rozblęskły zachwytem na widok jej piersi w cienkiej koszulce wysuwającej się z rozpiętej sukni. Otulił ją swoim surdudem, by ukryć kajdanki i knebel, po czym przewiesił ją sobie przez ramię.

– Nawet nie próbuj walczyć – usłyszała jego głos, stłumiony przez ciężki materiał. – Bo mogę postanowić, że opóźnię naszą podróż, by pokazać ci dokładnie, dlaczego moje kochanki darzą kajdanki takim gorącym uczuciem.

Zdyscyplinowana realną groźbą gwałtu, Lillian znieruchomiała, gdy wyniósł ją z powozu, przeszedł przez tylny dziedziniec zajazdu i stanął przed schodami. Ktoś musiał ich minąć i zapytać o bezwonną kobietę na jego ramieniu, ponieważ St. Vincent odpowiedział z niewesołym śmiechem:

– Moja pani trochę się zawiąła, obawiam się. Słabość do dzinu ją gubi. Zadziera nosa na widok dobrej francuskiej brandy i traci głowę, gdy widzi pędzony na boku bimber.

Komentarz ten sprowokował serdeczny śmiech nieznanego, a Lillian poczuła wzbierającą w niej furję. Liczyła kroki, gdy St. Vincent wchodził na schody... Dwadzieścia osiem i jedno półpiętro. Znaleźli się na wyższym poziomie budynku przed drzwiami prowadzącymi na wewnętrzny korytarz. Niemal dusząc się pod materiałem surduta, próbowała określić, ile drzwi minęli, gdy St. Vincent szedł korytarzem. Gdy wszedł do pokoju, stopą zamknął drzwi.

Zaniósł ją na łóżko i ułożył na nim ostrożnie, po czym zdjął z niej surdut i odsunął z jej zaczerwienionej twarzy burzę dzikich loków.

– Muszę dopilnować, by zaprzęgli przyzwoitą czwórkę do naszego powozu – mruknął. Jego oczy były piękne jak drogie kamienie. I równie zimne. – Niedługo wrócę.

Zastanawiała się, czy St. Vincent jest w stanie odczuwać jakiegokolwiek szczere emocje, czy może idzie przez życie jak aktor na scenie, przybierając miny służące jego celom. Coś w jej intensywnym spojrzeniu sprawiło, że jego uśmiech zbladł, a zachowanie zmieniło się na bardziej rzeczowe, gdy wyjął coś z kieszeni surduta. Klucz, pomyślała, czując w piersi ukłucie gwałtownego podekscytowania. St. Vincent odwrócił ją na bok i otworzył kajdanki. Nie zdołała powstrzymać westchnienia ulgi, gdy uwolnił jej rękę. Jej radość była jednak krótkotrwała. Chwycił jej nadgarstki, pokonując ją z irtującą łatwością, po czym uniósł je do żelaznych sztachet zagłówek łóżka, aby tam na powrót je zamknąć. Choć Lillian z całych sił próbowała utrudnić mu to zadanie, nie odzyskała jeszcze w pełni sprawności.

Wyciągnięta pod nim na łóżku, z rękami unieruchomionymi nad głową, mierzyła go nieufnym spojrzeniem, poruszając ustami pod kneblem. Zlustrował jej nieruchome ciało beczelnym spojrzeniem, jakby udowadniał im obojgu, że Lillian znajduje się całkowicie na jego łasce. Proszę, Boże, nie pozwól... pomyślała. Nie odwróciła jednak wzroku ani się nie skuliła, wyczuwając, że jest przy nim bezpieczna po części dlatego, iż nie okazuje strachu. W jej gardle wezbrał bolesny jęk, gdy St. Vincent uniósł doświadczoną dłoń ku obnażonej skórze jej dekoltu i pogładził brzeg koszulki.

– Gdybyśmy tylko mieli czas na zabawę... – oświadczył lekko. Wpatrując się w jej twarz, przesunął palce na wypukłość jej piersi i pieścił ją, aż sutek stwardniał pod jego dotykiem. Zawstydzona i wściekła, Lillian zaczęła gwałtownie oddychać przez nos.

Odsunął powoli dłoń, po czym wstał.

– Wkrótce – wymruczał, choć nie było jasne, czy ma na myśli swój powrót ze stajni czy może swój zamiar przespania się z nią.

Zamknęła oczy, wsłuchując się w odgłos jego kroków. Drzwi otworzyły się i zamknęły, a w zamku przekreślił się klucz. Poruszając się na materacu, wykręciła szyję, by spojrzeć z ukosa na kajdanki, którymi przykuł ją do łóżka. Były wykonane ze stali, połączone łańcuchem i ozdobione grawerunkiem „Higby-Dumfries #30, Kute Żelazo/Wyrób Brytyjski”. Każda z obręczy miała osobną zapadkę i zamek przymocowany do łańcucha zagiętymi trzpieniami wkutymi w metal.

Podniosła się nieco wyżej i zdołała wyjąć jedną ze szpilek wpiętych w potargane włosy. Wyprostowała ją, wygięła jeden koniec, po czym włożyła ją do zamka, próbując podważyć małą zapadkę. Koniec szpilki ślizgał się w zamku, który okazał się dość trudny do podważenia. Przeklinając, gdy szpilka wygięła się od nacisku, Lillian wyjęła ją, wyprostowała i spróbowała raz jeszcze, tym razem napierając nadgarstkiem na wewnętrzną krawędź obręczy. Nagle rozległo się ostre kliknięcie, a obręcz zsunęła się z jej ręki.

Zeskoczyła z łóżka, jakby się paliło, i pobiegła do drzwi z kajdankami zwisającymi z jednego nadgarstka. Zerwała knebel i wypluła przeklętą szmatę. Rzuciła to wszystko na bok, po czym uklękła przed drzwiami. Z pomocą drugiej szpilki zdołała otworzyć zamek. Lata ćwiczeń nie poszły na marne.

– Dzięki Bogu – szepnęła, gdy drzwi się otworzyły. Słyszając głosy i dźwięki płynące z dołu, rozmyślała przez chwilę i doszła do wniosku, że szanse na to, iż natknie się tam na życzliwie nastawionego nieznajomego, który udzieli jej pomocy, są większe, niż gdyby miała szukać jej w stajniach, w której roiło się od lokajów i woźniców. Wyjrzała na korytarz, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, po czym wybiegła za próg.

Świadoma pomiętej sukni i rozpiętego stanika, zebrała poły materiału, zbiegając po schodach. Jej serce boleśnie kołatało, a głowę wypełniał szum. Napełniła ją szalona desperacja, sprawiając, że czuła się zdolna do wszystkiego. Jej ciało uległo sile wykraczającej poza jej wolę, wprawiając stopy w gwałtowne drżenie.

Stała w głównej sali gospody i rozejrzała się. Ludzie przerwali rozmowy i odwrócili do niej zdumione twarze. Lillian zobaczyła duży stół w kącie i krzesła zajęte przez czterech lub pięciu porządnie ubranych dżentelmenów. Podeszła do nich w pośpiechu.

– Muszę porozmawiać z właścicielem gospody – oświadczyła bez wstępów. – Albo z zarządcą. Z kimś, kto zdoła mi pomóc. Muszę...

Urwała, gdy usłyszała swoje imię. Obejrzała się przez ramię, obawiając się, że St. Vincent zauważył jej ucieczkę. Całe jej ciało zeszywniało w bojowej gotowości. Nigdzie nie dostrzegła jednak nawet śladu St. Vincenta.

Znów usłyszała męski głos, który przeszył jej duszę:

– Lillian.

Nogi ugięły się pod nią, gdy zauważyła stojącego w progu umięśnionego, ciemnowłosego mężczyznę. To niemożliwe, pomyślała, mrugając szybko, aby odzyskać ostrość widzenia. Wzrok chyba wciąż płatał jej figle. Zatoczyła się nieco, odwracając się twarzą do mężczyzny.

– Westcliff... – szepnęła, z wahaniem postępując naprzód.

Reszta sali zniknęła. Marcus, poblady pod opalenizną, wpatrywał się w nią z tak palącą intensywnością, jakby obawiał się, że zaraz zniknie. Przyspieszył kroku, dotarł do niej, porwał ją w ramiona i zamknął w bolesnym uścisku.

– Mój Boże... – mruknął, ukrywając twarz w jej włosach.

– Przyjechałeś – wykrztusiła cicho, wstrząsana dreszczami. – Znalazłeś mnie. – Nie rozumiała, jak to możliwe. Pachniał kołniami i potem, a jego ubranie było przesiąknięte panującym na zewnątrz chłodem. Czując jej drżenie, objął ją połamami swego surduta i zaczął szeptać czułe słowa w jej włosy. – Marcusie – jęknęła przez łzy. – Czy ja oszalałam? Och, proszę, bądź prawdziwy. Proszę, nie odchodź...

– Jestem tutaj. – Jego głos był niski i drżący. – Jestem tu i nigdzie się nie wybieram. – Odsunął ją lekko i powiódł ciemnymi oczami po jej ciele, po czym zaczął jej badawczo dotykać. – Moja miłości, moja jedyna... Jesteś ranna? – Gdy przesunął palce na jej rękę, natknął się na obręcz kajdanek. Uniósł jej nadgarstek i spojrzał na nie nierozumiejącym wzrokiem. Gwałtownie wciągnął powietrze, a jego ciało zaczęło się trząść z prymitywnej furii. – Do ciężkiej cholery, poślę go do piekła...

– Nic mi nie jest – wtrąciła pospiesznie. – Nie jestem ranna.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował szorstko, po czym przytulił jej palce do swojego policzka. Jego oddech muskał miarowo jej nadgarstek.

– Lillian, czy on...

Dostrzegając w jego udręczonych oczach pytanie, którego nie zdołał wypowiedzieć, odparła ochryple:

– Nie, do niczego nie doszło. Nie było czasu.

– I tak go zabiję. – Mordercza nuta w jego głosie przyprawiła ją o dreszcz. Dostrzegając rozpięty stanik jej sukni, odsunął ją od siebie, by zdjąć surdut i otulić nim jej ramiona. Nagle znieruchomiał. – Ten zapach... Co to takiego?

Uświadomiwszy sobie, że jej skóra i ubrania przesiąkły obrzydliwym zapachem, Lillian zawahała się.

– To eter – powiedziała w końcu, próbując zmusić drżące wargi do uśmiechu, gdy zauważyła, że jego oczy zamieniają się w kałuże czerni. – Nie było tak źle, naprawdę. Większość dnia przespałam. Poza lekkimi mdłościami...

Z jego gardła dobył się zwierzęcy warkot, gdy znów ją do siebie przytulił.

– Przepraszam. Tak bardzo mi przykro. Lillian, moja słodka miłości... Już jesteś bezpieczna. Nigdy więcej nie pozwolę, by coś ci się stało. Przysięgam na moje życie. Jesteś bezpieczna. – Ujął jej twarz w dłonie i musnął jej usta w pocałunku tak przelotnym i lekkim, a zarazem tak szokująco intensywnym, że zakręciło się jej w głowie. Zamknęła oczy i oparła się na nim, wciąż jeszcze obawiając się, że to nie jest prawdziwe, że zaraz się obudzi i znów zobaczy St. Vincenta.

Marcus szeptał słowa otuchy w jej rozchylone wargi i policzki. Trzymał ją w uścisku, który wydawał się delikatny, lecz z którego nie wyrwałoby jej dziesięciu mężczyzn. Rozglądając się w jego bezpiecznych objęciach, napotkała wzrok zbliżającego się Simona Hunta.

– Pan Hunt – powiedziała, zaskoczona, gdy Marcus przesunął wargi na jej skroń.

Hunt spojrzał na nią z troską.

– Dobrze się pani czuje, panno Bowman?

Musiała się nieco wykręcić, by uniknąć badawczych ust Marcusa, gdy odpowiedziała bez tchu:

– O, tak. Tak. Jak pan widzi, nie spotkała mnie żadna krzywda.

– Co za ulga – odparł Hunt z uśmiechem. – Rodzina i przyjaciele bardzo się o panią martwią.

– Hrabina... – napomknęła, lecz urwała, zastanawiając się, jak wyjaśnić Marcusowi ogrom tej zdrady. Gdy jednak spojrzała w oczy Marcusa, w ich błyszczących sobolowych głębinach dostrzegła tylko nieskończoną troskę. Jak mogła uważać go za pozbawionego emocji?

– Wiem, co się wydarzyło – zapewnił ją cicho, wygładzając dziką grzywę jej włosów. – Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Zniknie na dobre, zanim wrócimy do Stony Cross Park.

Pytania i obawy napływały wzburzoną falą, lecz zwyciężyło nagłe wyczerpanie. Koszmar na jawie dobiegł do upragnionego końca, nic więcej nie mogła zrobić. Czekwała cierpliwie, opierając policzek na ramieniu Marcusa, i nieuważnie przysłuchiwała się rozmowie, która się nawiązała.

– ...muszę znaleźć St. Vincenta... – wyłapała słowa ukochanego.

– Nie – odparł Simon Hunt z naciskiem. – Ja go znajdę. Ty zajmij się panną Bowman.

– Potrzebujemy prywatności.

– Tuż obok jest mały pokój... w zasadzie bardziej przedsiónek...

Hunt urwał nagle, a Lillian poczuła, że ciało Marcusa ogarnia nowe, mordercze napięcie. Jego mięśnie stężyły niebezpiecznie, gdy odwrócił głowę ku schodom.

St. Vincent postanowił zejść na dół po tym, jak wynajęty po drugiej stronie zajazdu pokój okazał się pusty. Przystanął w pół kroku i objął wzrokiem osobliwą scenę, która rozgrywała się przed jego oczami... grupę zdumionych gapiów, głęboko dotkniętego właściciela zajazdu... i hrabiego Westcliffa, który wpatrywał się w niego z żądzą mordy.

W gospodzie zapadła głucha cisza, w której wszyscy wyraźnie usłyszeli cichy warkot Westcliffa:

– Na Boga, zabiję cię.

Oszołomiona Lillian szepnęła:

– Marcusie, zaczekaj...

Została jednak bezceremonialnie pchnięta na Simona Hunta, który złapał ją instynktownie, gdy Marcus rzucił się ku schodom. Zamiast ominąć balustradę, przeskoczył nad nią i wylądował na stopniach jak kot. St. Vincent odwrócił się do ucieczki, lecz Marcus wybił się w górę, chwycił go za nogi i ściągnął w dół. Siłowali się, przeklinali i wymieniali bolesne ciosy, aż St. Vincent wymierzył kopniaka w głowę Marcusa. Przetaczając się na bok, by uniknąć ciężkiego buta, Westcliff uwolnił przeciwnika. Wicehrabia znów rzucił się do ucieczki, a Marcus skoczył za nim. Wkrótce obaj zniknęli na półpiętrze. Tłum rozochoconych mężczyzn podążył za nimi, wykrzykując porady, stawiając zakłady i wiwatując na widok dwóch szlachciców walczących niczym ponaglone ostrogami koguty.

Pobladła Lillian zerknęła na Simona Hunta, który uśmiechał się lekko.

– Nie pomoże mu pan? – zapytała.

– O nie. Westcliff nigdy by mi nie wybaczył, gdybym zainterweniował. To jego pierwsza bójka w tawernie. – Przesunął przyjacielskim wzrokiem po jej ciele, próbując oszacować jej stan. Gdy zakołysała się lekko, położył dużą dłoń na jej plecach i poprowadził ją do najbliższego krzesła. Z góry dobiegała kakofonia dźwięków. Ciężkie tąpnięcia wprawiały w drzenie cały budynek. Słysząc było też odgłosy łamania mebli i rozbijania szkła. – Cóż – mruknął Hunt, ignorując hałasy – jeśli pozwoli mi pani rzucić okiem na kajdanki, może będę mógł coś poradzić.

– Nic nie da się zrobić – odparła znużona Lillian. – St. Vincent nosi klucz w kieszeni, a mnie skończyły się szpilki.

Usiadł obok niej, ujął spętany nadgarstek i przyjrzał się mu z namysłem. W końcu oświadczył z raczej niestosowną w tej sytuacji satysfakcją:

– Dobrze się składa. To para Higby-Dumfries numer trzydzieści.

Lillian posłała mu sardoniczne spojrzenie.

– Jest pan amatorem kajdanek?

Hunt wygiął lekko wargi w uśmiechu.

– Nie, lecz mam przyjaciela w służbie ochrony porządku publicznego. A te kajdanki stanowiły standardowe wyposażenie Nowej Policji, dopóki nie odkryto w nich wady konstrukcyjnej. Teraz można zakupić tuzin par Higby-Dumfries w każdym lombardzie w Londynie.

– Jakiej wady konstrukcyjnej?

W odpowiedzi przesunął obręcz na jej nadgarstku tak, by zapadka i zamek znalazły się na dole. Znieruchomiał, gdy z góry znów dobiegł odgłos łamanych mebli, po czym uśmiechnął się na widok grymasu na twarzy Lillian.

– Zaraz tam pójde – zapewnił ją łagodnie – lecz najpierw... – Wyjął z kieszeni chusteczkę i wsunął ją pomiędzy jej nadgarstek a metalową obręcz, tworząc prowizoryczną wyściółkę. – Proszę. To złagodzi siłę ciosu.

– Ciosu? Jakiego ciosu?

– Proszę się nie ruszać.

Pisnęła z przerażeniem, gdy uniósł jej nadgarstek wysoko nad stołem, po czym z całej siły uderzył zapadką w blat. Wstrząs sprawił, że mechanizm się otworzył, a obręcz zsunęła się z ręki Lillian jak za sprawą magii. Oszołomiona, spojrzała na niego z uśmiechem, pocierając nadgarstek.

– Dziękuję. Ja...

Znów rozległ się głośny łomot, tym razem bezpośrednio nad ich głowami, a chór podekscytowanych okrzyków sprawił, że ściany zajazdu zadrżały w posadach. Nad wszystkim tym unosił się przenikliwy głos oberżysty, który żalił się, że wkrótce z jego zajazdu zostaną tylko drzazgi.

– Panie Hunt, może jednak spróbuje się pan na coś przydać lordowi Westcliffowi! – krzyknęła Lillian.

Hunt uniósł kpiąco brwi.

– Nie boi się pani chyba, że St. Vincent go pokona?

– Nie chodzi o to, czy pokładam dostateczne zaufanie w umiejętnościach lorda Westcliffa – odparła niecierpliwie. – Raczej o to, że wierzę w niego nawet za bardzo. I wolałabym do tego wszystkiego nie musieć składać zeznań na procesie o morderstwo.

– Ma pani słuszość. – Hunt wstał, złożył chusteczkę i schował ją do kieszeni surduta. Odwrócił się do schodów z westchnieniem, mrużąc: – Przez cały dzień próbuję powstrzymać go od mordowania ludzi.

Lillian nigdy nie zdołała w pełni przypomnieć sobie reszty tego wieczoru. Pamiętała tylko tę chwilę, kiedy znów stanęła obok Marcusa. Otoczył ramieniem jej plecy, aby podtrzymać jej słabnące ciało. Potargany i nieco posiniaczony, promieniował pierwotną energią zdrowego samca, który właśnie wziął udział w walce. Został bohaterem wieczoru, każdy starał się go zadowolić. Uzgodniono, że wszyscy przenocują Pod Bykiem i Ustami, a bladym świtem pan Hunt wróci do Stony Cross Park. W międzyczasie Hunt zapakował St. Vincenta, a raczej to, co z niego zostało, do powozu i odesłał go do jego londyńskiej rezydencji. Wyglądało na to, że nie zostanie oficjalnie oskarżony za swoje przewinienia, ponieważ to tylko zamieniłoby ten epizod w ogromny skandal.

Gdy poczyniono wszelkie ustalenia, Marcus zaniósł Lillian do największego pokoju w zajeździe, gdzie czekały już kąpiel i jedzenie. Pokój był skąpo umeblowany, lecz bardzo czysty, a na obszernym łóżku pyszniły się świeża pościel i miękkie, wyblakłe koce. Przy kominku ustawiono starą miedzianą wannę, którą dwie pokojówki napełniły wodą z parujących dzbanków. Gdy Lillian czekała, aż woda ostygnie, Marcus wmusił w nią talerz zupy, która okazała się dość znośna, choć jej składników nie dało się zidentyfikować.

– Co to są te małe brązowe kawałki? – zapytała podejrzliwie, otwierając niechętnie usta, do których Marcus znów podniósł łyżkę.

– Nieważne. Jedz.

– To baranina? Wołowina? Czy to kiedyś miało rogi? Kopyta? Pióra? Łuskę? Nie lubię jeść czegoś, o czym nie wiem, skąd...

– Jeszcze – powiedział nieustępliwie, znów wpychając łyżkę w jej usta.

– Jesteś tyranem.

– Wiem. Napij się wody.

Poddając się jego apodyktycznym zabiegom – tylko na tę jedną noc – Lillian dokończyła lekki posiłek. Jedzenie dodało jej sił; poczuła przypływ energii, gdy Marcus posadził ją sobie na kolanach.

– A teraz – powiedział, tuląc ją do swej piersi – opowiedz mi od samego początku, co się wydarzyło.

Z ożywieniem, niemal gawędziarskim tonem, zrelacjonowała swoje spotkanie z lady Westcliff w Dworze Motyli oraz kolejne wydarzenia. Musiała brzmieć jak osoba na skraju nerwowego załamania, ponieważ Marcus od czasu do czasu przerywał jej kojącymi pomrukami. Koncentrował na niej swą

uwagę z nieskończoną łagodnością. Muskał wargami jej włosy, a jego ciepły oddech owiewał jej czaszkę. Powoli się odprężyła, jej kończyny stały się ciężkie i bezwolne.

– Jak ci się udało tak szybko przekonać hrabinę, by się przyznała? – zapytała. – Myślałam, że będzie się opierać przez wiele dni, a skapitułuje tylko pod groźbą śmierci...

– Przed takim właśnie wyborem stanęła.

Oczy Lillian zognomniały.

– Och – szepnęła. – Tak mi przykro, Marcusie. Przecież to twoja matka...

– Tylko w najbardziej technicznym rozumieniu tego słowa – mruknął sucho. – Nie żywiłem do niej synowskiego przywiązania już wcześniej, lecz nawet gdyby było inaczej, umarłoby ono po jej dzisiejszym postępku. Wyrządziła już dość szkód jak na jedno życie. Postaramy się zatrzymać ją w Szkocji albo wyślemy ją za granicę.

– Czy hrabina zdradziła ci, co sobie powiedziałyśmy? – zapytała z wahaniem.

Pokręcił głową, wykrzywiając wargi w grymasie.

– Przyznała tylko, że postanowiłaś uciec z St. Vincentem.

– Uciec? – powtórzyła zszokowana Lillian. – To znaczy celowo... jakbym go wybrała... – Urwała z przerażeniem, wyobrażając sobie, jak musiał się poczuć. Nie uroniła ani jednej łzy przez cały dzień, lecz na myśl o tym, że Marcus mógł choć przez ułamek sekundy zastanawiać się, czy kolejna kobieta zostawiła go dla St. Vincenta... Nie mogła tego znieść. Wybuchnęła głośnym płaczem, zaskakując zarówno jego, jak i siebie. – Nie uwierzyłeś jej, prawda? Mój Boże, proszę, powiedz, że jej nie uwierzyłeś!

– Oczywiście, że nie. – Wbił w nią zdumione spojrzenie. W pośpiechu sięgnął po leżącą na stole serwetkę, by otrzeć z jej twarzy strumienie łez. – Nie, nie, nie płacz...

– Kocham cię, Marcusie. – Wyrwała mu serwetkę i głośno wysmarkała nos, po czym szlochając dalej. – Kocham cię. Nie obchodzi mnie, że mówię to pierwsza ani nawet, że jestem w tym osamotniona. Chcę tylko, byś wiedział, jak bardzo...

– Ja też cię kocham – przerwał jej czule. – Kocham cię, Lillian... Proszę, nie płacz. To mnie zabija. Przestań. – Pokiwała głową i znów wytarła nos. Cała jej twarz pokryła się czerwonymi cętkami, jej powieki spuchły, a z nosa lał się katar. Stwierdziła, że Marcusowi w międzyczasie musiał bardzo pogorszyć się wzrok, ponieważ ujął jej twarz w dłonie, wycisnął twardy pocałunek na jej ustach i mruknął ochryple: – Jesteś taka piękna. – Jego deklaracja, bez wątpienia szczerą, sprawiła, że Lillian zaczęła chichotać. Zamknął ją w miażdżącym uścisku i zapytał słumionym głosem: – Kochanie, czy nikt ci jeszcze nie powiedział, że to w złym stylu śmiać się z mężczyzny, który właśnie wyznał ci miłość?

Po raz ostatni nieelegancko wysmarkała nos.

– Obawiam się, że jestem beznadziejnym przypadkiem. Nadal chcesz się ze mną ożenić?

– Niezwłocznie.

Jego słowa tak ją zszokowały, że zapomniała o łzach.

– Słucham?

– Nie chcę wracać do Hampshire. Chcę zabrać cię do Gretna Green. Zajazd wypożycza powozy... Wynajmę jeden z nich rankiem, a pojutrze będziemy już w Szkocji.

– Ale... przecież wszyscy spodziewają się oficjalnej kościelnej ceremonii...

– Nie mogę na ciebie czekać. Nie dbam o pozory przyzwoitości.

Jej wargi wygięły się w drżącym uśmiechu, gdy pomyślała o tym, ilu ludzi zdumiałoby się, słysząc takie słowa z jego ust.

– To trąci skandalem, wiesz? Hrabia Westcliff ucieka, by wziąć kowalski ślub w Gretna Green...

– W takim razie zacznijmy od skandalu. – Pocałował ją, a ona odpowiedziała mu niskim jękiem.

Przywarła do niego i wygięła się w łuk, a on głębiej wsunął język w jej usta, nakrywając wargami jej wargi i uczując na ciepłej, otwartej jedwabistości. Oddychając ciężko, przesunął wargi na jej drżącą szyję. – Powiedz: „Tak, Marcusie” – ponaglił ją.

– Tak, Marcusie.

Jego oczy pociemniały i zapłonęły, gdy spojrzał na nią. Wyczuła, że pragnie jej powiedzieć milion rzeczy, lecz on tylko mruknął:

– Czas na twoją kąpiel.

Mogłaby zrobić to sama, lecz uparł się, że ją rozbierze, a potem wykąpał ją, jakby była dzieckiem. Odprężona, przyglądała się jego mrocznej twarzy przez delikatną mgiełkę pary unoszącej się z wanny. Jego ruchy celowo były powolne, gdy mydlił i spłukiwał jej ciało, aż stała się różowa i błyszcząca. Wyniósł ją z wanny i osuszył dużym ręcznikiem.

– Podnieś ręce – mruknął.

Spojrzała nieufnie na znoszony element garderoby, który trzymał w dłoni.

– Co to jest?

– Koszula nocna od żony oberżysty – odparł.

Lillian wsunęła ręce w rękawy i westchnęła, gdy otoczył ją zapach czystej flaneli. Koszula miała nieokreślony kolor i była na nią za duża, lecz w jej znoszonych, miękkich fałdach odnalazła spokój.

Zwinęła się w kłębek na łóżku i patrzyła na Marcusa, gdy ten kąpał się i wycierał. Mięśnie jego pleców przeżyły się, a jego zdumiewające ciało stanowiło prawdziwą ucztę dla oczu. Jej wargi wygięły się w nieodpartym uśmiechu, gdy uświadomiła sobie, że ten wyjątkowy mężczyzna należy do niej... i że nigdy nie będzie pewna, jakim cudem zdobyła jego niedostępne serce. Marcus zgasił lampę i podszedł do łóżka, a Lillian wtuliła się w niego z radością, gdy wsunął się pod kołdrę. Jego zapach wypełnił jej nozdrza, świeży, przesycony nutą mydła oraz delikatnymi śladami słońca i soli. Zapragnęła zanurzyć się w tym rozkosznym zapachu, chciała całować i dotykać każdego centymetra ciała ukochanego.

– Kochaj się ze mną, Marcusie – szepnęła.

Pochylił się nad nią w mroku, przeczesując jej włosy palcami.

– Moja miłości – mruknął z czułym rozbawieniem – od dzisiejszego poranka grożono ci, uspioono cię, porwano, skuto kajdankami i przewieziono przez pół Anglii. Nie masz jeszcze dość jak na jeden dzień?

Pokręciła głową.

– Wcześniej byłam trochę zmęczona, ale zyskałam drugi oddech. Nie zdołam zasnąć.

Z jakiegoś powodu jej słowa sprawiły, że wybuchnął śmiechem.

Odsunął się od niej. Już myślała, że pragnie się przenieść na drugą stronę łóżka, lecz poczuła, że brzeg jej nocnej koszuli unosi się powoli. Jej obnażone nogi zamrowiły, gdy chłodne powietrze musnęło skórę. Jej oddech przyspieszył. Gruba bawełna poszybowała jeszcze wyżej i wyżej, odsłaniając jej piersi o twardych brodawkach. Jego miękkie, gorące usta opadły na jej skórę, eksplorowały i pieściły, odnajdywały miejsca, w których budziły nieoczekiwane doznania – łaskotki na jej żebrach, na aksamitnym spodzie jej piersi i w delikatnej obwódce pępka. Gdy uniosła dłonie, by go dotknąć, odepchnął je na boki, a ona zrozumiała, że pragnie, by leżała nieruchomo. Jej oddech stał się równy i głęboki, mięśnie jej brzucha i nóg zaczęły drżeć, gdy rozkosz rozlewała się po jej ciele kroplami płynnego srebra.

Skubnięciami i pocałunkami wytyczył szlak ku ukrytej pomiędzy jej udami wilgoci. Jej nogi rozsunęły się chętnie pod jego dotykiem. Otworzyła się na niego z nieskończoną ufnością, a każdy jej nerw syczał bolesnym podekscytowaniem. Z jej gardła wyrwał się wysoki, cichy jęk, gdy polizał ciemny trójkącik. Błyskawice rozkoszy przesywały ją za każdym razem, gdy muskał językiem różową, śliską i miękką tkanę. Jego język tańczył, łaskotał i otwierał ją w słodko rytmicznej pieśszczocie, aż doznania

przytoczyły ją całą, a jej oddech zaczął się rwać w słabych okrzykach. W końcu wsunął palce głęboko w jej wnętrze, a ona jęknęła. Wiła się i dygotała, osiągnąwszy orgazm, jakby zaraz miała rozpaść się z rozkoszy.

Oszołomiona, poczuła, że Marcus poprawia na niej koszulę.

– Teraz twoja kolej – wymruczała, kładąc głowę na jego ramieniu, gdy znów ją do siebie przytulił. – Ty jeszcze...

– Śpij – szepnął. – Moja kolej nadejdzie jutro.

– Nie jestem zmęczona – powtórzyła z uporem.

– Zamknij oczy – nakazał jej, głaszcząc leniwie jej pośladki. Musnął ustami jej czoło i delikatne powieki. – Odpoczywaj. Musisz odzyskać siły... bo gdy już się pobierzemy, nie zdołasz się ode mnie uwolnić. Będę cię kochał w każdej godzinie, każdej minucie dnia. – Wtulił w siebie jej ciało. – Nie ma dla mnie nic piękniejszego niż twój uśmiech... nie ma dźwięku słodszy niż twój śmiech... nie ma większej radości niż ta, gdy trzymam cię w ramionach. Dzisiaj zrozumiałem, że nie mógłbym żyć bez ciebie, mój ty uparty diable wcielony. W tym życiu i w następnym jesteś moją jedyną nadzieją na szczęście. Powiedz mi, Lillian, moja najdroższa miłości... jak to się stało, że wdarłaś się tak głęboko w moje serce? – Urwał, by ucałować jej wilgotną jedwabistą skórę... po czym uśmiechnął się, gdy ciszę przerwało donośne chrapanie.

EPILOG

*Do wielce szanownej hrabiny Westcliff
Marsden Terrace, Upper Brook Street 2, Londyn*

Droga lady Westcliff,

był to dla mnie zarówno honor, jak i radość, gdy otrzymałem Pani list. Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze życzenia szczęścia na nowej drodze życia. Choć utrzymuje Pani skromnie, iż związek z lordem Westcliffem to mariaż korzystny przede wszystkim dla Pani, pragnę się nie zgodzić. Mając szczęście poznania Pani osobiście, mogę poświadczyć, że korzyści odniósł głównie hrabia, zdobywając rękę tak czarującej i starannie wykształconej młodej damy...

– Czarującej? – wtrąciła Daisy sucho. – Och, tak słabo cię zna.

– I starannie wykształconej – przypomniała jej Lillian tonem wyższości, po czym wróciła do listu pana Nettle'a. – Dalej pisze: „Może gdyby młodsza siostra była do pani bardziej podobna, znalazłaby sobie w końcu męża”.

– Wcale tak nie napisał! – zawołała Daisy, zeskakując z otomany i próbując wyrwać list z rąk Lillian, która broniła się ze śmiechem. Siedząca w fotelu Annabelle uśmiechnęła się lekko nad brzegiem filiżanki z naparem, który miał uspokoić jej żołądek. Zwierzyła się przyjaciółkom, że tego wieczoru zamierza powiedzieć o ciąży mężowi, ponieważ ukrywanie jej stanu z każdym dniem stawało się trudniejsze.

Wszystkie trzy siedziały w salonie w Marsden Terrace. Kilka dni wcześniej Lillian i Marcus wrócili z Hampshire po swoim kowalskim ślubie, jak powszechnie nazywano tę uroczystość w Gretna Green. W duchu Lillian ucieszyła się na wieść, że hrabina została wygnana z posiadłości, a wszystkie ślady jej obecności zostały zatarte. Hrabina wdowa, poprawiła się w myślach. Czowała podenerwowanie za każdym razem, gdy przypominała sobie, że to ona nosi teraz tytuł hrabiny Westcliff. Marcus przywiózł ją do Londynu, ponieważ pragnął wraz z panem Huntem odwiedzić swoją fabrykę lokomotyw, a także dopilnować innych ważnych interesów. Zaraz potem Westcliffowie wyjeżdżali do Włoch na pospiesznie zaplanowany miesiąc miodowy... i jak najdalej od Mercedes Bowman, która nie przestała jeszcze narzekać, że pozbawiono ją możliwości zorganizowania córce ślubu na skalę towarzyskiego wydarzenia sezonu.

– Och, odczep się, Daisy – zawołała Lillian dobrodusznie, odpychając młodszą siostrę. – Przyznaję, że tę ostatnią część zmyśliłam. Przestań, bo porwiesz list na strzępy! Na czym to ja skończyłam? – Przywołała na twarz pełną godności minę odpowiednią dla małżonki hrabiego, uniosła list i zaczęła czytać dalej: – Pan Nettle obsypuje mnie komplementami i życzy mi powodzenia w rodzinie Marsdenów...

– Napisałaś mu, że twoja teściowa próbowała się ciebie pozbyć? – zapytała Daisy.

– Po czym – kontynuowała Lillian, ignorując ją – odpowiada na moje pytanie o perfumy.

Obie młode damy utkwily w niej zaskoczone spojrzenia. Błękitne oczy Annabelle zogromniały z ciekawości.

– Zapytałaś go o ten specjalny składnik?

– Na miłość boską, co to takiego? – zażądała odpowiedzi Daisy. – Mów! No mów!

– Odpowiedź chyba cię rozczaruje – odparła Lillian ze skruszoną miną. – Według pana Nettle’a ten specjalny składnik to... nic.

Daisy zareagowała oburzeniem.

– Specjalny składnik nie istnieje? To nie jest prawdziwy eliksir miłosny? Marynowałam się w nim bez żadnego powodu?

– Przeczytam ci jego wyjaśnienie. „Pani sukces pod postacią zawładnięcia sercem lorda Westcliffa był rezultatem działania wyłącznie pani własnej magii, a podstawowym składnikiem zapachu była, w zasadzie, pani sama”. – Lillian położyła list na kolanach, po czym uśmiechnęła się do siostry, na której twarzy malowała się gniewna mina. – Biedna Daisy. Przykro mi, że to nie była prawdziwa magia.

– Do diaska – mruknęła Daisy. – Mogłam się domyślić.

– Co ciekawe – kontynuowała Lillian z namysłem – Westcliff faktycznie się domyślił. Tej nocy, kiedy powiedziałam mu o perfumach, oświadczył, że ponad wszelką wątpliwość zidentyfikował specjalny składnik. A dziś rano, zanim pokazałam mu list pana Nettle’a, podał mi swoją odpowiedź... która okazała się poprawna. – Uśmiechnęła się lekko i burknęła z miłością: – Przemądrzały arogant.

– Niech tylko powiem o tym Evie – wtrąciła Daisy. – Rozczaruje ją to na pewno tak jak mnie.

Annabelle zerknęła na nią, marszcząc śliczne czoło.

– Czy odpisała na twój list, Daisy?

– Nie. Rodzina znów zamknęła ją pod kluczem. Wątpię, by pozwalali jej wysyłać bądź odbierać listy. Jeszcze bardziej martwi mnie to, że przed ich wyjazdem ze Stony Cross Park ciotka Florence bardzo wyraźnie zasugerowała, iż zaręczyny Evie z kuzynem Eustace’em to tylko kwestia czasu.

Lillian i Annabelle jęknęły głośno.

– Po moim trupie – mruknęła Lillian ponuro. – Chyba wiesz, że będziemy musiały uciec się do bardziej kreatywnych środków, jeśli chcemy wyrwać Evie ze szponów jej rodziny i znaleźć dla niej dobrą partię?

– Oczywiście – padła stanowcza odpowiedź Daisy. – Uwierz mi, moja droga, jeśli znalazłyśmy męża dla ciebie, możemy osiągnąć wszystko.

– Przesadziłaś – syknęła Lillian, po czym zeskoczyła z sofy i natarła na siostrę, unosząc złowieszczo poduszkę.

Daisy wybuchnęła śmiechem, po czym schowała się za najbliższym meblem i zawołała:

– Pamiętaj, że jesteś hrabiną! Gdzie się podziała twoja godność?

– Gdzieś ją posiałam – rzuciła Lillian, biegnąc za siostrą z radością.

A tymczasem...

– Milordzie, ma pan gościa. Poinformowałam damę, że nie ma pana w domu, lecz ona upiera się, iż musi się z panem zobaczyć.

W bibliotece było ciemno i zimno, w kominku tlił się tylko słaby płomień. Płomień mógł lada chwila zgasnąć... lecz Sebastian nie potrafił zmusić się do tego, by dołożyć do ognia, mimo iż w pobliżu leżał mały stos drewna. Rozszalała pożoga gotowa strawić dom nie zdołałaby go rozgrzać. Czuł się pusty i otępiały. Ciało pozbawione duszy, czym się przecież chlubił. Doprawdy rzadkiego talentu wymagało osunięcie się na ten poziom deprawacji.

– O tej porze? – mruknął obojętnie, patrząc nie na lokaja, lecz na szklaneczkę z rżniętego kryształu, z której pił brandy. Bezmyślnie obracał ją w długich palcach. Nie miał wątpliwości co do tego, czego pragnie niezidentyfikowana kobieta. I choć był pozbawiony innych rozrywek na ten wieczór, uświadomił

sobie, że nie ma nastroju na zapasy w łóżku.

– Odeślij ją – powiedział chłodno. – Powiedz, że moje łóżko jest już zajęte.

– Oczywiście, milordzie.

Lokaj wyszedł, a Sebastian rozsiadł się wygodniej w fotelu i wyciągnął długie nogi przed siebie.

Dopił zawartość szklanki jednym łykiem, rozważając swój największy obecnie problem... Pieniądze, a raczej ich brak. Wierzyteli stawali się coraz agresywniejsi w swych żądaniach, a szerokiego spektrum długów nie sposób było dalej ignorować. Biorąc pod uwagę, że jego wysiłki, by zdobyć upragnioną fortunę Lillian Bowman, spełzły na niczym, będzie musiał poszukać środków gdzieś indziej. Znał zamożne damy, które mógł nakłonić do pożyczania mu pewnego kapitału w zamian za osobiste usługi świadczone z najwyższą biegłością. Kolejna opcja...

– Milordzie?

Podniósł wzrok, gniewnie marszcząc czoło.

– Na litość boską, co znowu?

– Ta kobieta nie zgodziła się wyjść, milordzie. Nalega, by się z panem zobaczyć.

Sebastian westchnął z irytacją.

– Przyślij ją, skoro jest taką cholerną desperatką. Tylko trzeba będzie ją ostrzec, że szybkie pieprzenie i jeszcze szybsze pożegnanie to wszystko, na co może dziś liczyć.

Za lokajem rozległ się młody, zdenerwowany głos, który zdradzał, że uparty gość dostał się już do środka.

– Cóż, nie to miałam na myśli. – Odziana w ciężką pelerynę z kapturem, kobieta wynurzyła się zza lokaja i weszła do pokoju.

Widząc błysk w oczach Sebastiana, lokaj zniknął, zostawiając ich samych.

Sebastian odchylił głowę na oparcie fotela, mierząc tajemniczą postać wzrokiem wypranym z emocji. Przeszło mu przez myśl, że może ukrywać pistolet pod tą peleryną. Może to jedna z wielu kobiet, które w przeszłości groziły mu śmiercią... Taka, która w końcu zebrała się na odwagę, by dotrzymać słowa. Bardzo proszę, do cholery. Miała jego błogosławieństwo, byle zrobiła to dobrze i nic nie sknociła. Rozsiadając się wygodnie, mruknął:

– Zdejmij kaptur.

Szczupła biała dłoń uniosła się posłusznie, zsuwając kaptur z włosów tak ognistych, że przyćmiły żar w kominku.

Sebastian pokręcił z rozbawieniem głową, rozpoznając młodą kobietę. Nedorzeczne stworzenie z przyjęcia w Stony Cross Park. Nieśmiała, jękająca się idiotka, z której rude włosy i zmysłowa figura czyniły znośne towarzystwo, dopóki trzymała buzię na kłódkę. Nigdy jeszcze ze sobą nie rozmawiali. Panna Evangeline Jenner, przypomniał sobie. Miała największe, najbardziej okrągłe oczy, jakie kiedykolwiek widział. Jak woskowa lalka albo małe dziecko. Jej wzrok spoczął na jego twarzy, obejmując sińce będące wynikiem jego bójki z Westcliffem.

Głupie ciele, pomyślał Sebastian z pogardą, zastanawiając się, czy przyszła, by pomstować na niego za to, że porwał jej przyjaciółkę. Nie. Nawet ona nie byłaby na tyle głupia, by ryzykować cnotę lub – wedle jej wiedzy – życie, pojawiając się bez przyzwotki w jego domu.

– Przyszłaś zobaczyć diabła w jego pieczarze, czy tak? – zapytał.

Podeszła bliżej. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie, lecz, co ciekawe, nie widział przejawów strachu.

– Nie jest pan diabłem. Jest pan tylko człowiekiem. Bardzo s-skrzywionym człowiekiem.

Po raz pierwszy od wielu dni Sebastian poczuł nikłe pragnienie, by się uśmiechnąć. Obudziła się w nim iskra niechętnego zainteresowania.

– Tylko dlatego że nie widać ogona i rogów, dziecko, nie powinnaś ignorować takiej możliwości. Diabeł przybiera wiele postaci.

– W takim razie przyszłam tu, aby zawrzeć iście faustowski pakt. – Mówiła bardzo powoli, jakby musiała ważyć każde słowo, zanim je wyartykułuje. – Mam dla pana propozycję, milordzie.

Podeszła bliżej ognia, wynurzając się z mroku, który otaczał ich oboje.

Spis treści

<u>PROLOG</u>
<u>ROZDZIAŁ 1</u>
<u>ROZDZIAŁ 2</u>
<u>ROZDZIAŁ 3</u>
<u>ROZDZIAŁ 4</u>
<u>ROZDZIAŁ 5</u>
<u>ROZDZIAŁ 6</u>
<u>ROZDZIAŁ 7</u>
<u>ROZDZIAŁ 8</u>
<u>ROZDZIAŁ 9</u>
<u>ROZDZIAŁ 10</u>
<u>ROZDZIAŁ 11</u>
<u>ROZDZIAŁ 12</u>
<u>ROZDZIAŁ 13</u>
<u>ROZDZIAŁ 14</u>
<u>ROZDZIAŁ 15</u>
<u>ROZDZIAŁ 16</u>
<u>ROZDZIAŁ 17</u>
<u>ROZDZIAŁ 18</u>
<u>ROZDZIAŁ 19</u>
<u>ROZDZIAŁ 20</u>
<u>ROZDZIAŁ 21</u>
<u>ROZDZIAŁ 22</u>
<u>ROZDZIAŁ 23</u>
<u>ROZDZIAŁ 24</u>
<u>ROZDZIAŁ 25</u>
<u>EPILOG</u>